



WOJCIECH
CHMIELARZ
FARMA LALEK

—
Komisarz Jakub Mortka

MARGINESY





FARMA LALEK

**WOJCIECH
CHMIELARZ
FARMA LALEK**

MARGINESY

Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

PROLOG

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Od autora

Redaktorka prowadząca DOMINIKA POPLAWSKA
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych MICHAŁ PAWŁOWSKI
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK
Zdjęcie na okładce © milehightraveler / iStock by Getty Images

Lamanie **manufaktura**

Copyright © by Wojciech Chmielarz
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Warszawa 2023
Wydanie trzecie

ISBN 978-83-67510-38-7

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 2519

redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Dla rodziców

Żadna firma nie jest samowystarczalna i nie ma niewyczerpanych zasobów, ale najczęściej ma nieograniczone potrzeby, konkurujące o rzadkie zasoby przedsiębiorstwa. Dlatego prace, które inni mogą wykonać taniej i skuteczniej, trzeba zlecać na zewnątrz, bo inaczej firmy marnotrawiłyby swoje zasoby.

Mark J. Power, Kevin C. Desouza, Carlo Bonifazi, *Outsourcing. Podręcznik sprawdzonych praktyk*,
przeł. Tomasz Rzychoń

PROLOG

Dzinsowa kurtka marki jednej z niemieckich firm odzieżowych, idealna na kapryśną górską wiosnę, została wyprodukowana w ramach outsourcingu w Chinach, a do Polski trafiła w kontenerze z używanymi ubraniami. Teraz nosiła ją jedenastoletnia dziewczynka z blond włosami zaplecionymi w dwa warkocze. Wielkie błękitne oczy upodobały dziewczynkę do postaci z japońskiej kreskówki. A w szczególności do bohaterki jednego z tych niegrzecznych filmów anime, które mężczyzna siedzący w terenowym bmw tak lubił oglądać, kiedy wiedział, że jest sam i nikt mu nie będzie przeszkadzać.

Mężczyzna wziął łyk red bulla, przełknął i natychmiast poczuł, że gardło znów robi mu się suche z ekscytacji, a penis twardnieje, napierając na rozporek zbyt ciasnych spodni.

Dziewczynka siedziała na skraju drogi, bazgrząc patykiem po ziemi i ocierając nos dzinsowym rękawem. Chyba płakała, co sprawiało, że cała sytuacja robiła się jeszcze bardziej podniecająca.

Czy się zgubiła? Czy zaraz ktoś po nią przyjdzie – tata, mama, starszy brat? Może zostawili ją dla przestrawienia, bo była niegrzeczna, a teraz dyskretnie pilnują, ukryci za drzewem?

Mężczyzna odłożył puszkę z napojem do specjalnego uchwytu zawieszonoego przy samochodowym oknie, uważając przy tym, żeby nie wylać ani kropli na tapicerkę. Wychylił się lekko do przodu, by zbadać okolicę. Nie zauważył nikogo dorosłego. Jedyna para turystów zeszała w dół dobre dziesięć minut temu. Było dość wcześnie rano, więc tak niewielki ruch mimo ładnej pogody wydawał się zrozumiały. Ostatni dom w mieście stał dwadzieścia metrów dalej, a jego okna zasłaniał gęsty żywopłot.

Nikt ich nie widział. Mężczyzna poczuł, że napięcie narasta. Miał ochotę wyciągnąć penisa ze spodni i natychmiast zacząć się masturbować.

Powstrzymał się z trudem. Sięgnął po puszkę, wypił ostatni łyk, po czym zgniótł ją i wyrzucił za półotwarte okno. Wziął dwa głębokie oddechy i z mocno bijącym sercem uruchomił silnik.

Dziewczynka podniosła główkę dopiero, kiedy bmw zatrzymało się niecały metr od niej, a mężczyzna otworzył drzwi od strony pasażera. Uśmiechał się przyjaźnie.

– Cześć – rzucił wesoło.

Nie odpowiedziała. Ściągnęła okulary przeciwsłoneczne.

– Zgubiłaś się?

Chwyciła mocniej patyk i zaczęła wbijać go szybko w ziemię, tworząc nieregularny wzór z niewielkich dziurek.

– Dlaczego milczysz? Mama cię nie nauczyła, że należy odpowiadać, jak dorośli pytają?

Bąknęła coś, czego w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Słucham? Możesz powtórzyć?

Westchnęła cichutko, a jemu przeszedł dreszcz po plecach. Była taka malutka, taka seksowna.

– Mama mówiła, że nie wolno mi rozmawiać z nieznajomymi.

Był przygotowany na takie stwierdzenie.

– Twoja mama ma absolutną rację. Ale ja nie jestem nieznajomym.

Spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

– To jak się nazywam? – zapytała.

Roześmiał się, rozbawiony jej beczelnością i bystrością.

– Nie wiem, kochanie – przyznał. – Ale znam twoją mamę. A najlepiej to znam wiesz kogo?

– Kogo?

Patrzyła na niego z wyczekiwaniem.

– Panią ze sklepu – zaryzykował.

– Panią Mariolkę?

– Oczywiście, że panią Mariolkę. Jestem jej dobrym przyjacielem, wiesz? Bardzo często robię u niej zakupy i sobie rozmawiamy. Czasami przychodzi do nas twoja mama i dyskutujemy wspólnie, niekiedy to nawet o tobie. Właściwie to... – zawiesił na chwilę głos, zwiększając jej ciekawość – ...powinnaś mieć pamiętać ze sklepu.

– Nie pamiętam.

– Byłaś tam niedawno z mamą, jadłaś batona. Przypominasz sobie?

Zastanawiała się przez chwilę. Tymczasem mężczyzna drżał wewnątrz z niepokoju. Czy połknie przynętę? Czy jego mała rybka da się schwytać? Dała. Pokiwała głową energicznie, a on uśmiechnął się lekko.

– No właśnie. Jak weszłaś z mamą, to właśnie rozmawiałem z panią Mariolką, potem zabrałem swoje zakupy, miałem takie dwie wielkie czerwone torby, pożegnałem się, powiedziałem „dzień dobry” twojej mamie i wyszedłem. Pamiętasz już?

– Może... – powiedziała z ociąganiem.

– Tak właśnie było. Zapytaj mamę, jak wrócisz do domu.

Kiwnęła głową. Mężczyzna sięgnął do torby schowanej za przednim siedzeniem i wyciągnął kolejną puszkę z red bullem.

– Chcesz napoju?

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale tym razem mniej nieufnie niż wtedy, kiedy do niej podjechał. Wiedział, że musi się pospieszyć. Lada moment ktoś może tędy przechodzić, a wtedy cały plan, który tak długo układał sobie w głowie, trafi szlag. Pękłoby mu serce.

Trzymał puszkę nonszalancko, jakby mu nie zależało, żeby ją wzięła. Ciągle się uśmiechał, patrząc bardziej na drogę niż na dziewczynkę. Kątem oka zauważył, że podchodzi do samochodu, chwytając napój, wyciąga go z jego dłoni, a potem cofa się natychmiast dwa kroki, zaskoczona łatwością, z jaką przeprowadziła tę operację, oraz tym, że nie próbował jej złapać. Kolejna bariera podejrzliwości w jej głowie padła.

Otworzyła red bulla.

– Naprawdę zna pan panią Mariolkę? – zapytała między łykami.

– Bardzo dobrze. Od lat u niej kupuję.

Kiwnęła głową.

– Co tu robisz? – zapytał.

Wykonała nieokreślony ruch ręką, wskazując na pobliskie góry.

– Idziesz na wycieczkę?

– Tak – przyznała niechętnie.

– Sama? – zapytał i natychmiast ujrzał w jej oczach iskierki złości. Wystraszył się, że powiedział coś nie tak i że zaraz ją straci. Podniósł dłoń w geście wyrażającym, że właściwie nic go to nie obchodzi, czy idzie sama, czy z kimś. Miał nadzieję, że dała się na to nabrać. Była jak małe futrzane zwierzątko, które bardzo łatwo przestraszyć.

– Zmęczyłaś się?

– Tak.

– Bo przeszłaś kawał drogi. Niezła z ciebie turystka.

– Aha.

– Idziesz w górę?

– Tak.

– Jadę tam właśnie. Podwieźć cię?

Milczała, nie potrafiąc się zdecydować. Widział malującą się na jej twarzy rozterkę – z jednej strony miał przecież miłą, przyjazną twarz, znał panią Mariolkę, a pewnie i mamę, ale z drugiej strony ciągle nie potrafiła mu zaufać. Dostrzegając to wahanie, chciał po prostu wyskoczyć z samochodu, chwycić ją w pas i wrzucić do bagażnika. Tak byłoby najlepiej. Ale wtedy ktoś mógłby usłyszeć jej krzyki. Nie, musiał się kontrolować. Pod powiekami ciągle widział fragmenty japońskiego filmu animowanego, w którym bohaterka miała takie same oczy jak ta dziewczynka. I tak słodko jęczała. Najpierw się broniła, ale potem jęczała. Ta mała też będzie jęczeć. Kiedy już przestanie krzyczeć.

– No nic. Jak chcesz, to idź na piechotę – powiedział, postanawiając zagrać *va banque* i sięgając po klamkę od drzwi.

Zatrzymała go, kiedy już niemal zamknął.

– Niech pan poczeka.

Skoczyła na równe nogi i wślizgnęła się do samochodu. Uśmiechnął się po raz kolejny i pomógł jej zapiąć pas, przy okazji, niby przypadkiem, muskając jej udo.

– To jedziemy – powiedział i wskazał na puszkę red bulla w jej dłoniach. – Uważaj, żeby nie wylać.

Uruchomił silnik i ruszył. Nie zauważył, jak z lasu wyszła dziewczyna z psem, która długo przyglądała się odjeżdżającemu samochodowi.

– Jezu, jak tu pięknie – powiedziała Ola.

Mortka pomyślał, że jego była żona ma rację. Ciepłe majowe słońce padało na twarz policjanta, przebijając się przez gęsty dach zielonych, pachnących wiosną liści. Siedzieli w ogródku tuż przed zabytkowym poniemieckim pałacem, a za ich plecami rozciągała się malownicza panorama Karkonoszy. Zanurzył usta w chłodnym piwie i przez chwilę, krótką jak mrugnięcie powieki, czuł się szczęśliwy. A potem Adam, nowy chłopak Oli, który siedział naprzeciwko, ale którego Mortka w cudowny sposób usunął ze swojego pola widzenia, musiał się odezwać.

– Wiecie, że tu nieopodal, za tym hotelem, znajduje się fabryka dywanów? Ta słynna fabryka dywanów! – Wskazał na pałac za swoimi plecami, w którym wynajął pokoje dla siebie, Oli i chłopaków.

– Nigdy o takiej nie słyszałem – powiedział kwaśno komisarz, zastanawiając się jednocześnie, czy Adam i Ola zamieszkali w jednym pokoju, czy jednak osobno.

– Nigdy, naprawdę? W PRL-u dywany z tej małej mieściny były prawdziwym rarytasem. Moja mama o mało co nie zginęła, kiedy próbowała kupić jeden.

– Co się stało? – zainteresowała się Ola, która właśnie kończyła dopijać kawę. Wyglądała pięknie: uśmiechnięta, wyluzowana, emanująca seksapilem i spełnieniem.

– Mama dowiedziała się dzień wcześniej, że rzucą dywany. Od czwartej nad ranem siedziała pod sklepem, kolejka gęstniała z minuty na minutę, zrobił się prawdziwy tłum. Wszyscy napierali na drzwi do tego sklepu, bo każdy chciał dostać towar. I w pewnym momencie, mniej więcej wtedy, kiedy mieli już otwierać, ale z jakiegoś powodu nie otwierali, ludzie zaczęli się pchać. A moja mama była w pierwszym szeregu. Dosłownie wbili ją w szklane drzwi, które zbiły się z hukiem, a ona sama wpadła do środka. Najpierw o mało co jej nie stratowano, a potem się zorientowała, że upadła tuż obok wielkiego, ostrego jak brzytwa kawałka szyby. Upadłaby kilka centymetrów w prawo, a odłamek przebiłby jej tętnicę szyjną. – Adam uśmiechnął się lekko i wyciągnął szyję, żeby przyjrzeć się opuszczonym fabrycznym halom, które kryły się za pałacem. – Wyobrażacie to sobie? Ludzie się zabijali o te dywany.

– Dosłownie – dodała szybko Ola i chwyciła go za rękę. Adam mruknął cicho z zadowoleniem.

– Mama do dzisiaj ma blizny. Na szczęście tylko na dłoniach. Jeden z odłamków przeszedł na wylot.

– Niesamowite.

– Te dywany były wtedy marzeniem każdej pani domu. Do wszystkich demoludów je wysyłano.

– A teraz? – zapytał Mortka, uznając, że powinien się odezwać z grzeczności.

Adam podniósł jedną brew w geście życzliwego zdziwienia.

– Nie wiesz? Przecież trochę tu już mieszkasz.

– Nie miałem okazji się zainteresować – odpowiedział zmieszany policjant, zły na siebie, że w ogóle wpadł mu do głowy pomysł, by otwierać usta.

– Zakład padł po transformacji. Przerost zatrudnienia, przestarzały park maszynowy, tańsza konkurencja zagraniczna, konserwatywny sposób zarządzania i mentalność z poprzedniego ustroju – wymieniał jednym tchem Adam. – Czyli to samo co w tysiącach podobnych zakładów, które przespały reformy Balcerowicza.

Mortka pokiwał głową, jakby się zgadzał, ale tak naprawdę czuł się coraz bardziej nieswojo. Z utęsknieniem spojrzął na drzwi pałacu, gdzie kilka minut wcześniej zniknęli jego synowie, żeby kupić sobie lody. Postanowił, że kiedy wyjdą, weźmie ich na spacer, na wycieczkę czy nawet do Izby Pamięci Górniczej, którą mijają, idąc tutaj. Dokądkolwiek, byleby pozbyć się towarzystwa tego nadętego, przystojnego i bogatego dupka, który aktualnie dymał jego byłą żonę i którego z całego serca nienawdził.

– Jak ci tu jest, Kuba? – zapytała Ola.

Mortka wzruszył ramionami.

– Nudno. Nic się nie dzieje.

– Żadnych morderstw? – zaciekawił się Adam.

– Zabójstw – poprawiła go Ola i natychmiast się zaczerwieniła. – Nawyk żony policjanta.

– A czym to się różni? Coś kojarzę ze studiów, ale szczerze mówiąc, teraz bardziej się orientuję w cypryjskim prawie podatkowym niż w polskim karnym.

– Morderstwo to zabójstwo popełnione ze szczególnym okrucieństwem. Inna kwalifikacja czynu – wyjaśnił Mortka.

– A rzeczywiście – Adam pstryknął palcami tuż obok swojego ucha – coś mi się przypomina. To nie miałeś tutaj żadnego morderstwa?

– Nie.

– A zabójstwo?

– Jedno. Facet zabił brata...

– Po pijaku, nożem kuchennym, pokłócili się o pieniądze – dokończyła za komisarza Ola. – Gdybym dostawała złotówkę za każdym razem, kiedy Kuba wracał do domu z takimi historiami, byłabym bogata. A tak swoją drogą, trafiłam?

– Prawie. Nogą od taboretu, nie nożem. Reszta się zgadza.

Roześmiali się wszyscy. Adam i Ola szczerze, komisarz dla towarzystwa. Dopił swoje piwo i stwierdził, że powinien zamówić następne, bo inaczej tutaj nie wytrzyma. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta rano.

– A poza tym? – dopytywał się Adam.

– Kradzieże, włamania, kilka pobić, przemoc domowa, drobny handel narkotykami. Nudy.

Prawnik podrapał się po nosie.

– To co ty tutaj właściwie robisz? Bo mnie się wydaje, że ty się tutaj po prostu, wybac to określenie, marnujesz. Ola co prawda wspominała, że masz uczyć tutejszych policjantów sposobów prowadzenia dochodzeń, nowych metod, wymieniać się doświadczeniami...

– Teoretycznie tak właśnie powinno być.

– A praktycznie?

– A praktycznie to jestem tutaj za karę. I zostały mi jeszcze dwa miesiące.

Adam najpierw zamrugał zdziwiony, a potem otworzył usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale Ola dała mu znak, żeby milczał. Mortka był jej za to wdzięczny. Nie chciał mówić o powodach swojego zesłania. A na pewno nie Adamowi.

W tym momencie zadzwonił telefon komisarza. W samą porę, żeby wybawić ich od niezręcznej ciszy, która niewątpliwie zaraz by zapadła. Mortka wstał, wyciągnął aparat z kieszeni kurtki, uśmiechnął się i odszedł na stronę. Dopiero wtedy odebrał połączenie.

– Komisarz Mortka? – Usłyszał szczebiotliwy głos dyspozytorki z miejscowego komisariatu. Nie pamiętał, jak się nazywała, ale była mała, pulchna i przypominała mu chomika.

– Przy telefonie.

– Wiem, że dzisiaj pan nie pracuje, ale mamy mało ludzi, niektórzy pobrali urlopy, wyjechali z rodzinami, sam pan rozumie, majówka i...

– O co chodzi? – przerwał jej.

– Jest zgłoszenie. Możliwe zaginięcie. Mała dziewczynka. Jedenaście lat. Nie wróciła na noc do domu.

– Gdzie?

Wyciągnął notatnik i zapisał podany adres. Pożegnał się z dyspozytorką i wrócił do stolika z przepraszającym wyrazem twarzy, który zamiast pomagać, wywoływał zawsze tylko wściekłość Oli. Teraz też tak się stało. Najpierw zbłądła, potem lekko poczerwieniała, poprawiła włosy, a jej usta zmieniły się w wąską, niemal niewidoczną linię.

– Muszę iść – powiedział Mortka, starając się unikać wzroku byłej żony. – Jest sprawa do załatwienia. Postaram się szybko uwinąć.

– Jaka sprawa? – zapytała chłodno.

– Zaginęła jedenastolatka.

– I akurat ciebie wezwali?

Komisarz wyciągnął przed siebie ramiona, jakby tym gestem chciał pokazać, że nigdzie w pobliżu nie widać innego policjanta. Potem sięgnął po portfel.

– Daj spokój – zaprotestował Adam. – Ja zapłacę.

Mortka uśmiechnęła się tylko, wyciągnął dziesięć złotych i położył pod pustym kuflem.

– Cześć – rzucił i obrócił się na pięcie.

Z ulgą opuścił ogródek piwny i zostawił za sobą stary pałac, Adama i Olę. Szybkim krokiem zmierzał pod wskazany adres. Dopiero po pięciu minutach intensywnego marszu zorientował się, że nie pożegnał się z synami.

Mortka pomyślał, że wszystkie mieszkania w blokach w całej Polsce wyglądają tak samo: staro, ciasno i pachnie w nich gotowanym rosołem. To nie było wyjątkiem. Ledwo się zmieścił w przedpokoju pomiędzy szafą, rowerami i stosem ubrań.

Do środka wpuściła go mniej więcej czterdziestoletnia kobieta o brązowych włosach: przetłuszczonych, zaczesanych gładko do tyłu i związanych w luźny koński ogon. Miała na sobie spodnie dresowe i czarną koszulkę, którą zakrywał poplamiony fartuch kuchenny. Zamiast powiedzieć „dzień dobry” lub coś podobnego, długo przyglądała się Mortce, milcząc ponuro.

– Nie znam pana – stwierdziła wreszcie. – Na pewno jest pan policjantem?

– Nazywam się komisarz Jakub Mortka. Jestem z warszawskiego Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej.

– Ale tutaj jest nie Warszawa, tylko Krotowice – zauważyła przytomnie kobieta.

– Zgadza się – odpowiedział Mortka i zaczął recytować wyuczoną na takie okazje formułkę: – Biorę udział w policyjnym programie „Most”. Polega on na tym, że policjanci odbywają staże u kolegów z innych miast. Program służy wymianie doświadczeń, poznaniu problemów kryminalnych innych jednostek, zdobyciu wiedzy i nawiązaniu kontaktów, które mogą się przydać w przyszłości. Równocześnie normalnie pracujemy. To oznacza, że mam takie same uprawnienia i obowiązki jak koledzy z krotowickiego komisariatu.

Kobieta rozważyła to, co właśnie usłyszała, a potem kiwnęła aprobująco głową. Gestem kazała policjantowi iść za sobą.

Mortka przycisnął się między rowerami, jednym dla chłopca, jednym dla dziewczynki oraz jednym dla dorosłego, i stanął obok drzwi prowadzących do dużego pokoju. Ujrzał w nim mężczyznę ze sporą nadwagą siedzącego na kanapie w samym podkoszulku i bokserkach. W jednej ręce trzymał puszkę z piwem, a w drugiej pilota od telewizora. Bezmyślnie skakał po kanałach. Nagle przerwał i obrócił się w stronę policjanta.

– Sama wróci – stwierdził tubalnym głosem. – Stara niepotrzebnie robi aferę.

– Oby – powiedział komisarz i poszedł do kuchni. Kobieta czekała na niego, stojąc przy na wpół otwartym oknie z zapalonym papierosem w dłoni. Na kuchence gazowej rzeczywiście gotował się, cicho bulgocząc, rosół.

– Mogę usiąść? – zapytał Mortka i wskazał na sfatygowane krzesło obok niewielkiego stołu.

– Proszę, jak pan musi.

Policjant zajął miejsce, wyciągnął długopis i notatnik. Położył je obok poplamionego zeszytu, spomiędzy którego kartek wystawały białe strzępy paragonów.

– Pani Joanna Gawryś? – zapytał.

– Przecież pan wie.

– To formalności.

– Tak. Nazywam się Joanna Gawryś.

– Zgłosiła pani zaginięcie córki?

– Marta wyszła wczoraj z domu przed południem i nie wróciła na noc.

– Dlaczego dopiero teraz zgłosiła pani zaginięcie?

Kobieta zaciągnęła się papierosem i wydmuchała dym za okno.

– Myślałam, że śpi u jakiejś koleżanki – wyjaśniła zmęczonym głosem. – Czasami tak robi. Bywa też, że ktoś nocuje u nas. Zwykle informujemy się o takiej sytuacji, wie pan, między matkami, ale niekiedy człowiek jest tak zmęczony, że zapomni. Zdarzało się już tak, więc się nawet bardzo nie denerwowałam. Ale nie wróciła dzisiaj rano do domu. Obdzwoniłam matki jej przyjaciółek. U żadnej się nie zatrzymała.

– Może kogoś pani pominęła?

– Telefonowałam do każdej.

– Może to jakaś nowa koleżanka?

– Znam jej przyjaciółki. Każdą jedną – prychnęła Joanna Gawryś. Z papierosem w dłoni podeszła do kuchenki, żeby zamieszać supę. – To nie Warszawa, panie policjancie, tutaj się wszyscy znają.

Mortka kiwnął głową.

– Czy córka mówiła, gdzie idzie, wychodząc z domu?

– Byłam wczoraj w pracy. Na porannej zmianie na stacji benzynowej. Wyszła przed moim powrotem do domu.

– A mąż?

– Stary! – wrzasnęła w stronę dużego pokoju. – Marta mówiła ci, gdzie wychodzi?!

– Nie! – odkrzyknął mężczyzna. – Ile razy mam to powtarzać?!

– A brat? – zapytał komisarz.

– Skąd pan wie, że ma brata?

– Rower chłopięcy w przedpokoju.

– Ach tak... – W jej oczach ujrzął coś na kształt uznania. – Janek! Janek!

Nikt nie odpowiedział. Odłożyła papierosa do trzymanej za oknem na parapecie popielniczki, przeprosiła na moment i wściekłym krokiem wymaszerowała z kuchni.

– Janek! Ile razy mam ci mówić, że jak cię wołam, to masz przychodzić?! Za uszy cię teraz zaciągnę! – krzyczała.

Mortka usłyszał jeszcze, jak trzaska drzwiami od pokoju dziecięcego, a w chwilę potem Joanna Gawryś wróciła do kuchni. Wbrew swoim obietnicom z pustymi rękami.

– Nie ma go w domu – powiedziała od razu.

Policjant zmarszczył brwi.

– A gdzie jest?

– Nie wiem. Duży jest. Nie mówi mi, gdzie chodzi.

Joanna Gawryś wsadziła sobie do ust odłożonego do popielniczki papierosa, ale się nie zaciągała. Przez chwilę wydawało się, że papieros pali się sam.

– Ile ma lat?

– Janek?

- Tak.
- Trzynaście.
- Wrócił do domu na noc?

Kobieta aż sapnęła oburzona.

– Oczywiście, że wrócił! Za kogo mnie pan uważa, że niby nawet nie wiem, czy moje dzieci wracają na noc do łóżek?!

- Nie o to mi chodziło.
- To o co?

Mortka postanowił szybko zmienić temat, zanim wda się w beznadziejną kłótnię, z której nic nie będzie wynikało.

– Jakie są stosunki Janka z Martą? – Po twarzy kobiety przemknął grymas oburzenia, kiedy usłyszała słowo „stosunki”, więc policjant szybko sprecyzował, co ma na myśli. – Lubią się? Bawią się razem?

– Ona by chciała, on nie. To chłopiec, starszy. Ma swoje pomysły. Czasami ją bije, ale lekko. Jak to rodzeństwo. Poza tym ona nie pozostaje mu dłużna. Sam pan wie, jak to jest, nie?

- Tak, wiem.
- No właśnie.

Kobieta skończyła palić i zgasiła niedopałek za oknem. Mortka przypatrywał jej się przez chwilę, rozważając to, co właśnie zobaczył i usłyszał. Joanna Gawryś na pewno nie była dobrą matką, ale nie należała też do tych złych. Mieściła się idealnie w kategorii bylejakości. Marta mogła przenocować u jednej z koleżanek, może u kogoś z rodziny, mogła też wpaść na jakiś szalony pomysł, który może przyjdzie do głowy tylko jedenastoletniemu dziecku, i wrócić do domu w ciągu godziny lub dwóch, a cała sprawa zakończy się na solidnym laniu. Bo też – Mortka w to nie wątpił – rodzina Gawrysiów prawny zakaz stosowania kar cielesnych wobec dzieci miała w głębokim poważaniu. Chociaż zapewne nie przekroczyli nigdy tej cienkiej granicy, która oddziela karanie od katowania. Zarazem jednak Joanna Gawryś, w przeciwieństwie do męża, rzeczywiście przejmowała się zniknięciem córki. Poza tym przecucie, a raczej chęć zwalczania krotowickiej nudy, podpowiadało komisarzowi, żeby potraktować tę sprawę poważnie.

Sprawdził na czystej kartce w notatniku, czy długopis nie jest wypisany, a potem wyciągnął z kieszeni kurtki drugi, zapasowy, tak żeby mieć go w razie czego pod ręką. Uśmiechnął się przyjaźnie do kobiety.

- Będzie pani taka uprzejma i odpowie mi jeszcze na kilka pytań.

Kiedy wyszedł z bloku, komisarz Bogusław Lupa już na niego czekał, oparty o karoserię swojej terenowej toyoty RAV4. Mortce rzuciła się najpierw w oczy jedna z jego słynnych już kraciastych koszul, spod której wystawał biały podkoszulek. Lupa miał na sobie również jasnobrązową skórzaną kurtkę, dżinsowe spodnie i czarne buty *à la* kowbojki. Brakowało mu tylko kowbojskiego kapelusza i wykładziki w ustach, a można by go wziąć za zaginionego w Karkonoszach amerykańskiego ranczera.

Lupa zamachał do Mortki, który zaskoczony obecnością kolegi przystanął na moment.

– Dowiedziałem się o zgłoszeniu zaginięcia jedenastolatki. Podobno ty się zajmiesz tą sprawą. – Lupa przeszedł od razu do rzeczy.

- Tak.

Mortka podeszedł do komisarza. Przywitali się uściskiem dłoni.

- Poważna rzecz? – zapytał Lupa.

- Być może.

Lupa cmoknął cicho.

- Co to za dziewczynka?

– Marta Gawryś. Znasz tę rodzinę?

Krotowicki policjant pokręcił dłońią w lewo i w prawo.

– O tyle o ile. Tutaj wszyscy wszystkich znają. Mniej lub bardziej. Ci Gawrysiowie nie wyróżniają się niczym szczególnie. Mieliśmy chyba dwa czy trzy zgłoszenia w sprawie przemocy domowej, ale jak przyjeżdżał na miejsce patrol, to i on, i ona, i dzieciaki robili buzię w ciup. Nawet się nie do końca orientuję, kto kogo miałby tam bić. On ma co prawda masę, ale ona charakterek.

– Zauważyłem.

– Kiedy zaginęła dziewczynka?

– Wczoraj rano wyszła z domu. Nie wróciła na noc.

– Jakież ślady, pomysły?

– Na razie nie.

– Aha.

Mortka przyjrzał się koledze, który nerwowo bawił się kluczykami samochodowymi. Nigdy nie widział go tak przejętego i zmartwionego. Komisarz Bogusław Lupa był jedynym policjantem w miejscowej komendzie, którego Mortka autentycznie szanował i z którego zdaniem się liczył. Wcześniej Lupa pracował we wrocławskim oddziale Centralnego Biura Śledczego, gdzie zajmował się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej. Przez pewien czas działał jako agent pod przykryciem, wnikając w struktury grup przestępczych i doprowadzając do paru bardzo spektakularnych w swoim czasie zatrzymań. Po kilku latach takiej służby Lupa zdał odznakę CBS i poprosił o spokojniejszy przydział. I tak wyłądownął w Krotowicach, z czego wydawał się zadowolony.

– Co się dzieje, Boguś? – zapytał Mortka.

Lupa drgnął. Potem wskazał kciukiem na samochód.

– Wskakuj. Wytłumaczę ci wszystko po drodze.

Nie czekając na odpowiedź, Lupa zajął miejsce kierowcy. Mortka obszedł auto i wsiadł po drugiej stronie. Ruszyli, zanim zdążył zapiąć pasy.

– To o co chodzi? – ponowił pytanie Mortka.

Lupa westchnął ciężko.

– Jeśli Marta naprawdę zaginęła, to by była druga dziewczynka w tym wieku, która zniknęła w okolicy w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Mortka zmarszczył brwi.

– Czytałem wasze akta – powiedział. – Nie było w nich zgłoszenia o zaginięciu dziecka.

– Bo go nie ma. Nigdy nie złożono formalnego zawiadomienia.

– Nie rozumiem.

– Proste. Dziecko zniknęło, ale rodzice uważają, że nie ma sprawy.

– Co to za rodzice?

– Cygańscy – odpowiedział Lupa.

Mortka zapadł się głębiej w fotelu. W Krotowicach mieszkało około dwustu, trzystu Romów. W miasteczku, które liczy około dziesięć tysięcy mieszkańców, to nie jest dużo, ale Romowie sprawiali wrażenie, że jest ich trzy razy więcej. Niemal wszyscy zajmowali budynki komunalne przy ulicy, którą miejscowi ochrzczili mianem Harlemu.

Mortka zorientował się już na początku swojego pobytu, że Krotowice mają z tym problem. Kiedy pojawiła się plotka, że do miasta miałyby się sprowadzić jeszcze kilkanaście romskich rodzin, o mało nie doszło do zamieszek. Przygotowywano demonstrację przed ratuszem, do radnych wysłano anonimowe groźby, których autora nie udało się ustalić.

Mieszkańcy zazdrościli Romom programów pomocowych i socjalnych, a przy tym twierdzili, że Romowie, po pierwsze, nie pracują, po drugie, nie chcą pracować, a po trzecie, są głośni, śmieją, nie pil-

nują swoich psów i dzieci oraz bywają niebezpieczni, szczególnie wtedy, kiedy są pijani. Zarazem Romowie wcale nie spieszyli się do integracji z miejscową społecznością i czasami trudno było nie odnieść wrażenia, że większość z nich całe dnie spędza na leniwym włóczeniu się po okolicy lub na niekończących się rozmowach o wszystkim i niczym. Miejsce takich dyskusji można było potem rozpoznać po porzuconych na chodnikach stosach łupin po pestkach słonecznika i dziesiątkach niedopałków. Rezultat tego był taki, że obie społeczności nie przepadały za sobą.

– Opowiedz mi o tej cygańskiej dziewczynce – poprosił Mortka.

– Adela Siwak, lat jedenaście. Zaginęła mniej więcej dwa tygodnie przed twoim przyjazdem. Rodzice odmówili złożenia zawiadomienia.

– Jak to uzasadnili?

– Nijak. Nie gadali z nami.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

Mortka zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć odpowiednie przepisy z Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego.

– A prokurator? Kurator? Opieka społeczna? Ktokolwiek? Nie mogliście ich przycisnąć?

– Pewnie mogliśmy – odpowiedział ponuro Lupa. – Ale sam wiesz, jak jest.

– Jak jest?

– To pieprzeni Cyganie, Kuba. Nikt ci tego głośno nie powie, ale nastawienie jest takie, że jednego Cygana mniej, to jeden problem mniej. Zaginęła jedenastoletnia dziewczynka, a wszyscy, wszyscy mają to, kurwa, w dupie. – Policjant uderzył pięścią w kierownicę. – Chociaż oczywiście w papierach wszystko się zgadza. Dokumenty krążyły elegancko od jednego biurka do drugiego, aż wreszcie wylądowały w szufladzie. I tyle. Ale jak teraz zniknęła jedna z naszych, to pewnie wkrótce sprowadzą tu pieprzony helikopter. Chuj wie, na co, jak tu wszędzie lasy.

Lupa niemal trząśł się ze złości. Ta sprawa go wyraźnie poruszyła, a Mortka dziwił się, że nigdy wcześniej o niej nie rozmawiali. Ostatnio spędzali razem sporo czasu. Dwaj policjanci i Tomasz Nowak, lekarz z miejscowego szpitala, spotykali się wieczorami w barze o wdzięcznej nazwie USA, gdzie marnowali czas, pijąc piwo oraz oglądając mecze piłki nożnej i siatkówki. Mortki wydarzenia sportowe za bardzo nie obchodziły. Nie potrafił wskrziesić w sobie kibicowskiego ducha, którego wybiły mu na początku służby wizyty na stadionie przy Łazienkowskiej, dokąd wysyłano go razem z resztą oddziału prewencji i gdzie na ich głowy leciały w najlepszym razie petardy i zwoje papieru toaletowego. Niemniej cieszył się towarzystwem Nowaka i Lupy. Pomagało mu lepiej znieść to karkonoskie zesłanie. Podczas długich godzin, kiedy siedzieli wpatrzeni w telewizor nad regularnie napełnianymi kufkami, rozmawiali o pracy, rodzinie, dzieciach i tysiącach innych spraw, które akurat wpadały im do głowy. Nigdy jednak nie padło nazwisko romskiej dziewczynki.

– Nie rozumiem, dlaczego rodzice...

– Jesteśmy dla nich nieczyści – przerwał mu w pół słowa Lupa. – Mają coś takiego, co nazywają romanipen. To rodzaj kodeksu honorowego. Według niego każdy, kto współpracuje z policją, podpada pod wielkie skalenie. Nie wiem, jak oni to nazywają po swojemu. Po prostu taki Cygan sam staje się nieczysty. Hańba spada na niego i na jego rodzinę, a on sam przestaje być Cyganem.

– Co takiego?

– Kuba, sam tego dobrze nie rozumiem, ale tak właśnie jest. Jeśli jakiś Cygan współpracuje z policją, przestaje być Cyganem. Nie można z nim jeść, mieszkać, rozmawiać. Wyrzuca się go poza nawias społeczności. Dożywotnio. To najcięższa kara.

Wyjechali poza miasto i skierowali się obwodnicą Krotowic w stronę szpitala miejskiego. Urządzono go w ogromnym poniemieckim gmachu, umiejscowionym na zboczu pobliskiej góry. Z tarasu na pierwszym piętrze rozciągał się piękny widok na Śnieżkę, a sam szpital z daleka przypominał luksusowy ho-

tel. Dopiero kiedy podjechało się bliżej, czar pryskał – sanatorium rodem z *Czarodziejskiej góry* zmieniło się w kolejny niedoinwestowany zakład opieki medycznej.

– Nie współpracują z policją – powiedział Lupa ni to do Mortki, ni to do siebie – mają własny język, inny kolor skóry. Kurwa, gdyby byli choć trochę sprytniejsi, to mielibyśmy z nimi duży problem.

– Wiem, o czym mówisz. Na Mazowszu zastanawiamy się, co zrobić z Wietnamczykami.

– Też nie chcą sypać?

– Czasami my albo chłopaki z CBS dorwiemy się do jakiegoś „banana”, ale „banany” raczej wypadły z obiegu i wiedzą tyle co nic. A „pikachu” w większości nawet nie znają polskiego.

Lupa roześmiał się.

– O czym ty, kurwa, mówisz, Kuba? Jakie „banany”, jakie „pikachu”?

– „Pikachu”. Tak jak z tej kreskówki *Pokemony*. Znasz?

– Tak. Znam. Moje córki to kiedyś oglądały. Zbierz je wszystkie, co?

– Właśnie. Pikachu to ten mały żółty stworek. Tak właśnie nazywamy Wietnamczyków.

– A „banany”?

– Spolonizowani Wietnamczycy. Żółci na zewnątrz, biali w środku. Jak banany. W większości drobni przedsiębiorcy, właściciele restauracji, robią co najwyżej małe przekręty na rachunkach. Robota bardziej dla skarbowki niż dla policji.

Lupa, wciąż rozbawiony, skręcił z obwodnicy w wąską lipową aleję prowadzącą bezpośrednio do szpitala.

– Po co tam jedziemy? – zapytał Mortka.

– Czas na mały wykład – rozpoczął Lupa. – Cygańska dziewczynka, która zaginęła jakiś czas temu, to Adela Siwak. Jej matka to Esmeralda Siwak. Pieprzona wariatka. Podobno kiedy była młoda, miała dwanaście, trzynaście lat, zalecał się do niej biały chłopak. To były takie końskie zaloty, jak to u dzieciaków w tym wieku. Esmeralda pobiła go, złamała mu nos i o mało nie zatłukła go cegłówką, a potem poradziła, żeby się odpieprzył.

– Ładnie.

– Ojciec Adeli to Lucas Siwak. Jeśli Esmeralda to wariatka, to powiem tak: dobrze się dobrała z mężem. Facet ma na swoim koncie bójki i pobicia. Podejrzewamy go o przemyt wódki i papierosów do Niemiec. Nic grubego, tyle, ile się zmieści do bagażnika.

– Import, eksport, drobne kradzieże?

– Właśnie. To bardzo brutalny i czuły na punkcie swojego honoru typ. Do tego stopnia, że ludzie, również biali, boją się przeciwko niemu zeznawać. Pobici przez niego, nawet miejscowi chojracy, najpierw składają zawiadomienie, a potem kręcą, że nie pamiętają, że nie wiedzą, nie widzieli dobrze, a może to był jakiś inny Cygan, a tak właściwie to oni nie odróżniają jednego od drugiego.

– Chyba przewinęło mi się to nazwisko w waszych aktach.

– Dobra. Esmeralda ma siostrę. Lucille Kowal. A raczej Katarzynę Kowal, bo zmieniła sobie imię w urzędzie. Niezwykła babka. Chcieli ją wydać za mąż w wieku trzynastu lat. Wiesz, to jeden z ich durnych zwyczajów. Jak rodzina nie chce chłopakowi oddać dziewczyny, to chłopak ją porywa na noc. Następnego dnia z nią wraca. Ale ponieważ jest domniemanie, że córeczka straciła dziewictwo, rodzice nie mają innego wyjścia, jak oddać ją za żonę porywaczowi. U Cyganów to normalne, ale Kaśka uciekła z domu.

– Tak, tak, słyszałem o tych zwyczajach... I co było dalej z tą Kaśką?

– Przymamęła ją biała rodzina, która zgodziła się ją ukrywać, ale za to traktowała jak darmową służbę. I przez pięć lat Kaśka im sprzątała, gotowała, prasowała, myła okna. Słowem, zapieprzała jak mały cygański samochodzik. A kiedy skończyła osiemnaście lat, pokazała im środkowy palec, wyrobiła sobie dowód i wyjechała do Krakowa. Tam pracowała jako kelnerka, skończyła szkoły dla dorosłych, potem

studia i jako pani polonistka i pedagog wróciła do Krotowic. Pracuje teraz jako nauczycielka w naszej podstawówce. To ona nauczyła mnie wszystkiego o Cyganach.

– Nie bała się z tobą rozmawiać? – zdziwił się Mortka. – Ten ich cały kodeks.

– Kaśka twierdzi, że nie do końca jest już traktowana jako Cyganka. Pomaga miejscowej społeczności załatwiać sprawy w urzędzie, namawia rodziców, żeby posyłali dzieci do szkół. Trochę ją akceptują, ale jest już raczej manusipen niż Roma.

– Manusipen?

– To gorzej niż Cygan, ale lepiej niż gadzio. Tak nazywają białych. Chociaż Kaśka zastanawia się, czy przypadkiem nie jest już gadziem. To dość skomplikowana i płynna kwestia.

Mortka zaczął żałować, że nie wyciągnął notatnika, aby to wszystko zapisać.

– Skąd w ogóle wiesz o tym zaginięciu?

– Szkoła zareagowała, kiedy Adela przestała się pojawiać na lekcjach. Początkowo uważali, że to... czekaj, jak to było... zaprzestanie realizacji obowiązku szkolnego. Ale kiedy nawet Kaśka nie potrafiła się dowiedzieć, co się stało z dziewczynką, zaniepokoił się. Powiadomili nas. Jedynie oni pokazali, że przynajmniej trochę im zależy.

– Rozumiem.

– Lucas ma siostrę – kontynuował Lupa. – Zresztą niejedną, bo oni się mnożą jak króliki. Ale teraz chodzi o Sarę. Mąż Sary siedzi w więzieniu za kradzież samochodów. Ona opiekuje się trójką dzieci. Tylko że teraz leży w szpitalu, bo ktoś ją pobił. Bardzo. Ma złamane dwa żebra.

– Ktoś?

– Stawiam na Lucasa.

– Za co?

– Może przyglądała się odrobinę za długo jakiemuś innemu mężczyźnie? Honor rodziny jest najważniejszy, więc pewnie Lucas pomyślał sobie, że naprostuje siostrzyczkę pięściami, zanim wpadnie jej do głowy głupi pomysł. Albo coś takiego. Temu gnojkwowi naprawdę wiele nie potrzeba.

– A może to zrobił jakiś inny Cygan?

– Jeśli ktoś inny podniósłby rękę na siostrę Lucasa, to już znaleźlibyśmy jego ciało w rzece. Serio, Kuba, ten gość jest wariatem. Kilka lat temu niemal zatłukł na śmierć faceta, który powiedział, że chętnie przeleciałby jego żonę. Rozumiesz? Nie, że przeleciał, ale że przeleciałby. Ktoś inny to może by nawet wziął to za komplement. Koleś miał pecha, że Lucas właśnie odlewał się w krzakach i to usłyszał. To był zresztą jedyny raz, kiedy udało nam się tego czarnucha wsadzić za kratki.

Zaparkowali na parkingu przed szpitalem.

– Chcesz iść do Sary? – domyślił się Mortka.

– Tak.

– Po co, skoro nie rozmawiają z policjantami?

– Jest w szpitalu. Sama. Nikt na nią nie doniesie. Poza tym, jeśli się nie mylę, ma żal do Lucasa. Może zdradzi nam coś na temat zniknięcia Adeli.

Mortka rzucił okiem na zegarek.

– Nie wiem, czy powinniśmy... Trzeba by zarządzić poszukiwania, przygotować akcję, wezwać siłki z Jeleniej czy Kamiennej Góry.

– Nawet nie wiesz, gdzie masz szukać – przerwał mu Lupa. – Poza tym chłopaki na komisariacie już się tym zajmują. Kazałem im.

Mortka spojrział na budynek i poczuł, że kurczy mu się żołądek. Nienawidził szpitali, bał się ich i, inaczej niż w prosektoriach, czuł się w nich niekomfortowo. Najchętniej zostałby w samochodzie. Ale Lupa już wchodził do środka, więc, chcąc czy nie, ruszył za nim.

– Czołem, Boguś, czołem, Kuba. – Doktor Nowak przywitał ich przy wejściu. Był niewysokim mężczyzną o bladej cerze i włosach obciętych tak krótko, jakby właśnie wyszedł z wojska. Spokojny i wycofany, wyglądał trochę tak, jakby zawsze czuł się nie na miejscu.

– Cześć, Tomek. Dzięki, że po nas wyszedłeś.

– Żaden problem. Jaką macie sprawę?

– Chcę porozmawiać z Sarą.

Nowak najwyraźniej był przyzwyczajony do takich odwiedzin, bo nie zadawał więcej pytań. Od razu poprowadził ich szpitalnymi korytarzami do właściwej sali.

Gmach wybudowano w stylu neogotyckim, przez co wewnątrz budynek wyglądał jak nawiedzony zamek z powieści grozy. Ostra woń detergentów wżerała się w Mortce w nos.

– Upредить ją o waszej wizycie? – spytał Nowak.

– Gdybyś mógł, to lepiej nie – powiedział Lupa.

– Jak chcesz.

Wkrótce stanęli przy drzwiach od sali. W środku znajdowały się cztery łóżka, ale zajęte były tylko dwa. Mortka zorientował się od razu, do kogo przyszedli – do kobiety z podbitymi oczami, siniakami na rękach, opatrunkami i zaciętą miną, która miała odstraszyć postronnych. Wściekłe, pełne gniewu spojrzenie kobiety mówiło, że jest gotowa zrobić wszystko, byle tylko obronić dobre imię swojej rodziny. Romni dojrzała policjantów, rozpoznała Lupę i demonstracyjnie obróciła się twarzą do ściany. Druga pacjentka w pokoju, starsza kobieta z opatrunkiem na brzuchu, tylko podniosła wzrok znad krzyżówki.

Sara nie odpowiedziała na żadne z pytań, które jej zadali. Próbowali przez blisko piętnaście minut. Przez ten czas kobieta na łóżku obok coraz głośniejszymi chrząknięciami dawała im do zrozumienia, jak bardzo jej przeszkadzają. Wreszcie zrezygnowali. Pożegnali się z lekarzem i wrócili do miasta. Nie zamienili po drodze ani słowa. Mortka próbował ułożyć sobie w głowie wszystko, co usłyszał od Lupy, a Lupa z marsową miną skupiał się na prowadzeniu.

Zatrzymali się na tym samym osiedlu, na którym mieszkali Gawrysiowie, ale przy innym bloku.

– Gdzie tym razem?

– Pogadać z Kaśką Kowal – wyjaśnił niechętnie Lupa. – Chcę, żebyś też usłyszał, co ma do powiedzenia na temat siostrzenicy.

– A jeśli się mylisz? Jeśli te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego? Przecież Cyganie wydają za mąż już trzynastolatki. Może Adelę też wydali.

– Trzynastolatki, Kuba. Nie jedenastolatki. Nawet oni nie są tacy popierdoleni.

Lupa bez słowa wyszedł z samochodu i ruszył przed siebie. Mortka po chwili wahania poszedł za nim.

Przy drzwiach od klatki minęli staruszek, który właśnie wynosił z piwnicy zapakowanego w worek na śmieci martwego kota. Spod błękitnej, pomarszczonej folii wystawały szpiczaste uszy, a z drugiej strony zwiślał rudy ogon, który teraz przypominał grubego, włochatego robaka. Staruszek stanął przed Lupą na baczność i skinął głową po żołniersku.

– Dzień dobry panu komisarzowi – powiedział suchym głosem.

– Dzień dobry.

– Kolejnego martwego kota wynoszę – wyjaśnił staruszek. Miał na nosie okulary w grubej kościanej oprawie i z porysowanymi, chociaż czystymi szklami. – Z naszej piwnicy sobie, kurwa, umieralnie zrobiły. Jak to... cmentarzysko słoni. Coraz jakiegoś martwego znajduję. Niektórych szkoda, bo nawet całkiem młode były.

– Może to trutka na szczury? – zasugerował Mortka.

– Może – powiedział staruszek, który chyba lubił zgadzać się z innymi, bo na jego twarzy pojawił się miękki uśmiech. – Ale wie pan, my okna zamykamy, wszystkie dziury zatkanę, a te cholery i tak wślazą do środka i zdychają. W naszej piwnicy śmierdzi już jak nieszczęście od tego kociego ścierwa.

Pożegnali się ze starszkiem i weszli na drugie piętro. Lupa zadzwonił do drzwi po lewej stronie. Otworzyła im trzydziestoletnia kobieta o orientalnej urodzie. Umalowana, w obcisłym swetrze i dżinsach, z kruczoczarnymi włosami wyglądała jak hinduska gwiazda filmowa. Dopiero przy kolejnym spojrzeniu można było dostrzec mankamenty jej urody: widoczny już drugi podbródek, lekko obwisłe policzki, a nad lewą brwią znamię, z którego wyrastały trzy długie ciemne włoski.

– Boguś! – krzyknęła na widok Lupy i rzuciła się na niego z rozpostartymi szeroko ramionami. Uściśnęły się serdecznie jak para dobrych przyjaciół. – Wejźcie do środka!

Kobieta wzmocniła zaproszenie ekspresyjnym machnięciem ręką.

– To mój kolega, Kuba Mortka, policjant z Warszawy – przedstawił komisarza Lupa, wchodząc do niewielkiego przedpokoju.

Kobieta mieszkała w kawalerce podobnej do tej, którą przydzielono Mortce. Chociaż oczywiście ta należąca do Romni była bardziej zadbana oraz lepiej wyposażona.

– Słyszałam o panu.

– Skąd? – zaciekawił się Mortka.

Romni uśmiechnęła się, ukazując rząd lekko żółtawych zębów.

– To małe miasteczko, niewiele się tutaj dzieje. Po pana przyjeździe w pokoju nauczycielskim przez prawie tydzień o panu plotkowano. Podobno zesłano pana do nas za karę, bo zabił pan człowieka. To prawda?

Komisarz skrzywił się.

– Nie do końca – mruknął.

– A jak było?

– Kaśka! Przestań! – Lupa przerwał kobiecie.

– Sorry, Boguś, ale wiesz, jaka jestem. Walę prosto z mostu, bez jakichś tam podchodów. To jak było naprawdę?

Mortka westchnął i spojrzał z pretensją na kolegę. Lupa tylko wzruszył ramionami w przeproszającym geście.

– Zabiłem człowieka – przyznał Mortka. – W samoobronie. To był podpalacz i zabójca czterech osób, w tym dwójki dzieci oraz swojej matki. Ale nie dlatego tutaj przyjechałem.

– To dlaczego?

Mortka nie miał zamiaru zdradzać tajemnic ostatniej rozmowy ze swoim szefem obcej kobiecie.

– Zaproponowano mi ten wyjazd dla podreperowania nerwów i odpoczynku. Skorzystałem z oferty, bo podobnie jak Boguś potrzebowałem trochę spokoju. To nie była kara – skłamał gładko.

Przeszli do pokoju. Policjanci usiedli na czerwonej kanapie ustawionej naprzeciwko niewielkiego telewizora i biurka, na którym stał komputer z włączonym pasjensem. Nad monitorem wisiała drewniana półka, na której ułożono starannie różnokolorowe malutkie dzbanki. Niektóre ze szkła, inne z wypalanej gliny lub porcelany.

– Kolekcjonuję je. Takie hobby. Jak gdzieś jestem, to muszę kupić taki dzbanuszek, niezależnie od tego, czy to dzieło sztuki, czy zwykła tandeta – wyjaśniła kobieta. – Pan coś kolekcjonuje, panie komisarzu?

– Mów mu Kuba – wtrącił się Lupa.

– A więc, Kuba, kolekcjonujesz coś?

Mortka miał wrażenie, że ta dwójka zmówiła się wcześniej i teraz go wspólnie przesłuchują. Jeszcze tylko nie wiedział, które z nich jest dobrym, a które złym gliną.

– Nie. Nie kolekcjonuję – odpowiedział.

– Kaśka – Lupa wtrącił się po raz kolejny – tak naprawdę przyszliśmy tu niestety służbowo. Chcieliśmy porozmawiać o Adeli.

Twarz Romni najpierw zastygła, a zaraz potem odmalowały się na niej ból i złość. Kobieta zacisnęła pięści i podeszła do półki z dzbanuszkami. Wzięła jeden, małe porcelanowe caczuszko o połączanych brzegach, i gładziła go opuszką palca. Mortka pomyślał, że ten drobiazg podobały się Oli. Zawsze miała słabość do takich bibelotów. Kiedy odwiedzali jego rodziców, potrafiła godzinami oglądać serwisy i kryształę, które ojciec Mortki, ordynator z miejscowego szpitala, dostawał od pacjentów jako dowody wdzięczności lub zwykłe łapówki.

– Dlaczego? – zapytała.

– Mamy swoje powody.

Kiwnęła głową.

– Co chcecie wiedzieć?

– Wszystko.

Odłożyła dzbanek na półkę.

– Adela była, chyba mogę już tak o niej mówić, bardzo zdolną dziewczynką. Bardzo mądrą, inteligentną. Tego nie było widać po ocenach, bo oczywiście uczyła się gorzej niż białe koleżanki. Tylko że Polki zaczynają ze znacznie wyższego poziomu niż my. Szczególnie tu, w Krotowicach.

– Dlaczego szczególnie tu? – zainteresował się Mortka.

– Naprawdę mam panu opowiadać o historii cygańskiej społeczności w Krotowicach? O tym, że komuniści najpierw zabrali nam nasze tabory, potem niemal siłą zaciągnęli do pracy w fabrykach, a po 1989 roku, kiedy te fabryki padały, to Cyganie byli pierwsi do zwolnienia? Tutaj są rodziny, w których mężczyźni od ponad dwudziestu lat nie potrafią znaleźć stałej pracy. Ci bardziej obrotni już dawno wyjechali. Niech pan sam sobie dośpiewa, kto został.

– Wróćmy do Adeli – poprosił Lupa.

Kiwnęła głową.

– Była inteligentna, zdolna i chciała się uczyć. Jestem pewna, że gdyby jej tylko pozwolić i trochę pomóc, poszłaby przynajmniej do gimnazjum i liceum. A potem, kto wie, może nawet na studia. Miała dryg. Ale jej tatusiowi się to nie podobało. Matce zresztą też. Boguś, opowiadałeś Kubie o Lucacie i Esmeraldzie?

– Tak.

– To wiesz już, Kuba, czego się po nich spodziewać. Cyganie nie cenią wykształcenia, szczególnie u dziewczynek. Dla Lucasa najlepiej by było, żeby Adela wyszła za mąż, kiedy skończy trzynaście lat, a potem rodziła dzieci rok po roku jak jakaś suka rozplodowa. Bo to jest według niego romanipen. – Kiedy mówiła, w jej oczach pojawiła się złość. – Lucas chciał, żeby Adela przestała się uczyć. Planował zabronić jej chodzić do szkoły. Umiała czytać, umiała liczyć, czyli już wiedziała więcej, niż cygańska kobieta wiedzieć powinna. Przynajmniej według Lucasa. Doszło do tego, że wymykała się chyłkiem z domu, by pójść do szkoły. Dostawała potem lanie, i to potężne. Widziałam siniaki, inne nauczycielki również. Możesz pójść i spytać.

– Nie mogliście jakoś zareagować? Kogoś zawiadomić?

Zamiast mu odpowiedzieć, prychnęła znacząco. Mortka domyślił się, co to miało oznaczać. Nikogo nie obchodził los małej Romni. A nawet jeśli ktoś taki by się znalazł, nie miałby jak złamać zmywy milczenia, za którą jak za murem schroniła się romska społeczność.

– Pewnego dnia Adela po prostu nie przyszła do szkoły. I od tego czasu ani ja, ani nikt inny jej nie widzieliśmy – dokończyła Kaśka.

– Komisarz Lupa już mi wytłumaczył, dlaczego sprawą nie zajęła się policja. Nikt z Cyganów nie będzie rozmawiał z policjantami, a bez zawiadomienia lub, w najgorszym wypadku, odnalezienia ciała nie za bardzo mamy możliwość zrobić cokolwiek. – Mortka mówił powoli, ostrożnie dobierając słowa. – Chciałbym cię jednak zapytać, czy ty sama czegoś się nie dowiedziałaś? Jeśli dobrze zrozumiałem, tobie mogliby coś powiedzieć, bo też jesteś Cyganką.

– Tłumaczyłeś mi, że to trochę bardziej skomplikowane? – Kobieta zwróciła się do Lupa, który tylko kiwnął głową. – Jestem Cyganką, ale tylko dla was, dla białych. Dla nich nie. Bycie Cyganką to nie kwestia koloru skóry.

– Tak, wiem...

– Skoro wiesz, Kuba – przerwała mu – to powinieneś się też domyślić, że po pierwsze, nie mówią mi wszystkim. A po drugie, Lucas ogłosił, że to nie moja sprawa. I tak zamknął dyskusję. – Nagle rozśmiała się. – Zresztą, Kuba, spójrz na mnie! – Wskazała dłonią na swoje nogi. – Jestem w spodniach! U Polska Roma to by pewnie wystarczyło, żebym była skalana! A do tego rozmawiam z dwoma policjantami!

Mortka zmarszczył brwi i posłał pytające spojrzenie Lupie.

– Wiesz, że tutaj mieszkają nie Polscy Cyganie, tylko Bergitka, górscy? – zapytała.

Kiwnął głową, mając nadzieję, że Romni nie będzie drążyć tematu. Nie miał ochoty na kolejny wykład.

– Masz jakieś podejrzenia, co się mogło stać z Adelą?

– Obawiam się, że Lucas coś jej zrobił. Może nie specjalnie. Może przez przypadek. Uderzył o kilka razy za dużo, kiedy sprawiał jej lanie. Zawsze był porywczy. Nie potrafił się kontrolować. – Westchnęła kilka razy głęboko. – Dlaczego pytacie mnie o to wszystko?

Lupa wstał z kanapy i strzepnął z rękawa niewidzialny pyłek.

– Zawiadomiono nas o zaginięciu innej dziewczynki. W tym samym wieku. Marta Gawryś. Znasz ją?

– Tak, oczywiście. Czy te dwa zaginięcia...

Lupa przerwał jej, zanim zdążyła dokończyć pytanie.

– Nie wiem, Kaśka. Po prostu nie wiem.

– I co o tym myślisz? – zapytał Lupa, kiedy wchodzili do komisariatu.

Komisariat policji w Krotowicach mieścił się w przedwojennej jednopiętrowej willi letniskowej, która kiedyś należała do jakiegoś bogatego fabrykanta z okolic Berlina. W 1945 roku w nieudolny sposób przystosowano ją do nowych zadań. Było to rozwiązanie prowizoryczne, bo władze zapowiadały, że zostanie wybudowana odpowiednio wyposażona i zaprojektowana siedziba specjalnie dla ówczesnej milicji, ale jak zwykle prowizorka okazała się najtrwalsza i ciągnęła się już ponad sześćdziesiąt lat. Największy mankament stanowiło nawet nie to, że budynek był za mały albo zaniedbany, lecz to, że z powodu dziesiątek mniejszych lub większych remontów, których w żaden sposób nie dokumentowano, nie wiadomo, jak dokładnie biegną rury ani gdzie są położone kable elektryczne. Każda najdrobniejsza nawet awaria zmuszała więc krotowickich policjantów do archeologicznej pracy, podczas której starali się odkryć, co się zepsuło i gdzie się to ustrojstwo właściwie znajduje.

Lupa z Mortką przeszli do sekcji kryminalnej, która mieściła się na pierwszym piętrze budynku. Przeważały na nie strome drewniane schody. Trzeszczały tak bardzo, że wydawało się, jakby zaraz miały runąć z łoskotem w dół, chociaż ich remont wykonano ledwo dwa lata wcześniej. Taki to był komisariat – mimo że z daleka wszystko zdawało się tu mocne i solidne, w rzeczywistości wyglądało tak, jakby się zaraz miało rozpaść na kawałki lub spaść przypadkowemu funkcjonariuszowi na głowę.

– I co o tym myślisz? – powtórzył swoje pytanie Lupa.

– A ty? – odpowiedział mu pytaniem Mortka, zajmując miejsce za przydzielonym mu tymczasowo biurkiem. Był to stary, maleńki mebel, który na okazję jego przyjazdu wyciągnięto z piwnicy i wstawiono w kącie pokoju.

– Kuba, ja jestem przestępczość zorganizowana. Zabójstwa i takie tam to twoja działka.

Mortka uśmiechnął się lekko i założył dłonie za głowę.

– Dwie dziewczynki w tym samym wieku, obie zaginęły w tajemniczych okolicznościach... Dużo podobieństw. Niebezpiecznie dużo. Ale wiesz, może się okazać, że matka zadzwoni do nas za godzinę

i powie, że Marta właśnie wróciła do domu.

– Pewnie masz rację. Po prostu... Kurwa, nudzę się tutaj, rozumiesz? To jest taka dobra nuda, tęskniłem za tym, kiedy byłem w Biurze, ale trochę od tego mi odbija. Ta sprawa z Adelą... Wiesz, że niektórzy gliniarze mają obsesję w związku z nierozwiązanymi sprawami?

– Wiem – odpowiedział i pomyślał, że przez podobną obsesję znalazł się w Krotowicach.

– Ja mam trochę tak z tą cygańską dziewczynką. Po prostu chcę wiedzieć, co się z nią stało. Rozumiesz?

Nagle Lupa machnął ręką. Nie czekając na odpowiedź, poszedł przeglądać zalegające mu na biurku dokumenty. Mortka milczał, zaskoczony tym szczerym wyznaniem. Przypatrywał się koleдзе. Lupa wyglądał tak, jakby miał ochotę kogoś uderzyć.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął Lupa.

Drzwi otworzyły się i ujrzeli głowę młodego policjanta, a dopiero za nią pojawiła się reszta ciała. Mortka, który nawet nie próbował się nauczyć imion i nazwisk pracujących z nim kolegów, kojarzył go tylko z jednego wieczoru w knajpie, kiedy grali razem w rzutki. Mortka przegrał wtedy.

– Przepraszam, panie komisarzu, ja *à propos* tej dziewczynki, której mamy szukać.

– Co z nią? – zainteresował się Mortka.

– Tego... Znam ją, niedaleko mieszkamy, więc skojarzyłem nazwisko. I tego, mam taką koleżankę, wczoraj się z nią widziałem. Piwo piliśmy z jej chłopakiem, nie... Zadzwoń teraz do niej, żeby tak pogadać o tym, co robimy dzisiaj, i...

– Kurwa, Marcin, przejdziesz w końcu do rzeczy? – rzucił zirytowany Lupa.

– No, ta moja koleżanka to wczoraj tę Martę widziała. Była na porannym spacerze z psem i widziała, jak dziewczynka wsiadała do czarnego bmw, terenowego takiego.

– I co dalej?

– Nic. Odjechali. W stronę Strugi Zdrowia, wie pan – teraz młody policjant zwrócił się w stronę Mortki – tego spa, co je wybudowali kilka lat temu.

– To bmw... Jaki model?

– Panie komisarzu, ta moja koleżanka to dziewczyna jest. Dobrze, że chociaż wiedziała, że to bmw było – wyjaśnił, uśmiechając się pod nosem.

– A numery rejestracyjne?

– Nie przyjrzała się, pytałem.

– Nawet nie wie, czy były lokalne, czy skądinąd?

Młody pokręcił przecząco głową.

– Szkoda – mruknął Mortka.

– Mogę sprawdzić w Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców, ile mamy zarejestrowanych w okolicy czarnych terenowych bmw – zaproponował policjant.

Mortka spojrział pytająco na Lupe, który z kolei odpowiedział mu tym samym. Komisarz zrozumiał, że to on, a nie miejscowy kolega ma prowadzić tę sprawę. Westchnął cicho pod nosem.

– Dobrze. Słuchaj, młody. – Zwrócił się do wciąż stojącego w drzwiach policjanta. – Przygotuj nam ten wyciąg z CEPiK, ale najpierw pojedź do tej swojej koleżanki albo wezwij ją tutaj, spisz zeznania. Postaraj się dowiedzieć jak najwięcej o tym samochodzie i o samym zdarzeniu: gdzie stała ta dziewczynka, skąd ją widziała... – Przerwał na chwilę. – Nie zapisujesz tego?

– Zapamiętam, panie komisarzu.

– Lepiej zapisz.

Policjant gestem pokazał mu, że nie ma długopisu. Mortka porwał jeden ze swojego biurka i rzucił go funkcjonariuszowi. Potem kazał mu wziąć czystą kartkę ze stosu papieru do drukarki.

– A więc tak... – Przerwał, żeby młody policjant miał czas rozpisać długopis, opierając kartkę o ścianę. – Jak najwięcej o samochodzie. Kolor, rejestracja, model, typ silnika. Wiem, mówiłeś, że to dziewczyna, ale masz ją o to pytać, może sobie coś przypomni. Potem kierowca. Czy go widziała, a jak tak, to jak wyglądał, jak się zachowywał, czy go zna. Gdzie pojechali. I tak mówiłeś, że pojechali do tego spa, ale masz ją pytać, jasne?

– Tak, panie komisarzu.

– To dobrze. Zorientuj się też, gdzie ona była, skąd wracała, dlaczego zwróciła uwagę na samochód. Poradzisz sobie?

– Jasne, że tak.

– To oddawaj długopis i spadaj.

Policjant niemal podbiegł do biurka Mortki, odłożył długopis i opuścił pokój.

– Dycha, że się zjebie – rzucił z uśmiechem Lupa.

Usłyszeli, jak chłopak zbiega po schodach, ale ponieważ nie doszły ich odgłosy upadku, założyli, że dotarł na dół bezpiecznie.

– A my co zrobimy? – zapytał Lupa.

– Pojedźmy do Strugi Zdrowia i rozejrzyjmy się za tym samochodem. Lepszego tropu nie mamy.

Krętą drogą, która z każdym kilometrem gubiła asfalt, a zyskiwała wyboje, wyjechali z miasteczka i zanurzili się w posepny górski las. Mortka oparł głowę o szybę i spod wpeł przymkniętych powiek patrzył na mijane stoki, drzewa celujące koronami w błękit nieba i głązy, które jakby tylko czekały na okazję, żeby się stoczyć lawiną, miażdżąc wszystko, co spotkają na drodze.

W końcu zza zakrętu wyłonił się ośrodek spa – stylizowany na górskie schronisko dwupiętrowy hotel z wielkim parkingiem i z umieszczoną na tarasie restauracją. Ozdabiały ją rozłożone parasole z nazwą jednego z popularnych browarów, a z rozpalonego grilla unosił się pionowo w górę siwy dym.

Lupa zatrzymał samochód i wysiedli. Natychmiast doszedł ich zapach pieczonych kielbasek i karkówki. Mortka poczuł, że cieknie mu ślina, i uświadomił sobie, że od śniadania nic nie jadł. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że najwyższy czas coś przekąsić.

– Szukamy tego samochodu? – zapytał Lupa.

– Tak, tak – odpowiedział Mortka i zerknął tęsknie w stronę tarasu, gdzie brzuchaty facet w żółtej koszulce odbierał od kucharza dwa talerze pełne ociekającego sokami mięsa i grubych pajd chleba.

Zamiast jeść, przeszli wolnym krokiem wzdłuż parkingu, przypatrując się uważnie samochodom. Dominowały kilkuletnie volkswageny passaty i srebrne skody octavie. Terenowe, czarne bmw x5 znaleźli mniej więcej w połowie drogi. Mortka wyciągnął notatnik i spisał numery rejestracyjne. Litera na tablicy informowały, że auto zostało zarejestrowane we Wrocławiu.

– Sprawdzisz to? – poprosił Lupa.

Policjant kiwnął głową i sięgnął po telefon komórkowy. Mortka tymczasem upewnił się, czy nie ma innego samochodu terenowego tej marki na parkingu. Nie było. Poszedł do hotelu.

Spodziewał się, że wnętrze będzie urządzone w stylu górskim, z dużą liczbą ciupag i głów upolowanych zwierząt na ścianach, ale został przyjemnie zaskoczony. Recepcja była jasna, przestronna, pomalowana na łagodną żółć, a na podłodze lśniły czyste brązowo-czarne kafelki. Ściany ozdabiały dyplomy i zdjęcia celebrytów, którzy odwiedzili Strugę Zdrowia i którym bardzo się tu podobało, a przynajmniej tak wynikało z pospiesznie napisanych czarnym mazakiem podziękowań.

Mortka oparł się łokciami o blat recepcji i zadzwonił malutkim dzwoneczkiem. Po chwili z zaplecza wyszedł młody mężczyzna w okularach na nosie i z profesjonalnym, sztucznym uśmiechem tuż pod nim.

– Dzień dobry, czym mogę służyć?

– Komisarz Jakub Mortka, policja. – Komisarz przedstawił się i machnął przed twarzą recepcjonisty legitymacją służbową. Mężczyzna skulił się odruchowo, jakby właśnie próbował sobie gorączkowo przypomnieć, za co może być ścigany.

– Dzień dobry – powtórzył przestraszony chłopak. – Jak mogę pomóc panu władzy? Coś się stało?

Pan władza, powtórzył w myślach rozbawiony Mortka. Dawno już nie słyszał tego określenia. A przynajmniej nie wymawianego w ten sposób, śmiertelnie poważnie, bez cienia szyderstwa.

– Szukam właściciela tego samochodu. – Komisarz wyciągnął notatnik i odczytał głośno numer rejestracyjny auta.

– Coś się stało? – dopytywał się recepcjonista, który powoli zaczynał odzyskiwać rezon.

– To nie jest teraz ważne. Czy może mnie pan skontaktować z właścicielem tego pojazdu?

– Niestety, nie za bardzo. Nie mamy takiej możliwości...

– Przepraszam, ale o co chodzi? – odezwał się ktoś z boku.

Mortka odwrócił się na pięcie. Stał przed nim mocno opalony trzydziestolatek o długich, jasnych włosach, które spadały mu falą na kark. Uśmiechał się szeroko, jakby w ten sposób chwalił się rzędem nieskazitelnie białych zębów. Zza czarnego paska spodni wylewał mu się jednak brzuch. Gdyby był odrobinę młodszy i chudszy, można by go wziąć za modela.

– A pan to?

– Grzegorz Bratkowski. Wydaje mi się, że przeczytał pan numer rejestracyjny mojego samochodu. Mogę zerknąć?

Mortka pokazał mu zapisany na kartce numer. Bratkowski ściągnął z głowy okulary przeciwsłoneczne, na których oprawce można było dostrzec napis Ray-Ban, i wsadził je sobie za kołnierz białego podkoszulka.

– Tak, to mój wóz. Czyżbym źle zaparkował?

– Nie, ale mam do pana kilka pytań. Pan tu mieszka?

– Jestem o coś podejrzanym?

– Niech pan odpowie na pytanie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Grzesiu, wracaj do nas! – krzyknęła blondynka siedząca na kanapie niedaleko. Wraz z nią byli jeszcze jedna dziewczyna i dwóch mężczyzn. Wszyscy przypatrywali się uważnie Mortce i szepotali coś między sobą. Bratkowski machnął do nich ręką, że zaraz przyjdzie.

– Odwiedzam przyjaciół z Warszawy, którzy akurat korzystają ze spa.

– Czyli nie mieszka pan tutaj? – upewnił się policjant.

– Przecież przed chwilą powiedziałem, że nie! Powie mi pan wreszcie, o co chodzi?

– Co pan robił wczoraj rano? Tak do dwunastej?

Bratkowski uśmiechnął się szeroko. Odwrócił się, posłał znaczące spojrzenie znajomym i prychnął na koniec lekceważąco.

– Ja wiem? Wstałem, ubrałem się i przyjechałem rano na śniadanie do znajomych.

– Przyjechał pan ze swojego domu?

– No jasne, że ze swojego domu.

W tym momencie do hotelu wszedł Lupa. Policjant odszukał wzrokiem Mortkę i podszedł do niego. Wszeptał mu do ucha kilka słów. Komisarz słuchał uważnie, potem ledwo dostrzegalnie skinął głową i schował trzymane do tej pory w rękach notatnik do kieszeni spodni.

– Proszę pana – powiedział – wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdyby pojechał pan z nami na komisariat.

Boże, jak tu pięknie, pomyślała, kiedy pakowała zakupy do torebki, a potem zarzuciła ją sobie na ramię. Patrzyła na równo ułożoną kostkę brukową, żółto-czerwony dykонт Biedronka i budynek publicznego szaletu, jedyne w całym mieście, a i tak niepotrzebne, bo wszyscy chodzili w krzaki obok, gdzie nie trzeba było płacić złoty pięćdziesiąt za wejście. Tam, skąd pochodziła, wyglądało to dokładnie tak samo. Tylko że tutaj w każdej ubikacji znajdował się porcelanowy sedes, a nie dziura w ziemi obita blachą, nad którą człowiek musiał kucnąć, kiedy załatwiał swoje potrzeby, balansując przy tym ciałem jak skoczek narciarski.

Dwaj chłopcy siedzieli na murku. Przyglądali się jej pożądliwie. Jeden mógł mieć około siedemnastu lat, a drugi pewnie więcej, bo jego twarz była ogorzala od słońca i wypitego alkoholu. Ten starszy rzucił jakąś uwagę. Nie słyszała dokładnie z tej odległości jaką. Młodszy roześmiał się posłusznie. Posłała im lekceważące spojrzenie i poszła przed siebie, kręcąc załotnie pośladkami.

Tak jak się spodziewała, zeszli z murka i ruszyli za nią. Ten starszy znowu się odezwał. Miał chropawy głos. Wydało jej się, że usłyszała słowa „cipa”, „kutas”, „wsadzić”. Po plecach przeszedł jej dreszcz. Nie żeby się nim przejmowała, znała go przecież dobrze. Towarzyszył jej całe życie, nawet tam, w domu, zanim wydarzyło się to wszystko, zanim postanowiła zawalczyć o własną przyszłość. A jednak przyspieszyła. Oni byli blisko. Słyszała teraz wyraźnie każdy ich krok.

Zawsze podobała się mężczyznom, bo była, jak to jej matka ujmowała, śliczna. Śliczna, a nie ładna czy piękna. Miała lekko zadarty nos, który dodawał jej łobuzerskiego uroku, delikatne, ledwo widoczne piegi, wielkie zielone oczy i blond włosy jak z obrazka. To było jej przekleństwem. Bo taką śliczną dziewczynką musi się zaopiekować tatuś albo brat, ktoś musi ją odgrodzić męskim ramieniem od złego świata. Takiej śliczności szkoda, taką śliczność trzeba wziąć na ręce, otulić, posadzić na kolanach i mocno trzymać. Broń Boże nie puszczać. Bo jej miejsce jest w męskich, troskliwych ramionach.

Tyle razy jej to powtarzano, że niemal w to uwierzyła.

Teraz była jednak starsza i mądrzejsza. Śliczność zakryła agresywnym makijażem i warstwą opalenizny z solarium. Nawet włosy chciała zafarbować na kruczo, ale fryzjerka w ostatniej chwili zapytała raz jeszcze: „Czy naprawdę chce to pani zrobić?”. Takie włosy, takie piękne. Nie chciała. Kazała je ściąć, na krótko, żeby było po chłopięcemu. Fryzjerka znowu próbowała protestować, że takie piękne, że takie długie, że każda kobieta by takie chciała, ale Olga tylko spojrzała na nią, a ta zamilkła przestraszona i sięgnęła po leżące niedaleko nożyczki. Kiedy wykonywała pierwsze cięcie, zamknęła oczy, jakby nie chciała oglądać fryzjerskiego aktu barbarzyństwa, który właśnie popełniała.

Olga pomyślała, że gdyby teraz wróciła do domu, to matka spuściłaby ze smutkiem głowę, przekonana, że jako rodzic poniosła wychowawczą klęskę. A potem syknęłaby z wyrzutem, że takie śliczne dziewczynki nie powinny tak wyglądać.

Zawsze nazywała ją dziewczynką. Nawet kiedy Olga skończyła osiemnaście lat.

Ale do domu nie wróci, bo nie ma po co. Matkę pewnie wyżarł już ten sam rak, przed którym Olga próbowała ją ratować.

Ci dwaj chłopcy, młodszy i starszy, ciągle szli za nią. Pokręciła tyłkiem, żeby się przypadkiem nie zniechęcili, i jak na życzenie natychmiast doleciał ją pełen podniecenia głos starszego. Skręciła na deptak przed ratuszem. Było popołudnie i do tego weekend, więc kręciło się tam sporo osób. Przed pobliską kawiarnią wyciągnięto stoliki. Przy jednym z nich siedzieli dwóch starszych panów w kaszkietach chroniących przed słońcem. Popijając w milczeniu herbatę, rozgrywali partię szachów. Matki pchały przed sobą wózki lub próbowały zapanować nad ciągnącymi je do lodziarni dziećmi, podczas kiedy ich mężowie szli tuż obok, uśmiechając się i szukając pieniędzy w portfelu. Od czasu do czasu chwyтали

rozbrykane pociechy, podrzucali je w górę lub żartobliwie grozili kłapsem. Tutejsi pijaczkowie siedzieli na ławeczkach i raczyli się kolejnym piwem ukrytym w foliowej torebce, a potem wystawiali twarze do słońca, mrucząc coś przy tym niezrozumiale, rozkoszni jak małe kotki. Byli też Romowie. Pilnowali, żeby nie przekroczyć tej niewidzialnej granicy, która dzieliła ich od Polaków i dzięki której obie społeczności były zawsze obok, a nigdy razem. Tylko ich dzieci, brudne, hałaśliwe i rozbrykane, jej nie dostrzegały.

Znów przyspieszyła kroku, śledzący ją chłopcy zrobili to samo. Zaciśnęła zęby, a na jej plecach pojawiły się krople zimnego potu. I tak jak zawsze w takich sytuacjach przypomniawszy sobie to, co przeżyła, i rozumiała po raz kolejny, dziesiąty lub setny, że wszystko, co najgorsze, jest już za nią. I tak jak zawsze, kiedy to do niej docierało, przez chwilę miała ochotę po prostu usiąść na ziemi i płakać.

Zamiast tego znalazła otwartą bramę. Wiało z niej chłodem i kwaśnym zapachem moczu. Weszła do środka, skryła się we wnęce i czekała spokojnie, pewna tego, co się stanie, i tego, co chce zrobić.

Wreszcie ich zobaczyła. Stanęli skąpani w słońcu, tuż-tuż. Wydawało się jej, że są tak blisko, że może ich dotknąć. Młodszy rozglądał się gorączkowo dookoła, a starszy dopalał papierosa. Wreszcie rzucił go pod nogi i przygniół czubkiem buta, żeby zaraz potem splunąć w bok. Marszczył brwi, myślicząc intensywnie.

Wstrzymała oddech, czekając na to, co zrobią.

– Wchodzimy? – zapytał młodszy.

Starszy zagryzł wargę, a potem pokręcił głową.

– Nie, no co ty, debil! – odpowiedział, udając rozbawienie. – Fajna dupcia była, ale przecież, kurwa, mam ciekawsze rzeczy do roboty niż gonienie za nią jak pies za suką, nie?

– Nie, jasne – powiedział niepewnie młodszy. – Pies za suką – powtórzył chłopak i roześmiał się wesoło, jakby jego kolega opowiedział dobry dowcip. To chyba ostatecznie udobruchało starszego, który do tej pory ciągle wpatrywał się w ciemne wnętrze bramy, zastanawiając się pewnie, czy podjął dobrą decyzję. Uśmiechnął się szeroko i klepnął młodszego serdecznie w ramię.

– Chodź. Przy stacji benzynowej znajdziemy lepsze suczki.

– Jasne, kurwa, przy stacji benzynowej.

Odeszli.

Odetchnęła z ulgą. Czekala jeszcze przez minutę, pewna, że chłopcy wrócą, ale się nie pojawili. Schowała więc gaz pieprzowy z powrotem do torebki, chociaż nie wiedziała, kiedy i jak znalazł się w jej dłoni. Z żalem pomyślała, że nie poczęstuje swoim kolanem jąder tego starszego. Wielka szkoda. Miała ochotę pokazać tym dwóm dupkom, gdzie jest ich miejsce. Poprawiła torebkę na ramieniu i wyszła z bramy.

Czajnik elektryczny wyłączył się z cichym pyknięciem, wyrzucając z siebie chmurę gorącej pary. Woda wrzała jeszcze przez chwilę, zanim się uspokoiła. Mortka zalał kubek z kawą, a potem dosypał dwie łyżeczki cukru. Po chwili zastanowienia dosypał jeszcze dwie i zamieszał.

– Kto cię nauczył tak słodzić? – zapytał Lupa.

– Był kiedyś w stołecznej taki automat... – rozpoczął Mortka i przerwał, kiedy zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma o czym mówić. Wskazał tylko na leżący na pobliskim biurku wydruk. – Mów...

– Jeszcze raz?

Mortka przytaknął. Lupa z westchnieniem sięgnął po papiery i przetarł zmęczone oczy. Przez ostatnią godzinę siedzieli przed ekranami komputerów, sprawdzając policyjne bazy danych lub dzwoniąc do kolegów albo kolegów kolegów, którzy mogli coś wiedzieć o interesującej ich osobie.

– Grzegorz Bratkowski, lat dwadzieścia osiem, syn Michała i Cecylii, zameldowany we Wrocławiu. Nie mamy informacji o zawodzie, ale nie jest zarejestrowany jako bezrobotny. Co, jak wiemy, o niczym

nie świadczy. Niekarany. Trzy lata temu zatrzymany pod zarzutem napastowania seksualnego dziesięcioletniej dziewczynki. Prokurator zdecydował o niestawianiu zarzutów.

– Dlaczego? – zapytał Mortka.

– Ze względu na słabość materiału dowodowego. Kumpel, który zna sprawę, twierdzi, że na dwoje babka wróżyła. Matka tej dziewczynki to podobno straszna wariatka. O napastowanie dziewczynki oskarżała też jej ojca i jednego z swoich kochanków. Oba zarzuty się nie potwierdziły. Do tego psycholog po rozmowie z dziewczynką miał wątpliwości, czy do czegokolwiek doszło. Ale zarazem... no właśnie. Miał wątpliwości. Rozumiesz, Kuba? Coś ta mała mu w końcu pokazała na tej lalce.

Wiedzieli, że takie sprawy nie zdarzają się tak po prostu. Czasami miało się faceta bardzo blisko, można było niemal chwycić go za ten parszywy kark i wrzucić do więziennej celi. Tylko że to paskudne „niemal” robiło różnicę. Przy „niemal” zamkniętej sprawie „niemal” skazany wychodził z aresztu wolny jak ptak. Najczęściej po to, żeby przy kolejnym przestępstwie zrobić o jeden błąd za dużo i ostatecznie skończyć tam, gdzie powinien był trafić już poprzednim razem, gdyby ktoś bardziej przyłożył się do swojej pracy, nie przeoczył czegoś lub gdyby po prostu policji dopisało zwykłe, psie szczęście.

– Co dalej?

– Rok później złapany podczas obławy na internetowych pedofilów i zatrzymany pod zarzutem posiadania pornografii dziecięcej. Znowu prokuratura zdecydowała nie stawiać mu żadnych zarzutów.

– Co mówią twoi koledzy?

– Że zarekwirowany Bratkowskiemu dysk twardy w tajemniczych okolicznościach uległ zniszczeniu w policyjnym magazynie i nie udało się z niego odczytać żadnych danych. A prokurator, który prowadził sprawę, gra w brydża w tym samym klubie co ojciec Bratkowskiego. Aha, zapomniałem dodać, że stary Bratkowski jest głównym sponsorem tego klubu.

– I wszystko jasne.

Mortka wziął łyk kawy, która mimo czterech łyżeczek cukru smakowała mu teraz bardzo gorzko.

– Myślałeś, że miał coś wspólnego z zaginięciem Marty? – zapytał Lupa.

Komisarz nie odpowiedział. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Na policyjnym parkingu miejscowy technik kryminalny o czerwonej twarzy i drżących dłoniach przeszukiwał właśnie samochód Bratkowskiego.

– To jak to chcesz rozegrać? Dobry i zły glina?

Mortka spojrział na wiszący na ścianie zegar. Trzymali podejrzanego w pokoju przesłuchań ponad półtorej godziny. Nie mogli tego przedłużyć. Ojciec Bratkowskiego miał znajomych we wrocławskiej prokuraturze, ale i pewnie w kilku innych miejscach.

– Dobry i zły? To już chyba wszyscy znają z filmów, prawda? – odpowiedział w końcu.

– Zdziwiłbyś się, jak często to działa. Nie stosujecie tego w Wawie?

– Czasami. Ale mówiąc szczerze, do mnie najczęściej trafiają koleśki, którzy uczestniczyli w większej liczbie przesłuchań niż ja. Oni nie nabierają się na byle gówno.

Lupa wzruszył ramionami. Podeszedł do Mortki i również wyjrzał przez okno. Przez chwilę obaj policjanci w milczeniu obserwowali pracującego poniżej technika, który właśnie zdejmował odciski palców z klamki od strony pasażera.

– Trzeba było zadzwonić po Jelenią Górę – mruknął Lupa. – Ich technicy nie chleją tak jak nasz.

– Trzeba było – powtórzył jak echo Mortka.

– Założę się, że nic nie znajdziesz – mruknął Lupa.

– Pewnie nie.

– Jak go znam, to zdeptał to, co było do zdeptania.

– Pewnie tak – zgodził się Mortka i poczuł przyływ złości na samego siebie. To on nalegał, żeby się spieszyć i nie czekać na przyjazd techników z Jeleniej Góry. Teraz żałował.

Odwrócił się od okna. Podszedł do biurka, chwycił leżące tam papiery i wsadził je do białej teczki zawiązywanej na sznurek. Dorzucił jeszcze zdjęcie zaginionej dziewczynki, które dostarczyli rodzice Marty.

– Miejsmy to już za sobą – powiedział.

Lupa wskazał mu drogę do pokoju przesłuchań.

Kiedy weszli, Bratkowski bawił się pustą szklanką, w której wcześniej podano mu wodę mineralną. Turlał ją po stole, popychając na jednym krańcu i łapiąc na drugim, nim spadła na ziemię. Usłyszawszy policjantów, podniósł głowę. Jego twarz wyrażała tylko czyste i szczere zdumienie.

– Mogę już iść? – zapytał. – Zrobiłem, co chcieliście. Przyjechałem z wami, pozwoliłem wam przeskakać swój samochód, a teraz tu siedzę... Jezu... właściwie, ile już czasu minęło?

Nie odpowiedzieli. Pokój przesłuchań krotowickiej policji nie zasługiwał na swą szumną nazwę. Było to pomieszczenie służące jako składzik na rzeczy codziennego użytku lub miejsce pracy dla tych policjantów, którzy nie mieścili się gdzie indziej. Dlatego zanim umieszczono w nim Bratkowskiego, minęło piętnaście minut, w czasie których mężczyzna obserwował, jak funkcjonariusze wynoszą z pokoju stare krzesła, ryzy papieru, szczotki, mopy wraz z wiadrem na wodę, zakurzony monitor i jedno biurko. Wszystko teraz leżało na korytarzu, przez co, żeby nim przejść, trzeba było niemalże chodzić bokiem.

Mortka zajął miejsce za stołem, a Lupa podszedł do stojącej w rogu kamery.

– Będę nagrywał – oznajmił i włączył urządzenie.

Bratkowski posłał mu zdumione spojrzenie, a potem odchylił się lekko na krześle i założył dłonie na brzuch. Uśmiechał się. Mortka odniósł wrażenie, że Bratkowski już się zastanawia, jak opowiedzieć o tym wszystkim pozostawionym w Strudze Zdrowia znajomym, żeby osiągnąć najlepszy towarzyski efekt.

– Jak się pan nazywa? – zaczął komisarz.

– Grzegorz Bratkowski.

– Adres zameldowania?

– Wrocław.

– Ulica?

– Przecież macie to na dowodzie osobistym, który mi zabraliście – odpowiedział Bratkowski i prychnął rozbawiony.

– Adres zamieszkania?

– Wynajmuję tu w okolicy taką chatę letniskową. Od dłuższego już czasu.

– Ale dalej jest pan zameldowany we Wrocławiu?

– Tak. To chyba nie jest karalne?

– Jest. Ale tym akurat nie będziemy się teraz kłopotać. Czym się pan zajmuje?

– Zajmuje?

– Zawodowo.

– Jestem rentierem – oznajmił dumnie Bratkowski, huśtając się na krześle. Mortka miał ochotę kopnąć w nogę od mebla, tak żeby mężczyzna się przewrócił.

– Rentierem? Co to znaczy?

– To znaczy, że zarobiłem dość pieniędzy, żeby żyć z odsetek. To właśnie robię.

– Zarobił pan? To dziwne... – Mortka przerwał, żeby otworzyć teczkę. Przerzucił kilka kartek, szukając notatek. Właściwie nie musiał tego robić. Wszystko pamiętał, ale dzięki temu drobnemu przedstawieniu chciał zburzyć dobre samopoczucie Bratkowskiego. I udało mu się, bo mężczyzna zamarł w pół ruchu, odchyłony do tyłu, od czasu do czasu nerwowo zerkając na ciągle stojącego przy kamerze Lupe. – Z tego, czego się dowiedzieliśmy, wynika, że nigdy nie prowadził pan żadnej działalności gospodar-

czej, nie był nigdzie zatrudniony ani nie zasiadał w radach nadzorczych lub zarządzie jakichkolwiek spółek. Za to pana ojciec... – Mortka zawiesił głos.

Bratkowski uśmiechnął się krzywo i ze złością, bo zdał sobie sprawę, że został przyłapany na kłamstwie.

– Ojciec kiedyś umrze, a wtedy ja wszystko odziedziczę. Te pieniądze są już właściwie moje.

– Oczywiście, ma pan rację, ale jak na razie nie jest pan żadnym rentierem, ale zwykłym frajerem żyjącym z jałmużny od rodziców. Nawet samochód, którym pan jeździ, jest zarejestrowany na ojca!

Bratkowski wrócił ze swoim krzesłem do pozycji pionowej i przysunął się w stronę Mortki. Drżały mu nozdrza.

– I chuj – syknął. – I tak mam więcej kasy od ciebie, glino.

Komisarz ponownie sięgnął do teczki. Zaczął ją przeglądać. I tym razem doskonale wiedział, gdzie jest to, czego szuka, ale chciał zwiększyć niepokój Bratkowskiego. Udało mu się wyprowadzić go z równowagi. Należało to wykorzystać.

– Poznajesz tę dziewczynkę? – zapytał, kładąc na stole zdjęcie Marty Gawryś. Bratkowski tylko rzucił na nie okiem i pokręcił przecząco głową. Zareagował odrobinę zbyt szybko. A przynajmniej tak się Mortce wydawało.

– Nie, nie znam jej – powiedział mężczyzna.

– Szkoda.

– Bo co?

– Bo nic. Ładna jest.

Bratkowski zerknął raz jeszcze na fotografię i wruszył ramionami.

– Nie wiem. Może.

– Mnie się podoba – ciągnął Mortka. – Bardzo ładna dziewczynka z niej. Lubiła się całować. Nawet bardzo. Z chłopakami, czasami z dziewczynkami.

– Czemu mi pan to mówi? – zapytał Bratkowski.

– Bez powodu.

Mortka zrobił pauzę, żeby przyjrzeć się przesłuchiwanemu przez siebie mężczyźnie. W jego oczach dojrzał coś jakby ciekawość, przyzwolenie na dalszą rozmowę.

– Całowała się z języczkiem. Jak prawdziwa kobieta. Takie już są niektóre dzieci. Bardzo, ale to bardzo chcą być dorosłe. A jak jakiś chłopak jej się podobał, to brała jego dłoń i kładła sobie na piersi. Co ja mówię, piersi! Takie małe cyczuszki miała, właściwie to jeszcze guzki – kontynuował komisarz.

Bratkowski przymknął powieki, a jego dłoń, jakby niezależnie od reszty ciała, powędrowała w stronę zdjęcia, żeby zatrzymać się kilka centymetrów od niego.

– Ale lubiła, kiedy się ją tam smyrało po tych maleńkich guzyczkach. Po prostu uwielbiała. Ale najbardziej lubiła, wiesz co? – dodał Mortka.

– Co? – wycharczał Bratkowski.

– Jak jej się smyrało cipkę. Najpierw paluszkiem, a potem... sam wiesz. Ona to lubiła. Różnęła się ta mała dziwka jak złoto.

Bratkowski zadrzał gwałtownie, wyprostował się i otworzył szeroko oczy.

– Co takiego?!

– Różnęła się jak złoto. Z chłopcami w jej wieku, ze starszymi też, takimi, co już wąsik pod nosem mieli. Rozkładała nogi, jak ją tylko poprosić, a kiedy ją pierdolili, to tak śmiesznie piszczała. Ale nie z bólu, bo to jej sprawiało przyjemność. Piszcziała z radości, jak małe dziecko, kiedy dostanie watę cukrową.

– Gówna prawda!

– Słucham?

– Gówno prawda! Ona taka nie była. Z nikim się nie... – Bratkowski przerwał, niby żeby wziąć oddech, ale tak naprawdę słowa nie potrafiły mu przejść przez usta. – Była dziewicą – dokończył.

– Jasne, jasne. Co innego mówią ci chłopcy, którzy ją obracali. I to w każdą dziurę, chociaż najbardziej lubiła po bożemu.

– Kłamią! Była dziewicą!

Komisarz prychnął teatralnie.

– A skąd to możesz wiedzieć?

– Bo to ja ją rozdziewczyłem!

Mortka przełknął ślinę. Odwrócił się w stronę Lupa, który przypatrywał się całej scenie w milczeniu, błady i wściekły.

– Masz to? – zapytał.

– Oczywiście.

– W takim razie robimy przerwę.

Bratkowski zamarł, a po jego twarzy widać było, że dopiero dociera do niego to, co powiedział. Na przemian malowały się na niej niedowierzanie, zdziwienie, lęk i gniew. Nagle chwycił się za głowę, wbił palce w zaczesane do tyłu włosy i jęknął, skowycząc, jakby ktoś mu wbiął gwoździe w stopę.

– Pan mnie okłamał – stwierdził pełnym urazy głosem i wycelował oskarżycielsko palec w Mortkę.

Komisarz wstał od stołu i bez słowa wyszedł z pokoju. Zamknął za sobą dokładnie drzwi, przeszedł kilka kroków i oparł się o ścianę. Oddychał głęboko. Czuł się tak, jakby przed chwilą wytarzał się w czyjeś spermie.

Mortka wiedział, że każdy pedofil buduje sobie w głowie wyidealizowaną wizję dziecka, które skrzywdził. Wizję, w której ofiara najczęściej była niewinnym, kochanym aniołkiem, niezbrukany i czystym. Postanowił zniszczyć ten obraz, uderzyć mocno i precyzyjnie, wstrząsnąć Bratkowskim w nadziei, że ten rzuci się do walki, aby chronić swoje chore marzenie, i wtedy się odsoni. Udało mu się. Ale wcale nie czuł się z tego powodu zadowolony.

– Wszystko w porządku? – zapytał Lupa, który wyłonił się z pokoju. Przez szparę w na wpół otwartych drzwiach Mortka dostrzegł Bratkowskiego. Mężczyzna siedział za stołem ze spuszczoną głową. Mamrotał coś pod nosem.

– Tak. W porządku.

– Cały jesteś zielony.

– Przejdzie mi. Wracajmy do pracy.

Lupa zrobił mu miejsce w przejściu. Mortka usiadł za stołem, sięgnął po dokumenty i zaraz je odłożył. Nie miał już czego w nich szukać. Chciał tylko na kilka sekund oddalić moment rozpoczęcia drugiej części przesłuchania.

– Chce pan coś do picia?

Bratkowski początkowo nie zrozumiał, że policjant mówi do niego. Potem pokręcił przecząco głową.

– Proszę opowiedzieć, co się stało.

– Już powiedziałem przecież – odparł po długiej chwili milczenia.

– Kiedy pan spotkał Martę?

– Nie muszę odpowiadać na te pytania!

– To prawda. Ale byłoby dla pana lepiej, gdyby pan jednak odpowiedział.

Bratkowski wypuścił z cichym świstem powietrze z ust. Wydawało się, że zaraz coś powie, ale zamiast tego znów zamknął się w sobie.

– To wydarzyło się wczoraj – zaczął Mortka. – Jechał pan samochodem odwiedzić znajomych w Strudze Zdrowia. W pewnym momencie zobaczył pan, że poboczem drogi idzie samotna dziewczynka. Zatrzymał się pan i wtedy...

– To nie było tak – ni to szepnął, ni jęknął Bratkowski.

– A jak?

– Nigdzie nie szła. Siedziała po prostu na poboczu. Zaparkowałem niedaleko. Długo ją obserwowałem. Myślałem, że jej rodzice są gdzieś w pobliżu. A może wujek czy starszy brat. Ale nikt się nie pojawił, nikt jej nie pilnował. Była zupełnie sama, a dzień zaczynał się tak pięknie.

– Podjechał pan do niej?

– Tak. Zaczęliśmy rozmawiać. Mówiła, że idzie na górę. Trochę się mnie bała i musiałem się napracować, żeby zgodziła się wejść do samochodu. Ale się udało. Sama do niego weszła! Do niczego jej nie zmuszałem! – zastrzegł gorączkowo.

– Rozumiem. Sama weszła do samochodu. Co się wydarzyło później?

– Pojechaliśmy w las, w stronę Strugi. Skręciłem w boczną drogę, taką leśną ścieżkę, prawdziwe wstępy. Przejechałem kilkaset metrów i się zatrzymałem.

– Nie protestowała?

– Protestowała, ale wytłumaczyłem jej, że to skrót.

– Co się stało, kiedy stanęliście?

– Wyciągnąłem ją z samochodu. Nie chciałem, żeby tam zostały jakieś ślady. Rzuciłem na ziemię i się z nią ten... zabawiłem. Zerznąłem ją. I była dziewczicą!

– Broniła się?

– Tak jak się broni mały kotek. Trochę podrapie, ale krzywdy nie robi.

– Gdzie Marta jest teraz?

Bratkowski jęknął. Odwrócił głowę w stronę ściany i przeczesał włosy palcami.

– Mogłem... mogłem ją trochę za mocno przycisnąć. Mogła się trochę za mocno wyrwać. Mogłem jej zrobić krzywdę.

– Gdzie jest teraz?

– Zostawiłem ją w lesie.

– W lesie? Tym między miastem a Strugą Zdrowia?

– Tak.

– Gdzie dokładnie?

Bratkowski potrząsnął głową.

– Nie powiem.

– Lepiej, żeby pan powiedział.

– Ale nie powiem.

– Czy Marta żyje?

Cisza ciągnęła się w nieskończoność. Bratkowski myślał intensywnie.

– Nie. Raczej nie. Przycisnąłem ją naprawdę mocno.

– Mówi ci coś imię Adela Siwak? – wtrącił się Lupa. Opuścił stanowisko obok kamery i podszedł do przesłuchiwanego. Stanął za jego plecami i zaczął wpatrywać się intensywnie w kark mężczyzny. Bratkowski zaczął się wiercić nerwowo.

– Adela Siwak?

– Lat jedenaście. Jak Marta. Cyganka. Zaginęła trzy miesiące temu.

Bratkowski zmarszczył brwi.

– Aaa! Cyganka! – wykrzyknął nagle z ulgą. – Ona dopiero miała ogień między nogami. Była jak małe, śliczne zwierzątko, które aż prosiło, żeby je pieścić. Patrzyła na mnie z takim żarem, że nie było ucieczki. Śliczna. Prawdziwa czarodziejka.

Lupa zrobił krok w stronę przesłuchiwanego mężczyzny. Dłoń zacisnął w pięść i wznosił ją w górę. Mortka poderwał się z miejsca.

– Komisarzu... – powiedział twardo.

Lupa cofnął się pod ścianę. Był cały czerwony ze złości.

– Co się stało z Adelą? – zapytał Mortka, siadając z powrotem.

– Jej też mogłem zrobić krzywdę – oznajmił cichym, ale mocnym głosem Bratkowski.

– Krzywdę? Taką jak Marcie?

– Tak. Taką jak Marcie.

– Gdzie jest ciało?

Bratkowski prychnął, a potem uśmiechnął się szeroko, odsłaniając swoje białe zęby.

– To panowie są policjantami. Panowie powinni ich poszukać. Jak się postaracie, to je odnajdziecie. Obie.

Powinienem poczekać na resztę, pomyślał Mortka i przycisnął pedał gazu, wychodząc łagodnie z górskiego zakrętu. Światła samochodowych reflektorów wydobywały asfalt z ciemności nocy, która tutaj w górach była prawdziwie czarna, a nie pomarańczowa, tak jak w tonącej w blasku ulicznych lamp Warszawie.

Po zakończeniu przesłuchania i odstawieniu Bratkowskiego do aresztu Lupa zabrał się do organizowania grupy poszukiwawczej. Obdzwaniano miejscowych policjantów, nakazując im stawić się jak najszybciej na komisariacie, z szaf wyciągano zakurzone mapy, a z Jeleniej Góry miał przyjechać patrol z psami tropiącymi. Mortka pożyczył od Lupy samochód. Chciał pojechać do domu, wziąć szybki prysznic, coś przegryźć i wrócić.

Jednak po kilkuset metrach, nie do końca wiedząc dlaczego, zamiast do mieszkania skierował się w stronę Strugi Zdrowia. Coś mu nie pasowało w historii Bratkowskiego i to coś na przemian to pojawiało się, to chowało gdzieś w krętych zakamarkach jego mózgu, jakby bawiło się z komisarzem w kotka i myszkę. Musiał jeszcze raz zobaczyć tę drogę. Nie pamiętał żadnego skrętu, kiedy jechał tędy za dnia razem z Lupą. A Bratkowski miał ponoć gdzieś zjechać, gdzieś się ukryć – on, jego duży terenowy samochód i mała dziewczynka, którą zamierzał zgwałcić. Ale czy to naprawdę było możliwe? Czy naprawdę nikt go nie zauważył? Czy nikt nie zwrócił na niego uwagi? Komisarz nie potrafił w to uwierzyć. To był co prawda górski szlak, ale często jeździły nim samochody do Strugi Zdrowia, a mieszkający tam turyści chodzili na piesze wycieczki do miasta i z powrotem.

– Jest! – krzyknął i zahamował gwałtownie.

W tej ciemności prawie przegapił skrzyżowanie, o ile tak można było nazwać przecięcie się asfaltowej wstęgi i na wpół zarośniętej, nierównej gruntowej drogi. Wrzucił wsteczny i cofnął się o kilka metrów, żeby wziąć zakręt. Terenowa toyota ledwo zmieściła się na ścieżce, ale i tak odrobinę się przechyliła. Samochód Bratkowskiego był szerszy. Jeśli rzeczywiście tędy jechał, to prawe koła poruszały się po nierównym zboczu i były znacznie niżej niż lewe. Przez to wóz fragmentem podwozia szorowałby po ziemi, złobiąc w niej szeroką brudę. Mortka nie widział takich śladów przed sobą, dostrzegł jednak koleiny po kołach. A zatem ktoś tą drogą jeździł. Komisarz pojechał tam, dokąd prowadziły ślady.

Stanął po około dwóch minutach jazdy po wertepach, podczas której nieustannie podskakiwał na siedzeniu. Zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Otworzył bagażnik, gdzie znalazł linę holowniczą, apteczkę, zapasowe koło i latarkę, którą od razu zabrał ze sobą.

Ruszył przed siebie, świecąc to pod nogi, to po okolicznych zboczach. Zastanawiał się, gdzie Bratkowski mógłby zawieźć Martę, żeby ją zgwałcić, zabić, a potem ukryć zwłoki. Kucnął i nabrał garść ziemi w dłoń. Tak jak się spodziewał, grunt był twardy, bardzo kamienisty. Żeby wykopać w nim dół na ciało, potrzebne były mocna łopata i kilof. Nie znaleźli tych narzędzi w wozie mężczyzny. To oczywiście nie znaczyło, że w dniu popełnienia zbrodni nie miał ich ze sobą. Ale jak sam przyznał, na dziewczynkę natknął się przypadkiem, nie planował gwałtu i morderstwa. A skoro tak, to po co miałby

wozić ze sobą sprzęt do robót ziemnych? Mortka z każdą chwilą coraz mniej wierzył w opowieść mężczyzny. Wszystko, co im opowiedział, w dalszym ciągu mogło się teoretycznie naprawdę wydarzyć, ale małe szczegóły sprawiały, że miało to niewiele sensu. A może wcale nie kopał grobu? Ale w takim razie gdzie ukrył ciało?

Mortka stanął jak wryty i poczuł, że włos jeży mu się na głowie. Już wiedział, co zrobił Bratkowski. Naprzeciwko siebie komisarz dojrzał wbita w zbocze góry betonową framugę i ciemne deski, którymi zablokowano wejście do starej kopalni.

Kilka dni po swoim przyjeździe do Krotowic, w leniwe, pochmurne popołudnie, kiedy nie działo się absolutnie nic, Mortka wybrał się na spacer po mieście i z nudów wszedł do budynku ozdobionego tabliczką: „Izba Historii Krotowic”. Kiedy przekroczył próg, znalazł się przy nim starszy szpakowaty mężczyzna, który, jak się okazało, społecznie prowadził Izbę i z prawdziwą pasją opowiadał zaskoczonemu Mortce o wspaniałych górniczych tradycjach miasta. Policjant nieśmiało wtrącił, że przecież w okolicy nie ma żadnych kopalń.

– Teraz nie – zgodził się kustosz. – Ale tutaj kopano od średniowiecza. Proszę spojrzeć na tę rycinę, to reprodukcja oczywiście, widać na niej dawnych gwarków przy pracy. Aż do XVII wieku wydobywano w Krotowicach rudy metali. Dopiero wojna trzydziestoletnia to przerwała. Wybito wtedy większość mieszkańców miasta, a same Krotowice gospodarczo się załamały. Do górnictwa wrócono po II wojnie światowej, kiedy na rozkaz Sowietów kopano tutaj rudę uranu.

– Uranu?

– Tak. – Mężczyzna pokiwał energicznie głową. – Nie wiedział pan, że w całych Krotowicach jest podwyższony poziom promieniowania? To właśnie z powodu rudy. Uran od nas trafiał później do ZSRR i ruscy budowali z tego atomówki.

– Niesamowite.

– To prawda. Jak pan widzi, mamy w mieście piękną górniczą tradycję. I chociaż obecnie nic się nie kopie, to właściwie wszystkie góry w okolicy podziurawione są dawnymi szybami czy sztolniami – opowiadał podniecony starzec.

I teraz oto Mortka stał przed wejściem do dawnej kopalni. Na betonowych słupach namalowano znak ostrzegający przed promieniowaniem. Deski zasłaniające wejście były stare, czarne i pokryte plamami miękkiego mchu, ale gwoździe, którymi je przybito, miały wciąż metaliczne, względnie czyste główki. Wyglądały na nowe.

Odłożył latarkę na ziemię. Chwytał za jedną z desek, szarpnął mocno i wyrwał ją, tworząc w ten sposób dziurę, przez którą mógł zajrzeć do środka. Owiąło go wilgotne, chłodne powietrze. Przed sobą widział tylko czerń. Niewiele myśląc, wyrwał drugą deskę. Podniósł latarkę, otrzepał ją z kamyczków i przeciskając się pomiędzy dechami, wślizgnął się do wnętrza kopalni.

Ruszył przed siebie korytarzem o łukowatym sklepieniu i wybetonowanych ścianach. Już po kilku metrach wdepnął w kałużę, a lodowata woda wlała mu się do wnętrza buta. Podskoczył i zaklął zaskoczony. Wycofał się szybko i znalazł coś jakby kamienną belkę. Wszedł na nią i poszedł dalej.

Miał wrażenie, że korytarz biegnie lekko w dół, w głąb góry. Betonowe ściany zastąpiły potężne górnicze stemple, zawilgotniałe, w wielu miejscach nadkruszone, tak że dało się widzieć ukryte we wnętrzu porzewiałe pręty. Belka, po której szedł, wkrótce się skończyła. Mortce udało się znaleźć suche przejście, chociaż gdzieś tam było ono tak wąskie, że musiał balansować ciałem, tak jakby chodził po linie nad przepaścią. W innych miejscach skakał po kamieniach, żeby nie wpaść do wody. Po kilku metrach zniknęły także stemple, ustępując litej skale.

Mortka zatrzymał się. Spojrzał za siebie. Było tak ciemno, że nie dostrzegał wejścia do kopalni. W drugą stronę korytarz ciągnął się w mroku, nie wiadomo jak daleko. Rozważał, czy nie powinien zawrócić. Na komisariacie pewnie już się zastanawiali, gdzie jest. Wyciągnął z kieszeni komórkę. Oczywiście nie miał zasięgu. Latarka świeciła jasno i mocno. Baterie powinny wytrzymać, ale gdyby zgasty w środku tej podziemnej wędrowni, miałyby kłopoty. Nie dlatego, że mogłyby się zgubić, w końcu kory-

tarz biegł prosto. Podłoże za to było bardzo nierówne, pełne dziur. W ciemności łatwo mógłby sobie skrócić kostkę. Postanowił przejść jeszcze kilkanaście metrów.

Znowu musiał skakać po kamieniach. Tym razem wylądował na czymś śliskim. Stracił równowagę i energicznie zamachał rękami, co tylko pogorszyło sytuację. Wpadł tyłkiem do wody, mocząc kompletnie nie tylko buty, lecz także spodnie. Na szczęście uratował przed stłuczeniem latarkę.

Zaczął wściekle kłać, a później, kiedy już zabrakło mu tchu, niespodziewanie dla samego siebie uśmiechnął się szeroko i zachichotał. Musiał wyglądać komicznie, siedząc tak w kałuży brudnej, kopalnianej wody.

Nagle jakby coś usłyszał. Daleki głos, może szept. Poderwał się na równe nogi i omiół korytarz światłem latarki. Serce zabiło mu mocniej.

– Halo! – krzyknął.

Odpowiedziało mu tylko echo. Ale przecież doszedł go jakiś dźwięk! Z sekundy na sekundę był tego coraz bardziej pewien. Poszedł dalej, tym razem nie oglądając się na to, czy idzie po suchym, czy nie. Woda sięgała mu niemal do kolan.

Żałował, że nie wziął ze sobą pistoletu.

Po kilku minutach marszu, kiedy brodził w wodzie i zastanawiał się, czy naprawdę kogoś usłyszał, a jeśli tak, to czy dobrze robi, wchodząc samemu w głąb kopalni, korytarz zaczął się rozszerzać. Wkrótce zmienił się w salę. Na jej środku stał pojazd, który przypominał wagonik górniczy, a głębiej można było dostrzec błękitne drzwi z namalowanym na nich napisem WC. Mortka zajrzał tam. W środku znalazł zniszczoną umywalkę i nadtłuczony, przewrócony sedes.

Znowu coś usłyszał. Głos.

– Halo! Jest tam ktoś?! – wrzasnął.

Echo. Tylko echo.

Postanowił, że przejdzie jeszcze trochę i zacznie wracać, zanim się przeziębii.

Korytarz skręcił i poprowadził go do kolejnej sali. Mortka przystanął i sapnął zdziwiony. Pod ścianami stały w równych rzędach metalowe leżaki, mocno już pordzewiałe i zdezelowane. Wyglądało to tak, jakby w kopalni urządzono plażę.

– Gdzie ja jestem? – szepnął sam do siebie.

Na ścianach dostrzegł jakieś napisy, ale biała farba odrywała się płatami, czyniąc je zupełnie nieczytelnymi.

Poszedł dalej, już nie tyle szukając ciała dziewczynki czy tajemniczego głosu, ile ze zwykłej ciekawości. Czuł się jak mały chłopiec, który po raz pierwszy wszedł do babcinej piwnicy i teraz buszuje wśród ukrytych tam skarbów.

Doszedł do miejsca, w którym korytarz się rozdzielał. Jedna droga prowadziła w prawo, druga na niższy poziom kopalni. Aby tam się dostać, trzeba było jeszcze zejść po stalowej drabinie. Komisarz dotknął jej, szarpnął kilka razy, a kiedy upewnił się, że jest stabilna, zszedł na dół.

Tam znowu była woda. Jej powierzchnię, tak samo jak ściany, pokrywała jakaś dziwna brązowa substancja podobna do dywanu utkane go z grzybów. Przełamując obrzydzenie, ruszył korytarzem.

Doszedł do kolejnej sali. Tam również znalazł stos dziwacznych metalowych leżaków, tym razem ułożonych nie rzędem, tylko rzuconych stosem jeden na drugi, tak że tworzyły płataninę stalowych prętów.

I nagle ją dostrzegł. Siedziała na jednym z łóżek – mała, jedenastoletnia dziewczynka okryta dżinsową kurtką. Przyciągnęła kolana pod brodę, cała blada i nieruchoma. Żyła. Oddychała delikatnie, a z jej ust wydobywały się słabe obłoczki pary. Wpatrywała się w jeden punkt, chociaż w ciemności nie mogła przecież nic widzieć. Mortka przeniósł światło latarki tam, gdzie padał wzrok dziecka, i poczuł, że robi mu się sucho w gardle.

Były tam – nagie, powykręcane w makabryczny sposób, rzucone między pordzewiałe ramy leżaków.

– Dziewczynko – usłyszał swój głos – czyje to zwłoki?

Odebrał telefon, kiedy dzwonek zrobił się tak irytujący, że nie potrafił go dłużej ignorować.

– Dojechaliśmy do Warszawy.

– Słucham?

– Mówiłam ci, Kuba, że dzisiaj wracamy, bo jutro Michał i Andrzej jadą do moich rodziców. Właśnie dotarliśmy do domu. Pomyślałam, że będziesz chciał o tym wiedzieć, i to mimo że się nie pożegnałeś z chłopcami.

– Przepraszam, Ola. Mam taką sprawę.

– Zawsze masz jakąś sprawę, Kuba – powiedziała ostro i stanowczo.

Milczeli wspólnie przez kilka uderzeń serca.

– Oni tam przyjechali dla ciebie, Kuba.

– Wiem.

– Ja już jestem byłą żoną. Mnie możesz traktować tak, jak sobie chcesz. Ale to są twoi synowie. Innych nie będziesz miał.

Dopiero po kilkunastu sekundach zorientował się, że Ola się rozłączyła, a on wsłuchuje się w ciszę w słuchawce. Schował aparat do kieszeni i sięgnął po kubek z ciepłą herbatą, którą kilka minut wcześniej przyniósł mu jeden z funkcjonariuszy.

Siedział w toyocie Lupy, otulony kocami, wpatrzony w tonące w ciemnościach zbocze góry naprzeciwko. W głowie miał pustkę, jakby ktoś odebrał mu wszystkie myśli i wszystkie emocje.

Odnaleziona w kopalni dziewczynka nie chciała z nim iść. Albo po prostu nie była w stanie się ruszyć po ponad dobre spędzonej w zimnie i ciemności, za towarzystwo mając tylko ludzkie szczątki. Mortka musiał ją wynieść. Naciągnął sobie mięśnie, kiedy wspinał się po drabinie, jedną ręką podtrzymując oplatającą słabo jego szyję Martę, a drugą chwytając kolejne stopnie. Teraz boleśnie piekła go lewa strona pleców. Dalsza część wędrowki również nie była łatwa. Policjantowi wydawało się, że szedł dwa, trzy razy dłużej niż za pierwszym razem. Nagle zrobiło mu się strasznie zimno. Zaczął głośno szczekać zębami i nie mógł przestać.

Po wyjściu na powierzchnię wsadził dziewczynkę do samochodu i włączył ogrzewanie. Chciał jechać do szpitala, ale nie potrafił wykręcić na zniszczonej górskiej drodze, a z jazdy na wstecznym zrezygnował, kiedy o mało co nie runęli w dół stromego zbocza. Zahamował w ostatniej chwili. Zadzwoił do Lupy, żeby sprowadzić pomoc. Komisarz pojawił się po piętnastu minutach, pogotowie po kolejnych pięciu. Sanitarjusze zabrali Martę i pojechali na sygnale do szpitala. Dźwięk syreny jeszcze długo niósł się po okolicznych górach.

Dziewczynka przez cały ten czas nie powiedziała ani słowa.

Od tamtej chwili minęła prawie godzina. Lupa wraz z dwoma innymi funkcjonariuszami stanął obok Mortki. Miejscowi policjanci niepewnie spojrzeli po sobie.

– Zawiadomiliśmy już prokuraturę w Jeleniej – powiedział Lupa. – Ktoś już do nas jedzie.

– To dobrze – odpowiedział Mortka i wziął kolejny łyk herbaty.

Patrzyli na niego wyczekująco, ale żaden się nie odezwał.

– O co chodzi? – zapytał.

Lupa najwyraźniej został wyznaczony do mówienia, bo zrobił krok w stronę komisarza.

– Nigdy tutaj czegoś takiego nie mieliśmy.

– A więc chcecie...

- Gdybyś mógł.
- Ale ja nie jestem od was.
- Nigdy tutaj czegoś takiego nie mieliśmy – powtórzył Lupa.

Mortka przyjrzał się twarzom pozostałych policjantów i zrozumiał, że nie mają pojęcia, co zrobić ani jak się zachować. Ktoś musiał nimi pokierować. Teoretycznie powinien to być prokurator, ale oni rzadko się pojawiali na miejscu odnalezienia zwłok, a jak już byli, to nie mieli nic wartościowego do powiedzenia. Padło więc na niego. Zaklął cicho pod nosem i pomyślał, że jeśli ma się zająć tą sprawą, to będzie musiał się jednak nauczyć imion pozostałych funkcjonariuszy z Krotowic.

- Dobrze – powiedział. – Po pierwsze, znajdźcie mi najmłodszego stażem policjanta w komisariacie.
- To będzie Kamil.
- Jest tutaj?
- Tak.
- Świetnie.

Mortka sięgnął do kieszeni, wyciągnął klucze od mieszkania i rzucił je stojącemu najbliżej policjantowi.

- Daj mu to, powiedz, gdzie mieszkam, i niech migiem przywiezie mi suche spodnie. Jasne?
- Tak.
- Przydałyby się też kalosze albo wodery. Załatwcie mi parę. Nie chcę się znowu wymoczyć w tym syfie.
- Zrobi się.
- Teraz przejdźmy do poważniejszych rzeczy. Lupa, wybierz jednego lub dwóch bardziej kumatych chłopaków i daj im aparat fotograficzny. Jeden albo dwa, w zależności od tego, ile macie na stanie.
- Niewiele.
- Potrzebujemy jak najwięcej. W razie czego niech ktoś pojedzie do domu i przywiezie swój prywatny. Zdjęcia z komórki, jeśli nie ma innej możliwości, też mogą być.
- Dobrze.

– Tych dwóch chłopaków powinno się przejść po okolicy i sfotografować ślady opon. Jeśli potrafią, niech zrobią odlewy gipsowe. Koniec końców pewnie się okaże, że wszystkie bieżniki należą do naszych samochodów, ale kto wie, może nam się poszczęści. Potem niech poszukają innych rzeczy. Nitek, strzępów ubrań, odcisków butów. Wszystko, co znajdą, mają najpierw obfotografować, a później ostrożnie zebrać. – Przerwał na moment, żeby wziąć kolejny łyk herbaty. – Ja, ty i wy, panowie, a do tego wasz technik kryminalny robimy to samo, ale pod ziemią – kontynuował. – Sęk jednak w tym, że tam jest ciemno jak w dupie. Pewnie nie macie generatora Diesla na stanie, a nawet jeśli, to nie wyobrażam sobie, żebyśmy go znosili do kopalni. Dlatego trzeba skombinować jak najwięcej jak najmocniejszych latarek.

- Rosecki – Lupa zwrócił się do stojącego nieopodal brzuchatego policjanta, który nerwowo przestępował z nogi na nogę – zajmiesz się tym.
- Tak jest.
- Co dalej, Kuba?

– Plan jest taki. Wchodzimy do kopalni. Rozstawiamy światła. Im dalej od zwłok, tym lepiej. Potem dzielimy się terenem i fotografujemy wszystko, dosłownie wszystko, metr po metrze. Macie uważać na to, żeby zdjęcia wyszły ostre. I postarajcie się nie oślepić nawzajem fleszami.

Zawiesił głos i obracał w dłoniach plastikowy kubek. Przypomnił sobie telefon od Oli. A więc są już w Warszawie, pomyślał i zrobiło mu się przykro, że nie zdążył się pożegnać z synami. Mógłby zadzwonić i pogadać. Ale nie, nie w takiej chwili. Jego dłoń zatrzymała się w połowie drogi do kieszeni, w której schował telefon.

– Weźmy się do pracy – powiedział do policjantów.

Jego głos zabrzmiał dziwnie głucho.

Pół godziny później brodził po kostki w wodzie. Tym razem miał na nogach wysokie kalosze wędkarskie i suche spodnie. Po blisko dziesięciu minutach udało im się tak zamontować latarki, żeby w miarę rozświetlały podziemną salę ze zwłokami. Ich promienie sprawiły, że pomieszczenie skurczyło się drastycznie. Przed chwilą tonęli w nieskończonej ciemności, teraz tkwili w klaustrofobicznej klitce. Wciąż jednak w pomieszczeniu było zbyt dużo cieni, cieni, które mogły skrywać ślady, tropy, dowody.

– Co to właściwie za miejsce? – zapytał Mortka.

– Stare sanatorium radonowe – wyjaśnił Rosecki. – Zwozili tutaj chorych po tym, jak zakończono kopanie uranu. Podobno inhalacja tutejszym powietrzem pomaga przy niektórych schorzeniach układu krążenia i takich tam. Ale w pewnym momencie sanatorium też zamknęli. Nawet nie wiem dlaczego.

Mówił szeptem, odwracając wzrok od miejsca, gdzie leżały ciała. Mortka podziękował mu ruchem głowy i podszedł do trupów. Długo przyglądał się płataninie kończyn, bladej, nagiej skórze pokrytej tym samym brązowym grzybem, który jak gruby dywan osiadł na powierzchni wody.

– Jezu – szepnęła Lupa, który podszedł do komisarza. – Ile ich tu właściwie jest?

– Nawet nie potrafię policzyć – odpowiedział Mortka. – Cztery? Pięć? Dowiemy się, jak je wyniesiemy na powierzchnię.

– Wszystkie to kobiety?

– Chyba tak.

Nachylił się nad zwłokami, które ułożono chaotycznie jedne na drugich. Wszystkie były zupełnie nagie. W świetle latarek komisarz dostrzegał teraz wyraźnie to, co umknęło mu w chwili, kiedy znalazł Martę – głębokie rany na udach, brzuchu, piersiach. Jakby ktoś rzeźbił w ludzkim mięsie.

– Co to, kurwa, jest? – szepnęła sam do siebie.

Przez wiele lat pracy w policji nigdy nie widział niczego podobnego.

– Dobra, teraz twoja kolej – zwrócił się do stojącego nieopodal technika. Mężczyzna w odpowiedzi pokręcił przecząco głową.

– Nie chcę – powiedział.

– Co takiego?

– Nie chcę tam podchodzić.

– Co to znaczy?

– Że, kurwa, nie chcę.

– Przecież to twoja praca.

– Nie. Ja się na takie coś nie pisałem. Włamania do samochodów, do domów, czyste, schludne rodzinne zabójstwa tak. Ale nie takie rzeczy.

– To chyba jakiś żart! Bierz się, chuju, do roboty.

Technik raz jeszcze pokręcił przecząco głową i zrobił krok w tył.

– Kuba, odpuść mu – wtrącił się Lupa. – Przecież widzisz, jak to wygląda.

– To co?! Mamy tak to zostawić?! Rozjechać się do domów i udawać, że niczego tutaj nie znaleźliśmy?!

Nikt mu nie odpowiedział. Mortka przełknął ślinę i podszedł do technika. Położył dłoń na ramieniu mężczyzny w uspokajającym, jak miał nadzieję, geście.

– Trzeba to zrobić. Wiesz o tym.

– Tak – szepnęła technik.

Chwilę później uśmiechnął się słabo. Minął Mortkę i położył na jednym z metalowych leżaków torbę ze sprzętem. Otworzył ją i zabrał się do pracy.

– Wątpię, żebym coś tu znalazł – powiedział, kiedy nachylił się nad ciałami. Na twarz naciągnął maskę chirurgiczną, przez co jego głos był odrobinę zniekształcony. – Na pierwszy rzut oka zwłoki leżały w wodzie tak długo jak to cholerstwo. – Wskazał na grzyba. – Nawet jeśli sprawca pozostawił jakiś ślad, to nie wiem, czy będzie się do czegokolwiek nadawał.

– Po prostu wszystko dokładnie sprawdź i opisz – poprosił Mortka. – Żeby potem nam nikt nie zarzucał, że daliśmy ciała.

– A więc chodzi o dupochron?

– Tak.

– Okej – ucieszył się technik. – To potrafię robić.

W podziemiach Mortka spędził jeszcze dwie godziny. Nadzorował pracę technika i innych policjantów. Później razem przeszukali dno komnaty. Szli szpalerem, co krok zanurzając dłonie w mętnej, zimnej wodzie i ostrożnie macając palcami nierówne, skaliste podłoże. Nie znaleźli nic prócz kilku pordezwiątych, rozszypujących się w dłoniach kawałków metalu.

Wreszcie, kiedy niemal padał z nóg, postanowił pojechać do domu. Na miejscu pozostawił Lupe, który obiecał, że wszystkiego przypilnuje. Prokurator z Jeleniej Góry miał się pojawić lada chwila. Mortka nawet nie miał siły się zastanawiać, dlaczego trwa to tak długo.

Jeden z miejscowych funkcjonariuszy odwiózł go do mieszkania.

– To na pewno sprawka czarnuchów – powiedział, kiedy się żegnali.

– Czarnuchów? – zapytał Mortka.

– Cyganów – doprecyzował policjant. – Tylko oni są na tyle pojebani, żeby robić takie rzeczy.

Mortka był zbyt zmęczony, żeby dyskutować na ten temat, i tylko machnął dłonią. Funkcjonariusz odjechał, a komisarz dowlókl się do siebie. Chwilę później, wciąż w ubraniu, leżał już w łóżku i głośno chrapał.

Obudziło go dzwonienie do drzwi. Otworzył oczy i podniósł się na łokciach. Sięgnął dłonią na blat szafki nocnej w poszukiwaniu zegarka. Dopiero kiedy go tam nie znalazł, zorientował się, że ciągle ma go na przegubie. Dochodziła ósma. Spał około trzech godzin.

Dzwonienie nie ustawało.

Zwłókl się z łóżka i podszedł do drzwi. Oparł się o nie i odkasznął głośno.

– Kto tam?! – zapytał.

– To ja – odpowiedział kobiecy głos.

Wyprostował się gwałtownie. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze zawieszonym w małym przedpokoju kawalerki. Wyglądał paskudnie. Miał podkrążone oczy, szarą szczecinę na policzkach i wymięte ubranie na sobie. Był zbyt zmęczony, żeby się rozebrać przed położeniem do łóżka.

Niechętnie otworzył drzwi. Zobaczył Alicję. Trzymała tacę, na której leżał talerz z kanapkami i kilka równo ułożonymi plasterkami ogórka, a obok dymiący kubek z kawą. Miała na sobie dzinsy i turkusową bluzkę. Nie zapięła dwóch górnych guzików, przez co widział wyraźną pionową linię pomiędzy jej piersiami i zwisający między nimi złoty wisiołek. Zastanawiał się, czy chodziło jej o taki efekt. Miał nadzieję, bo bardzo mu się podobał.

– Przyniosłam ci śniadanie – powiedziała.

– Dziękuję.

Niezgrabnie odebrał od niej tacę.

– Czy to prawda? – zapytała.

– Co takiego?

– Że znaleźliście zwłoki w starej kopalni niedaleko Strugi Zdrowia.

Zmarszczył brwi.

– Tutaj plotki naprawdę rozchodzą się tak szybko? – zapytała.
– Zdziwiłbyś się – odpowiedziała z uśmiechem.
– Ale jest dopiero ósma rano!
– Esemesy – wyjaśniła. – Dzisiaj wiele osób w Krotowicach obudził dźwięk przychodzącej wiadomości.

Miała rację. Głupie esemesy, szybkość rozchodzenia się plotki urosła do kwadratu.

– Co wiesz?
– Niewiele więcej niż to, co ci powiedziałam. Podobno policja znalazła ciała. Więcej niż jedno. Podobno po nocy wydzwaniano do niemal wszystkich funkcjonariuszy z naszego miasteczka i kazano im się stawić na służbę. Nadzwyczajny wypadek. To wszystko.

– A ja nie mogę powiedzieć ci nic więcej.

– Dobro śledztwa? – domyśliła się.

– Tak jakby.

Uśmiechała się do niego, a on do niej.

– Smacznego – powiedziała wreszcie. – Miałam wrażenie, że będziesz dzisiaj potrzebował pomocy.

– Bo potrzebuję. Dziękuję.

– Odniesiesz potem tacę?

– Tak. Oczywiście.

Zrobiła dziubek z ust i pokiwała głową. Odwróciła się na pięcie i już wkrótce zniknęła za drzwiami własnego mieszkania. Mortka dojrzał jeszcze jej syna, dwunastoletniego Marcina. Kiwnął chłopcu głową, a ten odpowiedział mu w ten sam sposób, ze śmiertelnie poważną miną.

Komisarz położył tacę na stoliku w aneksie kuchennym i zjadł przyniesione mu śniadanie.

Alicję poznał, kiedy tylko się wprowadził do przydzielonej mu kawalerki. Byli w podobnym wieku. Oboje mieli dwójkę dzieci, ona dwunastoletniego syna Marcina i siedmioletnią Judytę. Oboje byli samotni. On się rozwiódł, jej mąż zginął w wypadku samochodowym cztery lata temu. Nigdy nie opowiadała mu o szczegółach tamtego wydarzenia, a on nie pytał. Pracowała jako pielęgniarka i laborantka w miejscowym szpitalu.

Nie spali ze sobą. Mortce wydawało się, że oboje mają na to ochotę, ale nigdy nie udało im się znaleźć okazji. Raz, kiedy Alicja zaprosiła go na kolację, a potem oglądali wspólnie film w telewizji, było naprawdę blisko. Ale nim do czegoś doszło, do pokoju wmaszerował Marcin. Chłopak obudził się, bo chciało mu się jeść. A przynajmniej tak twierdził. Poprosił mamę, żeby zrobiła mu kanapkę. Mortka odniósł wrażenie, że chłopiec cały czas ich obserwował z ukrycia i postanowił zainterweniować, zanim do czegoś dojdzie. Tak czy siak, do łóżka nie poszli. Tamtego wieczora pożegnali się niezgrabnym, pełnym zakłopotania uściskiem i policjant wrócił do siebie.

Po śniadaniu Mortka wziął szybki prysznic, ogolił się i przebrał w czyste ubrania. Trochę przed dziewiątą pojechał na komisariat.

O odnalezieniu ciał Olga dowiedziała się w sklepie, kiedy kupowała bułki. Sprzedawczyni plotkowała na ten temat z koleżanką.

Dziewczyna nie dała po sobie poznać narastającej z każdą chwilą ekscytacji. Spokojnie zrobiła zakupy, podziękowała i wyszła na zewnątrz. Odszukała najbliższą ławkę. Chusteczką wytarła ptasie kupy i usiadła. Dopiero wtedy pozwoliła sobie... na uśmiech? Tak, uśmiechała się. Nie spodziewała się po sobie takiej reakcji, ale tak właśnie było. Szczrzyła zęby, jakby pod choinkę dostała najpiękniejszy prezent.

Zaraz jednak ukryła twarz w dłoniach i poczuła piekący wstyd. Cieszyła się. Naprawdę tak było. Jak mogła? Miała ochotę samą siebie spoliczkować, wbić pomalowane na różowo paznokcie głęboko w policzki, rozorać skórę twarzy, tak żeby pozostały z niej tylko strzępy.

Ale przecież, do diabła, to była dobra wiadomość! Kończyły się jej pieniądze i bała się, że za chwilę będzie musiała się pakować i wracać, właściwie nie wiadomo dokąd, bo wątpiła, żeby pokój w Warszawie jeszcze na nią czekał. Teraz przynajmniej miała jakiś punkt zaczepienia, coś, wokół czego mogła krążyć. Postanowiła się go chwycić i mocno trzymać, mimo topniejącej z każdym dniem zawartości portfela. W najgorszym wypadku, pomyślała, pójdzie pracować.

Ostatniej nocy położyła się wcześniej. Miała gorszy wieczór. Czuła się słaba i zmęczona, jakby jej ciało nagle odmówiło posłuszeństwa. Ale nie mogła zasnąć. Leżała w białej, pachnącej tanim płynem do płukania pościeli i wpatrywała się w popękany sufit. Z nudów zaczęła liczyć rysy, ale pogubiła się gdzieś pomiędzy czternaście a dwadzieścia. Wreszcie wstała z łóżka i z torby podróżnej wyciągnęła butelkę czerwonego półwytrawnego wina o nazwie Sophia. Chwilę siłowała się z korkiem, co ją zdenerwowało i jeszcze bardziej pobudziło. W końcu uporała się z zamknięciem i wzięła pierwszy łyk. A potem drugi i trzeci.

Kiedy rozpoczęła swoje poszukiwania, prawie nie piła. Wystarczał jej sam gniew. Ale wkrótce jej wewnętrzny potwór tak się rozbestwił, że musiała poić go kieliszkiem wina, by odpuścić choć chwilę. Kieliszek wraz z kolejnymi odwiedzanymi miejscowościami zmieniał się w szklanekę, potem w kubek, a teraz na podłodze nieopodal kaloryfera w równym rzędzie stały zielone butelki. Jedna na każdy dzień pobytu.

Tym razem jednak nawet sophia nie przynosiła ukojenia. Cierpki alkohol tylko drażnił jej gardło, więc pozbywała się tego uczucia, przeżuwając powoli stary chleb, ukradziony ze stołówki ośrodka.

Nagle poczuła przemożną ochotę, żeby zadzwonić do Anety. Niewiele myśląc, wyciągnęła z torebki telefon. Dopiero przeglądając zapisane numery, przypomniała sobie, że kilka tygodni temu wykasowała z pamięci aparatu numer przyjaciółki i pozostawiła tylko kontakt do pustego o tej porze biura fundacji. Pokłóciły się wtedy. A właściwie to Olga się kłóciła, bo Aneta, święta, pierdolona Aneta jak zawsze nie dała się wytrącić z równowagi.

„Powinnaś zapomnieć. Iść dalej” – mówiła swoim spokojnym, opanowanym głosem, który Olga słyszała już tyle razy, że chciało jej się rzygać.

Nie mogła zapomnieć. Nie potrafiła. Inne może tak, jeśli były jeszcze jakieś inne, ale nie ona. Tak było, tak jest i tak zostanie. Ale siedząc samotnie w hotelowym pokoju z butelką wina pomiędzy kolanami, zastanawiała się, czy przyjaciółka jednak nie miała racji. I czy po opuszczeniu matki po to, żeby spróbować ją uratować, nie popełnia właśnie drugiego największego błędu w życiu. Bała się, że zmarnowała dni, tygodnie, miesiące, goniąc bezsensownie za koszmarami przeszłości w złudnym przekonaniu, że to może cokolwiek zmienić.

A teraz, kiedy zaczęła już tracić nadzieję, wreszcie trafiła na trop. Tak, jeśli to prawda, jeśli rzeczywiście znalezione ciało, to była dobra wiadomość.

Siedząc na ławce, pomyślała, że brakuje jej wina. Chętnie wzniosłaby toast za to, że w końcu coś się wydarzyło. Zastanawiała się nawet przez chwilę, czy nie wrócić do sklepu, ale zrezygnowała. Później kupi butelkę na wieczór.

Szarpnęła przechodzącego niedaleko mężczyznę za spodnie. Zatrzymał się zaskoczony.

– Tak? – ni to stęknął, ni to zapytał.

– Przepraszam, ale gdzie tutaj znajduję komisariat policji?

Wskazał jej kierunek. Podziękowała. Zebrała swoje rzeczy i poszła w stronę posterunku. Pomyślała, że tam też jest jakaś ławeczka, gdzie będzie mogła w spokoju zjeść śniadanie. A przy okazji będzie obserwować miejscowych policjantów i obmyślać plan działania.

Wreszcie znalazła ślad. Teraz już nie odpuści. Za żadną cenę.

Ledwie Mortka przekroczył próg komisariatu, dyżurny poinformował go, że ma natychmiast zgłosić się do komendanta Zajdy. Komisarz przeszedł pod gabinet szefa i zapukał do drzwi.

– Wejść!

Zajda siedział za biurkiem pod wolno kręcącym się sufitowym wentylatorem i gorączkowo przerzucał kolejne strony grubego notatnika. Wyszukiwał numery telefonów, które potem przepisywał na czystą kartkę, przy każdym dodając dwa, trzy słowa uwag. Na widok Mortki ściągnął okulary, złożył je i schował do kieszeni mundurowej koszuli. Potem pokazał komisarzowi dłonią krzesło naprzeciwko siebie. Policjant zajął wskazane miejsce.

Komendant wyciągnął z szuflady biurka popielniczkę. Położył ją na porysowanym blacie i sięgnął po papierosy. Wsadził sobie jednego do ust, zapalił, a później przesunął paczkę błękitnych LM-ów w stronę komisarza.

– Zapalisz?

– Nie. Dziękuję.

Zajda kiwnął głową ze zrozumieniem. Był średniej budowy. Miał czarne, przyprószone siwizną włosy, zadbane wąsy i lekko opaloną twarz. W młodości zapewne był wysportowany i nawet przystojny. Teraz jednak najbardziej pasowało do niego jedno słowo – sflaczały.

– Dobrą robotę wczoraj odwaliliś, Mortka – powiedział, bawiąc się trzymanym między palcami papierosem.

– Dziękuję.

– Chociaż teraz czuję się tak, jakby gówno właśnie nam wpadło w wentylator. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak.

– To dobrze. Sprawę poprowadzi komisarz Lupa. Jest już po spotkaniu z prokuratorem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? W końcu to ty znalazłeś zwłoki.

– Absolutnie nie.

To było naturalne rozwiązanie. Mortka przebywał tu tylko tymczasowo. Wkrótce miał wracać do Warszawy, a Lupa to najbardziej doświadczony z miejscowych policjantów.

– Bardzo nam zależy na twojej pomocy – kontynuował Zajda. – Jak pewnie zdążyłeś się już zorientować, nieczęsto zdarzają nam się takie znaleziska. Dlatego chciałbym, żebyś był konsultantem w zespole Lupy tak długo, jak to tylko możliwe.

– Oczywiście. Coś jeszcze?

Komendant zgniół w popielniczkę na wpół wypalony papierosa i odchylił się na krześle. Przyglądał się Mortce jak chytry lis, który właśnie podkrađa się do swojej ofiary, a gdzieś pod wąsem błąkał mu się tajemniczy uśmieszek.

– Wiesz, że znam twojego szefa? Andrzejewskiego.

– Nie wiedziałem – odpowiedział zgodnie z prawdą Mortka, ale nie był zaskoczony. To wiele tłumaczyło. Jego transfer do komisariatu w Krotowicach odbył się nadzwyczaj szybko i sprawnie.

– Byliśmy w jednej drużynie siatkówki w Szczytnie. Potem nasze drogi trochę się rozeszły, ale ciągle utrzymujemy ze sobą kontakt. Trafiliś do nas, bo Andrzejewski zadzwonił do mnie i poprosił o pomoc. Powiedział, że jeden z jego ludzi trochę się pogubił. Stwierdził, że musisz pobyć gdzieś, gdzie nabierzesz dystansu. Zgodziłem się, bo czemu nie? Kiedy do nas przyjechałeś, zauważyłem, że bardzo przypominasz Andrzejewskiego. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie za bardzo.

– Po prostu wy z Warszawy, zresztą ci z Wrocławia też, ale trochę mniej, zawsze macie taki skrzywiony wyraz twarzy. Wyglądacie jak skwaszone chuje. Długo zastanawiałem się, z czego to się bierze. Wreszcie do mnie dotarło. Po prostu w Warszawie każdy gnojek, który ledwo co skończył jakieś SGH czy coś takiego, zarabia więcej od was. To musi dołować, co?

Mortka wzruszył ramionami, próbując ukryć, że Zajda trafił w sedno. Tymczasem komendant postukał palcem w biurko.

– Tutaj jest inaczej. Tutaj to ja dowodzę najatrakcyjniejszym zakładem pracy w regionie. Myślę, że Andrzejewski o tym wie i dlatego chciał, żebyś przyjechał do nas. Żebyś zobaczył, jak wygląda życie poza stolicą.

– Dlaczego mi pan o tym mówi?

– Bo chcę, żebyś zrozumiał, o co teraz będziemy walczyć. Widzi pan, komisarzy, ta sprawa to łakomy kęs. Dawno nie mieliśmy tutaj nic równie interesującego. A z komendy wojewódzkiej płyną sygnały, że będą nam w regionie ciąć etaty. Krotowice podobno są pierwsze na liście. Niespecjalnie mnie to dziwi. W mieście spada liczba mieszkańców, młodzi wyjeżdżają, więc zmienia się struktura demograficzna. Słowem, przestępczość i tak będzie spadać, bo starszokowie nie mają przecież siły rozrabiać. Ale jakkolwiek to jest słuszne, będę bronił tego komisariatu, swoich ludzi i ich pracy. I chociaż wiem, że policjanci z Jeleniej chętnie przejęliby od nas tę sprawę, to zrobię wszystko, żeby im to uniemożliwić. Bo to my musimy się wykazać, to my musimy udowodnić, że jesteśmy potrzebni, to my musimy uratować etaty! – Komendant zakończył swoją przemowę i spojrzał znacząco na Mortkę. – Ktokolwiek to zrobił, komisarzy, ktokolwiek zabił te biedne kobiety, znajdźcie tego skurwiela. Macie z Lupą dostęp do wszystkich naszych zasobów. Tylko go, kurwa, znajdźcie. Bo jeśli tego nie zrobicie, to kto wie, może za rok tego komisariatu już tutaj nie będzie.

Zajda ruchem głowy dał znak, że rozmowę należy uznać za zakończoną. Sięgnął po kolejnego papierosa. Dłoń, w której trzymał zapalniczkę, lekko drżała.

Mortka wyszedł z gabinetu i natychmiast natknął się na Lupę. Komisarz czekał na niego, opierając się o ścianę ze zwieszoną głową. Drzemał. Mortka położył mu dłoń na ramieniu i delikatnie potrząsnął. Policjant poderwał się gwałtownie.

– Czego chciał od ciebie „księciunio”? – zapytał, mrugając, jakby chciał udowodnić, że wcale nie spał.

„Księciunio” – tak nazywano komendanta. Mortka nie wiedział dlaczego.

– Potem ci opowiem. Najważniejsze jest to, że mam być twoim konsultantem.

– To dobrze.

– Podobno prowadzisz śledztwo?

– Aha.

– Jak spotkanie z prokuratorem?

– To podwładny dobrego kumpla Zajdy. Stary przekonał swojego przyjaciela, żeby nie zlecać niczego Jeleniej i zostawić wszystko u nas. I to jest chyba wiadomość dnia.

Zamilkli na moment. Lupa wyglądał na wyczerpanego. Mortka pospał te kilka godzin i zdążył zjeść dobre śniadanie. Jego kolega był na nogach całą noc. Być może urwał przez ten czas żałosne dwadzieścia minut drzemki w samochodzie.

– Co z Martą? – zapytał Mortka. – Są już jakieś wieści?

– Tak. Są. Właściwie to wiemy już wszystko. Jest wychłodzona, wyczerpana, ale nic jej nie grozi. Nie ma żadnych obrażeń zewnętrznych. I, co najważniejsze, nie ma żadnych śladów gwałtu.

Komisarz aż stęknął zaskoczony.

– To znaczy, że...

– Z obdukcji lekarskiej wynika, że nie tknęła jej nawet małym palcem – sprecyzował Lupa.

– To co tam się stało?

– Wysłałem do Gawrysiów jednego z naszych ludzi z dobrymi wiadomościami. Kiedy je przekazywał, pękł ich syn, starszy brat Marty. Nasz chłopak trochę go przycisnął i okazuje się, że ten cały syf to jego sprawa.

– Opowiadaj.

– Z wyjaśnień chłopaka wynika, że poszedł się bawić w okolicy starej sztolni z dwoma kolegami. Odryli ją niedawno. Nikt się tam nie zapuszcza, więc mieli spokój. Mogli strzelać petardami i walić konia

nad wykradzionymi rodzicom pornosami. Przeszkadzała im tylko mała Marta. Podobno ciągle się za nimi włóczyła. Tamtego dnia odnalazła ich dopiero wczesnym popołudniem. Przy kopalni, oczywiście. Chcieli jej zwiać, ale zagroziła, że poskarży się rodzicom, że palą.

– A palili?

– Jeden z nich wykradł starym dwie fajki. Nic wielkiego, ale trochę się przestraszyli. Wpadli więc na głupi pomysł. Stwierdzili, że będzie mogła należeć do ich bandy, jeśli przejdzie próbę.

– Wprowadzili ją do podziemi – domyślił się Mortka.

Lupa przytaknęła.

– Wejścia nie zabezpieczono wystarczająco dobrze. Pomiędzy deskami było dość miejsca, żeby te małe gnojki mogły się prześliznąć. Wcześniej trochę badali wnętrze kopalni, ale tamtego dnia weszli naprawdę głęboko. W rejon, w które do tej pory się nie zapuszczali. A potem zabrali dziewczynie latarkę i po prostu uciekli. Zostawili ją samą, w zupełnych ciemnościach. Podobno byli przekonani, że wkrótce sama wyjdzie i da im wreszcie spokój. Ale ona najwyraźniej straciła orientację. Zamiast iść w kierunku wyjścia, poszła w przeciwną stronę. W głąb.

– I w pełnym przypadkiem trafiła na ciała.

– Tak właśnie. A gówniarze ze strachu nikomu nic nie powiedzieli. Nawet wtedy, kiedy Marta nie wróciła na noc do domu – zakończył Lupa.

Mortka pokręcił z niedowierzaniem głową. Ile lat miał syn Gawrysiów? Jeśli dobrze pamiętał, to trzy-nastie. Trzy-nastie lat i o mało co nie zabił własnej siostry.

– W takim razie ten Bratkowski... – zaczął ostrożnie.

– Wszystko wskazuje na to, że tylko podwiózł ją dwa kilometry w górę i grzecznie wysadził. Nie mamy najmniejszego dowodu na to, żeby zrobił jej jakąkolwiek krzywdę – powiedział ponuro Lupa.

– Ale pozostaje jeszcze sprawa Adeli?

– Tak.

Mortka podrapał się po czole, rozważając coś. W tej sytuacji nie mieli czasu, żeby ganiać po lesie i szukać ciała cygańskiej dziewczynki, bazując na opowieściach pedofila-mitomana. Ale przecież Bratkowski przyznał się do dwóch gwałtów i dwóch morderstw. Jedna sprawa już została rozwiązana, ale nie mogli zlekceważyć drugiej.

– Czy Bratkowski wie, że znaleźliśmy Martę? – zapytał komisarz.

Lupa pokręcił przecząco głową.

– I niech tak zostanie – stwierdził Mortka. – Chodźmy do niego i załatwmy tę sprawę jak najszybciej. Wcześniej jednak chciałbym zobaczyć film ze wczorajszego przesłuchania. I daj mi, proszę, numer do Kaśki. Chciałbym z nią porozmawiać.

Podniosła z koszyczka garść potpourri i spomiędzy jej palców uniósł się słodki ziołowy zapach, zupełnie różny od oparów starego tłuszczu i taniego alkoholu, które niepodzielnie panowały w jej rodzinnym domu, oraz ostrego chlorowego odoru domestosu, zawsze kojarzącego się jej z okresem, który spędziła na „służbie” u Szausnerów.

Ilekczo przypominała sobie tamten czas, wydawało jej się, że całe pięć lat spędziła na kolanach, mijając podłogi oraz okna. (Co ciekawe, Szausnerowa nigdy nie pozwoliła jej zmywać talerzy. Twierdziła, że Cyganka ma toporne dłonie i na pewno zniszczy zastawę). To oczywiście nie mogła być prawda. Wiedziała przecież, że dużo wtedy czytała, a jej gospodyni, czy też „pani”, jak kazała się nazywać, uczyła ją w wolnych chwilach matematyki i języka angielskiego. Od czasu do czasu pozwalała jej również wychodzić na miasto z kilkoma złotymi w kieszeni. Kaśka włóczyła się wtedy po Wrocławiu, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Przechodnie obrzucali ją niechętnymi spojrzeniami, równocześnie zaskoczni, że nie zebrze i nie ma bandy dzieciaków uczepionych spódnicy. Wreszcie lądowała w empiku,

gdzie siedząc w kucki na podłodze, przeglądała książki, zawsze pod czujnym okiem kogoś z obsługi, kto tylko czekał, aż spróbuje coś ukrąść, żeby wreszcie móc wezwać ochronę.

Początkowo wydawało się jej, że Szausnerowa jest wcielonym aniołem. Bo jak można inaczej myśleć o kobiecie, która nie zadając zbędnych pytań, decyduje się przyjąć pod swój dach przerażoną, zmarznąętą trzynastoletnią cygańską dziewczynkę? Uczucie wdzięczności zmieniło się stopniowo w nienawiść, kiedy jej „pani” zrzucała na nią kolejne domowe obowiązki („Musisz zarobić na swoje utrzymanie” – mawiała), znalazła w Kaście wdzięczny obiekt do wyładowywania swoich frustracji („To ma być według ciebie posprzątane, ty śmierząca cygańska brudasko?!”), oskarżała ją o wymagowane przewinienia („Gdzie jest mój naszyjnik?! Pewnie ty go ukradłaś. Zawsze wiedziałam, że jesteś małą złodziejką!”), a wreszcie straszyla tym, że albo wyrzuci ją z powrotem na ulicę („Jak ty tam sobie poradzisz? Pewnie się będziesz puszczać albo kraść, co?”), albo zawiadomi jej rodziców, gdzie się ukrywa („Zobaczysz. Zaraz tu przyjadą i od razu oddadzą cię temu twojemu Romeowi, od którego uciekłaś. Ale nie po to, żeby się z tobą ożenił. O nie, to już przepadło. On cię tylko wykorzysta i zostawi, śmierdzielu!”). Anioł z domostosem zmienił się w diabła.

Mąż Szausnerowej był natomiast całkowicie podporządkowany żonie i ograniczył się do obrzucania Cyganki lubieżnymi spojrzzeniami. Jednak do niczego nigdy nie doszło. Za bardzo bał się małżonki, żeby zbliżyć się do służącej. A był taki czas, kiedy Kaśka chciała przyjąć go między swoimi udami tylko po to, żeby zrobić na złość „pani”.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z rozmyślań o przeszłości. Odłożyła płatki potpourri do miseczki i sięgnęła po aparat.

– Tak?

– Komisarz Jakub Mortka. Nie wiem, czy mnie pani pamięta, spotkaliśmy się wczoraj.

Serce zaczęło jej bić szybciej.

– Tak. Kuba, pamiętam. Czy chodzi o Adelę?

– Poniekąd. Ale proszę się nie martwić. Nie znaleźliśmy jej... – usłyszała w jego głosie wahanie. Nie chciał powiedzieć tego jednego słowa: „ciała”. Nie znaleźli jej „ciała”.

– O co w takim razie chodzi?

– Chciałbym pani zadać jedno pytanie.

– Jakie?

Wypowiedział je, a ona zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem, po co ci to.

– Nie mogę pani teraz tego wytłumaczyć. Ale to może być ważne. Pomoże mi pani?

– Tak, oczywiście.

Odpowiedziała mu najlepiej, jak potrafiła. Podziękował i się rozłączył. Katarzyna Kowal jeszcze przez długą chwilę stała pośrodku mieszkania z telefonem w dłoni i nerwowo zagryzała wargę. Coś się dzieje, pomyślała, a w okolicach krzyża poczuła ukłucia rosnącego z każdą sekundą niepokoju.

Coś się dzieje.

Mortka otworzył drzwi od celi, gdzie na starej pryczy z kocem pod głową leżał Grzegorz Bratkowski. Z powodu niespodziewanych wypadków nikt nie pomyślał, żeby przewieźć go do aresztu w Jeleniej Górze, więc mężczyzna spędził noc na komisariacie. Na widok policjanta usiadł i podrapał się po brodzie.

– Znaleźliście je? – zapytał.

– Nie. Jeszcze nie. Ale szukamy.

Komisarz wniósł do celi krzesło i ustawił je naprzeciwko Bratkowskiego. Wziął od Lupy dwa kubki kawy. Jeden podał zatrzymanemu, drugi zostawił sobie.

– Dostanę też śniadanie? Jestem głodny.

- Za chwilę. Najpierw odpowie nam pan na kilka pytań.
- Może nie chcę?
- To może nie dostanie pan śniadania.
- Przecież nie możecie tego robić! To torturowanie zatrzymanego, dręczenie!

Mortka zaśmiał się ostro i szyderczo.

– Rozumiem, że dzięki protekcji tatusia pana dotychczasowe kontakty z policją odbywały się na bardzo, nazwijmy to, przyjacielskiej stopie. Ale teraz sytuacja jest inna. Przyznał się pan do zgwałcenia i zabicia dwóch małych dziewczynek. Tatuś panu już nie pomoże. Nikt panu nie pomoże. Proszę się przyzwyczaić do tej myśli.

Komisarz wziął łyk kawy i odłożył kubek na podłogę. Usiadł naprzeciwko Bratkowskiego i nachylił się ku niemu.

– W takiej sytuacji policjanci pozwalają sobie na różne rzeczy, których teoretycznie nie powinni robić. Odmowa śniadania to teraz pana najmniejszy problem. Bardziej bym się martwił tym, do jakiej celi pan trafi, kiedy pana stąd zabierzemy. Kim będą współaresztanci i... – zawiesił głos – ile będą o panu wiedzieć. Bo wie pan, jedno słowo i pańskie życie zmieni się w piekło.

Uderzył Bratkowskiego wyprostowanym palcem w sam środek piersi, a ten się skulił, jakby właśnie dostał cios pięścią prosto w nos.

– Dlatego odpowie nam pan na kilka pytań. A kiedy pan już to robi, to w nagrodę dostanie pan małe papu. Jasne?

– Tak.

– Adela Siwak. Pańska pierwsza ofiara. Cyganka. Pamięta pan?

– Tak. Oczywiście, że pamiętam.

– Proszę mi opowiedzieć, co pan z nią zrobił.

– Zgwałciłem ją. Potem zabiłem i zakopałem ciało.

– To już wiem. Proszę mi opowiedzieć ze szczegółami.

– Po co?

– Bo może lubię słuchać. Nie twój zasrany interes. Opowiadaj.

– No więc... Spotkałem ją, jak wędrowała samotnie po mieście. Najpierw ją długo obserwowałem, by upewnić się, że...

– Nudy – przerwał mu Mortka. – Opowiedz mi lepiej o bliźnie.

– Bliźnie?

– Tej po operacji wycięcia wyrostka robaczkowego. O tu...

Wskazał na prawą stronę własnego brzucha. Bratkowski uśmiechnął się lekko, a oczy zasnuła mu mgła rozmarzenia.

– Tak. Pamiętam. Jej blizna. Była jak biały kwiat na jej ciemnej skórze. Cudowne, blade uwypuklenie.

– Dotykał go pan?

– Oczywiście, że tak! To było tak, jakby miała biżuterię wszytą w to cudowne, drobne, ciemne ciało. Ja lubię takie abstrakcyjne wzorki, więc kiedy zobaczyłem tę bliznę, od razu mi stanął.

– Rozumiem.

Mortka sięgnął po kubek z kawą. Wypił kolejny łyk i spojrzał na stojącego bez ruchu w drzwiach Lupę.

– Słyszałeś to wszystko?

– Tak.

– To dobrze.

Komisarz odwrócił się do Bratkowskiego i westchnął ciężko. Nie podobało mu się to, co teraz zamierzał powiedzieć. Najchętniej wstałby, zamknął drzwi od celi i zapomniał, że ktokolwiek tam jest.

– Wczoraj znaleźliśmy Martę – oznajmił, a siedzący naprzeciwko mężczyzna drgnął. – Nic jej nie jest. Żyje i nie została zgwałcona ani przez pana, ani przez nikogo innego.

Bratkowski zgiął kark, jakby właśnie na ramiona spadło mu kowadło.

– Co? – wyjąkał.

– Znaleźliśmy ją – powtórzył policjant. – Nikt jej nie skrzywdził. Jest pan wolny.

– Ale Adela – szepnął Bratkowski.

– Właśnie. Adela... – Mortka zrobił krótką przerwę. – Przejrzałem zapis filmowy naszej wczorajszej rozmowy. Nie powiedział pan na temat tej Cyganki niczego, czego wcześniej nie dowiedział się pan od nas. Niech pan przyzna, nic pan o niej nie słyszał, dopóki nie wspomniał o niej mój kolega, prawda?

– Ale ja... ale blizna!

– Sprawdziłem. Ta blizna, o której pan z takim entuzjazmem nam opowiadał... Adela nigdy nie miała operacji wycięcia wyrostka robaczkowego.

Mortka wstał i odsunął krzesło pod ścianę. Cofnął się dwa kroki, żeby zrobić Bratkowskiemu przejście.

– Nie dostanie pan od nas śniadania. Nie popełnił pan zbrodni, do których się przyznał, więc jest pan wolny. Sam pan sobie kupi bułkę i jogurcik. Proszę jednak nie opuszczać okolicy. Być może będziemy musieli z panem porozmawiać, a może ktoś będzie próbował panu postawić zarzuty za utrudnianie pracy policji. Mnie osobiście nie chce się w to bawić, ale kto wie, czy ktoś bardziej pracowity nie będzie miał na ten temat innego zdania.

Bratkowski nie ruszył się z miejsca. Podniósł tylko głowę i spojrzał na Mortkę. Był całkowicie błądy. Drżała mu dolna warga, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– Pan nie rozumie – powiedział bardzo powoli. – Mam bardzo poważny problem.

– Widzę. Jeśli będzie pan chciał, możemy się spotkać w przyszłości. Dam panu namiary do kilku psychologów, którzy prowadzą terapię dla osób z pańskimi... skłonnościami.

– Nie. To nie wystarczy! To nie wystarczy! Ja w końcu zrobię komuś krzywdę! Słyszysz mnie pan?! Słyszysz?! Trzeba mnie powstrzymać, zamknąć gdzieś! Z tą dziewczynką było przecież tak blisko. Miałem ją, mogłem zrobić z nią wszystko. Wysiadła! Tak, kurwa, w końcu wysiadła, ale była ze mną tak długo! Nie rozumie pan tego?! Teraz się udało, ale w końcu komuś zrobię krzywdę!

– I wtedy spotkam się ponownie – odpowiedział Mortka. – A teraz pokażę panu drogę do wyjścia.

– Skurwiel! – wrzasnął Lupa i uderzył pięścią w blat stołu, aż przewrócił się stojący na nim kubek z herbatą.

Mimo że zbliżało się zebranie, Mortka nawet nie starał się uspokoić kolegi. Wiedział, że nie miałby teraz najmniejszych szans. Lupa był wściekły: na Bratkowskiego, na to, że mężczyzna ich oszukał, i na to, że musieli go wypuścić. Na całą tę niespotykaną i dziwną sytuację.

Mortka doskonale to rozumiał. Sam odczuwał coś na kształt palącego, gniewnego rozczarowania. Bratkowski nie powinien wyjść z komisariatu wolny, ale tak właśnie się stało i nic nie można było na to poradzić. Taką gorzką pigułkę każdy policjant przeżywał w swoim życiu wiele razy. Ale teraz boleśnie odczuli niemoc. Właśnie wypuścili pedofila. I to takiego, który najwyraźniej sam chciał trafić do więzienia, do miejsca wolnego od pokus.

Lupa, szalejący po pokoju, zatrzymał się gwałtownie, jakby właśnie zderzył się z niewidzialną ścianą.

– Wiesz, co on może zrobić? – zapytał Mortkę.

– Wiem – odpowiedział komisarz. – Co nie zmienia faktu, że możemy mu teraz naskoczyć.

– A wprowadzanie w błąd policji? Fałszywe zeznania?

– I za to chcesz go trzymać w celi? Jak myślisz, ile czasu zajmie, zanim jego adwokat dobierze się nam do tyłków? A koledzy jego tatusia z prokuratury?

– Mamy nagranie.

– A oglądałeś je w ogóle? – zapytał, starając się, żeby jego głos brzmiał jak najbardziej chłodno. – Wiesz, jak to wygląda? Byle papug jest w stanie udowodnić, że wymusiliśmy na nim przyznanie się do winy. I szczerze mówiąc, niewiele się pomyli. Dorzuc do tego jakieś kłamstwka o tym, że go zastraszaaliśmy i groziliśmy mu śmiercią, a wiemy przecie, że Bratkowski potrafi pięknie kłamać, i zobaczysz, jak głęboko jesteśmy w dupie. Pewnie wyglądałoby to inaczej, gdyby naprawdę zrobił to, do czego się przyznał. Ale nie zrobił. Naprawdę chcesz walczyć z całym tym gównem teraz, kiedy znaleźliśmy cztery zamordowane kobiety?

Lupa spojrział na niego z wyrzutem.

– Bo ty tu nie mieszkasz – wycedził przez zęby.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jak wreszcie ten gnojek przeleci jakąś dziewczynkę, to nie będzie to twoje dziecko. Ani nikogo, kogo znasz.

Mortka zeszywniał. Te słowa były jak celnie wymierzony policzek. Lupa miał rację.

– Możecie go wziąć na obserwację. Liczyć na to, że go uprzedzicie, kiedy nadejdzie ten moment – odpowiedział cicho po kilku chwilach zastanowienia. – Najlepiej by było jednak, gdybyś pogadał z prokuratorem. Zdobądź zezwolenie na przeszukanie domu Bratkowskiego. Już raz dał się złapać na posiadaniu dziecięcej pornografii. Tacy ludzie lubią popełniać ten sam błąd dwa razy. Od jego dostawcy internetu wydobądź dane na temat tego, na jakie strony wchodzi. Może znajdziesz tam ciekawe adresy, dzięki którym będziesz mógł postawić prawdziwe, twarde zarzuty. Nie to, co tutaj. Bo jeśli teraz na niego naskoczymy, to sami położymy głowę pod topór. A ja już miałem jedną dyscyplinarkę i na razie mi wystarczy.

– Tak, tak – mruknął jakby spokojniejszy Lupa. – Być może tak właśnie trzeba będzie zrobić.

Drzwi od pokoju otworzyły się i do środka wszedł Zajda. Kiwnął głową Lupie i Mortce, a potem gwizdnał. Za nim wmaszerowała reszta pracujących w Krotowicach policjantów. Usiedli na uprzednio

przyniesionych tam krzesłach. Było ich zaledwie dwudziestu, ale i tak pomieszczenie okazało się za małe i trzy osoby musiały stać w drzwiach.

Zajda poczekał, aż wszyscy zajmą miejsca i ucichnie szum. Potem chrząknął głośno, żeby zwrócić na siebie uwagę. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo wszyscy i tak wpatrywali się w niego jak w święty obrazek.

– Wiecie już pewnie, co się wydarzyło wczoraj, więc nie będę wchodził w niepotrzebne szczegóły – rozpoczął. – Odnaleźliśmy zwłoki czterech kobiet. Wszystkie zostały zamordowane, bestialsko okaleczone, a ich ciała porzucono w jednej z opuszczonych sztolni. Bóg jeden raczy wiedzieć, ile tam leżały.

Zrobił przerwę. Obrzucił surowym wzrokiem twarze swoich ludzi.

– To najpoważniejsza i najważniejsza sprawa, jaką kiedykolwiek mieliśmy w Krotowicach – stwierdził z powagą. – Odpowiednie raporty właśnie idą w górę łańcucha dowodzenia. Jest majówka, więc teraz może będziemy mieć trochę spokoju, ale jak tylko skończy się długi weekend, oczy całej dolnośląskiej policji będą zwrócone na nas. I ani trochę tu nie przesadzam. Dlatego oczekuję, że dacie z siebie wszystko, żeby znaleźć sprawcę. To nasz absolutny priorytet. Zrozumiano?

Odpowiedziało mu zbiorowe, nieme potakiwanie głowami.

– Szefem dochodzenia jest komisarz Lupa. Wszyscy go znacie i od tej chwili jesteście na jego rozkazy. Nasz warszawski kolega, komisarz Mortka, będzie konsultantem w śledztwie. Jakies pytania?

Nikt się nie odezwał.

– Znakomicie – powiedział komendant, wyglądając na odrobinę zawiedzionego. – Lupa, przejmujesz pałeczkę.

Zajda usiadł na podsunętym mu krześle, a na środek niechętnie wyszedł krotowicki komisarz. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął pomietą kartkę, którą teraz rozprostowywał i wyglądał energicznymi ruchami.

– Dobrze, chłopaki. Nie mam zamiaru przynudzać. Razem z komendantem wymyśliśmy kilka zasad, których macie przestrzegać. Po pierwsze, mordy w kubel. Wiem, że nie możecie się doczekać, żeby opowiedzieć swoim dziewczynom, żonom, matkom o tym, co się tu dzieje, ale jest zakaz. Was, drogie panie – zwrócił się w stronę dwóch kobiet, jedynych, które służyły w Krotowicach – to też dotyczy. Żadnych ploteczek z przyjaciółkami przy herbatce.

– Ludzie są ciekawi. Co mamy odpowiadać, jak ktoś nas zapyta? – odezwał się ktoś z tylnego rzędu.

– Nic – odwarknął Lupa. – Co najwyżej, że tajemnica śledztwa i że posuwamy się do przodu.

Chrząknął, przykładając pięść do ust. Zastygł w takiej pozie i przeglądał zapisane na kartce notatki.

– Jedziemy dalej – zaczął po krótkiej przerwie. – Druga rzecz, miejcie oczy i uszy otwarte. Wszystkie informacje, jakie zdobędziecie, mają służyć do mnie. Nie do komendanta, nie do któregoś z waszych kolegów, nie do Mortki, nie do cioci Zuzi, ale do mnie. Najlepiej na piśmie w dwóch egzemplarzach. Wreszcie, trzecia i ostatnia rzecz. Tą sprawą będzie się zajmował specjalny zespół. W jego skład wchodzi ja, aspirant Rosecki jako mój zastępca, sierżant Wajtoła oraz starszy posterunkowy Borkowski. Czy są jakieś pytania?

Mortka przyjrzał się zebranym. Nikt się nie poruszył. Wbijali wzrok w Zajdę lub Lupe, jakby zmęczone twarze tych dwóch policjantów skrywały jakieś tajemnice. Komisarz podniósł rękę.

– Tak, Kuba?

– Kto się będzie zajmował kontaktami z prasą?

– Myślisz, że się zainteresują?

– Oczywiście, że tak. Dziwię się, że jeszcze was nie zaatakowali. Jeśli zaraz nie zdarzy się coś innego, coś naprawdę głośnego, musicie być przygotowani na prawdziwy najazd.

– Biorę ich na siebie – powiedział Zajda. – Lokalnych dziennikarzy znam i nie będę miał najmniejszych trudności, żeby ich poskromić. A jak przyjedzie ktoś z jakiegoś TVN-u, to sobie też poradzę.

– No to sprawa załatwiona – stwierdził Lupa. – Są inne pytania?

Nie było. Zajda ogłosił koniec spotkania. Policjanci wyszli, a w salce pozostali tylko ci, których nazwiska wyczytał Lupa. Mortka poznał wszystkich ostatniej nocy. Rosecki i Wajtoła byli razem z nim na dole podczas oględzin miejsca odnalezienia zwłok. Borkowski natomiast, wysoki, dobrze zbudowany chłopak o zaszponionym spojrzeniu, odwoził Mortkę nad ranem do domu. Wyznaczenie właśnie ich do grupy dochodzeniowej wydawało się dobrym wyborem. Nie trzeba było ich wprowadzać i znali dokładnie przebieg dotychczasowych wypadków.

Zajda klepnął Lupę w ramię.

– Muszę zadzwonić w kilka miejsc. Poradzicie sobie sami?

Komisarz kiwnął głową i zamknął drzwi za komendantem. Odczekał kilka sekund, jakby chciał się upewnić, że przełożony naprawdę sobie poszedł, i odwrócił się do reszty.

– No to „księciunia” mamy z głowy – stwierdził. – Słuchajcie, wiem, że wszyscy padamy na ryje ze zmęczenia, ale spróbujmy jeszcze trochę popracować.

Zajął miejsce za stołem. Położył przed sobą trzymaną ciągle w dłoniach kartkę, a obok niej wyjęty z kieszeni długopis.

– Kto się zgłasza na ochotnika, żeby napisać porządną raport z miejsca odnalezienia zwłok?

Wzrok Wajtoły i Roseckiego powędrował w stronę Borkowskiego. Pisanie raportów było najnudniejszą robotą. Nic dziwnego, że chcieli zrzucić to na najmłodszego. Ale Lupa pokręcił przecząco głową.

– Młody jest młody – stwierdził oczywisty fakt. – Nie ma doświadczenia i nie napisze tego dobrze. Wajtoła, ty się tym zajmiesz.

Sierżant zrobił gest, jakby chciał zaprotestować, ale tylko otworzył usta, żeby zaraz je zamknąć. Zrezygnowany, wzruszył kościstymi ramionami i opadł na oparcie krzesła, dając w ten sposób wyraz swojej dezaprobacie.

Do pokoju weszła jedna z policjantek, niosąc przed sobą tacę w kwieciste wzory. Stały na niej czerwony termos z kawą, włożone jeden do drugiego plastikowe kubki oraz talerz z wafelkami kakaowymi. Położyła ją na środku stołu, uśmiechnęła się do Lupy i znikła za drzwiami.

– No to raport mamy załatwiony – powiedział Lupa, przeciągając każde słowo. – Teraz chyba przyszedł czas na sugestie co do dalszych działań. Słucham.

Nie czekając na odpowiedź, sięgnął po wafelka i wsadził go sobie od razu w całości do ust. Szybko pogryzł, przełknął i natychmiast wziął następny. Kilka okruchów przyczepiło mu się do brody. Inni policjanci przyglądali się ponuro Lupie, jakby właśnie okradał ich z drugiego śniadania. Rosecki dodatkowo nerwowo drapał się po policzku tak energicznie, że zostawił na nim trzy czerwone pręgi, ślady po swoich paznokciach.

Mortka nachylił się do przodu. Musiał być ostrożny. Kiedy po raz pierwszy pojawił się w Krotowicach, inni policjanci powitali go z rezerwą i naturalnym w tej sytuacji dystansem. Udało mu się go przełamać tylko dlatego, że od początku trzymał się z boku i dawał wyraźne sygnały, że nie zamierza się ani wtrącać w ich sprawy, ani w jakikolwiek sposób pouczać. Po prostu tu będzie. Zaakceptowali więc jego obecność, tak jak koniec końców akceptuje się nieładny mebel stojący w kącie sypialni. Teraz jednak musiał działać, delikatnie nimi pokierować, ale w taki sposób, żeby nie poczuli się urażeni. Nikt w końcu nie lubi gościa, który rządzi się, jakby był u siebie. Szczególnie jeśli ten gość jest z Warszawy.

– Kiedy będzie raport z sekcji? – zapytał.

Lupa wytarł palce w chusteczkę.

– Dzisiaj wieczorem powinniśmy mieć wstępne wyniki – odpowiedział. – A co? Masz jakiś pomysł, co powinniśmy zrobić?

– Tak.

– Proszę.

Mortka z trudem powstrzymał się od wstania. Gdyby teraz zaczął do nich mówić z góry, z pozycji szefa, zostałyby to źle odebrane. Zamiast tego odwrócił lekko głowę, tak jakby rozmawiał ze ścianą.

Chciał wyglądać na bardziej pokornego.

– Trzeba wytypować sprawców.

– Co to znaczy? – zapytał Rosecki. Miał zmęczony, zachrypnięty głos.

– Musimy sprawdzić w bazach danych, czy w mieście nie mieszka ktoś, kto ma już na koncie wyrok za podobne przestępstwo. Czyli – wyciągnął przed siebie dłoń i zaczął odliczać na palcach – zabójstwo, gwałt, gwałt ze szczególnym okrucieństwem, próba zabójstwa, pobicie z użyciem groźnych narzędzi. Najlepiej, gdyby ofiara była kobietą, ale to nie jest konieczne.

– Co dalej?

– Zrobić z tego listę i po kolei sprawdzać, czy klient może mieć coś wspólnego ze sprawą. Ale z tym bym poczekał, aż będą wyniki sekcji.

– Rosecki? – zapytał Lupa.

Brzuchaty policjant pokiwał głową z wyraźną ulgą. Spodobało mu się przydzielone zadanie. Mortka pomyślał, że aspirant zapewne wykorzysta okazję i kiedy zostanie sam, utnie sobie drzemkę albo dwie z głową na biurku.

– Co dalej, Kuba? – zapytał Lupa.

– Dalej?

– Jezus Maria! – krzyknął komisarz i wyrzucił ramiona w górę. – Nie kryguj się jak panienka, która chce pierwszy raz dać dupy, ale się boi, żeby nie wzięli jej za łatwą. Przecież widzę, że masz już w głowie plan. Ulżyj i nam, i sobie i po prostu powiedz, co trzeba zrobić.

Borkowski zachichotał pod nosem, ale spiorunowany spojrzeniem Lupy natychmiast zamilkł, a na policzki wystąpiły mu rumieńce wstydu. Zainteresował się czubkami swoich butów, na których najwyraźniej odkrył nagle coś wyjątkowo ciekawego.

– Dobrze, Lupa. Zacznijmy w takim razie od tego typowania. Mieliście już u siebie coś podobnego?

– Takiego to nie – mruknął Wajtoła. – A z tych innych rzeczy, co mówiłeś, to wydaje mi się, że wszyscy siedzą. No może oprócz pobić z użyciem niebezpiecznych narzędzi. Co pewien czas się zdarza, że w piątek wieczór jeden z drugim skoczą sobie do gardeł z nożami.

– Zróbcie listę. A niewyjaśnione sprawy? Zabójstwa, morderstwa, gwałty?

Policjanci spojrzeli po sobie, nawzajem szukając odpowiedzi na swoich twarzach.

– Mieliśmy gwałt na jesieni. Chyba w listopadzie – przypomniał sobie Rosecki. – Dziewczyna wracała nocą z imprezy. Szła skrótem przez pola i tam ktoś ją napadł, a potem zgwałcił. Ale szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy to przypadkiem nie był kawał.

Mortka potrzęsła głową, nie rozumiejąc.

– Jak to kawał? Zgłoszenie przestępstwa to był żart czy ktoś ją zgwałcił dla dowcipu?

– No nie! – zaprotestował Rosecki i chwycił za blat stołu tak mocno, aż zbiełały mu kłykcie. – Ta dziewczyna jest z takiego środowiska, że z nimi to nigdy nie wiadomo. Poza tym była nawalona jak rażdzianki czołg. Kto wie, może się z kim umówiła na tym polu. Musisz wiedzieć, że to był taki skrót, co to jej był nie po drodze. Albo spotkała kogoś i od słowa do słowa. Sam rozumiesz. A ponieważ była pijana, to potem, jak się obudziła w bloku i bez majtek, nic nie pamiętała. I od razu, że gwałt. Ale żeby nie było. Zgłoszenie przyjęliśmy, sprawę zbadaliśmy...

– Sprawca niewykryty – dokończył Mortka, uśmiechając się kwaśno. – Wróćcie do tego. Przeczytajcie akta, porozmawiajcie z tą dziewczyną. Może sobie coś przypomniała.

– Rosecki, to też spada na ciebie – zdecydował szybko Lupa.

Aspirant wznosił oczy do nieba, ale pokiwał głową na znak, że się zgadza. Najwyraźniej uważał, że to polecenie nie ma większego sensu, ale skoro musi, to zrobi to, co do niego należy. Mortka nie lubił takich policjantów. Wolał już ludzi, którzy się kłócą, protestują i przynajmniej w ten sposób dają dowody zaangażowania. Ci, którzy tylko potakują, najczęściej odfajkują swoje obowiązki najszybciej, jak to możliwe, nie poświęcając własnym działaniom ani sekundy i myślą więcej, niż to konieczne.

– Dobrze – powiedział Rosecki. – Ale to nie tak, że nie wykryliśmy sprawcy. To ta dziewczyna wycofała zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa.

– Kiedy?

– Właściwie zaraz po tym, jak je złożyła. Nie wiem, czy minęło piętnaście minut.

– I co zrobiliście? – zapytał Mortka.

– A co mieliśmy zrobić?

– Przekonać ją jakoś, żeby się nie wycofywała.

– Jak?

Mortka już otwierał usta, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że dalsza rozmowa jest bezcelowa. Rosecki po prostu nie widział problemu. Było zgłoszenie, zgłoszenie zniknęło. Nawet nie zdążyło zaśmiecić im statystyk.

– Inne przypadki?

– Sprawdzimy. Ale raczej nic, a przynajmniej nic, o czym byśmy wiedzieli.

– Chyba że u czarnuchów – mruknął Borkowski.

Młody policjant wyprostował się gwałtownie, kiedy poczuł na sobie wzrok innych.

– A nie mam racji?! Nie gadaj z nami. Nie wiemy, czy się tam na Harlemie nie gwałcą dwadzieścia cztery godziny na dobę! A zresztą, stamtąd, gdzie tę dziewczynę zgwałcono, to do Harlemu niedaleko. Trzeba tylko przejść przez ulicę i...

– Tutaj jest wszędzie niedaleko – przerwał mu twardo Lupa. – Ale masz rację. Weźmiemy tę hipotezę pod uwagę.

Borkowski odebrał te słowa jako pochwałę i z zadowoleniem rozsiadł się na krześle, zakładając ręce na brzuchu. Nikt inny nie skomentował jego słów, więc Mortka również postanowił tego nie robić. Zamiast tego powiedział:

– Kolejna rzecz to zidentyfikowanie ofiar. Tym oczywiście będziemy mogli się na poważnie zająć w momencie, kiedy dostaniemy raport od patologa. Ale już można przeprowadzić wstępną selekcję. Czy w okolicy zanotowano w ostatnim czasie, powiedzmy do roku, zaginięcie kobiet w wieku do lat czterdziestu? Najpierw sprawdzamy Krotowice, później pobliskie wsie i miasta, województwo, a wreszcie całą Polskę.

– Kupa żmudnej, nikomu niepotrzebnej roboty – skomentował Lupa. – Borkowski. Ty się tym zajmiesz.

– Nie... – jęknął policjant.

– Tak – odpowiedział Lupa. – A myślałeś, że co tu będziesz robił? Ciesz się, że nie każę ci kawy parzyć.

– Bo Marysia wcześniej przygotowała – dorzucił Rosecki.

Zarechotali wszyscy prócz Mortki i młodego, który teraz wrócił do swojego zwyczajowego zasepionego i naburmuszonego wyrazu twarzy.

– Coś jeszcze, Kuba?

– Nie. Chyba nie. Jeśli coś mi przyjdzie do głowy...

– Powiadomisz mnie. – Lupa klasnął i wstał z miejsca. – Wiecie, panowie, co macie robić. Gdyby coś wyszło, to znacie mój numer telefonu. Widzimy się tutaj jutro – zrobił przerwę, żeby spojrzeć na zegarek – niech będzie, że o ósmej rano. Chcę, żeby każdy z was miał się wtedy czym pochwalić.

Zanim wyszli, Rosecki z Wajtołą nalali sobie jeszcze kawy, a Borkowski porwał garść wafelków. W salce pozostali już tylko Mortka z Lupą. Miejscowy policjant opadł na krzesło i odetchnął głośno. Był zupełnie wyczerpany. Zamknął oczy i zaczął masować sobie skronie.

– Łeb mnie napierdala – poskarżył się.

– Gdzieś mam ibuprom.

– Nie. Nie chcę. Potrzebuję kilku godzin snu. Niewiarygodne, co?

– Co takiego?

– Jak się postarałem. Kiedy byłem w CBS i pracowałem jako przykrywkowiec, zdarzały się noce, że non stop piłem, ćpałem, paliłem, potem wracałem do lokalu, gdzie czekała na mnie taka jedna zołza od nas z biura i pilnowała, żebym od razu napisał raport na temat tego, co się wydarzyło. Minuta po minucie, kto co zrobił, co powiedział, kogo przeruchał. No to pisałem. Przez kilka godzin. Potem szybki prysznic, żarcie i jazda z powrotem na miasto, do pracy. I żyłem. A teraz? Jedna nieprzespana noc, a ja czuję się, jakby przejechał po mnie walec.

Mortka podszedł do termosu. Wziął kubek, nalał sobie kawy. Potem spróbował wafelka. Było w nim za dużo cukru, a za mało kakao, ale smakował niezłe.

– Powinieneś wywalić z zespołu Borkowskiego – rzucił.

– Dlaczego?

– Bo on już wie, kto to zrobił.

– Kto?

– Cyganie.

– Jezu... Nie czepiaj się tak chłopaka. Przecież teraz miał rację. Jasne, powiedział to, jak powiedział, ale miał rację.

– Nie chodzi tylko o to. Kiedy odwoził mnie nad ranem, też stwierdził, że to na pewno czarnuchy są winne. On jest uprzedzony. Czepił się tej myśli o Cyganach i nie będzie zauważał niczego, co mu nie pasuje do koncepcji.

Lupa wzruszył ramionami.

– Może i tak, ale potrzebuję kogoś młodego, silnego i z głową na karku. Jak zdążyłeś się zorientować, nie mam tutaj wielkiego wyboru. On był najlepszy. Coś jeszcze? Kolejne uwagi?

– Nie.

– Jestem umówiony z patologiem o szóstej w szpitalu u Nowaka, możesz przyjść, jeśli chcesz. A teraz wybacz, ale nie dam rady. Jadę do domu.

Przechylił się na krześle, jakby miał z niego spaść, ale w ostatniej chwili poderwał się i złapał równowagę. Pożegnał się z Mortką skinieniem głowy i wkrótce komisarz został w salce sam z na wpół opróżnionym termosem i kilkoma nadkruszonymi wafelkami na białym talerzu.

Rozmyślał o członkach zespołu. Rosecki i Wajtoła mieli wszystkie cechy złych policjantów: oszczędność w ruchach i myślach, rozczarowanie, brakowało im choćby odrobiny gniewu, nie okazywali zaangażowania. To nawet nie do końca były wady. Mortka wiedział, że nie należy się spodziewać po nich własnej inicjatywy, ale przydzielone zadania będą wykonywać sumiennie, chociaż bez entuzjazmu. O ile tylko się ich dobrze przypilnuje. Do tego doświadczenie mówiło mu, że tacy funkcjonariusze są jak ten wielki, miły pies, pupił całej rodziny, który nigdy nikogo nie ugryzł, ale jak go szturchać dostatecznie długo kijem, to rzuci się na ciebie i rozerwie gardło jednym kłapięciem. Mortka zastanawiał się tylko, czy miał do dyspozycji wystarczająco długi patyk. Martwił go natomiast Borkowski, i to nie tylko ze względu na cygańskie uprzedzenia. Chłopak był starszym posterunkowym. Ile mógł służyć? Dwa, trzy lata? Tacy młodzi jak on ciągle wierzą, że pracują w policji, żeby walczyć ze Złem. Aż się pałają do akcji, a w nocy, na patrolu puszczają w radiowozie na cały regulator Błękit Policyjnych Lamp: *Kim w ogóle jesteś, że nazywasz nas psami / Wy, kurwy z ulicy, jesteście zerami / Solą w oku miasta – my porządek siejemy / Wjeżdżamy pełną kurwą, patologii kres niesiemy*. Tymczasem w spojrzeniu Borkowskiego komisarz dostrzegał taką apatię, jakby chłopak zdążył się już zderzyć ze ścianą.

Wyszedł z komisariatu wprost na skąpane w wiosennym słońcu podwórze. Minął radiwozy na parkingu, bramę wejściową, a potem skręcił w prawo, żeby stanąć po kilku krokach. Z konsternacją obserwował mijających go mężczyzn, ubranych w zbyt grube na tę pogodę garnitury, oraz kobiety, z których

każda miała na sobie najlepszą bluzkę i sięgającą za kolana spódnicę. Dopiero po chwili do Mortki dotarło, że jest niedziela, a ludzie wracają właśnie ze mszy w pobliskim kościele.

Po drugiej stronie ulicy kilka osób stanęło w kółku. Gestykulowały energicznie, co chwila z niepoko-
jem lub ekscytacją wskazując na komisariat. Obok nich na ławeczce siedziała młoda, najwyżej dwu-
dziestoletnia kobieta – ostrzyżona na krótko blondynka w znoszonych džinsach i niedbale zaru-
conej na ramiona skórzanej kurtce. Całkiem ładna, ale wygląda trochę wulgarnie, zauważył Mortka.
Dziewczyna jakby wyczuła jego myśli, bo nagle skierowała swój wzrok na komisarza i posłała mu pro-
wokujące spojrzenie. A przynajmniej tak mu się wydawało, bo nie miał czasu się przyjrzeć. Natych-
miast się odwrócił i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Postanowił się przejść, odświeżyć trochę gło-
wę i myśli.

Zadyszka złapał po około stu metrach i wcale go nie tłumaczyło, że siedł pod górę. Po prostu podob-
nie jak Lupa czuł się stary i zmęczony. Chociaż zapewne z zupełnie innych powodów.

Dostał przydział do programu „Most” tuż po zakończeniu ostatnich formalności związanych ze sprą-
wą podpalacza z Ursynowa. Jedną z jego ofiar, młody student o imieniu Piotrek, była przez pewien czas
współlokatorem Mortki. Komisarz zastrzelił sprawcę podczas akcji, którą przełożeni uznali za samo-
wolną i absolutnie niepotrzebną. W rezultacie trafił na dywanik komisji dyscyplinarnej. Nie został w ża-
den sposób ukarany, bo jego szef, podinspektor Andrzejewski, nie miał zamiaru bruździć w aktach jed-
nego ze swoich najlepszych śledczych. Wszystko rozeszłoby się po kościach, gdyby nie śmierć Klaudii
Kameron, jeszcze jednej osoby zamieszanej w sprawę tego podpalacza. Zginęła potrącona przez samo-
chód. Odpowiedzialnego za wypadek szybko złapano, a ten do wszystkiego się przyznał. Mimo to An-
drzejewski podejrzewał, że Mortka miał z tą śmiercią coś wspólnego. Nie potrafił tego jednak udowod-
nić, więc nigdy nie wypowiedział publicznie swoich podejrzeń. Było je jednak widać w jego gryma-
sach, gestach, słychać w chłodnym tonie głosu, kiedy pewnego razu wezwał komisarza do swojego ga-
binetu i rzucił mu prosto w twarz: „Program »Most«, Krotowice, cztery miesiące. Żebyś przemyślał
swoje podejście do służby”, po czym kazał się wynosić.

Policjant rozumiał, że te cztery miesiące były potrzebne głównie Andrzejewskiemu, by mógł się
w spokoju zastanowić nad tym, co ma właściwie zrobić z komisarzem. Ale i Mortka chciał jak najlepiej
wykorzystać ten czas. Jadąc tutaj, planował, że w końcu się do siebie weźmie. Przejdzie na lekką dietę,
zacznie ćwiczyć na świeżym górskim powietrzu, trochę poczyta, odpocznie i wymyśli, co właściwie
zrobić z własnym życiem. Jedno było dla niego jasne i oczywiste. To, że po powrocie odejdzie ze służ-
by.

Po niemal dwóch miesiącach w Krotowicach niczego już nie był pewien. Biegać poszedł raz, i to
mimo leżącego ciągle na ulicach śniegu. Następnego dnia miał straszne zakwasy, katar i gorączkę, która
na szczęście wkrótce minęła. Natomiast zalegający w nosie i gardle zielonkawy glut miał mu towarzy-
szyc przez kolejne trzy tygodnie. Co do odchudzania, to miał wrazenie, że waży więcej, niż kiedy przy-
jechał z Warszawy. Zapewne dlatego, że tutaj podstawą jego diety była kupowana w Biedronce i od-
grzewana potem w mikrofalni gumowata pizza, podczas gdy w stolicy, pozbawiony kuchenki mikrofalo-
wej, odżywił się odrobinę zdrowiej, bo kupowanymi w budce kebabami. Największą klęskę poniósł
jednak w dziedzinie życiowych przemyśleń. Wciąż nie wiedział, co będzie robił po powrocie. Co wię-
cej, nie miał nawet najmniejszego pomysłu na to, nad czym powinien się zastanawiać. Żadnej wizji
przyszłości, a nawet marzeń na temat tego, kim chciałby się stać. Za to przeczytał dwie książki: *Ame-
rykańskich bogów* Neila Gaimana i jakiś kryminał jednego z popularnych ostatnio szwedzkich autorów.
Nawet mu się podobały. Tylko że to w niczym nie pomogło. Dalej był tym samym smutnym trzydzie-
stoparoletnim facetem, któremu wiele lat temu życie wymknęło się z rąk i który nawet nie wiedział, co
zrobić, żeby odzyskać nad nim kontrolę.

Szedł przed siebie, mijając dwupiętrowe szare bloki kryte czerwoną dachówką. Na niektórych para-
petach leżały zwinięte w rulon koce. Wbijały się w nie łokciami starsze kobiety, wygrzewające się na
słońcu niczym koty. Podwórka tonęły w zieleni odradzających się po długiej zimie krzewów, a pomię-
dzy drzewami rozwieszono sznury na bieliznę, na których suszyły się ubrania i prześcieradła.

Pod nogami Mortki wylądowała piłka. Zatrzymał ją stopą, zanim zdążyła stoczyć się w dół ulicy, i podniósł. Grupa chłopców machała do niego, dając znaki, że zguba należy do nich. Rzucił im futbolkę i uśmiechnął się lekko, kiedy łagodnym łukiem doleciała do celu. Jeden z dzieciaków krzyknął mu „dziękuję” i wrócili do gry.

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Ważąc go w dłoni, zastanawiał się, do kogo ma zadzwonić. Miał ochotę wybrać numer Oli i wytłumaczyć jej, co się stało, dlaczego nie mógł pożegnać się z chłopcami, opowiedzieć o odnalezionych w starej kopalni ciałach. Ale ona pewnie nie będzie chciała słuchać. Odpowie coś nieuprzejmego i zaczną się kłócić, wrzeszcząc do słuchawek, oddaleni od siebie o ponad czterysta kilometrów. Nie, to nie miało sensu. Zadzwonił do Kochana.

– Cześć, Kuba. – Podkomisarz, kolega z Komendy Stołecznej, odebrał po dwóch sygnałach. – Co tam słyhać na wygnaniu?

Mortka już otworzył usta, ale zdał sobie sprawę, że nie chce opowiadać o wydarzeniach ostatniej nocy. Nie czuł się na siłach, by to wszystko relacjonować. Poza tym podkomisarz nawet nie byłby specjalnie zainteresowany.

– Jest taka jedna sprawa, ale to nieważne. Co w Warszawie?

– Pedaly przyjeżdżają.

– Nie rozumiem.

– Nasza dumna stolica będzie gościć Paradę Równości. Z tej okazji zjadą do nas pedały z całej Europy. No i jest rozkaz, żeby ich ochraniać. Ponieważ sama prewencja zapewne nie wystarczy, żeby zabezpieczyć cały pochód i trasę, a góra spodziewa się problemów, to zaganiają do tej roboty nas wszystkich.

– Ciebie też?

– Tak. Już się boję. Zastanawiam się, czy sobie korka w dupę nie wsadzić. Wiesz, żeby nikt mnie nie zapiął niespodziewanie, kiedy tylko się obrócę. Chociaż istnieje ryzyko, że jak tak zrobię, a ktoś jednak spróbuje, to mi ten korek wbije głębiej. I będzie kłopot. – Kochan zarechotał do słuchawki. – Tak więc masz szczęście, że cię tu nie ma, Kuba – kontynuował podkomisarz, kiedy już przestał się śmiać.

– A jak Andrzejewski? Wspominał coś o mnie?

– Nie. Ani słowem.

– Jasne. Słuchaj, Darek, mam do ciebie sprawę. Jesteś może w pracy?

– No, niestety tak. Służbę dzisiaj mam.

– W takim razie załatwisz mi numer do Brodki? Tej psycholog, która współpracuje z komendą. Ktoś go musi u nas mieć.

– Oczywiście, że ją pamiętam. Co tam, postanowiłeś jednak umoczyć kijek w jej źródleku?

Mortka nie odpowiedział.

– Chodziło mi o to, że... – próbował wytłumaczyć Kochan.

– Wiem, o co ci chodziło. Nie, nie chcę nic nigdzie moczyć. Po prostu załatw mi ten numer, okej?

– Dobra, dobra. Wyślę ci zaraz esemesem.

– Dzięki.

– A słuchaj. Tak sobie teraz pomyślałem. Jak ty nie chcesz kijka moczyć u takiej fajnej babeczki, to może chciałbyś przyjechać do Warszawy na tę paradę. Wiesz, żeby pomaszzerować z kolegami. Kto wie, może spotkasz swojego wybranka. Co, Kubuś?

– Cha, cha, bardzo śmieszne. Mortka to gej. Załapałem.

– Ty to powiedziałaś. Cześć!

Kochan rozłączył się. Komisarz podniósł telefon do ust i przez moment trzymał go tuż przy wargach. Wreszcie ruszył dalej. Po kilkudziesięciu metrach doszedł do płotu, za którym można było dostrzec ośrodek czasowy jednej z rządowych agencji. Na ogrodzonym terenie, całkiem zresztą sporym, znalazło się też miejsce na plac zabaw, boisko do siatkówki i mały park z oczkiem wodnym, teraz zarośnię-

tym, bo ośrodek czasy świetności miał już dawno za sobą. Świadczyły o tym także powiewająca smętnie na wietrze siatka na boisku oraz rdza na huśtawkach, piszczących przy najmniejszym ruchu.

Komórka zawibrowała w dłoni policjanta. Przeczytał wiadomość od Kochana i od razu zapisał numer Brodki w pamięci telefonu. Wybrał go i zadzwonił. Tym razem czekał trochę dłużej na połączenie.

– Tak, słucham, kto mówi? – Miała zadyszany głos. Jakby przed chwilą biegała, ćwiczyła lub, jak zaraz komisarzowi podsunęła wyobraźnia z powodu sugestii Kochana, uprawiała seks.

– Komisarz Jakub Mortka.

– Aaa! Pan komisarz. Dawno pana nie widziałam na komendzie. Podobno pan gdzieś wyjechał, to prawda?

– Prawda.

– Jak się pan czuje? Miał pan spotkania z psychologiem w związku ze śmiercią tego podpalacza Grockiego, prawda?

– Tak. Miałem.

– Trochę mi było przykro, że nie skorzystał pan z mojej oferty pomocy.

– Wie pani... – Zawiesił głos. – Trochę czułbym się niezręcznie, rozmawiając z panią o takich sprawach.

– Bo jestem kobietą?

– Nie – zaprotestował szybko. – Po prostu. Sam nie wiem. Czasami wolę, jak rzeczy się dzieją same. Rozumie pani?

– Nie za bardzo. Na kogo pan trafił?

Był jej wdzięczny, że zmieniła temat.

– Na jednego starego capa, który cały czas kazał mi opowiadać, jak się czuję, a potem rozwiązywać debilne testy.

– Aha... – Usłyszał w słuchawce, że pije. – Po co pan dzwoni?

– Tak sobie pomyślałem. Jestem teraz w Krotowicach. To takie miasteczko w Karkonoszach. Pracuję przez kilka miesięcy w miejscowej policji w ramach programu „Most”.

– Słyszałam o nim. To dobrze dla pana, że pan z niego skorzysta.

– Bo? – Zmarszczył brwi.

– Po sprawie Grockiego dobrze by było, żeby się pan oderwał od warszawskich problemów.

– Co też pani powie.

W głowie Mortki pojawiło się podejrzenie, że myśl o wysłaniu go do Krotowic podsunął Andrzejewskiemu psycholog, do którego chodził komisarz. A może nawet sama Brodka.

– W każdym razie – zaczął, potrząsając głową – mamy tu teraz taką sprawę. Zastanawiam się, czy mogłaby mi pani trochę pomóc. Z racji odległości i okoliczności chodzi mi o pomoc nieformalną.

– Co się dzieje?

Wziął głęboki oddech i opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło do tej pory. Słuchała uważnie, ani razu nie przerywając. Kiedy skończył, długo nic nie mówiła.

– Czy to znaczy, że zmienił pan zdanie co do „szamanów”? – zapytała.

Wyczuł z jej głosu, że odpowiedź na to pytanie jest ważna.

– Nie.

– Rozumiem. – Nie wydawała się rozczarowana. – *But a man's gotta do what a man's gotta do*, prawda?

– Tak. Chyba tak.

– Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że jeśli panu teraz pomogę, jak pan to ujął, nieformalnie, to potem nie będę mogła występować w sprawie jako biegły?

– Tak.

Zastanawiała się kilka sekund nad jego słowami, po czym prychnęła ze śmiechem.

– Chciałam odmówić i posłać pana do diabła – powiedziała – ale ta sprawa jest zbyt ciekawa. Niech pan do mnie wyśle materiały, zdjęcia, opis ciała, opis miejsca znalezienia zwłok. Wszystko, co się da. Przejrzę to i postaram się pomóc. Może zauważę coś, co wam umknęło. Proszę powiedzieć, czy ma pan dostęp do komputera z kamerką internetową?

– Nie wiem. Mogę poszukać.

– Jeśli będzie pan miał, to moglibyśmy się zdzwonić przez Skype'a i zrobić wideokonferencję. Tylko że wtedy musiałby pan być, komisarzu, w spokojnym miejscu, gdzie nikt postronny by nas nie podsłuchiwał.

– Poszukam.

– Dobrze. Wyślę panu swój adres mailowy i login do Skype'a.

– Dziękuję. – Zawiesił głos. – Naprawdę dziękuję.

Roześmiała się.

– Niech pan przestanie, bo jeszcze uwierzę, że jestem w stanie zmienić pańską opinię na temat swojej pracy. Do widzenia, panie komisarzu.

Mortka schował komórkę do kieszeni. Odwrócił się w stronę szczytu Śnieżki i przyglądał się pokrytemu śniegiem wierzchołkowi góry. A później ruszył w drogę powrotną do miasta. Chciał jeszcze raz przeczytać materiały, które zebrali do tej pory. Przygotować się przed wieczornym spotkaniem z patologiem.

Mortka zaparkował obok samochodu Lupy. Zgasił silnik, zdjął panel radia i schował go do schowka. Wreszcie wysiadł z auta i zaczął szukać kolegi.

Przed głównym wejściem do szpitala stali pacjenci w kraciastych pidżamach. Przechadzali się po parkowych alejach, prowadzili leniwe rozmowy lub palili ukradkiem papierosy, kryjąc się przed wzrokiem pielęgniarek i lekarzy. Mortka dostrzegł w końcu Lupę w towarzystwie jeszcze dwóch innych mężczyzn w najbardziej oddalonym skrzydle szpitala, tam, gdzie, jak się orientował, mieściły się laboratoria i magazyny.

Podszedł do nich. Przywitał się uściśnięciem dłoni z Lupą.

– Komisarz Jakub Mortka z Komendy Stołecznej, nasz konsultant w tej sprawie – przedstawił go policjant. – To doktor Jerzy Olszewski, biegły z zakresu medycyny sądowej. Przeprowadził sekcję, przedstawi nam wyniki.

Olszewski był wysokim mężczyzną, który wyglądał na ponad pięćdziesiąt lat. Trzymał się prosto, miał szerokie bary i wielkie dłonie, do których bardziej pasowałaby siekiera drwala niż skalpel chirurga. Siwe, mieniące się brylantyną włosy zaczesał do tyłu, tak że odsłaniały wysokie, gładkie czoło ozdobione dwoma równymi liniami wypielęgowanych brwi. Uśmiechał się, a w kąciuku jego ust czerwieniła się nieprzyjemna, szpecąca go plama opryszczki.

Drugi nieznamy był mniej więcej w wieku Mortki. Mimo przyjemnego, ciepłego majowego wieczoru założył gruby wełniany garnitur. Marynarkę jednak rozpiął, tak że można było dostrzec ciemne smugi potu ciągnące się spod pach aż do brzucha. Pomiędzy palcami lewej dłoni trzymał cienkiego papierosa. Wyglądał na mężczyznę, który przez całe życie chodzi z zaciśniętymi pośladkami.

– Prokurator Adam Zagajewski – przedstawił się. Chrząknął i poprawił okulary w cienkich, drucianych oprawkach. – Nie mieliśmy się jeszcze okazji spotkać, komisarzu. Kiedy zjawiłem się na miejscu odnalezienia zwłok, pana już tam nie było.

– Pojechałem do domu. Musiałem się trochę przespać.

– Jasne, jasne. Proszę nie myśleć, że mam do pana pretensje. Wręcz przeciwnie. Pięknie pan tym wszystkim pokierował. Dawno nie widziałem tak dobrze zrobionego protokołu oględzin.

Mortka nie za bardzo wiedział, jak ma zareagować na tę pochwałę, więc po prostu wzruszył ramionami.

– Kończy pan, panie prokuratorze? – zapytał patolog.

Prokurator spojrział na trzymanoego w dłoni papierosa, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Wyrzucił go do stojącego nieopodal kosza.

– Skończyłem.

– Mam nadzieję, że ma pan jeszcze jakieś w paczce?

– A co? Chce pan zapalić?

– Nie. Ale pan będzie potrzebował parę fajek, kiedy już skończymy.

Na czole prokuratora pojawiła się zmarszczka.

– Proszę mnie nie brać za żółtodzioba. Kilka rzeczy już w swoim życiu widziałem.

– Ale nie takich – odpowiedział mu Olszewski. – Nie takich.

Patolog dał im znak, żeby poszli za nim. Obeszli szpital, żeby wejść do budynku tylnym wejściem. Lekarz rozmawiał z Lupą, a ze strzępków słów Mortka zrozumiał, że omawiają mecz lokalnej drużyny piłkarskiej. Prokurator z komisarzem zostali kilka kroków za nimi.

– I co pan o tym myśli? – zapytał szeptem Zagajewski.

– O tej sprawie?

– Też. Ale bardziej interesuje mnie pańska opinia na temat tego, czy tutejsi policjanci dadzą sobie z nią radę.

Z jednej strony Mortka wiedział, że śledztwo będzie skomplikowane, najprawdopodobniej wielowątkowe, i wątpił, żeby same siły krotowickiego komisariatu tutaj wystarczyły. Z drugiej strony poczucie naturalnej zawodowej solidarności zabraniało mu podważać kompetencje kolegów.

– Zobaczymy – powiedział, mając nadzieję, że to wystarczy.

– Ano zobaczymy – mruknął prokurator, zagryzając wargi. – Zajda poruszył niebo i ziemię, żeby zatrzymać tę sprawę w sobie. A skubany ma znajomości i gadane. Oczywiście rozumiem go. Słyszałem o reorganizacji, cięcjach i nie dziwię się, że zrobi wszystko, by bronić swojego komisariatu. Ale boję się, że będę miał kłopoty przez jego machinacje.

– Nie może pan zlecić sprawy Jeleniej Górze lub prosić o pomoc Wrocław? – zapytał Mortka. Żle się czuł z tym, że Zagajewski najwyraźniej postanowił mu się wyzalić, ale nie wiedział, jak mógłby elegancko zakończyć tę rozmowę.

– Tak długo, jak to możliwe, zostawiamy wszystko w Krotowicach. Dostałem taką wyraźną sugestię z... – Wskazał palcem na niebo i zrobił znaczącą minę. – Swoją drogą, pan zdaje sobie sprawę, że to dzięki panu ten numer w ogóle przeszedł?

– Dzięki mnie?

– Aha. Zajda rozповідаł na lewo i prawo, że nie potrzebuje pomocy, bo ma na miejscu doświadczonego funkcjonariusza warszawskiego Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Zrobił wrażenie, skubany.

Mortce powinno to schlebiać, ale czuł tylko niepokój. Zastanawiał się, co Zajda naopowiadał na jego temat, w jakim świetle go przedstawił i czy potem nie będzie miał z tego powodu kłopotów.

Weszli do szpitala i skierowali się w stronę klatki schodowej, którą zeszli do piwnicy. Mortka z ulgą stwierdził, że minęli w ten sposób sale z pacjentami.

Olszewski wręczył im maski i gumowe rękawiczki. Poczekał, aż je włożą, i wprowadził całą grupę do prosektorium.

Pomieszczenie było nieprzyjemnie jasne. Ten efekt wywoływały zawieszzone pod sufitem świetlówki i białe kafle, którymi wyłożono ściany oraz podłogę. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że człowiek wszedł w sam środek chmury.

Na metalicznym stole sekcyjnym leżało przykryte prześcieradłem ciało. Olszewski podszedł do niego i podniósł kartę informacyjną. Czytał coś przez kilka sekund.

– Reszta ciał jest w chłodni – powiedział i wskazał na drzwi za swoimi plecami. – Nie wynosiliśmy ich, bo do przekazania tego, co mam do powiedzenia, wystarczy to jedno. Wszyscy gotowi?

Poczekał, aż pokiwają głowami, i podniósł prześcieradło. Ukazało im się nagie kobiece ciało o żółto-brązowym kolorze. Miało fakturę, jakby ktoś posypał je gipsem. Liczne rany odkrywały czarne, poskręcane wnętrzości. Mortka zauważył, że prokurator poblądł, a na jego czoło wystąpiły krople potu. Zagajewski podniósł dłoń do maski. Lekarz posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Rzygamy na zewnątrz – powiedział Olszewski.

– Nie, nie... Nie będę wymiotować – zaprotestował prokurator, ale ton jego głosu wskazywał, że nie było to takie pewne. Mortka potrafił go zrozumieć, chociaż sam nie odczuwał ani strachu, ani nudności. Nawet na początku pracy w policji martwe ciała nie wzbudzały w nim zazwyczaj żadnych emocji prócz okazjonalnego obrzydzenia. Zabitych podczas pijackich awantur traktował już jak starych znajomych, bo zobaczyć jednego, to jak zobaczyć wszystkich. Chorzy, ranni, umierający to co innego. Oni go przerażali. Zwłoki natomiast były dla niego tylko przedmiotem, dowodem, opakowaniem na poszlaki. Rzadko coś nim potrafiło wstrząsnąć. Chociaż takie sprawy też się zdarzały. Martwi siostrzeńcy Borzestowskiego leżący na śniegu tuż przy dopalającym się powoli domu wciąż mu się śnili od czasu do czasu.

– Ale niech pan sobie ulży – zaproponował prokuratorowi lekarz. – Jeśli to panu pomoże, to ja też się nie za dobrze poczułem, jak to zobaczyłem. A siedzę w tym fachu dobrych dwadzieścia lat.

Słowa Olszewskiego podziały najwyraźniej jak zakłęcie, bo Zagajewski wybiegł z pomieszczenia, po drodze zrywając z twarzy maskę. Usłyszeli, jak wymiotuje na korytarzu. Wrócił po chwili, bladziej niż poprzednio, ale z determinacją w spojrzeniu.

– Zaczynajmy – powiedział, wycierając usta chusteczką.

Lekarz skinął głową.

– Podobnie jak w pozostałych przypadkach ofiara to kobieta w wieku dwudziestu, trzydziestu lat. Zgon nastąpił od trzech miesięcy do nawet roku od dnia dzisiejszego. Powód zgonu właściwie niemożliwy do stwierdzenia. Ciało po saponifikacji.

– Co to takiego? – zapytał Lupa.

– Przeobrażenie tłuszczowo-woskowe. Proces, do którego dochodzi w środowisku wilgotnym przy braku dostępu lub ograniczonym dostępie powietrza. Polega na przemianie tkanki tłuszczowej w tłuszczowosk. Trwa od kilku tygodni do nawet roku. Ładnie utrwała zwłoki, jak zresztą można zobaczyć na tym przykładzie. Gdyby ciało zostało poddane zwykłym procesom gnilnym, to widok byłby dużo mniej przyjemny.

– Trudno to sobie wyobrazić – mruknął prokurator.

– Aha. Paskudny wygląd zwłok wynika nie z procesów naturalnych, tylko z tego, co z nimi zrobiono.

– Lekarz wziął do ręki skalpel i zaczął wskazywać nim poszczególne części ciała. – Zaczynamy od głowy. Akurat u tej denatki mamy rozcięte policzki od ust w stronę kości potylicznej. To wyjątek, inne zwłoki są pozbawione tego typu ran. Przechodząc niżej, widzimy rany piersi. Zadane od dołu, ostrym narzędziem. Bardzo precyzyjne cięcia. Ofiary pozbawiono fragmentów ciała: sutków, mięśni dwugłowych ramion, a przede wszystkim... – Skierował ostrze skalpela w okolice kroczka, gdzie znajdowała się brunatna rana. – Organów rodnych łącznie z macicą i jajnikami – dokończył Olszewski.

Zagajewski czknął, jakby znowu miał wymiotować, i spojrzał w sufit. Jego usta poruszały się niemo pod maską.

– Jakież pytania, panowie? – zakończył patolog.

– Rany zadano przed śmiercią czy po? – odezwał się Mortka.

Lekarz potrząsnął głową.

– Niemożliwe do ustalenia. Minęło zbyt dużo czasu od momentu zgonu. Poza tym miejsce porzucenia zwłok bardzo utrudnia wyciągnięcie wniosków z sekcji. To bardzo specyficzne warunki. Ciało przebywało pod ziemią, do tego częściowo w środowisku wodnym. Saponifikacja przy tym wszystko utrudnia. Jak już jest jakaś literatura, którą można by tu zastosować, to są tam opisane przypadki topielców. Coś absolutnie różnego od tego, z czym mamy do czynienia w tym wypadku.

– Przeprowadził pan badania toksykologiczne?

– Próbowałem, ale to pozbawione sensu. Po pierwsze, znowu czas od zgonu do odnalezienia zwłok jest zbyt długi. Co się miało rozpaść, to się rozpadło. Po drugie, w tej kopalni poziom promieniowania jest ciągle wyższy niż norma. Niezbyt dużo, to dawki niegroźne dla człowieka, ale zwłoki były poddane ich działaniom przez dłuższy czas. To wypacza wynik każdego testu, jaki mogę przeprowadzić.

Mortka stłumił przekleństwo, które cisnęło mu się na usta. Podszedł do stołu sekcyjnego. Długo przyglądał się bezimiennej kobiecie, której twarz stężała w brunatną maskę. Przesunął wzrok niżej i zmarszczył brwi. Nachylił się nad dłońmi denatki. W okolicach nadgarstka dojrzał coś, co przypominało szeroką, ciemniejszą od koloru skóry pręgę.

– Co to takiego? – Wskazał palcem na ślad.

– Nie wiem.

– Czy na pozostałych ciałach też jest coś takiego?

Lekarz przerzucił protokoły sekcyjne. Przez kilka sekund w prosektorium słychać było tylko szelest kartek papieru.

– Tak. Na wszystkich.

– Czy to mogą być ślady po sznurach lub kajdankach?

– Tak – odparł po namyśle lekarz. – To może świadczyć, że ofiary były skrupowane. Pręgi są dość głębokie.

– Czyli były więzione dość długo?

– To możliwe.

– Czy jest coś, co z medycznego punktu widzenia może wskazywać na takie długie uwięzienie?

– Co takiego? – odpowiedział pytaniem Olszewski.

– Na przykład organy wewnętrzne zmniejszone w wyniku długotrwałej głodówki.

– Sprawdzę, ale obawiam się, że odpowiedź będzie taka sama jak te, które tutaj już wielokrotnie pały. Ciało jest w takim stanie, że trudno wyciągać wnioski na temat okoliczności popełnienia zabójstwa.

Mortka wyprostował się i odsunął o krok, żeby zrobić miejsce Lupie i Zagajewskiemu, którzy chcieli przyjrzeć się śladowi.

– Inne zwłoki... – rozpoczął ostrożnie. – Kiedy nastąpił zgon?

– W wypadku ciała numer jeden od roku do trzech lat, w wypadku ciała numer dwa w podobnym okresie. Numer trzy leży właśnie przed panem. Zwłoki numer cztery moim zdaniem do pół roku. Ale należy zachować dużą ostrożność i margines błędu.

– I nic nie można powiedzieć o przyczynie śmierci?

– No cóż... W tej sytuacji trudno nawet jednoznacznie wykluczyć utonięcie. Kości są całe, podobnie pozostawione organy wewnętrzne, aczkolwiek ze względu na przeobrażenia tłuszczowo-woskowe trudno wypatrzeć stłuczenia narządów mięsistych. Pobicie, potrącenie przez samochód lub upadek z wysokości jako przyczyny zgonu są raczej mało prawdopodobne. Co nie oznacza, że denatki nie były bite. Wydaje mi się natomiast, że ich nie uduszono, bo wtedy najprawdopodobniej zostałyby jakieś ślady, na przykład uszkodzenie krtni.

– Te rany...?

– Byłyby oczywiście śmiertelne.

Mortka skinął powoli głową i zerknął na Lupę. Policjant stał z boku z założonymi rękami i ponurym spojrzeniem.

– Znalazłeś cokolwiek, co mogłoby pomóc nam w ustaleniu tożsamości kobiet? – zapytał Lupa patologa.

– Nic, Boguś. Wypisałem w protokołach wszystkie znaki szczególne.

– Badania daktyloskopijne? – wtrącił się Mortka.

– Dobrze, że pan pyta. Tutaj niczego z nimi nie zrobię, skóra jest za bardzo uszkodzona.

Lekarz przerwał, żeby podnieść lekko dłoń kobiety, i spojrzał znacząco na prokuratora.

– To co? – rzucił, siląc się na wesołość. – Tniemy?

Prokurator po chwili wahania przytaknął. Lekarz zamierzał uciąć palce kobiety, zakonserwować je i wysłać do Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu. Tam biegli z zakresu daktyloskopii będą próbowali pobrać z nich odciski.

– Powinniśmy wiedzieć coś jeszcze? – zapytał Lupa.

– Nic mi nie przychodzi do głowy – odpowiedział po zastanowieniu lekarz.

– Kuba, może ty byś chciał o coś zapytać?

– Nie. Raczej nie.

– Pan prokurator?

– Nie. Dziękuję.

– W takim razie kończymy – zdecydował Lupa.

– Jak sobie życzysz, Boguś. Znajdą panowie drogę do wyjścia. Rękawiczki i maskę proszę wyrzucić do kosza na odpadki medyczne przy drzwiach. Posprzątam tutaj i do was dołączę.

Kilka minut później policjanci podeszli do prokuratora, który siedział na ławce pod rozłożystym kasztanem i palił chciwie papierosa. Lupa wyjął swoją paczkę z kieszeni spodni i podsunął Mortce pod nos. Komisarz podziękował ruchem dłoni. Lupa wyjął jednego papierosa dla siebie i wsadził go sobie w usta. Przez chwilę szukał zapalniczki, klepiąc się po kieszeniach, aż prokurator podał mu swoją. Palili wspólnie, a Mortka odwrócił twarz do zachodzącego słońca i cieszył się ostatnimi ciepłymi promieniami.

– I co myślicie, panowie? – odezwał się Zagajewski między jednym zaciągnięciem się a drugim.

– Musimy ustalić ich tożsamość – powiedział cicho Mortka.

– Tylko jak to zrobić?

Nagle komisarz poczuł się bardzo zmęczony. Pomyślał, że ma dość i najchętniej położyłby się do łóżka, zwinął w kłębek pod kołdrą i spał tak długo, jak to tylko możliwe.

– Może jutro będziemy się tym martwić, co? – zaproponował Lupa. – Teraz i tak nic mądrego nie wymyślimy.

– Tak, oczywiście – zgodził się Zagajewski.

Parkową alejką szedł w ich stronę doktor Olszewski. Lekarz stanął obok Lupy i wsadził dłonie w kieszenie spodni.

– Ładny długi weekend mamy. Chociaż krótki – rzucił, żeby przerwać przedłużające się milczenie. – Byłeś na działce, Boguś?

– Aha. W zeszłą sobotę. Krzewy przycinałem. Strasznie się chwasty rozrosły.

– U siebie muszę śliwę wyciąć. Miałem nadzieję, że uda się ją uratować, ale nic z tego. Szkoda. W zeszłym roku świetna śliwowica mi z niej wyszła i liczyłem na powtórkę. – Lekarz cmoknął cicho, jakby przypominał sobie właśnie smak nalewki.

– Próbowaleś miedzianem?

– Próbowalem. Nie pomogło.

Prokurator skończył palić i wstał z ławki. Pożegnał się ze wszystkimi uściskiem dłoni i ruszył w stronę szpitalnego parkingu. Po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił. Jego wzrok powędrował po twarzach policjantów i lekarza.

– Powiem wam jedno – stwierdził nagle ponurym, grobowym głosem – w życiu nie miałem jeszcze tak zjebanej majówki.

Pies, o ile można tak było nazwać tę małą włochatą kulkę, biegał między nogami Wajtoły, szczekając i domagając się uwagi. Wajtoła zdjął buty, a potem stał przez kilka sekund niezdecydowany, aż wreszcie pochylił się i pogłaskał yorka po grzbiecie i pysku.

– No cześć, maluchu, no cześć – mamrotał pod nosem.

Dopiero kiedy pies dał mu spokój, poszedł do dużego pokoju, gdzie jego żona siedziała przy biurku i przerzucała faktury, próbując doliczyć się czegoś w rachunkach należącego do nich sklepu. Pocałował ją w kark. Odchyliła się na krzesło i spojrzała na niego.

– Późno wróciłeś – powiedziała to bez wyrzutu, jako suche stwierdzenie faktu.

– I przez najbliższe dni tak będzie.

– Z powodu tej kopalni?

– No... – przytaknął. – Nie dam rady pojechać do hurtowni.

– Nie? Przecież nigdy nie było problemu.

– Bo nigdy nie mieliśmy takiego syfu na głowie, Jola. Gdybym teraz zniknął podczas służby na dwie godziny, nikomu nic nie mówiąc, to mogę się pożegnać z pracą.

– Powiedziałeś, że pojedziesz.

– Bo myślałem, że tak będzie. Ale nie da rady. Przepraszam.

– To co ja mam teraz zrobić?

– Wyślesz Dorotę? – zaproponował. Miał na myśli pracownicę Joli.

Żona Wajtoły westchnęła.

– Dorcia jest do rany przyłoż, ale tępa jak but. Wiesz o tym. Znowu ją tam oszukają.

Rozłożył ramiona, pokazując, że nie ma innego pomysłu. Jola postukała trzymanym w dłoń długopisem o podbródek i wróciła do rachunków.

– Obiad jest na patelni. Odgrzej sobie – powiedziała. – A do tej hurtowni to pewnie sama pojedę.

– Dobra.

Poszedł do kuchni. Włączył gaz pod patelnię, na której leżały kotlet schabowy i kilka ziemniaków. Otworzył lodówkę, wyciągnął sok jabłkowy i nalał do szklanki. Odkładając karton, zaczął przeszukiwać półki.

– Nie ma surówki?! – krzyknął w stronę pokoju.

– Nie! Pomidora sobie ukrój!

Nie lubił pomidorów. Po ich zjedzeniu wokół ust zawsze robiła mu się swędząca, czerwona wysypka. Jola o tym wiedziała, ale z jakiegoś powodu nigdy nie potrafiła tego zapamiętać. Kiedy jej przypominał, machała tylko dłonią i powtarzała: „Jedz, jedz, to czysty potas”.

Wyciągnął ogórek i zamknął lodówkę. Obrął go szybko, pokroił w ćwiartki i położył na talerzu. Dorzucił kotlet, ziemniaki i wrócił do pokoju. Usiadł przy stole, włączył telewizor i skakał po kanałach, aż w końcu trafił na Eurosport.

Żona obróciła się na krześle i spojrzała na niego znacząco. Sięgnął po pilota i ściszył.

– Dziękuję – powiedziała, a potem zerknęła na jego talerz. – Miałeś pomidora sobie wziąć.

– Nie miałem ochoty.

– Aha.

Wróciła do swojej pracy.

– Młody w domu? – zapytał Wajtoła.

– Nie. Wyszedł.

– A gdzie?

Odłożyła z hukiem długopis na biurko i odwróciła się do niego po raz kolejny. Tym razem solidnie rzytowana.

– Próbuję się tutaj doliczyć dziesięciu tysięcy. Mogę mieć trochę spokoju?

– Pytam tylko, gdzie wyszedł Daniel.

– Nie wiem. Nie powiedział mi przecież, jak zawsze. Taki wiek. A teraz przepraszam, ale jestem zajęta.

Wróciła do obliczeń. Wajtoła wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał numer syna. Trzymał aparat przy uchu, żując kawałek kotleta i czekając na połączenie. Daniel oczywiście nie odebrał. Nauczył się tej sztuczki kilka miesięcy temu. Ilekroć przeczuwał, że rodzice dzwonią do niego, żeby kazać mu przyjść do domu albo zrobić coś innego, podobnie nieprzyjemnego, po prostu nie odbierał. Tłumaczył później, że nie słyszał dzwonka albo wyładowała mu się bateria.

Wajtoła przez chwilę bił się z myślami. Był zmęczony i najchętniej spędziłby resztę wieczora na kanapie, ale koniec końców ojcowskie uczucia wygrały. Odnosił talerz do kuchni i poszedł się ubierać.

- Gdzie idziesz? – zapytała Jola.
- Poszukać Daniela.
- Nie przesadzasz? – W jej głosie zabrzmiał delikatny wyrzut, ale również obawa.
- Nie – odpowiedział. – I zamknij za mną drzwi.

Pojechał najpierw na szkolne boisko. Syn często przesiadywał tam z kolegami, grając w piłkę albo ukradkiem paląc papierosy. Tym razem jednak nie było tam Daniela. Spotkał za to kilku jego kolegów. Niestety, albo nie wiedzieli, gdzie chłopak jest, albo po prostu nie chcieli mu powiedzieć. Przez chwilę rozważał, czy ich nie przycisnąć, może postraszyć komisariatem, ale uznał, że w ten sposób zrobiłby tylko z siebie kretyna.

Odwiedził deptak przy ratuszu i miejscową Żabkę, gdzie, jak sądził, syn mógł próbować kupić tanie piwo. Znowu pudło.

Daniela znalazł dopiero w parku. Razem z jakąś koleżanką siedział na ławeczce w ustronnym miejscu. Coś pili. Ona paliła. Wajtoła uśmiechnął się pod nosem i poczuł ojcowską dumę. Sam w swoim czasie chętnie przyprowadzał tutaj dziewczyny. Nie tylko po to, żeby z nimi rozmawiać, lecz także żeby porobić inne, ciekawsze rzeczy. Dobrze mu zresztą szło. Miał w młodości ten błysk w oku i gadane, dzięki czemu zawsze potrafił sobie znaleźć kogoś na wieczór. Tylko z Jolą nie było tak łatwo. Na ambicję mu w końcu weszła. Za to kiedy ją tu w końcu przyprowadził, natychmiast trafił. Od pierwszego razu zaciążyła. Wajtoła zrobił wtedy to, co zrobić trzeba było, i klęknął przed nią na jedno kolano z pierścieniem w dłoni. Przyjęła go, bo co miała zrobić. Zostali razem i ślub się odbył, mimo że Jola dwa miesiące wcześniej poroniła.

A potem pojawił się Daniel.

Wajtoła jakoś nigdy nie żałował. Dobrze mu się życie ułożyło. Pracował tylko tyle, ile musiał, a czego i mniej, chociaż oczywiście był sumienny i potrafił się przyłożyć. A że rodzice Joli mieli smykałkę do interesów, którą córka odziedziczyła po nich, to niczego im nie brakowało.

Wajtoła skręcił i specjalnie poszedł dłuższą drogą, tak żeby Daniel miał szansę go wcześniej wypatrzeć. Udało się i policjant z rozbawieniem obserwował, udając, że nic nie widzi, jak syn chowa butelkę taniego wina, a dziewczyna pospiesznie gasi papierosa.

– Dobry wieczór – powiedział, kiedy się do nich zbliżył. Kiwnęli oboje głowami, ciągle przestraszeni. Wajtoła przypatrzył się dziewczynie. Ładna była. Dosyć tęga, ale nie gruba. Na tyle, że było za co chwycić i do czego się przytulić, stwierdził.

– Karolina, prawda? – spytał, rozpoznając w niej koleżankę Daniela z klasy.

– Tak.

– Miło cię poznać.

– Nawzajem, proszę pana.

Uśmiechnął się.

– Dobra, młody. Czas do domu.

– Tato...

– Nie tutaj mi tu. Przecież wiesz, że masz szlaban.

Daniel otworzył usta zaskoczony.

– Za tę bójkę – sprecyzował Wajtoła, kłamiąc szybko.

Nie zamierzał upokarzać syna przed dziewczyną, a tak zapewne zostałyby odebrane to, że zabiera go do domu ledwo po dziewiątej wieczorem. Wzmianka o wymyślonej bójce zupełnie zmieniła sytuację. W oczach Karoliny policjant dostrzegł ciekawość. Daniel na szczęście załapał i zwlókł się z ławki.

– Chodź, Karolina – powiedział Wajtoła. – Odwiozę cię do domu.

Dziewczyna poszła z nimi.

Kiedy wracali do domu, Daniel ciągle był na niego obrażony. Siedział na przednim siedzeniu, milcząc i z nosem przylepionym do szyby. Chciał wysiadać, kiedy tylko zaparkowali, ale Wajtoła poprosił, żeby został jeszcze chwilę.

– Po co? – zapytał chłopak.

– Prosiłem cię, żebyś się nie włóczył po nocy.

– Przecież to nie noc – odburknął.

– Młody, nie przeginaj, dobra? Miałeś być o ósmej w domu. I tyle.

– Nie jestem dzieckiem!

Wajtoła westchnął. Rozmowy z nastolatkiem w tym wieku nie należały do łatwych. Czasami miał tego serdecznie dość i żałował, że minęły czasy, kiedy gówniarza można było po prostu przełożyć przez kolano i przyłożyć mu solidnie pasem.

– Słyszałeś o tej kopalni, młody? O tym, co tam znaleźliśmy?

– Tak.

– No właśnie. Póki się to nie wyjaśni, masz być w domu wieczorem. Koniec.

Daniel prychnął i chwycił obrażony za kławkę.

– Czeka! – powiedział Wajtoła.

– Po co?

– Przecież możesz tę Karolinę zaprosić do nas, do domu.

Chłopak prawie się roześmiał.

– Tia... Jasne. Dzięki, tato. Na pewno będzie super.

– Czeka... – Wajtoła zatrzymał go po raz kolejny. – A jak nikogo nie będzie w domu?

Daniel odwrócił się w jego stronę. Chwycił haczyk i teraz wchodzili na grząski grunt międzypokoleniowych negocjacji.

– Mama od dłuższego czasu próbuje mnie gdzieś wyciągnąć, do kina czy teatru. W końcu się zgodzę. Ustalimy jakiś dzień.

– Aha... I...

– Nie przeginaj.

– Nie przeginam, tato. Ale wiesz... Co my będziemy w domu robić?

– Film jakiś zobaczycie.

– Film to każdy ma w domu, tato. Co to za atrakcja?

Wajtoła spojrział na syna z uznaniem. Miał gadane chłopak. Po matce.

– Zostawię otwarty barek – zdecydował.

– Serio?

– Serio, serio – przedrzeźniał syna. – Ale jak mama cię złapie, to ja o niczym nie wiem. Jasne? Sam sobie będziesz z nią radził.

– Nie ma problemu. Coś się wymyśli.

– To jak? Umowa?

– Umowa.

Uścisnęli sobie dłonie, a Wajtoła pomyślał, że może rzeczywiście przesadza. Że jego syn stał się już właściwie mężczyzną. Piętnastoletnim mężczyzną, który umawia się z dziewczynami i który wymusił właśnie na ojcu, żeby podzielili się trzymanym w domu alkoholem. Potarosił mu czuprynę i klepnął lekko chłopaka w kark.

– Lecimy do domu. I pamiętaj, ani słowa mamie.

Daniel podniósł dwa palce jak do ślubowania i razem wyszli z samochodu.

Mortka planował wracać do domu, ale Lupa przekonał go, żeby pojechali razem do USA. Nie musiał namawiać komisarza długo. Zmęczenie to jedno, ale wizja powrotu do pustego mieszkania, gdzie w lodówce nie było nic poza starym jogurtem, okazała się mało kusząca. Pojechali więc, każdy swoim samochodem, do pubu, żeby wypić przed snem kufel piwa lub dwa.

– Miałeś rację – stwierdził Lupa, kiedy wchodzili do środka.

– Z czym?

– Z Bratkovskim. Jego papug by nas upierdolił, zanim byśmy się zorientowali, co się dzieje.

Knajpa była pełna. Goście zajęli wszystkie miejsca przy barze, co zdarzało się naprawdę rzadko. Zwykle siedziało tam dwóch czy trzech stałych bywalców nad swoim alkoholem, a grupa młodzieży głośno rozmawiała na jakiś temat. Ściany lokalu były ozdobione tablicami rejestracyjnymi z różnych stanów, więc młodzi przenosili wzrok z jednej blachy na drugą. Być może marzyli o tym, że wyrwą się z tego zagubionego pośrodku Karkonoszy miasteczka i rozpoczną szczęśliwe życie hen za oceanem: w Kalifornii, Minnesocie czy nawet Kentucky.

Teraz wewnątrz panował taki gwar, że ledwo dało się usłyszeć własne myśli. Każdy chciał skorzystać z okazji, bo dziś był niedzielny wieczór, a po nim następował trzeci maja i wolny poniedziałek. Czyli kolejny „piątkowy” wieczór z rzędu.

Mortka zaczął już się zastanawiać, czy wizyta w pubie USA ma jakikolwiek sens. Nie miał zamiaru spędzić kolejnej godziny, stojąc i ocierając się przypadkowo o mijających go ludzi z kufkami pełnymi piwa. Nagle jednak dostrzegł doktora Nowaka, który machał do niego gorączkowo. Nowak zajął ich zwyczajowy stół w rogu sali, gdzie był dobry widok na zawieszony naprzeciwko telewizor, i bohater-sko bronił go przed kolejnymi osobami, które pytały, czy mogą się dosiąść. Mortka szturchnął Lupę i wskazał na ich kolegę.

– Siadaj, ja idę po browara – stwierdził i ruszył w kierunku baru.

Musiał się trochę przepychać łokciami, a raz dostał od kogoś pięścią w plecy. Odwrócił się natychmiast, ale nie potrafił stwierdzić, czy został zaatakowany. W końcu dopchał się do lady. Barmanka rozpoznała go i zaraz obsłużyła. Piwa doliczyła do rachunku.

Znowu musiał się przepychać, tym razem niosąc kufle. Na szczęście ludzie, być może z szacunku dla piwa, robili mu przejście. Dotarł bezpiecznie do stolika. Odłożył szklanki na blat i opadł na ławę.

– Cześć – rzucił Nowakowi.

– Cześć, Kuba.

– Tłumy dzisiaj.

– Wiadomo, germańcy przyjechali.

Policjant rozejrzał się dookoła. Nie słyszał, żeby ktokolwiek mówił po niemiecku.

– Germańcy?

– Miejscowi, którzy pracują w Niemczech. Zjeżdżają do Krotowic z okazji świąt oraz różnych dłużych weekendów, żeby wydać u nas swoje ciężko zarobione euro – wyjaśnił Nowak.

Sięgnęli po piwo. Mortka wypił pierwszy łyk i pomyślał, że to najprzyjemniejsza rzecz, jaka zdarzyła mu się przez cały dzień. A potem zamarł ze szklanką w połowie drogi od ust. Po drugiej stronie knajpy dojrzał blondynkę z bardzo krótkimi włosami. Zajął mu chwilę, nim się zorientował, że natknął się na nią również wtedy, kiedy wychodził z komisariatu po porannym zebraniu. Teraz miał okazję, żeby dłużej się jej przyjrzeć. Była ładna i młoda. Niebieskie dzinsy ciasno opinały zgrabną pupę, a wysokie czarne buty, sięgające niemalże do kolan, sprawiały, że wyglądała wyzywająco. Mortka natychmiast wyobraził sobie, że siedzi na nim zupełnie goła, w samych tylko butach, i ujeżdża go gwałtownie, lekko zagryzając przy tym dolną wargę.

Z zażenowaniem stwierdził, że zaczyna mieć erekcję. Usiadł tak, żeby ukryć ją pod blatem stołu. Jezu, pomyślał, może Kochan ma rację i powinienem w końcu „zamoczyć kija w źródleku”? Nie był z żadną od... rozvodu? Tak, od rozvodu. Początkowo dlatego, że w ogóle stracił zainteresowanie sek-

sem i kobietami. Później zaś nie miał czasu ani chęci, żeby próbować poderwać jakąś nawet na jedną noc. Czuł, że nawet nie wiedziałby, co ma powiedzieć i jak się zachować.

Żałosne.

– Jak było na sekcji? – zapytał Nowak.

– Jak to na sekcji – mruknął Lupa. – Co z Martą?

– Dochodzi do siebie. Jutro chyba będziecie mogli z nią porozmawiać.

– A co z Sarą?

– Wyszła ze szpitala. Pojawi się jeszcze u nas, żeby odebrać receptę na leki. Ale moim zdaniem Lucas już wkrótce wyśle ją do nas na dłużej.

– Kutas.

Lupa opadł na oparcie i zmrużył powieki, równocześnie wykrzywiając nieprzyjaźnie twarz. Poruszał palcami, to rozprostowując je, to zaciskając dłoń w pięść.

– A śledztwo? Sami wiecie, w jakiej sprawie. – Nowak ściszył głos. – Całe miasto o tym huczy. Podobno...

– Wszystko idzie normalnym torem – odpowiedział Lupa, zirytowany nie wiadomo dlaczego. – Kontroluję sytuację.

– Aha... Bo ludzie mówią.

– W dupie to mam. Cokolwiek to jest.

– Jasne.

Nowak podrapał się po nosie i z kwaśną miną sięgnął po swoje piwo.

– Sorry, Tomek – wtrącił się Mortka, który poczuł się w obowiązku usprawiedliwić obcesowe zachowanie Lupy. – Ale to był naprawdę ciężki i cholernie długi dzień. Padamy z nóg.

– Tak. Rozumiem.

W milczeniu wypili resztę piwa – trzech ponurych facetów, każdy z głową zwieszoną nad białem i z wyrazem twarzy, który odstraszyły każdego, nawet najbardziej zdesperowanego akwizytora. Potem Lupa poszedł kupić drugą kolejkę, a Mortka wyszedł na zewnątrz, żeby odebrać telefon, który rozdzwonił mu się w kieszeni.

– Myślałam, że już dzisiaj zadzwonisz do chłopców – usłyszał gniewny kobiecy głos w słuchawce.

– Cześć, Ola. Z tego, co pamiętam, to mieli być nad jeziorem z twoimi rodzicami.

– To jeszcze nie powód, żeby się do nich nie odzywać.

Miała rację, ale nie zamierzał jej tego przyznać. W tle usłyszał jakby kroki, a potem kaszlnięcie. Ktoś z nią był. Adam? To byłoby logiczne. Chłopcy wyjechali na dwa dni, a oni mieli całą noc dla siebie. Gdzie byli? U niej czy u niego? Będą się pieprzyć w łóżu małżeńskim byłych państwa Mortków czy na jakimś luksusowym łóżku w jego luksusowym apartamencie na Powiślu lub Mokotowie?

– Mamy tu mały kryzys. Byłem zajęty – odparł, starając się, żeby głos nie zdradził gniewu, który się w nim pojawił.

– Wystarczyłoby pięć minut. Każdy powinien znaleźć pięć minut dla swoich dzieci.

Nie odpowiadał, więc rozłączyła się bez pożegnania. Został jeszcze przez kilka minut na dworze. Żeby ochłonać, chodził tam i z powrotem wzdłuż ściany budynku.

Wracając do Nowaka i Lupy, rozglądał się za krótko ostrzyżoną blondynką. Przyszło mu do głowy, że mógłby do niej podejść, spróbować porozmawiać, może zaproponować drinka (o ile takie w USA sprzedawali, w dłoniach klientów widział zawsze tylko piwo bądź kieliszki z wódką), a potem, kto wie, od słowa do słowa mogłoby z tego wyjść coś miłego. Nigdzie jej jednak nie dostrzegł.

Wypili razem kolejne piwo, rozmawiając niewiele. Myśli każdego krążyły wokół innych tematów. Przy kolejnym piwie, kupionym przez Nowaka, języki im się rozplątały. Nie wiadomo skąd i dlaczego bardzo istotnym tematem stał się problem budowy hotelu Gołębiwski w Karpaczu i kontrowersje z nim

związane, co doprowadziło natychmiast do przerzucania się anegdotami na temat absurdów prawa budowlanego oraz krótkiego omówienia meandrów lokalnej, krotowickiej polityki. Przy okazji wypili wszyscy po czwartym kuflu i dopiero wtedy postanowili się pożegnać.

Po wyjściu z USA Mortka zastanawiał się, jak ma się dostać do domu. Czuł, że jest pijany. W Warszawie pewnie dzwoniłby już po taksówkę. Krotowice były jednak na tyle niewielkie, że mógł spokojnie dojść do domu na piechotę i wrócić po samochód rankiem. Tyle że mu się po prostu nie chciało. Po kilku minutach wewnętrznej walki wsiadł do corolli, uruchomił silnik i ruszył.

Zamierzał jechać bardzo powoli i bardzo ostrożnie.

Po drodze odwiedził Żabkę, gdzie kupił czteropak lecha i paczkę chipsów na kolację.

Otworzył oczy i natychmiast poczuł ostry ból głowy. Zupełnie jakby ktoś uderzył go gumowym młotkiem. W suchych ustach czuł smak alkoholu oraz konserwantów spożywczych utrwalających paprykowy aromat. Podniósł się z łóżka i wtedy zdał sobie sprawę, że znowu spał w ubraniu.

Dzwonek u drzwi brzęczał ostro i natarczywie. Ktoś dobijał się do Mortki już od dłuższego czasu. Doczłapał do przedpokoju i otworzył.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Alicja wmaszerowała do kawalerki. Położyła na stoliku w pokoju talerz z kanapkami oraz kubek z kawą. Jej wzrok przesunął się po leżących na podłodze puszkach po piwie oraz opróżnionej paczce po chipsach.

Mortka uświadomił sobie nagle, że kiedy wracał wczoraj do domu, chciał zapukać do Alicji i zaproponować jej, żeby dokończyli to, co niedawno przerwał im jej syn. Nie potrafił sobie jednak za nic przypomnieć, czy to rzeczywiście zrobił. Miał nadzieję, że nie. Z jej twarzy nie potrafił wyczytać odpowiedzi.

– To jakaś nowa świecka tradycja? – odezwał się w końcu i wskazał na śniadanie. Jego głos był nieprzyjemnie zachrypnięty.

Uśmiechnęła się.

– Nie. Ale pomyślałam, że będziesz głodny i że pewnie sam nie będziesz sobie w stanie nic przygotować.

– Co? Dlaczego?

– Wczoraj dobijałeś się do moich drzwi – wytłumaczyła, a Mortka pobladł. – Byłeś zupełnie pijany. Otworzyłam ci, ty potrząsnąłeś mi przed nosem siatką z piwami, wybełkotałeś coś, czego nie zrozumiałam. Może dlatego, że kładłam się już spać i miałam zatyczki w uszach. Zanim zdążyłam je wyjąć i poprosić, żebyś powtórzył, powiedziałeś obrażony, że „to moja strata”, i poszedłeś do siebie.

Policjant opadł na łóżko i chwycił się za głowę.

– Ja... Jezu. Przepraszam cię bardzo.

Roześmiała się głośno.

– Nic nie szkodzi, Kuba. To było nawet zabawne.

– Nie, ja... Naprawdę nie chciałem.

Czuł się jak ostatni idiota.

– Nic nie szkodzi. Nie przejmuj się. A teraz siadaj, wypij kawę, zjedz śniadanie i doprowadź się do porządku.

Z obrzydzeniem spojrzął na leżące na talerzu kanapki.

– Musisz coś zjeść – powiedziała Alicja, kiedy zauważyła, jak się skrzywił.

– Ale po co?

– Po to. – Wyjęła z kieszeni bluzy dwie tabletki apapu i położyła je obok chleba. – Nie powinno się brać pigułek na pusty żołądek.

Posłuchał jej niechętnie. Wybrał kromkę z żółtym serem. Wydawała mu się łatwiejsza do przegryzienia. Wątpił, żeby był w stanie przełknąć tego ranka jakiegokolwiek mięso.

– Przyniosłabym ci wodę mineralną, ale mam w domu tylko jedną butelkę i potrzebuję dla dzieciaków. Ale u nas można pić kranówkę, nic ci nie będzie.

Dopiero teraz zauważył, że Alicja chodzi po kawalerce i zbiera na jedną kupkę leżące na podłodze ubrania.

– Co robisz?

– Nie masz tutaj pralki, co?

– Nie – odpowiedział zaskoczony. – Jeżdżę raz na jakiś czas do Jeleniej, oddaję ciuchy do pralni.

– Niepotrzebnie. Wypiorę ci.

– Nie trzeba.

– To żaden kłopot, Kuba. Jak się ma dwójkę dzieciaków, to pralka chodzi właściwie non stop. Jedna partia więcej, jedna mniej. Żadna różnica.

– Dziękuję – powiedział, bo nie czuł się na siłach dalej protestować. Ugryzł kanapkę i przewyciężając brak apetytu i suchość w ustach, żuł ją powoli.

– A właściwie to czego ode mnie chciałeś?

– Nie rozumiem.

– Wczoraj w nocy – uściśliła.

Dał jej znak ręką, że nie może mówić, że musi przelknąć, chociaż tak naprawdę chciał w ten sposób zyskać tylko kilka sekund na zastanowienie.

– Nie pamiętam – odparł w końcu. Było to najprostsze i najlepsze kłamstwo, jakie przyszło mu do głowy.

Skończyła zbierać ubrania. Położyła je wszystkie na rozłożonym swetrze, który potem zawiązała w zgrabny tobolek.

– A co z tymi kobietami, których zwłoki odnaleźliście? Wiadomo już coś? – zapytała niby mimochodem.

Aha, pomyślał, przelżykając, więc dlatego przyniosła mu śniadanie. Chciała pociągnąć go za język, żeby mieć o czym plotkować. Mimo to był jej wdzięczny za pomoc. Bez tego śniadania, kawy, a przede wszystkim apapu nie dałby rady wyjść z mieszkania.

– Nie. Jeszcze nie. Poruszamy się trochę po omacku. Może dzisiaj się coś wyjaśni.

– Mam nadzieję, że złapiecie tego, kto to zrobił. Bo wiesz, ludzie już takie rzeczy opowiadają...

– Jakie? – zainteresował się. Zwykle w „gadaniu ludzi” nie było nic ciekawego, ale czasami, bardzo rzadko, dawało się w plotkach znaleźć ciekawe informacje. Szczególnie wtedy, kiedy ktoś, kto zamierzał siedzieć cicho, powiedział o jedno słowo za dużo.

– Że w mieście grasuje wampir. Nie taki prawdziwy, ale jak ten z Zagłębia. Gwałci, a potem zabija.

– Jak zabija?

Drgnęła zaskoczona tym pytaniem i popatrzyła na niego badawczo, jakby sprawdzała, czy przypadkiem nie mający. Dopiero kiedy się upewniła, że pyta na poważnie, zdecydowała się odpowiedzieć.

– Różni ludzie różnie mówią. Że dusi albo wali młotkiem w głowę. Trochę strach wychodzić z domu. A co dopiero wieczorem!

– Złapiemy go – powiedział.

Uśmiechnęła się do niego i zabrała tobolek brudnych ubrań.

– Idę dzisiaj do pracy, więc odnieś mi naczynia wieczorem, dobrze?

– Pracujesz trzeciego maja?

– W szpitalu jak w policji, robimy całą dobę.

– No tak. Oczywiście.

Pomachała mu dłonią na pożegnanie.

– Ala... – Zatrzymał ją, kiedy już stała w drzwiach. Coś mu właśnie przyszło do głowy. – Masz może komputer? Taki z kamerką i Skype'em?

Przyszedł na spotkanie ostatni. Wajtoła siedział pod samą ścianą. Przeglądał kolorowy magazyn, na którego okładce lśnił czerwony sportowy samochód, a młoda dziewczyna w kostiumie kąpielowym wypinała biust i uśmiechała się zalotnie. Rosecki, znudzony, bawił się zapalniczką i kończył dopijając kawę, a Borkowski grał w grę na komórcę, która co pewien czas wibrowała mu w dłoni i wydawała irytujący, piskliwy dźwięk. Lupa tymczasem siedział za stołem z gniewnym wyrazem twarzy oraz długopisem w dłoni i wpatrywał się bezmyślnie w blat. Kiedy Mortka wszedł, podniósł głowę i bez słowa wskazał mu miejsce.

– Zaczynamy, panowie – mruknął.

Wstał, zdjął kraciatą koszulę i zarzucił ją na oparcie krzesła. Poczekał, aż Wajtoła odłoży magazyn, a Borkowski wyłączy telefon. Przeszedł dookoła stołu i położył przed każdym plik kartek.

– To wstępne protokoły sekcji zwłok. Zapoznacie się z nimi później. Oczywiście nie mogą opuścić komisariatu. Teraz, żeby nie przedłużać niepotrzebnie zebrania, zreferuję wam pokrótce, co tam znajdziecie. – Zrobił krótką przerwę na wzięcie oddechu. – No więc nie ma tam nic, czego byśmy nie wiedzieli już wczoraj. Ofiary to kobiety w wieku od około dwudziestu do trzydziestu lat, nie wiadomo, jak zginęły, nie wiadomo, kiedy zginęły, nie wiadomo, skąd się tam wzięły. Czy coś pominąłem, Kuba?

Mortka wyprostował się, kiedy usłyszał swoje imię. Głowa już go nie bolała, przynajmniej nie tak mocno jak rano. Mężczyło go tylko lekkie ćmienienie w okolicach skroni, które sprawiało, że ciągle chcieli mu się wymiotować.

– Nie. Chyba nie.

– W takim razie przejdźmy dalej. Rosecki, poszukałeś potencjalnych sprawców?

– Tak. Ale oprócz tego gwałtu nic nie mamy.

– A porozmawiałeś z tą dziewczyną?

– Nie. Jeszcze nie.

– Borówka?

Borkowski odwrócił się w stronę komisarza i podniósł brwi pytająco.

– Sprawdziłeś listę zaginionych kobiet?

– Tak. – Młody policjant sięgnął na podłogę, gdzie leżała papierowa teczka. Podniósł ją, otworzył i wyciągnął kilka kartek. – U nas nikt nie pasuje do znalezionych zwłok. W Jeleniej Górze znalazłem dwie kobiety, ale jedna skończyła siedemdziesiąt siedem lat, a druga pięćdziesiąt sześć. Karpacz: pewna starszuszka. Ze Szklarskiej Poręby mam za to jedną młodą dziewczynę w wieku dwudziestu trzech lat.

Puścił plakat z fundacji ITAKA wokół stołu. Kiedy ten dotarł do Mortki, komisarz ujrzał na czarnobiałym zdjęciu ładną, uśmiechniętą kobietę o okrągłej twarzy i lekko uniesionym w górę, zadziornym nosie ozdobionym bladymi piegami.

– Co się z nią stało? – zapytał.

– Sześć miesięcy temu wyszła z domu i już nie wróciła.

– Coś ze sobą wzięła? Ubrania, portfel, telefon? Może bagaż?

– Tutaj piszą, że tylko portfel i telefon.

– Miała się z kimś spotkać? Mówiła, po co wychodzi? – dopytywał się Mortka.

– Nie wiem.

– To się zorientuj, Borówka – przerwał tę wymianę zdań Lupa. – Czy od wczorajszego dnia pojawiły się nowe ślady? A może któryś z was wpadł na jakiś genialny pomysł, co?

Nikt się nie odezwał. W końcu Mortka podniósł dłoń do góry.

– Mogłem się spodziewać – mruknął kwaśno Borkowski i zaraz skulił się pod karcącym spojrzeniem Lupy.

– Mów, Kuba.

– Słyszałem, że całe Krotowice gadają o tych zabójstwach. Powinniśmy wysłać kogoś w teren, niekoniecznie kogoś z nas, żeby zebrał plotki. Być może zabójca będzie chciał się pochwalić i zdradzi komuś, co mamy prawo wiedzieć tylko my.

– Dobry pomysł.

– Musimy też przygotować i wypuścić naszą, nazwijmy to, „kontrolną” wersję wydarzeń ze zmienionymi kilkoma szczegółami.

– To znaczy?

– Na przykład, że znaleźliśmy pięć ciał, a nie cztery. Że wszystkie kobiety zostały zaszytyletowane ciosem prosto w serce. Coś takiego. Ale nie zdradzamy nic na temat wyciętych organów i innych szczegółów sprawy.

– Po co to wszystko? – zainteresował się Wajtoła.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli wypuścimy naszą wersję, a mimo to dalej będą do nas docierać plotki, hm... bliższe prawdy, to warto będzie pójść tym tropem. Po drugie, prędzej czy później pojawi się nowy Bratkowski, który przyzna się do tych morderstw, chociaż tak naprawdę nie ma z nimi nic wspólnego. W takim wypadku musimy mieć możliwość szybkiej weryfikacji, czy to prawdziwy sprawca, czy tylko kolejny wariat.

Lupa stuknął rytmicznie palcem w stół, równocześnie marszcząc brwi, zamyślony.

– Zrobimy tak – zdecydował. – Wajtoła. Podobał mi się twój raport. Ładnie piszesz. A skoro tak, to przygotujesz tę wersję „kontrolną”. Potem dostarczysz ją mnie, Zajdzie i możesz wypuścić ją bokiem komuś znajomemu. Najlepiej dziennikarzowi. Ale wiesz, postaraj się, żeby to wyglądało tak, jakbyś wynosił te informacje w wielkiej konspiracji, a jak się wyda, to stracisz pracę. Dasz radę?

– Tak – odpowiedział bez entuzjazmu policjant.

– I najlepiej się pospiesz. Zajda narzekał, że wieść o naszym małym znalezisku już się rozniosła i dziennikarze zaczynają się nim interesować. Na szczęście na razie męczą rzecznika z Jeleniej Góry, ale prędzej czy później trafią do nas. „Księciunio” wspominał też, że dzisiaj mogą do nas przyjechać z TVN-u, i mam wrażenie, że miałby ochotę trochę poparadować przed kamerami. Lepiej, żeby wiedział, co ma im powiedzieć.

– Już się biorę do tego.

– Jeszcze jakieś uwagi?

Tym razem to Borkowski podniósł nieśmiało dłoń.

– Tak, Borówka?

– Cyganie.

Lupa zmrużył powieki.

– Coś się monotematyczny robisz, panie starszy posterunkowy.

– Ej! A nie mam racji?! – zaprotestował policjant. – U nas w Krotowicach nikt nie pasuje na zabójcę! Ale co się dzieje u nich w Harlemlu? Nie mamy pojęcia. Czarna, kurwa, dziura.

Rozglądał się dookoła, szukając poparcia u innych.

– Coś w tym jest – zaryzykował Rosecki. – Naprawdę mało o nich wiemy.

– Co w takim razie zamierzasz z tym zrobić? Wysłać tam patrol na całodobową obserwację? A może wzywać Cyganów po kolei na przesłuchanie?

– Nie, no. – Aspirant zaczął się wycofywać. – Tak tylko powiedziałem.

Mortka przyglądał się temu krótkiemu starciu i zauważył, że Lupa zdominował pozostałą trójkę policjantów. Nawet Borkowskiego, który teraz wyglądał jak zbity szczeniak. Pomyślał, że będą robić to, co każe im komisarz, i uważać na to, żeby zbyt nie wychylać. Nie wiedział tylko, czy tak było na komisariacie zawsze, czy odpowiedzialność związana z tą konkretną sprawą była tak duża, że woleli ją

zrzucić na kogoś innego. On sam był tu tylko ciałem obcym, kimś, kogo bierze się na poważnie tak długo, jak długo cieszy się szacunkiem Lupy.

– Po południu będziemy mogli przesłuchać Martę Gawryś. Przeprowadzę przesłuchanie w asyście komisarza Mortki. Do tego czasu... Borkowski, sprawdź mi to zaginięcie. Przeczytaj akta, porozmawiaj z miejscowymi, którzy się tym zajmowali. – Lupa wyciągnął z kieszeni komórkę i zaczął przeglądać listę kontaktów. Po kilku sekundach zniecierpliwiony rzucił telefon na blat. – Przyjdź do mnie później, to dam ci numer do faceta z tamtejszego komisariatu, z którym powinieneś się spotkać. On ci wszystko opowie.

Borkowski skinął głową i zaczął zbierać swoje papiery z powrotem do teczki.

– Rosecki. Twoja stara ma strasznie długie jęzor. Weź ją za niego pociągnij. Na pewno zna już wszystkie plotki i ploteczki. Zbierz je i spisz. Wajtoła, ty już masz co robić. Ale do tego dorzucę ci jeszcze jedno zadanie.

– Skoro musisz.

– Borówka ładnie nam sprawdził okolicę. Teraz ty poszukasz zaginionych dziewcząt z województwa dolnośląskiego. Dobra?

Policjant zgodził się bez entuzjazmu.

– I został nam komisarz Mortka.

– Dajcie mi namiar na tę zgwałconą dziewczynę. Porozmawiam z nią – zaproponował komisarz. Spojrzeli na niego zaskoczeni, zastanawiając się pewnie, czy powinni zaprotestować. Był tutaj gościem, gościem, którego zresztą nikt nie zapraszał, a obcy jako taki nie powinien wsadzać nosa w zamknięte sprawy, szukać luk i błędów. Ale Lupa zdecydował inaczej.

– To nawet nie jest taki zły pomysł – stwierdził. – Może wyciągniesz z niej coś, czego nam nie chciała powiedzieć.

Skończyli zebranie. Mortka został w salce, żeby dopić w spokoju kolejną tego dnia kawę. Miał głupią nadzieję, że w ten sposób ostatecznie pokona kaca. Podszedł do okna. Przypatrywał się górskim szczytom i poczuł ochotę, żeby nikomu nic nie mówiąc, wziąć plecak, zapakować do niego butelkę wody oraz kanapki i pójść na szlak. Zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni wędrował po górach. Liczył bezgłośnie. To musiało być kilka lat przed ślubem z Olą. Dwanaście lat temu? Piętnaście? Nie potrafił się doliczyć. Zresztą zawsze należał do tych, którzy wolą spędzać wakacje na chłodnych, zatłoczonych bałtyckich plażach.

Niemniej to mogłoby być przyjemne. Wziąć plecak i tak po prostu zniknąć. Zostawić za sobą wszystkie kłopoty, troski, zmarnowane lata.

Zastanawiał się, czy miałyby dość odwagi, aby tak postąpić.

Nie wiedział.

Jednopiętrowy budynek wybudowano tak blisko drogi, a może to drogę wybudowano tak blisko niego, że wychodzący z klatki schodowej człowiek od razu stawał na jezdni. Chodnik, zresztą tak wąski, że z trudem mieściła się na nim jedna dorosła osoba, poprowadzono drugą stroną, wzdłuż płynącej tuż obok rzeczki.

Mortka zaparkował samochód kilkadziesiąt metrów dalej, tam, gdzie droga się rozszerzała i miejsca było trochę więcej. Ostrożnie minął wylegającego się na ciepłym asfalcie wiejskiego psa – potężnego kundla z wywieszonym bladoczerwonym jęzorem, który nie wstawał nawet wtedy, kiedy samochody przejeżdżały tuż obok jego łba.

Po trzeszczących drewnianych schodach wszedł na pierwsze piętro i zapukał do drzwi, których dół był okuty stalową blachą. Usłyszał nerwowe kroki, a potem szcęk licznych zamków i zasuw. Wreszcie drzwi się uchyliły. W szczelinie pojawiła się poryta zmarszczkami twarz starszej kobiety o podkrążonych oczach i wyszminkowanych intensywną czerwień ustach.

– Tak?

– Komisarz Jakub Mortka. Chciałem porozmawiać z Renatą.

Kobieta sprawdziła okazaną jej legitymację. Zdjęła łańcuch i otworzyła szeroko drzwi.

– Renata! – krzyknęła do wnętrza mieszkania. – Policja do ciebie. Co ty, dziewczyno, znowu przekrobałaś?!

Mortka wszedł do środka i od razu znalazł się w maleńkim przedpokoju. Zapach kulek na mole wydobywający się spomiędzy ubrań był tak intensywny, że nie mógł tam wytrzymać. Przeszedł dalej, do pomieszczenia, które okazało się przechodnią kuchnią, gdzie z kolei unosiła się woń smażonych skwarów. Niemal równocześnie z nim, tyle że od drugiej strony, weszła kruczłowska dziewczyna o mocnym i agresywnym makijażu. Próbowwała nim zapewne odwrócić uwagę od dużego nosa i ust tak wąskich, że mogło się wydawać, iż nie ma w ogóle warg. W uszach nosiła monstrualnych rozmiarów kolczyki, które dzwoniły cicho przy każdym ruchu jej głowy.

– Czego?

– Pani Renata?

– No przecież. A co, mam dowód pokazać?

– Nie. Nie trzeba.

– Co znowu nabroiła?! – wtrąciła się kobieta, która otworzyła Mortce drzwi. Jej głowa wychylała się znad ramienia dziewczyny.

– Nic nie nabroiła. Chciałem tylko porozmawiać. Zadać kilka pytań.

– A po co? Ja nic nie wiem!

– Chodzi mi o... – zatrzymał się w pół słowa. – Być może lepiej by było, gdybyśmy porozmawiali na osobności.

Renata wzruszyła ramionami.

– Mamo, spadaj – stwierdziła. Kobieta próbowała protestować, ale wtedy dziewczyna wzniosła rękę do góry i krzyknęła: – Przecież to policjant kazał, nie?!

Matka Renaty dąsała się przez chwilę, ale wreszcie poszła do pokoju. Siadła na fotelu i ostentacyjnie pogłośniła telewizor. Dziewczyna zamknęła drzwi od kuchni i oparła się o parapet. Założyła ręce na piersiach.

– Czego? – powtórzyła swoje pytanie. – Ja nic nie wiem. Mieszkam teraz w Leeds. W ogóle się nie orientuję, co się na tym zadupiu dzieje.

– W Leeds?

– To w Anglii.

– No tak.

– Przyjechałam teraz na majówkę. Odwiedzić mamę. Jutro się zmywam. Mam bilet na lot do Liverka. Czyli Liverpoolu.

– Domyśliłem się. – Uśmiechnął się lekko, mając nadzieję, że wygląda teraz na miłego, przyjaznego faceta. – Chciałem z panią porozmawiać o tym, co się wydarzyło w listopadzie.

– W listopadzie...

– O gwałcie.

– Przecież wiem! – krzyknęła. – Nic się wtedy nie stało. Mówiłam. Pomyliłam się. Wycofałam wszystko. Czego się pan czepia?!

Mortka znał takie dziewczyny. Pod maską arogancji kryło się przerażenie pomieszone z gniewem. Prawdziwie wybuchowa mikstura. Najgorsze było jednak to, jak te oba uczucia były ukierunkowane. Ofiary bały się sprawcy, a wściekały na osoby, które próbowały im pomóc.

– Przyszła pani na komisariat zgłosić gwałt. Ale później zmieniła zdanie. Nie wiem dlaczego. Ale chcę się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

– Przecież mówiłam. Nic.

– Nie było mnie wtedy w Krotowicach. Nie jestem stąd, proszę pani.

To ją zaciekawilo. Opuściła ręce, przybierając mniej obronną postawę.

– A skąd?

– Z Warszawy. Biorę udział w programie wymiany doświadczeń policyjnych poprzez odbywanie staży w różnych miejscach w kraju.

– Ale legalnie mnie pan przesłuchuje?

– To nie przesłuchanie. Po prostu chciałem porozmawiać. Ale tak, jestem uprawniony do dokonywania wszystkich czynności policyjnych w Krotowicach podczas swojej służby w miejscowym komisariacie.

– Aha.

– Co się wtedy wydarzyło?

Wzruszyła ramionami.

– Przyjechałam na groby na Święto Zmarłych. Spotkałam się ze znajomymi. Trochę wypilałam. – Jej dłoń powędrowała w górę i dziewczyna wsadziła sobie końcówki pomalowanych na zielono paznokci do ust. Wydawało się, że nawet tego nie zauważyła. – Kiedy wracałam do domu przez pola, ktoś mnie zawołał. Stałam, żeby zobaczyć kto. Jakiś facet biegł za mną. Zanim zapytałam, kto to, uderzył mnie i rzucił na ziemię. Chwilę potem miałam kurtkę na głowie i... Sam pan wie. Spodnie poleciały do kostek. – Próbowала się zaśmiać. – Po co to panu?

Przeczuwał, że to ważne pytanie. Zdradziła mu właśnie coś bolesnego. Jeśli chciał, żeby podzieliła się z nim czymś więcej, musiał dać jej równie wartościową informację.

– Słyszała pani o zwłokach kobiet odnalezionych w tutejszej kopalni?

– Tak.

– Zamordowano brutalnie kilka kobiet. Prowadzę śledztwo w tej sprawie. Zastanawiam się, czy te morderstwa i to, co się pani przydarzyło, mają ze sobą coś wspólnego.

Zamarła z paznokciami tkwiącymi pomiędzy białymi zębami.

– Nie – stwierdziła nadzwyczaj stanowczo. – Nie ma.

– Skąd ta pewność?

– Bo po prostu nie ma.

Zmarszczył brwi. Nagle go oświeciło.

– Pani wie – stwierdził. Postarał się o to, żeby jego głos brzmiał łagodnie i przyjacielsko.

– Co takiego niby wiem?

– Kto panią zgwałcił.

Odwróciła głowę w stronę piętrzących się w zlewie naczyń. Milczała. On również. Chciał jej dać kilka sekund do namysłu, pozwolić na to, żeby sama mu wszystko opowiedziała. Gdyby naciskał, mógłby ją tylko spłoszyć. Wtem Renata dopadła do drzwi od pokoju i zaczęła walić w nie z całych sił pięściami.

– Spierdalaj! Słyszysz?! Spierdalaj!

Za matowym szkłem Mortka dostrzegł sylwetkę, która uciekła w głąb mieszkania. Matka dziewczyny. Podśluchiwała ich. Renata po raz ostatni wzniosła ramię w górę, ale zamiast uderzyć, opuściła je bezwładnie. Spojrzała Mortce prosto w oczy: ostro, agresywnie i błagalnie równocześnie.

– Popełniła pani błąd, wycofując zgłoszenie – powiedział policjant. – Ale można to naprawić. Jeśli się pani boi, mogę pomóc. Zadbać o opiekę prawną, ochronę, przypilnować wszystkiego – dodał bez przekonania. Wiedział, że to już raczej na nic. Niczego się tutaj nie dowie. Ale musiał przynajmniej spróbować.

– Nie jesteście stąd – stwierdziła. – Nic nie wiesz.

– Ktoś pani zrobił wielką krzywdę. A tutejsza policja z jakiegoś powodu zawiodła. To straszne i nie jestem w stanie nawet wyrazić jak bardzo... – Zamilkł, zdając sobie sprawę, że brakuje mu słów. – Chęć i mogę pomóc – dokończył niezgrabnie.

– Nie.

To wszystko? Poczłł nieoczekiwany przypływ złości. Miał ochotę podbiec do tej dziewczyny, chwycić ją za ramiona i potrząsać nią tak długo, aż wybiję jej z głowy te głupie pomysły. Pocił się ze zdenerwowania, próbował do niej dotrzeć na różne sposoby, a usłyszał w odpowiedzi tylko jedno proste „nie”.

– Zamordowano cztery kobiety. Bardzo często się zdarza, że gwałciciele później... – Spróbował jeszcze raz.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego – wyszczała.

Poddał się. Miał przed sobą mur i wiedział, że może w niego walić, ile chce, ale i tak nie da rady się przebić. Minęło zbyt wiele czasu, wmówiła sobie, że podjęta przez nią decyzja była słuszna i właściwa. Teraz nie zmieniłaby jej tak od razu. Miał tylko nadzieję, że udało mu się zasiać w dziewczynie ziarno wątpliwości, które kiedyś przyniesie owoce. Pozostało mu tylko wycofać się i dać jej czas na przemyślenia.

– W takim razie życzę pani bezpiecznego lotu. Gdyby jednak pani zmieniła zdanie, to moja wizytówka. Proszę dzwonić o dowolnej porze. – Wręczył jej biały kartonik. Przyjęła go niechętnie i natychmiast położyła obok siebie na parapecie. – Czy da mi pani namiary na siebie? Tam, w Anglii. Na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że będę chciał z panią jeszcze porozmawiać.

– Mama wszystko ma.

Kiwnął głową. Pożegnał się krótko i wyszedł na dwór. Pies, który wygrzewał się na asfalcie, wciąż tam leżał. Na widok Mortki podniósł na moment ciężki łeb i zamerdał trzy razy ogonem.

Portier w rządowym ośrodku wczasowym Pod Klonami skończył kilka dni temu pięćdziesiąt sześć lat, co było dla niego wydarzeniem symbolicznym. Tyle właśnie miał jego ojciec, kiedy zmarł w 1978 roku w szpitalnym łóżku powalony przez białaczkę. Choroba ujawniła się tak nagle, jakby była wyskakującym z pudełka diabełkiem, którego portier widział kiedyś na kościelnym odpuszcie. Tata był jednym z tych mężczyzn, którzy za mieszkanie, dobrą pensję, talony na deficytowe towary, radia, meble ryli w latach czterdziestych kilofami, dynamitem i młotami okoliczne góry. Zarabiało się wtedy tyle, że człowiek nie wiedział nawet, co ma robić z pieniędzmi. A potem przyszedł ten smutny dzień, kiedy wyjechali Ruscy, a produkcja zaczęła zamierać. Wszystko toczyło się jeszcze siłą rozpędu przez parę lat, ale koniec końców kopalnie pozamykano.

Ojciec, pomyślał portier, i tak długo pożył. Większość jego kolegów umarła kilka, góra kilkanaście lat po wyjściu spod ziemi. W aktach zgonu pisano im „pylica” lub podobne bzdury, chociaż tak naprawdę zabijał ich ten radioaktywny syf, który nosili tyle lat do wagoników gołymi rękami i wywozili na powierzchnię, a który teraz tkwił w głowicach rosyjskich rakiet. Ludzie opowiadali cuda o tych kopalniach. Ze Ruscy nikomu nie mówili, co właściwie się tam kopie, że jak ktoś zdradził coś obcemu albo nawet prowokatorowi, to dostawał kulę w łeb bez sądu. Ale to były bzdury. Ojciec z kolegami doskonale wiedzieli, że kopią uran. Inna rzecz, że nikt im nie wytłumaczył, czym ten uran właściwie jest. Sowieci co prawda ostrzegali, żeby pod żadnym pozorem nie jeść drugiego śniadania pod ziemią, ale kto by tracił czas na to, żeby wyjechać na powierzchnię, kiedy trafiła się dobra żyła? Bo za dobry urobek dostawali takie premie, które się nawet górnikom z Wałbrzycha nie śniły. Takie to czasy były. Złoty wiek dla Krotowic. A teraz tylko syf, bezrobocie i padlina, pomyślał portier i chętnie by splunął, gdyby miał gdzie. Ale popielniczka leżała daleko, a zieloną wykładzinę sam niedawno odkurzał i szkoda mu było ją brudzić.

Był więc w wieku swojego ojca, a za rok będzie starszy. Nie wiedział, czy powinien się z tego powodu cieszyć, czy martwić.

Oparł łokcie o blat portierni i wbił podbródek w zaciśnięte w pięść dłonie. Ojciec umarł może i młodo, ale piękne miał życie. Wszystkiego pod dostatkiem. A on sam? Tkwił w tym ośrodku, od lat nie dostał podwyżki, wciąż tylko wysłuchiwał plotek o tym, że albo ich zamkną, albo zwolnią całą obsługę i zatrudnią tych z jakiegoś outsourcingu. Tych, co nie pracują na etatach, więc są tańsi. Portier to nawet rozumiał, bo przecież widział, że ośrodkowi się nie przelewało. W szczycie sezonu, jak dobrze poszło, to mieli zajętą ledwo połowę miejsc. I tak od paru lat. Na jesieni czasami ktoś z rządu przyjeżdżał konferencję robić. Wszyscy wtedy chlali po nocach do upadłego, a potem następnego dnia jeden frajer gadał godzinami do pustej sali, a sprzątaczkę zbierały pełne popielniczki, butelki i rzygowiny. W zimie pustki, bo chociaż Krotowice są w sercu Karkonoszy, to nie mają ani jednego wyciągu narciarskiego, więc wszyscy uciekają do Karpacza czy Szklarskiej. W ciągu roku od czasu do czasu trafiały się ślub, chrzciny, stypa lub firma, próbująca wcisnąć emerytom niby-zdrowotne garnki lub superpościel z wełny wielbłąda, która leczy reumatyzm. Ale wszystko to mało. Weźmy chociażby teraz, myślał portier. Długi weekend się kończy, a z osiemdziesięciu miejsc mają zajęte tylko pięć. Cztery wynajęli turyści, którzy z Krotowic urządzili sobie bazę do górskich wędrowek, a pięte...

– Dzień dobry, panie Zbyszku!

Aż podskoczył przestraszony. Olga znalazła się tuż obok niego, uśmiechnięta, umalowana i pachnąca kwiatami. Zawsze potrafiła go podejść.

– Dzień dobry, pani Olgo.

Stała obok niego i złożyła głowę na ładzie, wypinając zalotnie pupę. Pomyślał, że gdyby był choć trochę młodszy, to nie zastanawiałby się długo, tylko chwyciłby ją i zrobił, co trzeba. Chciałaby czy nie.

– Co słycha, panie Zbyszku? – zapytała. Mówiła, zaciągając, jak Kargul i Pawlak z *Samych swoich*.

– Po staremu, pani Olgo. Nic się nie dzieje.

Zmarszczyła zabawnie brwi i wyduła lekko usta.

– Nic. A te morderstwa?

A... Morderstwa. Gadało o nich całe miasto, ale portier nie lubił plotek. Pomyślał tylko, że może z tej okazji jacyś dziennikarze zjadą do Krotowic i wynajmą kilka pokoi w ośrodku. Dobrze by było i to.

– Ano. Są.

– A pan może ma znajomych w policji, którzy by coś wiedzieli? Co, panie Zbyszku?

Pokręcił przecząco głową.

– A ktoś inny ma? Może pani Gosia?

– To niech pani z panią Gosią gada. Ja się nie interesuję. A co pani taka ciekawa?

– A co tu innego robić? – odpowiedziała pytaniem.

Właśnie. Nic innego nie było do roboty. Ale mimo to siedziała u nich już całkiem długo. Czasami zastanawiał się nawet, co ją tu trzyma.

– A jak piesek? – Zmieniła szybko temat.

– Drzazga? – Zrobiło mu się miło, że pamiętała. – Dalej nie chce jeść. Za to szczeka na każdego obcego. I to tak dziwnie szczeka, pani Olgo. Zupełnie inaczej niż dotychczas. Tak z zębami, jakby gryźć chciała czy wścieklną miała.

– A lekarz co na to?

– Weterynarz ją prześwietlił, powiedział, że nic nie widzi i że trzeba czekać. A jak to czekanie nie pomoże, to będzie ją ciął, żeby zobaczyć, co w tych psich bebechach siedzi. Ale ja tam nie wiem. To stary pies jest. Czy warto ją męczyć i kłaść na stół? – zapytał retorycznie, mając nadzieję, że dziewczyna nie usłyszy fałszu w jego słowach. Prawda była taka, że nie miał dość pieniędzy, by zapłacić za operację psa. I im bardziej Drzazga robiła się agresywna, tym bardziej portier liczył się z tym, że pewnego dnia będzie ją musiał zawieźć do kumpla na gospodarke, położyć jej łeb na pieńku i zakończyć to psie życie jednym ciosem siekiery. Ilekroć o tym myślał, lzy zbierały mu się pod powiekami.

– Będzie dobrze – powiedziała dziewczyna, a on był jej wdzięczny za słowa pocieszenia. A chwilę później jej dłonie wykonały taniec, który powtarzały dzień w dzień od dwóch tygodni. Prześlizgnęły się po jego ramionach i torsie, żeby z kieszeni koszuli wyciągnąć paczkę papierosów i się poczęstować.

– Ma pan zapalniczkę?

Podał jej, a ona schowała ją do kieszeni kurtki. Bez słowa, ale za to z promiennym uśmiechem. Paczkę papierosów odłożyła tymczasem na ladę.

– Dziękuję, panie Zbyszku.

Patrzył za nią, jak wychodziła z ośrodka. Przy każdym kroku kręciła biodrami, jakby była na wybiegu modelek. Lekkim kopnięciem otworzyła drzwi i już jej nie było.

Będą z tą dziewczyną kłopoty, pomyślał pan Zbyszek. Odnosił takie wrażenie, ilekroć się spotykali, ale chociaż mijał dzień za dniem i nic się dotąd nie wydarzyło, nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby się pomylić. Będą z tą dziewczyną kłopoty, to było pewne, jak dwa i dwa jest cztery.

Mortka obracał w dłoniach pluszowego misia z naderwanym uchem. Kiedy przyłożył go do twarzy, wy czuł wyraźny zapach stęchlizny i starych ubrań. Inne zabawki nie wyglądały lepiej.

– Mogliście się trochę bardziej postarać – stwierdził komisarz. Borkowski wzruszył ramionami lekceważąco, dając tym samym wyraźny znak, że opinia komisarza zupełnie go nie obchodzi.

– Tylko takie miała moja siostra.

– A ile siostra ma lat?

– Czternaście – powiedział Borkowski i roześmiał się. – Już się tymi zabawkami nie bawi, ale jak je zabierałem, to i tak krzyczała, jakbym jej zęby wyrwał. Mówiła, że to dla niej ważne pamiątki. Dopiero jak obiecałem, że oddam, to się trochę uspokoiła.

Mortka odłożył pluszaka obok lalki z grubymi blond warkoczami i niepokojącym uśmiechem wyszytym czerwoną nicią. Na czas przesłuchania Marty Gawryś przemeblowali jedno z pomieszczeń, tak żeby dziewczynka czuła się tam bezpiecznie. Wynieśli większość mebli, pozostawiając tylko trzy krzesła. Na podłodze porozrzucali zabawki. Pod jedną ze ścian stała tablica do rysowania, a w kącie gotowa do pracy kamera.

– Wiecie, że noszą kwiaty pod sztolnię? – odezwał się Borkowski.

Komisarz spojrział na niego pytająco.

– Byłem tam dzisiaj, bo siostra powiedziała mi, co się dzieje – dodał starszy posterunkowy. – Przy wejściu do kopalni ludzie zostawiają kwiaty oraz zapalone znicze. Niektórzy to się nawet modlą.

– Jezu, brakuje nam tam tylko kółka różańcowego... Mam nadzieję, że zabezpieczyliśmy wszystkie ślady w okolicy – jęknął Mortka.

– Zabezpieczyliśmy – potwierdził ponuro Lupa.

– A wejście do kopalni?

– Wstawiliśmy kratę i zamknęliśmy na kłódkę.

Mortka nie wiedział, czy to wystarczy. Ale co mieli więcej zrobić? Wystawić pod sztolnię wartę honorową?! Wyprostował się i omiół wzrokiem pokój. W niczym nie przypominał wzorowej sali przesłuchań dla dzieci, ale i tak było nieźle.

– Zaraz będą – ponaglił go Lupa.

Wyszli przed komisariat. Lupa wyciągnął marlboro z pudełka i podsunął paczkę Mortce, a potem Borkowskiemu. Obaj odmówili. Komisarz zaczął się bawić papierosem, przyglądając mu się spod na wpół przymkniętych powiek.

– Kurwa... Prawie udało mi się rzucić. Trzy miesiące nie paliłem – powiedział.

– Niezły wynik.

– No. Mój najlepszy. I wszystko poszło się jebać.

Wsadził papierosa do ust, ale nie zdążył zapalić, bo w tej samej chwili zza rogu wyłoniła się karetka. Lupa pstryknął palcami na Borkowskiego i młody policjant pobiegł otworzyć bramę.

Samochód wjechał na teren komisariatu i zatrzymał się niedaleko policjantów. Z kabiny wysiadł doktor Nowak z sanitariuszem. Otworzyli tylne drzwi i pomogli wyjść Joannie Gawryś, która tuliła w ramionach otuloną w koce Martę.

– To naprawdę konieczne? – zapytała kobieta od razu, kiedy tylko podeszli do niej policjanci.

– Tak. Jak mówiłem, musimy mieć to nagrane – potwierdził Lupa i wprowadził ją do budynku.

Ojca Marty nie było w karetce. Mortka uznał, że zapewne został w domu, żeby pilnować syna. Ciekawe, co się dzieje z gówniarzem? Ktoś się powinien tym zainteresować, sprawdzić, czy Gawrysiowie nie spuścili mu zbyt wielkiego lania. Bo że swoje dostał, tego komisarz akurat był pewien. Wprawdzie nie popierał kar cielesnych, ale tym razem jakoś nie było mu żal dzieciaka.

Joanna Gawryś weszła z córką do pokoju przesłuchań. Usiadła na krześle i wzięła ją na kolana. Mortka posłał Lupie pytające spojrzenie, a ten tylko się skrzywił w odpowiedzi. Rodzice nie powinni brać udziału w przesłuchaniu, ale policjant uznał, że raczej nie uda mu się skłonić Joanny Gawryś do wyjścia. Kobieta postanowiła nie spuszczać dziecka z oczu. Mogli próbować ją przekonać, żeby opuściła pokój, lub nawet do tego zmusić, ale to tylko utrudniłoby kontakt z dziewczynką.

Lupa włączył kamerę.

– Dzień dobry, Marto – rozpoczął. – Znamy się, prawda? Nazywam się Boguś Lupa, a to mój kolega Kuba Mortka. Obaj jesteśmy policjantami. Chciałem z tobą porozmawiać na temat tego, co się wydarzyło w kopalni. Pamiętasz?

Dziewczynka długo tkwiła w bezruchu. Wreszcie podniosła przestraszone, wielkie oczy i kiwnęła głową.

– Czy wtedy w kopalni zdarzyło się coś niezwykłego?

Kiwnęła głową. Lupa uśmiechnął się lekko, zachęcając ją do mówienia.

– Znalazłam te panie – wyszeptala Marta drżącym głosem.

– Rozumiem.

– Prosiłam, żeby mi pomogły.

– Tak.

– Ale one nie żyły.

– Pewnie się przestraszyłaś?

Powtórnie kiwnięcie głową.

– To nie szkodzi, kochanie. Każdy by się przestraszył. I tak jesteś bardzo dzielna. A powiedz mi, czy coś jeszcze się wydarzyło?

Długie, długie milczenie, po którym padło jedno ciche słowo.

– Tak.

– Co takiego?

– Ktoś tam przyszedł.

– Gdzie, kochanie?

– Do kopalni.

– Do miejsca, gdzie były te panie?

– Tak.

– Kto to był?

– Taki pan.

Lupa rzucił Mortce szybkie spojrzenie, a potem zerknął na kamerę, żeby się upewnić, że przesłuchanie jest nagrywane.

- Co robił?
- Oglądał te panie – wyszeptwała Marta. – Bardzo długo oglądał.
- A co ty zrobiłaś?
- Ukryłam się.
- Dlaczego, kochanie? Nie chciałaś prosić go o pomoc?
- Chciałam.
- Poprosiłaś?
- Nie.

Zadrżała, a jej matka natychmiast mocniej ją objęła.

– Marta, dobrze zrobiłaś. Nikt tutaj nie jest na ciebie zły. Rozumiesz? – Lupa przemawiał cicho i spokojnie.

- Tak.
- Chcemy tylko wiedzieć, dlaczego nie poprosiłaś tego pana o pomoc.
- Bo się bałam.
- Czego się bałaś?
- Tego pana.
- Dlaczego?
- Bo mama mówiła, żeby na nich uważać. Żeby się trzymać od nich z daleka.
- Od kogo masz się trzymać z daleka?

Marta przełknęła ślinę.

- Od Cyganów.

Mortka podziękował ruchem głowy, kiedy Alicja położyła przed nim talerz z jajkiem na twardo i posmarowanymi masłem kromkami ciemnego, żytniego chleba. Ostatnie kliknięcie i Skype pogratulował mu utworzenia nowego profilu. Sięgnął po telefon komórkowy i odszukał esemesa od Brodki. Wpisał w odpowiednim okienku jej nazwę użytkownika. Program odnalazł ją po dwóch sekundach. Była jeszcze niedostępna.

Mortka dopiero wtedy się zorientował, co przed chwilą pojawiło się na biurku. Ogłupiałym wzrokiem wpatrywał się w kolację. Wreszcie wstał i wyszedł z pokoju.

Alicja siedziała razem z dziećmi w dużym pokoju. Jedli i wspólnie oglądali film w telewizji.

– Dzięki – powiedział i od razu odkasznął.

Kobieta odwróciła się do niego i uśmiechnęła pytająco.

– Za jedzenie. Za komputer zresztą też, ale teraz za jedzenie – chrząknął raz jeszcze, żeby pozbyć się resztki chrypy. – Chyba powinienem ci zacząć płacić za te wszystkie posiłki.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała, a w jej głosie brzmiała nuta oburzenia.

Pogłaskała siedzącego obok syna po włosach, ale ten od razu się odsunął. Posłała Mortce spojrzeenie, które mówiło: „Ach, ci chłopcy!”. Coś o tym wiedział. Pamiętał jeszcze ten słodko-gorzki smak odrzucenia, kiedy jego synowie po raz pierwszy stwierdzili, że są już za duzi na wieczorne przytulanie. I tak zresztą nie miał zbyt wielu okazji, by okazywać im czułość. To Ola ich usypiała. On był albo w pracy, albo przegłędał właśnie papiery, które przyniósł do domu. Potem się kłócił. Ona wyrzucała mu, że niemal nie zajmuje się dziećmi, on jej, że nie rozumie jego pracy. Wreszcie ona mówiła mu, że jego synowie prawie go nie znają, a on ją pytał, kiedy po raz ostatni widział martwego człowieka. Bo on dzisiaj.

Nieuniknione i ostateczne argumenty.

Potrząsnął głową, żeby uwolnić się od wspomnień, i poszedł do toalety. Wysikał się, a potem umył ręce. Kiedy szukał ręcznika, trącił ramieniem półkę nad umywalką i zrzucił jedną ze stojących tam butelek. Złapał ją w ostatniej chwili, zanim roztrzaskała się o podłogę. Miał w dłoniach buteleczkę perfum Escentric Molecules 01. Podniósł ją do nosa i poczuł zapach Alicji – woń drewna, cytrusów i kwiatów pomieszana z czymś syntetycznym, trudnym do określenia, a co kojarzyło mu się z lekcjami chemii w liceum. Odłożył flakonik na półkę.

Wrócił do pokoju Marcina i Judyty. Jedna jego połowa była oblepiona plakatami z piłkarzami i samochodami, a druga – obrazkami z lalkami Barbie, piosenkarkami i kucykami My Little Pony. Dostrzegął na ścianie ślady walki między rodzeństwem, kiedy jedno z nich chciało zalepić swoim plakatem własność drugiego.

Zjadł kanapki i wtedy dostrzegł, że ikona obok nazwiska Brodki zmieniła wygląd. Nacisnął ją i program nawiązał połączenie.

Na ekranie komputera pojawiła się twarz psycholożki. Poniżej, na mniejszym obrazku widział siebie. Kamera obcięła mu połowę twarzy. Poprawił ją.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – odezwała się Brodka.

Mortka odniósł wrażenie, że jej oczy miały kolor szary, a nie intensywnie błękitny jak podczas ich ostatniego spotkania w Warszawie. Wtedy chyba nosiła soczewki.

– Dobry wieczór. Słyszysz mnie pani?

– Głośno i wyraźnie.

Roześmiała się.

– Przeczytała pani materiały, które jej wysłałem?

Mortka złamał zakaz Lupy. Najpierw zeskanował część dokumentów dotyczących śledztwa, potem nagrał pliki na płytę DVD, żeby wreszcie, korzystając z komputera Alicji, wysłać je profilerce.

– Tak.

– I co pani sądzi?

Ruchem dłoni odgarnęła niesforny kosmyk, który opadł jej na czoło.

– Wie pan, że to nie będzie pełnowartościowy profil kryminalny?

– Oczywiście.

– Zadam w takim razie kolejne pytanie. Czy w śledztwo zostanie włączony inny profiler? Być może ktoś z Wrocławia lub Jeleniej Góry?

Potrząsnął głową.

– Dlaczego nie?

– Długo by tłumaczyć.

– Mam czas.

– Ale ja nie. Jeśli jednak to cokolwiek dla pani znaczy, to nie jest moja decyzja. Jestem tutaj tylko konsultantem.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. Potem westchnęła zrezygnowana i sięgnęła po okulary o grubych, czarnych oprawkach, które kiedyś nosiły tylko kujonki, a które ostatnio zrobiły się szalenie modne. Założyła je i zaczęła przerzucać kartki papieru. W jej prawej dłoni niepostrzeżenie znalazł się długopis, którym zaczęła szybko podkreślać poszczególne zdania i słowa.

– Powiem panu tak... – zaczęła. – To bardzo brutalne morderstwa. Mam wrażenie, że w polskich warunkach to ewenement. A przynajmniej nie kojarzę podobnego wypadku. Do tego stan, w jakim znaleziono ciała, utrudnia wyciągnięcie wniosków, postawienie hipotez. Nie mamy na przykład szans znaleźć odpowiedzi na podstawowe pytanie.

– Jakie?

– Czy były gwałcone przed śmiercią lub po niej, czy nie?

– A jak pani uważa?

– Wydaje mi się, że były. Zauważył pan, że ofiary więziono przed śmiercią. Takie uwięzienie jest bardzo często skorelowane z przestępczością seksualną. Powstaje jednak pytanie: dlaczego w takim razie ktoś tak brutalnie je zamordował lub tak nieludzko obszedł się z ich ciałami?

– Dlaczego to panią dziwi? Człowiek, który więzi kobietę, gwałci ją i zabija, jest zdolny do wszystkiego.

– Długie uwięzienie prowadzi do powstania relacji pomiędzy sprawcą a ofiarą. Z jednej strony mamy słynny syndrom sztokholmski, z drugiej również oprawca przywiązuje się do osoby więzionej. Pojawia się pewna więź, trudna do opisania i zrozumienia, ale będąca wyrazem... no cóż, niech będzie, że jakiegś tam chorej sympatii. Tymczasem mam wrażenie, że rany, które zadał sprawca, stopień agresji, brutalność wskazują na silną, ogromną nienawiść do ofiar.

– Jest ona skierowana przeciwko konkretnym osobom czy też...

– Powiedziabym, proszę mi wybaczyć ten wyświechtany tekst, że to mężczyzna, który nienawidzi kobiet. Proszę zwrócić uwagę na obrażenia: wycięte organy płciowe, sutki. To atrybuty kobiecości.

– Także rany na udach.

– Również kojarzące się z kobiecością.

– Oraz bicepsy.

– Symbole siły? Boi się, nienawidzi silnych kobiet?

Tym razem to Mortka potrzebował chwili na zastanowienie. Wyciągnął notatnik i zapisał krótkimi słowami hipotezy, do których doszli.

– Czym może być spowodowana ta nienawiść?

– Stawiałabym na niepowodzenia seksualne. Długotrwałe, skutkujące niemożliwością zbudowania normalnej relacji z kobietą. Plus, być może, jakaś trauma. A może dominująca matka, żona.

– Czyli to mężczyzna?

– Niemal na pewno tak.

– A może kobieta, która nienawidzi innych kobiet?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Interesująca hipoteza, panie komisarzu. Pewnie nie można jej wykluczyć, ale takie rzeczy raczej się nie zdarzają. Dodatkowo sprawczynie musiałyby mieć dość siły, żeby obezwładnić i uwięzić inną kobietę. Prawdziwa herod-baba.

– Mogłyby korzystać z podstępów. Zwabiać ofiary, podawać im środek nasenny do kolacji lub coś podobnego.

– Kobieta nienawidząca własnej kobiecości? Pozbawiająca się jej symbolicznie poprzez okaleczenie innych dziewcząt? Brzmi cudownie, panie komisarzu, ale stawiałabym jednak na coś bardziej zwykłego, tradycyjnego.

– Patriarchalnego?

– A fe! Jakie brzydkie słowo, panie komisarzu! Ja go nie użyłam. Nie jestem feministką, wbrew temu, co może pan myśleć. Po prostu takie rzeczy się nie zdarzają, a jeśli już, to bardzo rzadko.

Kiwnął głową. Miała rację. Całe jego policyjne doświadczenie potwierdzało jej słowa.

– Kogo by pani w takim razie szukała?

– Mężczyzny. Najprawdopodobniej samotnego, chociaż to nie jest pewne. Może tkwić w nieszczęśliwym małżeństwie, związku. Może się dziwnie zachowywać, ale nie odbiegać bardzo od normy. Przy najmniej nie na tyle, żeby jakoś szczególnie zwracać na siebie uwagę. Ma bezpieczny dostęp do miejsca, gdzie może więzić ofiary: piwnica domu jednorodzinnego, porządna altana na działce, coś w tym guście. Sprawny fizycznie i silny, skoro zaniósł ciała w głąb szybu kopalni. Dobrze znający okolicę.

Skończył zapisywać jej słowa. Schował notatnik do kieszeni.

– Coś jeszcze? – zapytał.

Zawahała się.

– Tak – powiedziała wreszcie. – Jest coś jeszcze.

– Co takiego?

– Pamięta pan tę dziewczynę z rozciętymi policzkami?

– Oczywiście.

– Takie rany zadawał swoim ofiarom Joker.

– Joker?

– Przestępcą z komiksu. Główny wróg Batmana z filmu *Mroczny rycerz*. Widział pan?

– Nie.

– W jednej ze scen tego filmu Joker opowiada, że pijany ojczym rozciął mu policzki brzytwą, stąd ten jego wielki, szeroki uśmiech. Potem groził innym tym samym ostrzem i zadawał pytanie: „*Why so serious?*”. Dlaczego jesteś taki poważny?

– Czyli morderca to fan filmów o Batmanie.

– Tak. Nie. Nie wiem. To dotyczy tylko jednych zwłok. Przez to wprowadza pewien dysonans. Rozumie pan, komisarzu?

– Nie do końca.

– Seryjni mordercy są bardzo przywiązani do swojego *modus operandi*, sposobu postępowania. Jeśli z niego rezygnują lub wprowadzają nowe elementy, to muszą mieć wyraźny powód. Ten tutaj natomiast jakby po prostu chciał spróbować czegoś nowego albo skopiował to, co widział na jakimś filmie, a potem przy kolejnych ofiarach o tym zapomniał.

- To tak panią dziwi?
- Jak pan sika, komisarzu?

Aż się wzdrygnął, zaskoczony tym pytaniem. Brodka wygięła kąciki ust w złośliwym uśmiešku.

– Pewnie pan się nawet nad tym nie zastanawia, ale przy każdej wizycie w toalecie powtarza pan te same gesty. Jedną ręką rozpina rozporek, drugą wyjmuje penis. Sika pan, odginając się, patrząc w sufit lub kołyszając się na piętach. Potem otrzępuje pan penis, zwykle mniej więcej tę samą liczbę razy, i myje ręce lub nie.

– Do czego pani zmierza?

– Do tego, że zwykle robi pan to samo w tej samej kolejności. Z seryjnymi mordercami jest podobnie. Powtarzają się. Jeśli coś zmieniają w swoim *modus operandi*, to naprawdę, naprawdę musi to coś znaczyć, mieć jakiś sens. A tutaj tego sensu nie widzę. Bo co miałyby znaczyć ten gest?

– Nie wiem.

– Ja również nie, panie komisarzu. Dlatego to jest takie dziwne. To ten element, który nie pasuje do obrazka.

Pokiwał głową na znak, że rozumie. Pożegnał się z Brodką, obiecując, że jeszcze się z nią skontaktuje. Psycholożka była bardzo ciekawa, jak rozwinie się śledztwo.

Korzystając z okazji, wszedł jeszcze na jedną stronę, którą znalazł niedawno podczas nudnego dnia w pracy. Było to forum o nazwie „Klub rozwodników”, rodzaj wirtualnej grupy wsparcia, chociaż oczywiście żaden z użytkowników nigdy tego nie przyznał. Miło było przez chwilę poczytać o ludziach, którzy mieli podobne problemy do niego. Sam jednak nie był zarejestrowany. Zainteresował go szczególnie wątek o nazwie „Moja była ma nowego faceta”. Przeczytał kilka wpisów, a potem przestraszył się, że Alicja wejdzie do pokoju i zobaczy, co robi. Poczulby się bardziej zażenowany, niż gdyby złapała go na oglądaniu pornografii.

Rozłączył się, podziękował za użyczenie komputera i wrócił do siebie. Wypił dwa piwa i położył się spać.

Śniło mu się, że przysłała do niego Alicja. Zapukała do drzwi, a kiedy jej otworzył, miała na sobie tylko ko zwiewną koszulę nocną i usta w kolorze krwi.

„Dokończmy to, co zaczęliśmy” – wyszeptła.

Położył dłoń na jej udzie, a drugą na talii i przyciągnął do siebie. We śnie miała skórę jak dwudziestolatka – delikatną i miękką. Jej sutki rysowały się wyraźnie pod koronkowym materiałem. Wziął je do ust i długo pieścił językiem.

Zbudził go telefon. Obrócił się na bok i wziął do ręki aparat. Spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił Lupa. Odebrał.

– Bratkowski nie żyje. Zabito go.

Grzegorz Bratkowski, znudzony oglądaniem telewizji, zaparzył sobie herbatę i włączył komputer. Jego palce pracowały samodzielnie, właściwie bez udziału mózgu, przemierzając na klawiaturze dobrze znane ścieżki. Wszedł do sieci i zalogował się do Tora – systemu umożliwiającego anonimowe korzystanie z dobrodziejstw internetu. W pasku przeglądarki wpisał adres jednej ze swoich ulubionych stron. Jego palec zawisnął nad klawiszem enter. Siedział przez chwilę bez ruchu, wpatrzony w bladoniebieską poświatę monitora, a płatki jego nosa drżały niemal niedostrzegalnie. Nie wiedział, co właściwie czuje ani co czuć powinien. Nie była to ani wściekłość, ani paląca rozpacz, uczucia, które opanowały go, kiedy opuścił komisariat.

Myślał o pokusach dręczących go, od kiedy zaczął dojrzewać i od kiedy zdał sobie sprawę, że wcale nie pociągają go rosnące z tygodnia na tydzień biusty koleżanek. Tak naprawdę bardziej podobały mu się one wtedy, kiedy ich piersi przypominały dwa guziki, a biodra były nie zaokrąglone, tylko przyjemnie chłopiące. Już wtedy przeczuwał, że te myśli są z jakiegoś powodu niestosowne i powinien zachować je dla siebie. Robił więc to co inni – głośno się przechwalał, co by tu wymiętosił, podczas przerw na szkolnym korytarzu próbował chamskich macanek, a na szkolnych dyskotekach wtulał się w obrzydliwie miękkie krągłości i myślał, że im dziewczyna starsza, tym bardziej przypomina znoszone męskie spodnie.

Potem wydorósł, dowiedział się, że mężczyźni, którzy mają podobne upodobania, jest więcej i że wszyscy muszą się ukrywać ze swoją miłością. Z niektórymi nawiązał kontakt dzięki internetowi. Nauczył się od nich, jak jednocześnie maskować swoje uczucia oraz bezpiecznie oddawać się swojej pasji. Polecali mu fora internetowe. Te bardziej legalne, gdzie modelki miały więcej niż osiemnaście lat, ale wyglądały na mniej. Takie, gdzie zbierano zdjęcia z profili na Facebooku i Naszej Klasie, na których nastolatki przeżyły się w kostiumach kąpielowych, kusząc spojrzeniem i opalenizną w wakacyjnej scenarii. Oraz te mniej legalne, z fotografiami, filmami, za które można było pójść do więzienia, z japońskimi animacjami, z wielkookimi blondyneczkami w białych majteczkach, w których Bratkowski zakochał się momentalnie i które później śniły mu się po nocach, opanowując bez reszty jego wyobraźnię. Dzikie fantazje ożywione ręką utalentowanego rysownika, fantazje, które Bratkowski chciałby wypróbować w rzeczywistości.

Nagle odwrócił się na obrotowym krześle i zmarszczył brwi. Wydawało mu się, że coś usłyszał. Jakby skrzypienie. Wstał i zrobił kilka kroków w głąb salonu. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał, ale dochodziło go tylko głośne tykanie zegara zawieszzonego na ścianie.

Od czasu afery z dyskiem komputerowym, zarekwirowanym mu przez policję, z której wyszedł bez szwanku tylko dzięki pomocy taty, mieszkał w górskim domu należącym do jego rodziny. Ojciec wysłał go tutaj, w okolice Krotowic, żeby, jak to ujął, sprawa przycichła. W dzień wyjazdu wezwał syna do siebie, położył mu dłoń na ramieniu i powiedział, uśmiechając się ciepło: „Grzesiu, też lubię młode, ale to już była lekka przesada. Przemysł to sobie, dobra?”.

Ojciec nie dał tego po sobie poznać, ale to było oskarżenie. Wyrażone nie słowami, tylko gestami, wyrazem twarzy. Jednak ojciec się mylił. Grzegorz nie był pedofilem. Pedofil to ktoś, kto krzywdzi dzieci. A on tego ani nie robił, ani nie chciał robić. Te małe dziewczynki, piękne i delikatne, w odsłaniających pępki bluzeczkach i przykrótkich spódniczkach, one same tego chciały. Widział w ich palących spojrzeniach tę prośbę, to błaganie, to marzenie i tęsknotę, których może same sobie nie uświadomiły, ale które tkwiły w nich tak mocno, że właściwie stopiły się w jedność z ich małymi serduszkami.

Spółczesństwo tego nie rozumiało. A Bratkowskiemu przecież zależało wyłącznie na szczęściu tych najpiękniejszych pod słońcem istotek.

I w tej samej chwili zdał sobie sprawę, co to za uczucie dręczyło go od wyjścia z celi. A był to – spokój. Zrobił bowiem wszystko, co zrobić powinien. Próbował się oddać w ręce policji, oddać pod osąd społeczeństwa. Mogli go wsadzić do więzienia, wyznał im przecież prawdę. A jednak się nie odważyli. Puścili go wolno. A skoro tak, to teraz nie on był odpowiedzialny za swoje czyny, tylko oni. Mógł wreszcie uwolnić dręczące go od lat pokusy, poczuć wreszcie smak spełnienia. Oboje mogli. On i ta mała dziewczynka, która jutro stanie na jego drodze.

Uczyni ją szczęśliwą. Uczyni ją tak szczęśliwą, że będzie z tego szczęścia krzyknąć i płakać, przygnieciona ciężarem jego nagiego ciała.

Usiadł z powrotem do komputera. Uśmiechnął się szeroko i nacisnął klawisz enter. Czas było poszukać inspiracji dla fantazji, fantazji, które staną się wreszcie rzeczywistością.

Znowu coś usłyszał. Tuż z sobą. Delikatne stuknięcie o drewnianą podłogę i lekki oddech. Serce zaczęło walić mu w piersi jak oszalałe. Instynktownie wyłączył okno przeglądarki i obrócił się.

– Co tam sobie oglądałeś, gadzio?

Nim zdążył odpowiedzieć, spadł na niego pierwszy cios.

Mortka kucnął przy ciele. Bratkowski leżał na podłodze, niedaleko włączonego ciągle komputera. Usta miał szeroko otwarte w ostatniej, desperackiej próbie złapania oddechu. Czerwone od krwi dłonie opadły w okolice piersi. Tuż nad nimi przez gardło ciągnęło się proste, mocne cięcie, tak głębokie, że głowa niemal odpadła od szyi. Szeroka smuga krwi rozpoczynająca się tuż przy komputerowym stoliku znać była ostatnią drogę, którą przeszedł Bratkowski.

– Kto odnalazł zwłoki? – zapytał.

– Nasz patrol – odpowiedział Lupa.

– Skąd się tu wzięli?

– Dostaliśmy anonimowy telefon o możliwości popełnienia włamania. Dzwoniący widział, jak ktoś się skradał pod ten dom, a potem przeskoczył przez płot. Uznał, że to podejrzane, i nas zawiadomił. Wyśleliśmy tu chłopaków. Długo dobijali się do drzwi, ale kiedy nikt im nie odpowiadał, zdecydowali się na wejście. Drzwi nie były zamknięte.

– I naprawdę się nie przedstawił?

– Kto?

– Dzwoniący.

– Nie – warknął Lupa. – Dlatego mówię, że to był anonim.

– Dziwne. – Mortka podrapał się po nosie i wstał. – Bratkowski siedział przy komputerze – zaczął – kiedy dopadł go napastnik. Wywiązała się krótka walka – wskazał palcem na przewrócone krzesło i leżący tuż obok w kałuży herbaty kubek – ale Bratkowski nie miał szans. Sprawca poderznął mu gardło. Próbował jeszcze dotrzeć do...

Zawiesił głos i rozglądał się po pokoju. Wreszcie dostrzegł to, czego szukał. Na stoliku, niedaleko telewizora leżał telefon komórkowy.

– ...komórki. Ale umarł tutaj. Co w tym czasie robił napastnik? – Mortka przyjrzał się śladom butów, wyraźnie odbitym na lśniącym drewnianym parkiecie. – Kiedy poderznął mu gardło, odsunął się – ciągnął powoli – i stanął tam. Przy kanapie. Nie ruszał się. Przyglądał się, jak Bratkowski umiera. A kiedy to już się stało, podszedł do zwłok. Po co?

– Chciał coś zabrać Bratkowskiemu? – zaryzykował Lupa.

Komisarz nachylił się nad zwłokami. Na przegubie lewej ręki dostrzegł ślad. Zegarek? Zabrał mu zegarek. Nie. To nie miało sensu. Nie zabiera się takiej drobnostki, jeśli równocześnie zostawia się komputer i komórkę. Zegarek na pewno jest gdzieś tutaj, pomyślał. Chodziło o coś innego. Zmrużył oczy i nagle uśmiechnął się szeroko.

– Dajcie mi lampę UV i bibułę.

Lupa pstryknął palcami na technika, który podał Mortce sprzęt. Komisarz włączył lampę i zbliżył ją do twarzy Bratkowskiego. Na policzku dostrzegł lekko jarzącą się nieregularną plamę. Położył na niej ostrożnie płatek bibuły, który potem włożył do podsuniętego mu przez technika woreczka.

– Wyobrażasz to sobie? – zapytał Mortka. – Podszedł tutaj tylko po to, żeby napluć umierającemu w twarz. Ostatnią rzeczą, jaką widział Bratkowski przed śmiercią, była lecąca w jego stronę płwocina.

– Za to zostawił nam piękny ślad – mruknął Lupa.

– To prawda. Nie jest zbyt bystry.

– Albo jest naprawdę wkurwiony.

Komisarz pokiwał głową.

– Ale kogo Bratkowski mógłby tak bardzo wkurzyć?

– Nie spodoba ci się ta odpowiedź – powiedział z ociąganiem Lupa.

– Spróbuj.

– Lucas.

Mortka w pierwszej chwili nie skojarzył tego imienia.

– Ojciec Adeli? Ten Cygan, o którym mi opowiadałeś?

– Tak.

– Przecież to nie ma sensu! Bratkowski nic nie zrobił Adeli. Był niewinny i dobrze o tym wiesz.

– Ale mówił, że zrobił! Że ją zabił, a przedtem, co pewnie gorsze, że ją zgwałcił. Takiemu świrowi jak Lucas to wystarczy. Pewnie poczuł, że to ujmą dla jego honoru czy coś takiego.

– Nawet jeśli, to skąd miałby o tym wiedzieć?

– To małe miasteczko, Kuba. A w małych miasteczkach ludzie dużo plotkują. Także na temat tego, dlaczego w ogóle poszedłeś do tej sztolni.

Mortka westchnął ciężko i wyjrzał przez okna. Na zewnątrz noc ustępowała właśnie miejsca mdłej szarości wiosennego poranka, a pierwsze ptaki, ćwierkając, opuszczały gniazda. To, co mówił Lupa, mogło być prawdą, spełniało wszystkie warunki prawdopodobieństwa i gdyby laboratorium kryminalistyczne poinformowało ich, że DNA z zebranych na miejscu zbrodni śladów śliny odpowiada DNA Lucasa Siwaka, Mortka w ogóle by się nie zdziwił. Mimo to czuł, że coś tu nie gra. Nie potrafił jednak powiedzieć, co to takiego.

– Co proponujesz? – zapytał zrezygnowany Lupe.

– Sprawdźmy go.

– Lucasa?

– Tak.

Mortka spojrział na zegarek.

– Dopiero piąta rano.

– Znasz lepszą porę na takie odwiedziny?

Lupa wbił wzrok w komisarza, jakby próbował go siłą woli przygnieść do najbliższej ściany.

– Nie. Nie znam.

– W takim razie ruszajmy.

Lupa zaparkował przy jednym z mostów, które zbudowano nad wijącą się przez Krotowice górską rzeką. Oparł się ramionami o kierownicę i wyciągnął głowę do przodu, wpatrzony w pobliską kamienicę. Budynek, kiedyś schludny i solidny, teraz niebezpiecznie zbliżał się do statusu ruiny. Miał trzy piętra. Stary dach z czerwonej dachówki rozsadały pęta soczystozielonej trawy, które wyrastały ze szczeliny. Brudna fasada odpadała od budynku wielkimi płatami, odsłaniając szary tynk.

– Jest jego samochód. – Lupa wskazał palcem na stojące nieopodal bramy wiekowe białe bmw. Auto oszpecono nieudolnym tuningiem: pomarańczowymi alufelgami, niestarannie położonym lakierem

i dwoma nierówno namalowanymi czerwonymi liniami ciągnącymi się od maski aż po tylny zderzak.

– Jak to robimy? – zapytał siedzący z tyłu Wajtoła.

Próc sierzanta towarzyszył im jeszcze młody policjant, jeden z tych, którzy odnaleźli ciało Bratkowskiego. Nazywał się Rudziak. Denerwował Mortkę, bo od kiedy stanęli, nieustannie stukał palcami w swoje kolano.

– Lucas to wariat, ale do tej pory przy zatrzymaniach nie robił nic głupiego. Niemniej musimy uważać – powiedział Lupa. – Ta kamienica ma dwa wejścia. Wajtoła, pilnujesz przodu, Mortka tyłu. Rudziak idzie ze mną na górę. Wszystko jasne?

Przytaknęli. Wajtoła przeżegnał się i dał znak, że może iść.

– To do roboty.

Wyszli z samochodu. Lupa z Rudziakiem szli przodem i szybko zniknęli w bramie kamienicy. Wajtoła stanął tak, żeby mieć oko na wejście oraz drogę prowadzącą na podwórko. Mortka obszedł budynek bokiem i przeszedł na plac z tyłu, gdzie na sznurze rozwieszonym między blaszanymi garażami suszyły się dwie pary zapomnianych przez właściciela czarnych skarpet. Niedaleko płotu stała stara przyczepa do przewozu koni oraz zniszczona, pordzewiała pralka. Dwa koty, jeden czarno-biały, drugi pręgowany, przemaszerowały dumnie przez podwórko, nie zaszczycając Mortki nawet spojrzeniem.

Komisarz zerknął na zegarek. Za kwadrans szósta. W powietrzu wyczuwało się już zapach pięknego słonecznego dnia, ale chłód nocy jeszcze nie zniknął. Policjant zrobił kilka szybkich kroków i zamachał energicznie ramionami, żeby choć trochę się rozgrzać.

Zastanawiał się, czy kiedy ta cała awantura się skończy, zdąży jeszcze wrócić do mieszkania i przespać się godzinę lub dwie. Czuł, że tego potrzebuje. Podobnie jak porządnego śniadania i ciepłej kawy. Ciekawe, czy dzisiaj Alicja znowu do niego przyjdzie? Byłoby miło, pomyślał i mimowolnie uśmiechnął się pod nosem.

Usłyszał huk, kiedy coś ciężkiego spadło na dach blaszanego garażu. Podskoczył przestraszony, odwrócił się w stronę, z której dobiegł dźwięk, i ujrzał, jak na ziemi ląduje mężczyzna o ciemnej cerze i gęstych, czarnych włosach. Miał na sobie brudne adidasy założone na gołe stopy, szare dresowe spodnie i ciemny podkoszulek.

Lucas.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Tutaj jest! – zdążył krzyknąć Mortka, równocześnie sięgając po broń do kabury zawieszanej pod ramieniem.

Lucas pędził prosto na niego, a w jego lewej dłoni coś groźnie błyszczało. Mortka rozpoznał nóż wojskowy o szerokim, ponad siedemnaście centymetrowym ostrzu. Cygan machnął nim przed sobą, a komisarz zdał sobie sprawę, że mężczyzna jest cholernie szybki i że żadne sztuczki z policyjnego szkolenia teraz mu nie pomogą. Po plecach spływały mu krople potu.

Zrezygnował z próby wyciągnięcia pistoletu. W ostatniej chwili uskoczył przed ciosem, ale Rom już był tuż przy nim. Chwytał policjanta za kurtkę. Był silny. Zarzucił Mortkę, jakby ten prawie nic nie ważył, i pchnął go prosto na ścianę. Policjant uderzył w nią bokiem oraz łokciem i syknął z bólu.

Lucas zniknął za rogiem budynku. Mortka popędził za nim. Widział, jak Wajtoła próbuje zatrzymać Roma na drodze biegnącej na podwórko. Z jednej strony była tam boczna ściana kamienicy, z drugiej obrośnięty wysokimi krzewami płot. Uciekający mężczyzna nie miał wielkiego pola manewru i zdawał sobie z tego sprawę. Nawet nie próbował wyminąć policjanta. Wpadł po prostu na sierzanta, wykonał krótki, ostry ruch ramieniem uzbrojonym w nóż i pobiegł dalej. Wajtoła zachwiał się, zrobił dwa niepewne kroki i padł na ziemię, trzymając się za brzuch. Spomiędzy jego palców wyciekała czerwona, gęsta krew.

Komisarz dopadł do rannego. Wajtoła był blady i zaciskał zęby, żeby nie krzyknąć z bólu i strachu. Mortka chciał przy nim klęknąć, ale usłyszał za sobą kroki. To Lupa i Rudziak. Lupa omiół wzrokiem okolicę, szybko skojarzył fakty i wyciągnął z kieszeni komórkę. Drugim ramieniem machał na Mortkę.

– Na co czekasz?! Goń go!

Komisarz kiwnął głową. Wyciągnął pistolet i od razu poczuł się pewniej, ważąc w dłoni ciężar P99. Wybiegł na ulicę. W oddali dostrzegł sylwetkę uciekającego Lucasa. Ruszył za nim. Rom się odwrócił, zauważył policjanta i przyspieszył. Tak samo jak Mortka. Po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów komisarz się potknął. Nogi zaczęły mu się plątać. Rozpostarł szeroko ramiona i udało mu się odzyskać równowagę. Ale stracił cenne ułamki sekundy. Tymczasem Lucas zniknął już w jednej z bocznych uliczek, na terenie, którego komisarz nie znał. Mortka nie zrezygnował jednak z pościgu. Wbiegł na gruntową drogę ciągnącą się pomiędzy podwórkami kamienic i kilkoma zrujnowanymi budynkami. Było tam dużo kryjówek i okazji, żeby zmylić trop, wybierając jedną z mniejszych ścieżek lub przeskakując przez chylące się płoty. Mortka biegł jeszcze przez chwilę, ale wreszcie stanął zrezygnowany. Oddychał ciężko. Rozglądał się naokoło i nasłuchiwał, mając nadzieję, że dostrzeże jeszcze Cygana. Ale słyszał tylko oszalałe bicie własnego serca i czuł pot lejący mu się z czoła na oczy. Wściekły, kopnął leżący przed nim kamień i wrócił na główną drogę. Tam dogonił go Lupa.

– Zgubiłem go – powiedział Mortka, odpowiadając na niezadane jeszcze pytanie.

Miejscowy policjant skrzywił się z gniewu.

– Co z Wajtołą? – zapytał komisarz.

– Już po niego jadą.

Mortka kiwnął głową i schował pistolet do kabury. Nie mieściło mu się w głowie, że to dopiero wtorek rano.

Zajda wysłuchał ustnego raportu i pokręcił z dezaprobatą głową. Potem stęknął i założył dłonie za głowę. Mimo wczesnej pory miał na sobie mundur. Mortkę to akurat ucieszyło. Dobrze, że znalazła się choć jedna osoba, która przypominała prawdziwego policjanta, bo wszyscy inni wyglądali tak, jakby ciągle ganiłi w pidżamach.

– To nie było tak – stwierdził Zajda, przerywając przedłużającą się w nieskończoność ciszę.

– A jak? – odpowiedział mu gniewnym prychnięciem Lupa.

– Jakoś inaczej. No bo jak to, Boguś? Że niby we czwórkę poszłicie zatrzymać podejrzanego o zabójstwo? Faceta, o którym wiadomo, że jest niebezpieczny.

– A co? Czwórka to mało? Mieliśmy tu pół komisariatu ściągnąć?

– Ty się tak nie denerwuj, Boguś. Nie chodzi o to, co zrobiliście, ale o to, jak to się skończyło. A skończyło się chujowo. A będzie jeszcze bardziej chujowo, jak za takie złamanie procedur dobiorą się do nas ci z góry.

Lupa otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Karetka zabrała Wajtołę czterdzieści minut wcześniej. Przed kwadransem dostali pierwsze informacje na temat jego stanu. Nóż trafił w wątrobę i spowodował poważny krwotok wewnętrzny. Szansę przeżycia oceniano na pięćdziesiąt procent.

– W takim razie co się stało?

– Powiedzmy, że przyjechaliście tutaj zabezpieczyć teren na wypadek ucieczki podejrzanego. Zadzwońcie lub mieliście właśnie dzwonić po wsparcie, kiedy ten świr wyskoczył przez okno. Wajtoła próbował go zatrzymać, ale tamten go zaatakował. Wy byliście za daleko, żeby skutecznie udzielić pomocy. No jakoś tak mi to napisz, dobra?

– Dobra.

– Kuba?

Mortka podniósł wzrok na komendanta.

– Tak?

– Będziesz miał z tym problem? Wiesz, z tymi poprawkami?

– Nie.

Zajda pokiwał głową zadowolony. Próbował wyglądać na pewnego siebie, ale nie potrafił ukryć ulgi, jaką odczuwał.

– Jaka jest sytuacja? – zapytał komendant, zmieniając temat.

– Wszyscy od nas już szukają tego skurwiela. Zawiadomiliśmy Jelenią Górę, Kamienną Górę, Karpacz i Szklarską. Wiedzą, co zrobił Lucas. Nie odpuszczą mu – odparł Lupa.

– Tak powiedzieli?

– Tak.

– I to właśnie chciałem usłyszeć.

Mortka pomyślał, że Lucas wpadł w prawdziwe kłopoty. Ucieczka, podejrzenie o zabójstwo to jedno, ale atak na policjanta, nie daj Boże ze skutkiem śmiertelnym, to było najgorsze, co mogło go teraz spotkać. Nikt mu nie odpuści, nikt nie przymknie oka, nikt nie zlekceważy sprawy. A kiedy go dorwą, o tak, wtedy dopiero się zacznie. Każdy dobry policjant wie, jak bić, żeby nie zostawiać śladów.

– Przesłuchaliście jego żonę? – dopytywał Zajda.

Lupa westchnął. Próbowali to zrobić. Ale Esmeralda tylko otoczyła się wianuszkiem dzieciaków i wrzeszczała na nich po cygańsku, chociaż i tak wszyscy wiedzieli, że dobrze zna polski. Przynajmniej nie próbowała przeszkadzać przy przeszukiwaniu mieszkania. Na razie nie znaleźli tam nic, co wskazywałoby na miejsce pobytu Lucasa. Wpadło im za to w ręce kilka fantów, które mogły pochodzić z kradzieży.

Esmeraldzie dzielnie sekundowali sąsiedzi. Stali w otwartych drzwiach swoich mieszkań, złorzecząc na policjantów, ale żaden z nich nie przekroczył progu. Na dole mieszkała Polka, białowłosa staruszka, która z kolei ucieszyła się jak dziecko na widok funkcjonariuszy: „Wreszcie, wreszcie się nimi zajmujecie. Bo już wytrzymać się nie dało”.

Przesłuchali ją, ale nie miała nic wartościowego do powiedzenia. Narzekała tylko na „cygańskich bękartów”, którzy biegają w tę i w w tę, przeklinają i piją alkohol. Z trudem udało im się od niej uwolnić, zanim zarzuciła ich litanią skarg.

– Przepraszam.

Odwrócili się w stronę technika, który zatrzymał się trzy kroki od Zajdy. Niepewnie spoglądał to na komendanta, to na Lupę.

– Wydaje mi się, że ktoś powinien to zobaczyć – powiedział.

Poprowadził ich do samochodu Lucasa. Bagażnik bmw był otwarty. Kłapa lekko kiwała się na wierzchu.

– Po zbadaniu mieszkania stwierdziłem, że zainteresuję się samochodem. Kluczyki znalazłem w przedpokoju, w kurtce, która należała do Lucasa. Miałem nadzieję, że będzie tu jakiś GPS z zapisanymi przebytymi trasami lub coś podobnego. Chciałem również porównać bieżnik opon ze śladami, które odkryliśmy niedaleko domu Bratkowskiego. W kabinie nie było nic ciekawego. Tony śmieci, płyty z cygańską muzyką i takie tam. Wreszcie odkryłem to. Odłożyłem ten przedmiot od razu na miejsce, żebyście zobaczyli wszystko tak, jak było schowane – tłumaczył gorączkowo.

Otworzył szerzej bagażnik. Wewnątrz ujrzeni tylko brudny podkoszulek, butelkę płynu do spryskiwaczy oraz kilka walających się luzem kluczy francuskich. Musiały hałasować podczas jazdy. Spojrzeli po sobie niepewni, czy technik przypadkiem nie robi sobie z nich żartów. On zaś poczekał kilka sekund i podniósł kłapę oddzielającą przestrzeń bagażnika od schowka na koło zapasowe. Tam, wciśnięty obok opony, leżał skórzany futerał.

– Tak to znalazłem – powiedział technik. – Nie wiedziałem, co to, do cholery, jest, więc wyciągnąłem.

Powtórzył tę czynność, upewniając się, że policjanci go obserwują. Pokazał wszystkim futerał. Pozwolił, żeby mu się przyjrzeni z każdej strony. Dopiero wtedy otworzył. Wnętrze było podzielone na

kieszonki, w których ostrożnie ułożono zestaw skalpeli oraz pił lekarskich. Lśniły chłodnym blaskiem stali chirurgicznej.

– Co do diabła? – stęknął Lupa.

Technik bez słowa odchylił drugie skrzydło futerału i wtedy ujrzeli kolekcję starannie zapakowanych w foliowe woreczki długich kosmyków kobiecych włosów. Zajda gwizdnął cicho.

– O ile, że należą do tych dziewczyn ze sztolni? – zapytał komendant.

Mortka nie miał zamiaru się zakładać. Przeczuwał, a było to przeczucie graniczące z pewnością, że by przegrał.

– Mamy podejrzanego! – oznajmił Zajda i rozejrzał się po sali.

Nikt nie zamierzał świętować. Wszyscy wiedzieli już, co spotkało Wajtołę, i myśleli tylko o tym, żeby jak najszybciej dorwać Lucasa. Zajda opuścił ramiona, które przed chwilą wznosił w triumfalnym geście. Chrząknął.

– W bagażniku samochodu Lucasa Siwaka znaleźliśmy dowody, które wskazują na to, że może być on odpowiedzialny za mordy na kobietach ze sztolni. Jego wina nie jest jeszcze pewna, czekamy na potwierdzenie badań z laboratorium, ale w tym momencie to nasz główny podejrzany.

Mortka miał już na końcu języka „i jedyny”, ale się powstrzymał.

– Szukają go wszyscy policjanci w powiecie i okolicach. Ze szczególnym uwzględnieniem tych z Kamiennej Góry, gdzie, jak pewnie wiecie, także znajduje się spore zbiorowisko Cyganów. W chwili obecnej złapanie Siwaka to nasz absolutny priorytet. – Po raz kolejny chrząknął. Podszedł do ściany, na której przed chwilą zawieszono mapę Karkonoszy. – Naszym zadaniem jest przetrząśnięcie Krotowic oraz pobliskich wiosek. Gdziekolwiek ten szczur się ukrył, w końcu wystawi łeb ze swojej dziury, a wtedy trach! – Uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Dopadniemy go. Są pytania? Nie. W takim razie, Lupa, powiedz jeszcze kilka słów.

Lupa zajął miejsce Zajdy. Poprawił kraciatą koszulę, która wysunęła mu się ze spodni, i przetarł palcami włosy.

– Z tego, co wiemy, Siwak nie ma ze sobą pieniędzy, portfela, jakichkolwiek kart płatniczych i kredytowych, a także telefonu komórkowego. Wszystkie te rzeczy znaleźliśmy u niego w domu. Prócz kart, których najprawdopodobniej po prostu nie posiada. Uznajemy, że uciekł tylko w spodniach dresowych, koszulce i adidasach. Jest cholernie niebezpieczny i uzbrojony w nóż wojskowy. Przy próbie zatrzymania macie zachować szczególną ostrożność. O ile to możliwe, wezwijcie kolegów na pomoc.

Przerwał, żeby rozejrzeć się po twarzach siedzących naprzeciwko niego policjantów.

– Wiecie, co spotkało Wajtołę – powiedział ponurym, poważnym głosem. – Wiecie, w jakim jest stanie. Wszyscy modlimy się teraz o jego powrót do zdrowia. I chociaż rozumiem wasz gniew, bo czuję to samo, proszę, żebyście nie ryzykowali. Tak czy siak, dorwiemy Lucasa. A wtedy, uwierzcie mi, będzie miał naprawdę, naprawdę przejebane.

Odpowiedziało mu pełne aprobaty mruknięcie.

– W dyspozytorni każdy z was dostanie koperty z rozkazami. W środku będą rewiry do przeszukania lub inne dyspozycje. Pokwitujecie ich odbiór. Do roboty.

Policjanci wstali z miejsc i zaczęli wychodzić z sali. Powtrzymał ich Zajda.

– Jeszcze chwila! – krzyknął. – O osiemnastej jest msza w intencji powrotu do zdrowia sierżanta Wajtoły. Wiem, że większość z was będzie miała wtedy inne rzeczy na głowie, ale dobrze by było, żeby ci, którzy mogą, jednak się pojawili. Najlepiej w mundurach. A teraz bierzcie się już do pracy.

W pomieszczeniu pozostali tylko Mortka, Lupa, Rosecki oraz Borkowski. Ten ostatni wstał z miejsca, niemal przewracając przy okazji krzesło, i przeszedł pod okno. Aż się palił do działania.

– A co z nami? – zapytał. – Co my będziemy robić?

– Nasze zadanie się nie zmienia. Zajmujemy się sprawą zamordowanych kobiet ze sztolni. Dlatego najpierw zastanowimy się nad kilkoma kwestiami – odpowiedział mu Lupa.

– Nad czym się tu zastanawiać?!

– Chociażby nad tym, czy Siwak to naprawdę nasz człowiek.

– No bez przesady, kurwa! Miał przecież w bagażniku te noże lekarskie i kolekcję włosów.

– Nie mamy jeszcze potwierdzenia, że włosy należą do ofiar. Posiadanie skalpeli oraz dziwnych hobb-
by jeszcze nie jest w tym kraju karalne – odezwał się Mortka.

Borkowski wyprostował się gwałtownie i wymierzył palec w komisarza.

– Co jest?!

– Borówka, uspokój się – interweniował Lupa.

– Jestem spokojny. – Borkowski rozłożył szeroko ręce. Na wargach lśniły mu krople śliny. – Pytam się, co jest? Wajtoła walczy o życie, dziabnięty przez tego walniętego Cygana, a warszawka sobie z tego żartuje.

– Nie żartuję sobie z tego. Nie wiemy jeszcze na sto procent, że Lucas jest mordercą ze sztolni. I dobrze, żebyś o tym pamiętał.

– Bo to po prostu zbieg okoliczności był z tymi nożami, nie?

– Borówka! – warknął Lupa.

Posterunkowy zerknął na zwierzchnika i wzruszył gniewnie ramionami. Założył dłonie na brzuch i czekał z miną obrażonego dziecka.

– Kuba ma rację. Nie mamy jeszcze pewności. Ale też nikt nie wpadł na lepszy pomysł, prawda?

– Prawda – potwierdził Rosecki.

– Wciąż nie zidentyfikowaliśmy ofiar – wtrącił Mortka.

– I co w związku z tym?

– Jak to co? Musimy się wreszcie dowiedzieć, kim były te kobiety. Skąd się wzięły.

– To pewnie turystki. Po górach chodziły albo...

– Albo co? Zwiedzały? Odwiedzały spa? I nikt nie zgłosił ich zaginięcia? Żaden kolega, narzeczony, rodzina? Jak to sobie wyobrażasz? Że cztery kobiety w tajemnicy przed wszystkimi przyjeżdżają w Kar-konosze, a Siwak przypadkiem właśnie na nie trafił?

Mortka gestem pokazał Roseckiemu, że czeka na jego odpowiedź. Aspirant poruszał bezgłośnie ustami, jakby próbował przedrzeźniać komisarza.

– Jakby był ich gachem, toby się nikomu nie przyznawały, że do niego jadą, nie? – powiedział Borówka.

Mortka zmarszczył brwi i spojrzał na posterunkowego.

– Wyjaśnij – poprosił.

– Mogły być jego kochankami. Zaprosił je do siebie, żeby go odwiedziły. Ponieważ były mężatkami, nikomu się nie przyznały, dokąd jadą. Okłamały swoich mężów, rodzinę, może nawet koleżanki. A kiedy już tu były, to mógł z nimi robić, co chciał.

Komisarz spuścił głowę i podrapał się po nasadzie nosa.

– Kuba? – odezwał się Lupa.

– Brzmi sensownie – przyznał niechętnie Mortka. Nie podobało mu się, że musiał pochwalić pomysł Borkowskiego. – Morderca jako że kobiety poznawał, to prawda... Lucas opuszczał miasto?

– O ile wiem, to zdarzało mu się jeździć na jakieś roboty do Niemiec – powiedział Rosecki.

– Czyli ofiarami mogły być Niemki? – zapytał Lupa, ale nie oczekiwał, że ktokolwiek odpowie. Nabrał powietrza w płuca i wypuścił je z cichym stęknieniem. – Trzeba się będzie z nimi skontaktować.

– Z kim?

– Z niemieckimi policjami.

– Nie musiał nawet wyjeżdżać z miasta – odezwał się rozgorączkowany Borkowski. – Niedawno czytałem w necie o jednym kolesiu, który zabił drugiego, bo ten podawał się za kobietę i uwiódł go na czacie. Ale sprawa się wydała i koło się wkurzył na maksa. Byli z różnych miast. Chodzi mi o to, że Lucas mógł te dziewczyny znaleźć w sieci, zacząć z nimi gadać, a kiedy znajomość zaczynała się robić gorącą, zapraszał je do siebie.

– Miał komputer w domu? – zapytał Mortka.

Lupa pokręcił przecząco głową.

– Kafajka internetowa?

– W mieście są dwie. Porozmawiamy z właścicielami. – Lupa uśmiechnął się z uznaniem. – Gratuluję, Borówka, udało ci się podsunąć nam całkiem zgrabny trop. Kto wie, może to ten element układanki, którego nam brakuje.

– Dzięki.

Borkowski przez chwilę wyglądał tak, jakby urósł o dwa centymetry z dumy. Spojrzał jeszcze drwiąco na Mortkę, jakby rzucił mu wyzwanie.

– Dobra. W takim razie, Rosecki, skontaktuj się z Niemcami. Wyślij im opis znalezionych ciał. A jak już to zrobisz, to na wszelki wypadek zrób to samo z Czechami. Siwak mógł przechodzić przez granicę i tam polować. Daleko nie miał. Tyle, co rzut kamieniem.

Aspirant pokiwał głową.

– Borówka – kontynuowała Lupa – przejdź się po kafajkach. Dowiesz się, czy Siwak korzystał z ich usług, a jeśli tak, to jak często i czy jest możliwość prześledzenia historii jego połączeń.

– Okej.

– Kiedy już z tym skończycie, pójdziecie do dyspozytorni. Na was też czekają rozkazy. Włączycie się w poszukiwania Siwaka.

Borkowski od razu porwał swoją kurtkę i wybiegł z sali. Rosecki pożegnał się szybkim uściskiem dłoni z Mortką oraz Lupą i poszedł do siebie, żeby rozpocząć pracę przy telefonie.

– I co o tym myślisz? – zapytał Lupa.

– O Siwaku?

– O wszystkim. Trzyma się to kupy?

Mortka zawahała się. Odpowiedź sama cisnęła mu się na usta, ale ciągle był człowiekiem z zewnątrz. Także dla Lupy. Starcie z Borkowskim przypomniało mu, jak niewiele brakuje do przekroczenia linii, za którą przestanie być postrzegany jako konsultant, a stanie się upierdliwym gnojkiem, wszystkiego się czepiającym.

– A dlaczego miałoby nie? – zapytał.

– Bo według mnie to się nie spina. Strasznie dużo tutaj przypadków. Przypadkiem zatrzymujemy Bratkowskiego, ten przypadkiem przyznaje się do gwałtu na Adeli, o czym oczywiście przypadkiem dowiaduje się Lucas. A my fartem odnajdujemy w samochodzie czarnucha dowody. – Lupa chwycił się za głowę. – Poprosiłem o przeniesienie tutaj, bo myślałem, że w Krotowicach będzie spokój. A tymczasem wpakowałem się w szambo po same uszy... Wiesz, o co wczoraj zapytała mnie żona?

– Nie.

– Czy może pozwolić dziewczynkom bawić się na placu zabaw. Czy będą tam bezpieczne. Jeszcze kilka dni temu wyśmiałbym ją i pomyślał, że zwariowała. Ale dzisiaj sam nie wiem, co mam jej odpowiedzieć.

Mortka zmarszczył brwi. Lupa jakby czytał mu w myślach. Za dużo farta, szczęśliwych przypadków, zbiegów okoliczności. Ale zarazem, bo zawsze było jakieś „ale”, takie rzeczy czasami się po prostu zdarzały.

– Powiedz żonie, żeby przez kilka dni trzymała dziewczynki blisko siebie. Przynajmniej do momentu, kiedy złapiemy Siwaka albo ustalimy, że wyjechał za granicę – powiedział Mortka. – A co do śledztwa. Czasami w życiu po prostu trzeba mieć szczęście.

Lupa przymknął powieki i oparł czoło na wyprostowanych palcach, podczas gdy jego druga dłoń zawiśła na kołnierzu kraciatej koszuli. Wyglądał tak, jakby miał się zupełnie rozsypać.

– A co ja mam robić? – zapytał Mortka.

– Nie wiem – odpowiedział komisarz, nie podnosząc głowy. – Spróbuj może popracować nad identyfikacją tych dziewcząt. Co ty na to?

– Dobrze.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Lupa wciąż w niezmienionej pozycji. Oddychał płytko i tylko pojawiający się co kilka sekund nerwowy grymas ust świadczył o tym, że nie zasnął. Mortka zostawił go w spokoju. Wyszedł bez słowa.

Tuż po tym, jak zamknął za sobą drzwi, zadzwoniła jego komórka. Odebrał, nie patrząc nawet, kto dzwoni.

– Kuba Mortka?

– Tak. Z kim rozmawiam?

– Kaśka Kowal. Spotkaliśmy się, kiedy...

– Pamiętam. O co chodzi?

– Jest u mnie ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać. Myślę, że powinieneś przyjechać.

– Kto taki?

– Zobaczysz.

Usłyszał w jej głosie, że nie powie mu nic więcej.

Wszedł do klatki schodowej i zaczął się wspinać po schodach. Zatrzymał się na moment, żeby sobie przypomnieć, czy Kaśka Kowal mieszka na pierwszym, czy drugim piętrze.

– Pssst...

Odrzucił się na pięcie. Drzwi od mieszkania z numerem jeden na parterze były na wpół otwarte, a przez szparę wystawała koścista ręka, która machała do niego zachęcająco. Podeszedł do niej i ujrzał kryjącego się w ciemnym wnętrzu przedpokoju staruszka.

– To pan jest tym policjantem z Warszawy, prawda? – zapytał mężczyzna.

– Tak.

– Bo chciałem zgłosić, że ta Cyganka z drugiego zabija koty.

– Słucham?!

– Ciszej – staruszek przyłożył palec do ust. – Bo nas usłyszysz.

– Ale o co chodzi?

– Jak mówiłem, chciałem zgłosić, że ta Cyganka z drugiego piętra, spod siódemki, zabija koty. Wiadziałem, jak w nocy znosi truchła i podrzuca do piwnicy. Potem tam śmierdzi i muszę te biedne zwierzaki wynosić.

Mortka przypomniał sobie, że ten sam staruszek zaczepiał ich, kiedy odwiedzał Katarzynę Kowal razem z Lupą. Wtedy także opowiadał o martwych kotach w piwnicy. Cóż, wszędzie zdarzali się wariaci.

– Proszę zgłosić to na komisariacie, dobrze? Na pewno się tym zajmą.

– Zgłaszałem już. Komisarzowi Lupie.

– I co?

Staruszek opuścił wzrok i wymamrotał coś w odpowiedzi.

– Przepraszam, ale nie usłyszałem.

Mężczyzna chrząknął.

– Powiedział mi, że bym sobie poszedł. W bardzo wulgarnych słowach. Ale on się przyjaźni z tą smolarą, więc nic dziwnego, że jej broni. Pomyślałem sobie, że może w takim razie pan... – Zawiesił głos.

– Zajmę się tym – obiecał Mortka. Taka obietnica była najlepszym sposobem, żeby zakończyć rozmowę z natrętem. Staruszek pokiwał głową bez przekonania, najwyraźniej świadomy tego, że został spławiony, i zniknął za zamkniętymi drzwiami.

Komisarz uśmiechnął się, rozbawiony całą sytuacją, i wszedł na drugie piętro. Zapukał do drzwi z numerem siedem. Usłyszał szybkie kroki, odgłos otwieranych zamków i chwilę później Kaśka Kowal zaprosiła go gestem do mieszkania.

– Nie zdejmuj butów – powiedziała i pchnęła go lekko do pokoju.

Tam, pod oknem, opierając łokieć na parapecie, siedział na krześle stary Rom o siwych, krótko ostrzyżonych włosach i gęstych, zadbanych wąsach, w których wciąż można było dostrzec ciemne pasma. Fioletową koszulę miał rozpiętą tak, żeby było widać złoty łańcuszek z krzyżykiem na szyi, a podwinęte rękawy odsłaniały niewyraźne kreski tatuaży.

– To Staszek Trybuk. Staszku, to policjant, o którym rozmawialiśmy.

Rom nawet mrugnięciem powieki nie dał po sobie poznać, że zauważył pojawienie się Mortki w mieszkaniu. Policjant spojrzał pytająco na Kaśkę, szukając u niej podpowiedzi, jak powinien się zachować, ale kobieta wzruszyła ramionami. Usiadła na kanapie niedaleko okna, wcześniej ściągając z półki jeden ze swoich dzbanuszków. Gładziła palcem ceramiczną powierzchnię.

– To pan chciał ze mną porozmawiać? – zapytał Mortka.

Rom drgnął i odwrócił twarz od okna.

– Powiedz mu, że nie – odparł głębokim głosem.

– Mówi, że nie – powtórzyła Kaśka Kowal.

Mortka zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc.

– To po co mnie tu ściągałaś?

Kaśka spojrzała na Roma, który tymczasem wrócił do obserwowania tego, co się działo za oknem. Mortka czekał chwilę na odpowiedź, a potem machnął ręką.

– Nie wiem, co powinienem teraz zrobić, ale nie mam na to ani czasu, ani siły. Jeśli przyjdzie panu ochota na rozmowę, to zapraszam na komisariat. I sugeruję, żeby się pan tam zjawił, zanim pana sami wezwiemy.

Ruszył do drzwi.

– Lucas tego nie zrobił – powiedział głośno i wyraźnie Rom. – Powtórz mu to.

– Lucas tego nie zrobił! – krzyknęła Kaśka.

Mortka wrócił do pokoju.

– Czego nie zrobił? Nie zaatakował policjanta? Nie zabił Bratkowskiego?

– Powiedz mu, że nie zabił tych kobiet. A co do reszty, to mniejsza o to.

– Staszek mówi, że Lucas... Zresztą sam słyszałeś.

Starzec lypnął na nią złowrogo i warknął coś w języku, którego Mortka nie rozumiał. Kaśka odpowiedziała mu w tym samym dialekcie dwoma ostrymi zdaniem. Rom prychnął pod nosem i uderzył dłoń w parapet.

– Powiedz mu, że błędą. Lucas jest niewinny.

– Mamy dowody.

– To jakieś kłamstwa, fałszerstwa! – Podenerwowany wyrzucił ramię w górę. – Powiedz mu to!

Kaśka spojrzała znacząco na Mortkę i z obowiązku mruknęła coś niezrozumiałego pod nosem.

– Niech Lucas zgłosi się na komisariat. Przekaze nam swoją wersję. Wyjaśnimy sprawę – powiedział komisarz.

– Lucas się do was nie zgłosi. A ja nie przyszedłem tutaj, żeby go bronić. Przyszedłem tutaj, bo bracie nasz honor. Zarzucacie nam zbrodnie, których żaden Rom nigdy by nie popełnił. A człowiek, który to zrobił, to jeden z was. – Palec Roma wędrował między Kaśką a Mortką. – Zamiast go szukać, tracicie czas na dręczenie niewinnych ludzi.

Staszek wstał, poprawił koszulę i po raz pierwszy spojrzał na Mortkę. Poorana głębokimi zmarszczkami twarz Roma pulsowała gniewem.

- Powiedz mu to – rozkazał i wyszedł z kawalerki, trzaskając drzwiami.
- Kto to był? – zapytał Mortka, kiedy zostali sami.
- Jak by ci to wyjaśnić... Pamiętasz, co to jest romanipen?
- Kodeks cygański.
- Mniej więcej. Staszek to w Krotowicach ktoś, kto pilnuje, żeby był przestrzegany.
- Sędzia?
- Możesz go nazwać sędzią, ale to nie jest żadne oficjalne stanowisko. To raczej kwestia szacunku, jakim darzą go inni. To, że zdecydował się z tobą porozmawiać...
- Ładna mi rozmowa.
- ...to oznaka tego, że zarzuty, które stawiacie Lucasowi, bardzo go poruszyły.
- Skąd właściwie wiedział, co na niego mamy?

Kaśka bez słowa wzięła pilot i włączyła telewizor. Na ekranie pojawiło się najpierw logo TVN24, a potem zatroskana twarz prezentera.

– Raz jeszcze powtarzamy naszą wiadomość dnia. Lucas S. podejrzewany o udział w zabójstwie kobiet, których ciała odnaleziono w Krotowicach na Dolnym Śląsku, podczas próby zatrzymania zaatakował i ranił miejscowego policjanta. Policja rozpoczęła obławę. Oto portret poszukiwanego mężczyzny. Każdy, kto może pomóc w schwytaniu poszukiwanego, proszony jest o kontakt pod numerem...

Kaśka wyłączyła telewizor. Mortka stał bez ruchu, przed oczami ciągle mając poważną twarz dziennikarza, i pomyślał, że sytuacja właśnie wymknęła im się spod kontroli.

Reszta wtorku przypominała gonitwę. Plany, które mieli przed emisją wiadomości w TVN24, rozleciały się jak domek z kart. Wciąż dzwoniły telefony. Nawet Mortka jeździł od jednego zgłoszenia do drugiego, nie mając czasu, żeby porozmawiać z Lupą o spotkaniu ze Staszkiem Trybukiem. Ze strzępów zdań dowiedział się, że informację o obławie na Lucasa telewizja dostała od prokuratora Zagajewskiego z Jeleniej Góry. Potem okazało się, że prokuratura wydała oświadczenie w reakcji na wypowiedź Zajdy, który chlapanął kilka słów za dużo w rozmowie z dziennikarzami, jeszcze przed zebraniem na komisariacie. Komendantowi występy w mediach najwyraźniej się spodobały, bo większość czasu spędził, wędrując od jednej kamery do drugiej. Przed komisariatem stały wozy transmisyjne, a dziennikarze zaczepiali każdego, kto wchodził do budynku lub z niego wychodził. Jakby tego było mało, regularnie musieli wysyłać radiowóz do Harlemu, bo zbierały się tam bandy agresywnie wyglądających wyrostków. Obrzucaли Romów obelgami i pojawiła się obawa, że wkrótce przejdą od słów do czynów. Na szczęście na widok policjantów i po krótkiej rozmowie odpuszczali, ale tylko po to, żeby wrócić za kilkanaście czy kilkadziesiąt minut i rozpocząć całe przedstawienie od nowa. Wieczorem Mortka miał wrażenie, że nikt już nie wie, co się dzieje. Pewne było jedynie to, że ktoś zawsze dyskretnie obserwuje dom Lucasa na wypadek, gdyby ten postanowił wrócić.

Po mszy w intencji powrotu do zdrowia Wajtoły kilku policjantów, którzy w niej uczestniczyli, poszło jeszcze na piwo lub dwa do USA. Potrzebowali chwili odprężenia. Mortka usiadł obok Lupy, który wpatrywał się tępo w szklankę piwa i mechanicznie wkładał sobie do ust kolejne słone orzeszki ze stojącej obok miseczki.

- Mój wujek też jest w policji, tyle że w drogówce – rozpoczął Borkowski. – Od niego znam tę historię. Dwóch młodych koleś postanowiło sobie zrobić jaja z fotoradaru.
- Jezu... Borówka, zlituj się. Tysiąc razy to chyba opowiadałeś – jęknął Lupa.
- No tak, ale może Kuba nie zna.

Mortka zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, czy i kiedy przeszedł z młodym policjantem na „ty”. Ten zaś ciągnął niewzruszony:

– Zdjęli tablice rejestracyjne z samochodu. I zaczęli jeździć w jedną i drugą przed fotoradarem z ponad setką na liczniku. A radar pstrykał im fotki jak szalony. Ale tego im było mało, więc zaczęli albo

pokazywać fakulce, albo wypinać gołą dupę do obiektywu.

– Ale po co ty to w ogóle opowiadasz, Borówka? – zapytał Lupa.

– Jak to po co? Siedzimy tu od ponad dziesięciu minut, a ani ty, ani Kuba nie powiedzieliście ani słowa.

– A od kiedy to mówisz mi po imieniu?

Borkowski zamrugał.

– Wiem, że na komisariacie to jesteś pan komisarz, ale teraz jesteśmy po robocie i myślałem, że...

– Źle myślałeś.

– Dobra. Przepraszam. To nic nie będę mówił. Nie ma problemu.

Mortka wziął dwa łyki piwa. Przełknął, spojrzał na siedzącego naprzeciwko Borkowskiego, który smętnie oglądał czubki własnych paznokci, i westchnął ciężko.

– To jak było z tymi dupami? – zapytał.

Młody policjant podniósł głowę.

– Z dupami? – powtórzył, jakby nie wiedział, o co chodzi.

– Z dupami i fotoradarem. Opowiadaj.

– Nie wiem, czy Lupa...

– Mów! – krzyknął Lupa. Udawał zdenerwowanego, ale uniosły mu się kąćki ust.

Borkowski klasnął w dłonie i przechylił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, jakby rozgrzewał się przed gimnastyką.

– No więc chłopaki jeździli w tę i we w tę, a fotoradar strzelał im fotki. Potem wrócili do siebie, ubawieni, że takie z nich cwaniaki. I teraz wyobraź sobie, jak się zdziwili, kiedy mniej więcej tydzień później dostali kopertę z drogówki, a w środku był gruby jak mój kciuk plik mandatów za przekroczenie prędkości. A do tego oczywiście dokumentacja zdjęciowa, a tam gołe dupy, kutasy, fakulce.

– Zidentyfikowali ich?

– Oczywiście.

– Jak?

Borówka wyszczerzył zęby.

– Chłopaczki co prawda ściągnęły rejestrację, ale nie zasłoniły naklejki z numerem rejestracyjnym na szybie.

Mortka prychnął wesoło i wzniosł szklanekę z piwem, oddając Borkowskiemu symboliczny salut.

– Dobre!

Borkowski pokłonił się lekko i sam wzniosł kufel.

– Za drogówkę?

– Może być za chłopaków z drogówki.

Wypili po potężnym łyku. Mortka odłożył kufel na stół i westchnął z ulgą, kiedy alkohol spłynął do żołądka. Oparł się o ławę i przymknął powieki. Zmęczenie jakby zmalało. Nie odeszło, ale na chwilę odpuściło. Wtedy ją zauważył. Siedziała kilka stolików dalej, wpatrzona w telewizor. Na ekranie pojawiła się twarz Zajdy, który właśnie wygłaszał kolejne oświadczenie. Dźwięk na szczęście był na tyle cichy, że nie dochodziły do nich słowa komendanta.

– Co to za dziewczyna? – zapytał Mortka.

– Która? – zainteresował się Borkowski.

– Blondynka z krótkimi włosami. Siedzi tam, prawie przy barze.

Lupa podniósł głowę i uważnie przypatrzył się dziewczynie, próbując przyporządkować twarz do nazwiska.

– Nie wiem – powiedział wreszcie. – Nie znam jej.

– Dziwne. Wydaje mi się, że widuję ją co chwilę.

– Też jej nie znam – wtrącił Borkowski. – Ale niezła jest. Brałbym ją jak Cygan zasiłek. Startujesz do niej, Kuba?

Mortka wypił ostatni łyk piwa i potrząsnął przecząco głową.

– Nie mam siły. Wypiję z wami jeszcze jedno i kładę się spać.

Wstał od stolika i doczłapał do baru. Złożył zamówienie i obserwował, jak barman z mocno owłosionymi ramionami napełnia czysty kufel, a potem stawia go tuż przed nosem policjanta.

– Ile płacę?

– Szóstkę.

Mortka sięgnął po portfel i zaczął szukać drobnych. Wtedy usłyszał, jak ktoś kładzie monety na ladzie.

– Ja stawiam. – Blondynka miała delikatny, ale zarazem mocny, zdecydowany głos. Stała tuż obok i uśmiechała się, równocześnie mrużąc zabawnie zielone oczy.

– Dziękuję – odpowiedział po chwili zastanowienia i sięgnął po kufel.

– Olga – przedstawiła się, zanim zdążył odejść, i wyciągnęła w jego stronę dłoń. Uścisnął ją delikatnie.

– Jakub Mortka.

– Jakub. Bardzo ładne imię. Znałam kiedyś chłopaka o imieniu Jakub. Właściwie to była moja pierwsza wielka miłość.

Zaczerwieniła się, a jemu zrobiło się przyjemnie. I to był ten rodzaj przyjemności, którego nie odczuwał od bardzo dawna. Nie czuł go nawet tamtej nocy z Alicją na kanapie, zanim przeszkodził im jej syn. Może dlatego, że ta dziewczyna była od Alicji ładniejsza. I młodsza.

– Dziękuję. Usiądźmy, porozmawiamy?

W pierwszej chwili nie wiedział, jak się zachować. Jakby zabrakło mu języka w gębie. Zerknął w stronę swoich kolegów. Lupa gdzieś zniknął, a Borkowski wyciągał w jego stronę dwa kciuki i szczerzył głupkowato zęby.

– Dobrze.

Zajęli miejsca przy jej stoliku. Policjant z piwem, ona poprosiła o kieliszek czerwonego wina – słodkiej kadarki, bo tylko takie tutaj sprzedawano.

– Od kilku dni mam wrażenie, że ciągle gdzieś panią spotykam – powiedział Mortka, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to tandetnie.

– Może to dlatego, że od kilku dni rzeczywiście ciągle się spotykamy – odpowiedziała.

– Naprawdę? Bałem się, że tylko ja odniosłem takie wrażenie.

– Naprawdę.

– Wiem, dlaczego ja zwróciłem na panią uwagę. Jest pani piękną dziewczyną. Ale dlaczego pani miałaby zwrócić uwagę na mnie?

– Bo coś pan ma w sobie. Coś takiego... – Przybliżyła się do niego, tak że czuł jej ciepły oddech na swoim policzku. – Miałam w swoim życiu do czynienia z kilkoma policjantami. Im byli starsi, tym wydawali się bardziej... syci. Tak, to chyba dobre słowo. Bo sytemu człowiekowi przestaje zależeć. A w pana oczach ciągle widzę głód.

– Skąd pani wie, że jestem policjantem?

– To widać.

– Jak?

– Nie tylko pan potrafi patrzeć.

– Nie rozumiem.

– To nie jest tak, jak mówią? Że doświadczony policjant rozpoznaje na pierwszy rzut oka człowieka, który ma coś na sumieniu? Złodzieja, narkomana, mordercę, prostytutkę?

– Nie.

– Dziwne. Tyle razy to słyszałam, że byłam pewna, że to musi być prawda.

– Kim pani jest?

Schowała się za kieliszkiem. Zyskała kilka sekund, biorąc łyk kadarki, a Mortka zastanawiał się, czy nie powinien wstać i wyjść. Ale ta dziewczyna patrzyła na niego w taki sposób, że nie potrafił się na to zdobyć.

– Policyjne oko. Mówiłam. Ma pan to.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

– Dziennikarką.

Zjeżyły mu się włosy na karku. Sięgnął po swój kufel, gotów odejść.

– Proszę się zwrócić ze swoimi pytaniami do oficera odpowiedzialnego za kontakty z prasą.

– Niech pan zaczeka. Nie jestem taką dziennikarką! A pan nie jest takim policjantem!

– Jakim?

– Pan jest tym komisarzem, który przyjechał tutaj z Warszawy, prawda? Na jakiś staż czy coś takiego.

– Program „Most”.

– Właśnie! Ale mniejsza o to. Nie pracuję dla żadnej gazety, stacji telewizyjnej ani nic z tych rzeczy. Piszę książki. Reportaże. Zwykle przewodniki turystyczne. Dlatego znalazłam się w Krotowicach. Żeby napisać rozdział do książki o Karkonoszach, o tutejszych szlakach, atrakcjach. I wtedy wybuchła ta sprawa z ciałami. Ciałami, które pan odnalazł.

– I...

– Chciałam porozmawiać na ten temat.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Czytał pan *Z zimną krwią* Trumana Capote’a?

– Nie. Co to takiego?

– To opowieść o morderstwie w takim małym miasteczku w Stanach Zjednoczonych. Capote napisał reportaż na ten temat, o sprawcach. Reportaż, który ukazał się dopiero po procesie. Ja chcę zrobić coś podobnego. Atmosfera tutaj w Krotowicach jest niesamowita. To coś elektryzującego. Coś, czego jeszcze nie było. Nie zależy mi na newsach, pierwszych stronach. Chodzi mi o coś więcej, o to, co jest głębiej.

Słuchając jej, z trudem się nie roześmiał.

– Prawie pani uwierzyłem.

Zrobiła obrażoną minę, a zaraz potem uśmiechnęła się uroczo.

– W takim razie niech pan mi opowie coś o sobie.

– O sobie? Nie ma we mnie nic ciekawego.

– O! Co za szczerłość. A podobno każdy człowiek nosi w sobie jedną dobrą książkę.

– Nie ja.

– Pan nie lubi dziennikarzy.

– Zdecydowanie.

– A gdybym powiedziała, że nie jestem dziennikarką?

– A kim?

Nachyliła się do niego po raz kolejny i położyła swoją dłoń na jego.

– Znudzoną turystką, która szuka rozrywki.

Zanim odpowiedział, odsunęła się i wybuchła śmiechem, który niósł ze sobą obietnicę.

– Zapomnijmy o tej rozmowie – poprosiła.

– Dobrze.

– I porozmawiajmy o czymś innym.

– O czym?

– O tym, że chętnie posłałabym panu kutasa.

Zamarł z otwartymi ustami.

– Słucham?

– Słyszał pan doskonale. – Roześmiała się. – To jest moment – ciągnęła, gładząc palcem szkło kieliszka – kiedy pan energicznie wstaje i ucieka. Albo... ten, kiedy pan zostaje.

– A gdybym został? – zapytał, udając pewność siebie.

– Wtedy powinien pan kupić butelkę wina. I pójść ze mną tam, gdzie moglibyśmy je w spokoju wypić.

Zerknął w stronę swojego stolika. Borkowski również zniknął. Przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem nie wydarzyło się coś ważnego, ale stwierdził, że nawet jeśli, to zupełnie go to nie obchodzi. Dwa piwa szumiały mu przyjemnie w głowie, a przed nim siedziała młoda, piękna dziewczyna, która właśnie wyszeptwała:

– Niech pan idzie po wino.

Więc poszedł.

A potem znaleźli się w hotelu. Olga podała mu numer swojego pokoju i zagała portiera. Kiedy odwróciła jego uwagę, zamachała dłonią, dając znak, że Mortka może bezpiecznie przejść. Właściwie nie wiedział, dlaczego tak się ukrywają, ale nie protestował. Bawiło go to. Cały czas uśmiechał się szeroko, ledwo powstrzymując śmiech. Wbiegł na piętro i czekał na nią pod jej drzwiami, zdyszany. Dotarła tam chwilę po nim, a wtedy pocałowali się po raz pierwszy.

Wepchnęła go do pokoju. Potknął się i upadł na niewielkie łóżko, uderzając głową o ścianę. Ściągnęła z niego spodnie, a potem zrzuciła z siebie bluzkę i stanik. Zaczęła pieścić jego penis, a potem wzięła go do ust issała dziko, namiętnie, jakby zależało od tego jej życie. Mortka tylko jęknął i przytknął powieki, kiedy fale rozkoszy płynęły wzdłuż jego ud.

Kiedy otworzył oczy, siedziała na nim. Nie wiedział nawet, kiedy to się stało. Była zupełnie naga, a jej ciało lśniło od światła latarni za oknem. Chwyił dziewczynę za biodra i przytrzymał.

– Nie mam prezerwatywy.

– Nie potrzebujesz.

Dotknęła jego ramię, a on poddał się z początku delikatnym, a potem coraz mocniejszym ruchom jej miednicy. Na jej ramionach i wokół sutków pojawiły się krople potu. Nie przestawała się ruszać, a on pieścił jej pośladki, ugniatając je i głaszcząc na przemian. Nachyliła się nad nim, wgrzyzła w jego piersi, żeby zagłuszyć rodzący się w niej krzyk. On objął mocno Olę i poczuł nagle, że ją wypelnia raz za razem. Trwali przez długie sekundy w pełnym napięcia skurczu, po którym dziewczyna zsunęła się z policjanta. Oddychała głęboko i niespodziewanie roześmiała się głośno, radośnie, jakby właśnie wstawał nowy dzień.

Leżeli potem obok siebie i pili wino prosto w butelki. Mortka uśmiechał się pod nosem. To był dziki, spontaniczny, szalony seks. Zastanawiał się, kiedy po raz ostatni coś takiego przeżywał. Pod tym względem ostatnie lata jego małżeństwa z Olą były koszmarem. Oboje traktowali współżycie (tak to właśnie nazywali, nawet w myślach) jako obowiązek, który trzeba spełnić i który spełniali siłą przyzwyczajenia raz lub dwa razy w tygodniu, dokładnie tak jak siłą przyzwyczajenia ludzie chodzą w niedzielę do kościoła. Ale kiedy oboje byli młodzi, kiedy dopiero się spotykali i żadne z nich nie było pewne, czy to jeszcze zabawa, czy już coś poważnego, potrafili się kochać tak pięknie. Tylko kiedy to było? Tak dawno, że Mortka nie miał nawet do końca pewności, czy to prawda, czy sobie coś wymyśla. Ale ta dziewczyna z butelką wina, leżąca naga obok niego, była teraz. I była dzika. Otoczyła jego penis dłońmi,

ostrożnie i delikatnie, jakby był rannym ptakiem, i poruszała nią powoli w górę i w dół, czekając, aż stwardnieje.

– O czym myślisz? – zapytała.

– Sam nie wiem. A ty?

– O tobie.

– O mnie? Nie ma o czym.

– A jednak. Zastanawiam się na przykład... skrzywdziłeś kiedyś kogoś?

– Jako policjant? Na służbie?

Roześmiała się.

– Nie. Jako człowiek.

Zmarszczył brwi. Pomyślał najpierw o Oli, o tych wszystkich niepotrzebnych ciosach, które zadawali sobie wzajemnie, jakby brali udział w jakiejś sadystycznej grze. A potem przypomniał sobie Klaudię Kameron, jak wchodziła do swojego apartamentowca, a portier otwierał jej drzwi.

– Nie wiem. Może. Chyba tak.

– Kogo?

– Kobietę.

– Dlaczego?

– Wydawało mi się, że coś o niej wiem.

– A nie wiedziałeś?

– Wiedziałem. Wtedy. Ale teraz to już inna historia. A ty? Skrzywdziłaś kiedyś kogoś?

– Tak. Chyba tak.

– Kogo?

– Ciebie.

Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

– Nie. Mnie nie.

Poczuł, że jego penis zrobił się twardy. Olga odłożyła niemalże już pustą butelkę po winie na podłogę i raz jeszcze na niego weszła.

– Zobaczmy – szepnęła.

Chwyił ją za pierś, a drugą dłonią za pośladki. Przyciągnął do siebie, a potem przetoczyli się tak, że teraz on był na górze. Jęknęła słodko pod jego ciężarem. Była wilgotna i ciepła. Pragnął jej. Pragnął jej tak bardzo, jak niczego od dawna nie pragnął.

I miał ją.

Śniło jej się, że wróciła do domu. Przez okno słyszała, jak matka w kuchni tłucze mięso na kotlety. Była więc niedziela. W ogrodzie kwitły chabry, delikatne goździki i wysokie irysy, a między nimi fruwały tłuste trzmiele. Pomyślała, że niektórzy ludzie całe życie szukają swojego miejsca na ziemi, a matka odnalazła je tuż za progiem własnego domu, wśród kwiatów, którym nie szczędziła czasu, troskliwej opieki i płynących prosto z serca słów pełnych miłości. Olga miała nadzieję, że matka umarła (bo musiały już umrzeć) w tym ogrodzie, utulona letnimi promieniami słońca i wonią ukochanych roślin.

Położyła dłoń na kłamce. Zastanawiała się, czy po tak długiej nieobecności może po prostu wejść do domu, wejść, jak gdyby wyszła ledwo wczoraj lub godzinę temu. Lepiej zapukać, postanowiła. Podniosła zaciśniętą pięść, ale nie mogła wykonać żadnego ruchu. Zamarła jak rzeźba z lodu. Wiedziała, co się wydarzy dalej. Matka otworzy, a w jej oczach Olga ujrzy dezaprobatę. A potem matka uśmiechnie się szeroko, uściska ją bez słowa i weźmie pod ramię. Zaprowadzi do kuchni, usadzi przy stole, naleje herbatę do szklanki i postawi kosz z jabłkami.

„Tylko nie jedz za dużo, bo zaraz obiad” – powie. Wróci do kuchenki, sprawdzi ogień pod paleniskiem i przewróci mięso na patelni.

I tak już tu zostanie. Zwyczajnie, chociaż zwyczajnie nie było. Olga nie mogła do tego dopuścić. Za dużo przeżyła, za dużo widziała. Miała jeszcze coś do zrobienia przed powrotem do domu.

Ale odejść też nie potrafiła.

Tkwiała więc bez ruchu, ciągle w tej samej pozie, a po policzkach spływały wielkie łzy.

Obudziła się. Za hotelowym oknem zaczynała się środa, odzywały się pierwsze ptaki, a w powietrzu wyczuwało się zapach mokrej trawy. Przewróciła się na bok i zobaczyła, że jest sama. Miejsce obok było jeszcze ciepłe i wciąż pachniało jego potem, musiał więc wyjść niedawno. Po Mortce pozostała tylko butelka po winie. Kolejna do kolekcji. Przeciągnęła się i sprawdziła dłonią miejsce na szafce nocnej, tam, gdzie zwykle zostawiali pieniądze. Nawyk silniejszy od niej. Nic nie znalazła. To dobrze. Nie powinno tam nic być.

Natrafiła na coś opuszkami palców. Coś papierowego. Jednak banknot? Podniosła się na łokciu. Na szafce nocnej leżała złożona kartka z notatnika. Rozłożyła ją i odczytała napisany starannie niebieskim długopisem numer telefonu.

Jednak się pożegnał.

Opadła na łóżko.

Chwilę później już spała z numerem telefonu Mortki w zaciśniętej dłoni.

– Wyprane ubrania leżą w reklamówce przy drzwiach. Weź je, jak będziesz wychodził – powiedziała Alicja.

Mortka podziękował. Było mu dość niezręcznie. Najchętniej unikałby jej tak długo, jak to tylko możliwe, ale musiał skorzystać z komputera. Udało mu się wymigać od śniadania, mówiąc, że już coś zjadł, ale mimo to dostał kubek ciepłego kakao.

– I tak robiłam dzieciom – odpowiedziała, kiedy zaprotestował.

Ziewnął i potrząsnął głową. Niewiele spał ostatniej nocy i odnosił wrażenie, że wypite wino ciągle szumi mu w głowie. Ale czuł się świetnie. Nie tyle wypoczęty, ile po prostu zadowolony.

Wybrał ikonę Skype'a i poczekał, aż program się włączy. Przez zamknięte drzwi słyszał, jak Alicja zagania dzieci do wyjścia. Zawoziła je do szkoły, potem sama jechała do pracy, do szpitala.

Wziął łyk kakao, które mogłoby być odrobinę słodsze, i nacisnął przycisk przy nazwisku Brodki. Połączenie zostało nawiązane i na ekranie pojawiła się twarz psycholożki. Mimo wczesnej pory kobieta miała już na sobie białą wyjściową koszulę i nałożony makijaż.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Musi pan wiedzieć, że specjalnie dla pana wstałam dwadzieścia minut wcześniej. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni poświęciłam się tak dla jakiegoś mężczyzny.

– Dziękuję. Czuję się zaszczycony. A właściwie dlaczego tak wcześniej pani wstała?

Westchnęła teatralnie i przejechała dłonią wzdłuż swojej twarzy.

– To, proszę pana, nie robi się samo. Trzeba się nakremować, odkremować, umyć, wymalować. Mężczyźni mają łatwiej. Wystarczy, że się ogolą. I to tylko na twarzy.

– Czytała pani mojego maila?

Wczoraj, jeszcze przed mszą w intencji Wajtoły, wysłał Brodce list z najnowszymi ustaleniami w śledztwie.

Psycholożka przytaknęła.

– Tak. Ale musi pan sobie zdawać sprawę, że na podstawie tak niepełnych przesłanek...

– Niech pani sobie daruje, dobrze? Oboje dobrze wiemy, że ja chcę pani wysłuchać, a pani chce mi odpowiedzieć, co wymyśliła.

– Skąd ta pewność?

– Gdyby było inaczej, to czy wstawałaby pani dwadzieścia minut wcześniej?

Zachichotała.

– Sprytne – powiedziała z uznaniem.

– Więc?

Przybrała poważny wyraz twarzy. Założyła okulary i poprawiła kosmyk włosów.

– Znaleźliście już jego domek? – zapytała.

– Co takiego?

– Domek. Pamięta pan? Mówiłam o nim podczas naszej ostatniej rozmowy. Morderca musi mieć jakiś domek na odludziu lub coś podobnego. Miejsce, gdzie może przetrzymywać i torturować porwane kobiety. Znaleźliście je?

– Nie. A piwnica...

– W kamienicy? Gdzie mieszkają inni ludzie? Odpada. On ich nie zabija szybko, panie komisarzu. To trwa wiele godzin, może nawet dni. Rozkoszuje się ich bólem, cierpieniem. Te kobiety na pewno krzyczały, a być może próbowały także uciekać. Miejsce, w którym były przetrzymywane, musi zapewniać

mordercy spokój, dawać pewność, że nikt przypadkiem nie usłyszy ofiary, nie przeszkodzi mu. Zapewne odpowiednio je zabezpieczył. Zamontował solidne drzwi, kraty w oknach. Piwnica w kamienicy nie spełnia takich warunków. Można w niej ukryć trupa, ale nie więzić dorosłą kobietę.

– Rozumiem. A stara sztolnia?

– Taka jak ta, w której odnalazł pan ciała?

– Tak.

– Jeśli ją odpowiednio przystosować, to tak. Ale jak zwabiał tam te kobiety? Jak skłaniał je do tego, żeby weszły do podziemi?

– Mógł je obezwładniać, a potem po prostu...

– I ryzykować, że ktoś go zauważy? Że żywa ofiara wypłucze się z więzów, odzyska świadomość i spróbuje stawiać mu opór? Możliwe, ale mało prawdopodobne.

– A jeśli same chciały tam wchodzić? Były grotołazkami, pasjonatkami historii.

– To brzmi lepiej.

Mortka pokiwał głową i zapisał tę uwagę na przygotowanej wcześniej kartce.

– A co pani myśli o Lucasie?

– Czy jest sprawcą? Szczerze?

– Tak.

– Nie pasuje mi.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– To raczej intuicja niż sensowny profil, ale wydaje mi się, że sprawca powinien być biały i mieć przynajmniej średnie wykształcenie. Jego czyny, porwania, tortury, sposób ukrycia zwłok, to wszystko wymaga sprytu, pewnej życiowej zaradności, ogólnego ogarnięcia i wyobraźni. A ten Lucas, z tego, co pan pisze, to raczej prosty człowiek. Nie skończył nawet podstawówki. Skąd taki pomysł miałby mu w ogóle wpaść do głowy?

– Prości ludzie nie mogą być seryjnymi zabójcami?

– Mogą – zgodziła się. – I najczęściej to właśnie oni. Tyle że ich zbrodnie też są dość proste. Włamać się do kogoś, zgwałcić i zabić. Zaatakować kogoś w nocy. Uderzyć w tył głowy młotkiem. Te zbrodnie, którymi pan się zajmuje, są jakby bardziej wyrafinowane i skomplikowane. Ale to tylko przecucie.

– Coś jeszcze?

– Tak. Dotychczasowe czyny kryminalne tego Lucasa wskazują na jego silne przywiązanie do pojęcia honoru. Przecież dlatego poszedł siedzieć. Pobił tamtego faceta, żeby bronić honoru swojego i swojej żony. I zapewne dlatego też, jeśli to rzeczywiście on, zabił Bratkowskiego. Swoją drogą, ta cała sprawa, przesłuchanie, które pan przeprowadził, i to, co się stało potem...

– Możemy się tym zająć później? – przerwał jej ostro. – Na przykład jak wrócę do Warszawy.

– Tak – odpowiedziała po chwili wahania. – Możemy. O czym mówiłam?

– O honorze.

– Właśnie. Nie wydaje mi się, żeby zabójstwa kobiet były honorowe.

– Najprawdopodobniej pobił swoją szwagierkę.

– Tak. Ale to co innego. Poczytałam trochę o Romach. U nich cała społeczność ma za zadanie dbać o dobre prowadzenie się kobiet. Im bliższy krewny, tym większa odpowiedzialność. I większa hańba, jeśli dana kobieta zachowuje się źle. Tak więc znowu wracamy do honoru. Poza tym wie pan, co to jest „skalanie”?

– Tak.

– Istnieje szereg zawodów, których Romowie nie mogą wykonywać pod groźbą skalania.

– Na przykład policjant. Wiem, o tym.
– Tak. Ale lista zakazanych zawodów jest dłuższa. Wśród nich są także te związane ze sferą cielesną, jak lekarz, pielęgniarz, grabarz. To dla nich tabu, którego złamanie grozi wyrzuceniem ze społeczności. Morderca to tabu łamie.

– Może o to właśnie chodzi? Chciał poczuć, jak to jest?

– Istnieje taka możliwość, ale moim zdaniem jest mało prawdopodobna.

– To jak wytłumaczyć skalpele w bagażniku samochodu Lucasa?

– Nie wiem. Ale to mało romska broń. Nie uważa pan?

Zamiast odpowiedzieć, wzruszył ramionami. Brodka popatrzyła na zegarek.

– Już późno – stwierdziła. – Muszę się zbierać do pracy, na uniwersytet.

– Wykłady?

– Prowadzę ćwiczenia.

– Rzeczywiście.

– Pomogłam panu choć trochę?

– Tak. Chyba tak.

– Proszę dać znać, jak się rozwija sytuacja. Dobrze?

– Oczywiście.

Pożegnała się i jej twarz zniknęła z ekranu komputera, a Mortka wylogował się z programu. Miał jeszcze trochę czasu, zanim będzie musiał iść do pracy. Włączył przeglądarkę i wszedł na forum rozwodników. Od razu skupił się na interesującym go wątku. Przeczytał dwie strony wypowiedzi innych użytkowników, które pojawiły się od jego ostatniej wizyty. Wszystkie koncentrowały się wokół opowieści użytkownika o nicku Larry37, który rozwiódł się trzy lata temu. Sąd przyznał opiekę nad dziećmi żonie i prawo do wizyt przynajmniej dwa razy w tygodniu dla męża. Początkowo wszystko układało się w miarę poprawnie, ale od kiedy kobieta znalazła sobie nowego partnera, wizyty były coraz częściej odwoływane z byle powodu. Larry37 początkowo nie reagował, nie chcąc prowokować konfliktu, i teraz uważał to za błąd, bo Księżniczka (jak nazywał byłą żonę) uznała najwyraźniej, że wszystko wolno. Tymczasem Pan Dupek (nowy partner żony) spędzał z dziećmi coraz więcej czasu, przekupywał je prezentami, na które Larry'ego37 nie było stać, i w rezultacie właściwie odcięli ojca od dzieci. Inni użytkownicy dodawali Larry'emu37 otuchy, kilkoro dawało dobre rady na temat tego, jak się zachować. Jedni proponowali, żeby próbować rozwiązać sprawę polubownie, drudzy radzili, żeby od razu iść do sądu. Ktoś polecał nawet adwokata, który „jest niezłe oblatany w takich sprawach”. Tyle że z Płocka, a Larry37 w rubryce „skąd” wpisał „Gorzów Wielkopolski”.

Mortka zastanawiał się, czy jego też czeka los Larry'ego37. Może właśnie teraz Adam wręcza chłopakom konsolę PlayStation 3 z zestawem gier, a wieczorem zabierze ich do kina, żeby pokazać im ten film, o którym ciągle rozmawiają ich koledzy. I co się stanie, jeśli jego związek z Olą przerodzi się w coś poważniejszego? Były na to całkiem duże szanse, bo Adam wyglądał na dojrzałego faceta. Takiego, który już się w życiu wyszumiał i który teraz szuka nie krótkiego romansu, a czegoś na dłużej. Jak zareagują chłopcy, jeśli Adam z nimi zamieszka? Jak zareaguje Mortka?

Nigdy nie potrafił dać swoim synom z siebie tyle, ile powinien. Nie dlatego, że nie chciał, tylko dlatego, że nie potrafił. Zawsze było coś ważniejszego, coś związanego z pracą, coś, co sprawiło, że jego poczucie obowiązku kazało odsunąć całą resztę na drugi plan, na jutrzejszy dzień. Ale następnego dnia zdarzało się coś nowego. I tak w kółko. Jego dzieci mogły tylko obserwować, jak szamocze się, skrepowany kolejnymi śledztwami, niezdolny wyswobodzić się z tych więzów.

A może nie chciał tego robić? Nie chciał wracać do domu, zajmować się synami, patrzeć, jak Ola robi karierę, i powoli zmieniać się w kurę domową.

Jeśli jego synowie ciągle uważali go za ojca, to tylko dlatego, że nie mieli innego. Ale gdyby pojawiła się konkurencja...

Kochał ich. Nie potrafił im tego powiedzieć, nie potrafił im dać tego, czego potrzebowali, ale nie chciał ich stracić.

Kliknął przycisk odpowiedzi, a jego dłonie zawisły nad klawiaturą. Wahał się jeszcze przez trzy uderzenia serca, aż wreszcie zaczął pisać: „Cześć. Nazywam się Kuba i jestem tu nowy. Moja była spotyka się z innym facetem od czterech miesięcy...”.

Na komisariat przyszedł spóźniony. Zwolnił, kiedy zobaczył, że ludzie już opuszczają salę zebrań. Mijał go bez słowa, w ponurym milczeniu, z zacziśniętymi pięściami i spuszczonej głowami. Jedna osoba czy dwie miały łzy w oczach. Zaniepokojony, wszedł do pomieszczenia, gdzie pozostali tylko Zajda i Lupa, pogrążeni w cichej, zacieklej rozmowie.

– Co się stało? – zapytał Mortka.

Policjanci przerwali i odwrócili się w jego kierunku. Komendant spojrział na Mortkę z wyrzutem, jakby przeszkodził im w czymś ważnym, i odszedł na bok. Lupa poprawił koszulę i potarł palcami czubek nosa. Szukał odpowiednich słów.

– Wajtoła nie dał rady – powiedział wreszcie.

Mortka zamrugał kilka razy kompletnie zaskoczony i oszołomiony.

– Jeszcze wieczorem prognozy były dobre, stan się ustabilizował, Wajtoła odpoczywał i nabierał sił – kontynuował Lupa. – Ale w nocy miał zapaść. Lekarzom nie udało się go uratować. Zmarł o czwartej trzydzieści sześć.

– Miał rodzinę?

– Żonę i syna. Później zrobimy zrzutkę dla nich, żeby mieli trochę spokoju finansowego na początek.

– Tak. Oczywiście, dorzucę się. Powiedzcie tylko ile.

– Jeszcze nie wiemy.

– Noż kurwa mać! – wrzasnął nagle Zajda i z całych sił uderzył we framugę okna, aż zadźwięczały szyby. Oczy lśniły mu, jakby był pijany. – To się nie zdarza, rozumiecie!? W Krotowicach nie mamy seryjnych morderców! W Krotowicach policjanci nie giną! To się nie miało prawa wydarzyć! Może gdzie indziej, ale nie u mnie! I nawet nie chcecie wiedzieć, jakie telefony muszą odbierać! I od kogo! – Komendant dyszał ciężko. Stał lekko przygarbiony, ramiona miał opuszczone i chwiał się nieznacznie. – Kurwa mać – powtórzył, kończąc swój wybuch. – To było takie spokojne miasteczko.

Mortka nie wiedział, jak ma zareagować.

– Co teraz będziemy robić? – zapytał nieśmiało.

– Kontynuować – odpowiedział mu Zajda. – Znajdziemy tego Cygana i wyciągniemy go za uszy z każdej dziury, w której się schowa.

– Zebraliśmy ślady DNA z jego mieszkania i porównaliśmy ze śliną, którą znalazłeś na ciele Bratkowskiego – wtrącił Lupa. – A właściwie Jelenia to zrobiła. Nie ma jeszcze stuprocentowej pewności, ale według wstępnych wyników mamy trafienie. To był on.

– A skalpele?

– Były czyste. Włosy najprawdopodobniej należą do ofiar z kopalni. Tak jak w wypadku śliny czekamy na potwierdzenie wyników.

– Skalpele były czyste? Żadnych odcisków palców, mikrośladów?

– Tak.

– Dziwne.

– Dlaczego? Pewnie porządnie je wysterylizował.

– I potem woził je w bagażniku własnego samochodu? Razem z włosami ofiar?

– To durny Cygan – warknął Zajda. – Nie oczekuj od niego, że będzie tytanem intelektu.

Mortka rozważał, czy powinien opowiedzieć im o wątpliwościach Brodki, ale zrezygnował, widząc miny policjantów. To nie był dobry moment na poruszanie takich tematów. Dopiero dowiedzieli się o śmierci kolegi i liczyło się tylko złapanie sprawcy.

– Jakie ja mam zadanie?

– Ojciec Bratkowskiego przyjechał do miasta. Chce porozmawiać. Zajmiesz się tym? – zapytał Lupa.

Kiwnął głową na znak, że to zrobi.

– To załatwione. Jesteś z nim umówiony na jedenastą w kawiarni na głównym deptaku.

– W której?

– Kuba, ogarnij się. Mamy tutaj tylko jedną.

Kelnerka ustawiała na tacy filiżanki z kawą oraz talerzyki z ciastkami z kremem, równocześnie spoglądając co chwila na włączony w kącie telewizor. Prezenter TVN24 informował o nowych doniesieniach dotyczących katastrofy smoleńskiej. Mortka pomyślał, że ta cała tragedia im akurat pomogła. W mediach mało kto interesował się teraz innymi sprawami. Gdyby nie to, mieliby w Krotowicach prawdziwy najazd dziennikarzy i prawdopodobnie potykałoby się o wyciągnięte mikrofony.

– Pomoże mi pan?! – zawołała kelnerka i uśmiechnęła się. Jedno ciastko w żaden sposób nie mieściło się na tacy.

Mortka podszedł do lady i wziął talerzyk.

– Dziękuję panu.

– Żaden problem.

Razem poszli do stolika. Kobieta rozłożyła zamówienie, starannie układając pojemniczki z mleczkiem na brzegu spodków do filiżanek.

– Myśli pan, że jeszcze nas pokażą? – zapytała i wskazała ruchem głowy na telewizor. – Przechodziłam w tle, kiedy robili materiał. Ciekawe, czy i mnie złapali.

– To możliwe.

– Koleżanka wspominała, że mają coś u nas kręcić. Albo *Uwagę*, albo *Interwencję*.

Kelnerka wróciła za ladę, a Mortka zajął swoje miejsce przy stoliku.

Spodziewał się, że ojciec Grzegorza Bratkowskiego będzie brzuchatym biznesmenem z wielkim wąsem, który zarzuci go pełnym wściekłości i wyrzutów słowotokiem. Zamiast tego siedział przed nim szpakowaty, wysportowany mężczyzna, intensywnie pachnący drogą wodą kolońską. Od początku ich spotkania nie powiedział jeszcze ani jednego słowa. Lekko przygarbiony, z wyrazem udręki wypisanym na twarzy, wlał mleko do kawy i zamieszał.

– Pan słodzi, komisarzy? – zapytał i podsunął Mortce cukiernicę.

Policjant wrzucił trzy kostki do filiżanki i podziękował.

– Prosiłem o spotkanie – zaczął ostrożnie Michał Bratkowski – ponieważ wydawało mi się, że i tak będziecie chcieli ze mną porozmawiać. Po co więc przedłużać.

– Pański syn...

– Grzegorz był bardzo specyficznym człowiekiem.

– Co ma pan na myśli?

– To, że w gruncie rzeczy był kłębkim psychicznych patologii. Zdiagnozowano u niego skłonności psychopatyczne. Wie pan, co to znaczy?

– Że nie liczył się z uczuciami innych ludzi, skupiając się wyłącznie na własnej korzyści i przyjemności.

– Mniej więcej. A równocześnie potrafił wpaść w czarną rozpacz. Wtedy zadreślał się tym, jakim złym człowiekiem, i domagał się kary. Im sroższa, tym lepsza. A jeszcze potem potrafił się zachowywać

jak zupełnie normalny człowiek, taki jak pan i ja. Następnego dnia zaś tonął we własnych, wymagowanych kompleksach.

– Wiedział pan o jego skłonnościach?

– Jakich?

– Do młodych dziewczyn. Bardzo młodych.

Bratkowski odłożył filiżankę i potrząsnął energicznie głową.

– Nie. Nie wiedziałem.

– Podobno we Wrocławiu doszło do incydentu i pan mógł mu wtedy pomóc.

– Bzdura! – zaprotestował. – Nic nie wiem o żadnym incydencie. Szczególnie na takim tle, jakie pan sugeruje, komisarzu.

– Dlaczego w takim razie wysłał go pan, żeby mieszkał tutaj? Bo to pan kazał mu tu zamieszkać, prawda?

Mężczyzna przytaknął z westchnieniem.

– Ma pan dzieci?

– Tak. Dwójkę.

– To powinien pan wiedzieć, jak to jest. Człowiek kocha swoje dzieci, jakiegokolwiek one są. Grzegorz... Potrafił być różny. Raz normalny, innym razem czarujący, a potem, zupełnie niespodziewanie, wychodziło z niego to, co najgorsze. Krzywdził wtedy ludzi. Nie w sensie kryminalnym, ale proszę mi wierzyć, że i ja, i moja żona wiele z jego powodu wycierpieliśmy. Próbowaliśmy wciągnąć go w działalność swoich przedsiębiorstw. Dać mu jakieś zajęcie. Na początku zwykle jakoś się sprawdzał. Miał w sobie mnóstwo entuzjazmu, pomysłów. Ale potem albo się nudził, albo sam nie wiem co. W każdym razie zawsze zawałał. Zwykle w tym najważniejszym momencie, wtedy, kiedy już mu zaufałem i powierzyłem coś ważnego. Wtedy dawał ciała. Jakby mnie sabotował.

Bratkowski przerwał. Sięgnął po talerzyk z kremówką. Wziął widelczyk i przez chwilę siłował się z chrupkim ciastem. Kiedy wreszcie ustąpiło, krem wystrzelił na boki, plamiąc mankiety jego koszuli.

– Obiecałem mu wreszcie kilka groszy na życie co miesiąc, dałem samochód i wysłałem tutaj, do naszego domku letniskowego. Chciałem od niego odpocząć, ale miałem także nadzieję, że on sam przeomyśli swoje życie. No i tutaj było spokojniej. Mniej bodźców. Tylko góry. I proszę mi wierzyć, to zadziałało.

– Jak?

– Uspokoił się. Od kiedy tutaj zamieszkał, nie miałem z nim problemów... Aż do teraz.

Mortka sięgnął po filiżankę i wypił łyk kawy.

– Kiedy dowiedział się pan o jego śmierci, co pan pomyślał?

– Że mogłem się tego spodziewać – odpowiedział Bratkowski.

– Dlaczego? Przecież przed chwilą twierdził pan, że Grzegorz się uspokoił.

Bratkowski wziął łyk kawy, a potem podniósł głowę w kierunku telewizora. Przez długą chwilę obserwował zmieniające się na ekranie obrazki. Z profilu bardzo przypominał Grzegorza. Ich nosy miały identyczne kształty, a oczy podobny kolor zmaconego błękitu.

– Pan tego nie zrozumie, komisarzu – odpowiedział wreszcie. – A mnie, mówiąc szczerze, nawet się nie chce tego tłumaczyć. To trzeba przeżyć.

– Czy podejrzewa pan, kto mógłby być odpowiedzialny za śmierć pańskiego syna?

– Słyszałem, że macie już kogoś.

Mortka nie dał po sobie poznać, że nieprzyjemnie go to zaskoczyło. Zastanawiał się, skąd Bratkowski może o tym wiedzieć.

– Podejrzany, jak sama nazwa wskazuje, jest tylko podejrzanym.

– Wiem. Nie musi pan być niegrzeczny.

- A więc, czy jest ktoś, kto według pana mógłby być odpowiedzialny za śmierć syna?
- Nie.
- Ktoś z pańskich wrogów, ktoś związany z działalnością biznesową?
- Nie. Nie mam wrogów.
- Ma pan jakieś związki ze światem zorganizowanej przestępczości?
- Za kogo mnie pan uważa?!

Gdyby Mortka był w Warszawie, nie musiałby zadawać tych wszystkich pytań. A jeśli by to robił, to tylko po to, żeby skonfrontować odpowiedzi z tym, czego dowiedział się od policyjnych wywiadowców i własnych informatorów. Tutaj, na obcym terenie, czuł się trochę jak kaleka.

- Tylko pytam.
 - Nie. Nie mam żadnych związków z mafią.
 - Rozumiem.
 - Złapiecie go?
 - Kogo?
 - Jak to kogo, do cholery! Mordercę mojego syna!
 - Tak. Na pewno.
 - Chciałbym wyznaczyć nagrodę dla policjanta, który go złapie. Pięćdziesiąt tysięcy złotych. Jak mogę to zrobić?
 - To nie jest możliwe.
- Bratkowski pokiwał głową, jakby właśnie tego się spodziewał.
- Mam wrażenie, że powinienem poczynić jakieś kroki. Pokazać, że nie jest mi wszystko jedno.
 - A co chciałby pan zrobić?
 - Chciałbym wrócić do domu. Odpocząć.
 - To proszę bardzo. Będziemy pana informować na bieżąco o postępach w śledztwie.

Bratkowski po namyśle sięgnął po portfel. Wyjął z niego wizytówkę, którą wręczył Mortce, i banknot pięćdziesięciozłotowy, który położył na stole. Wstał i wyszedł bez słowa. Na stole zostały kawa i nadjezione ciastko.

Na kanale TVN24 wreszcie pokazano Krotowice.

Zajda skończył palić papierosa i rzucił go na ziemię, tuż obok pozostałych. Pomyślał, że jeśli zostanie tutaj dłużej, to kupa niedopałków będzie sięgała mu do kostek.

Cała ta wyprawa zmieniała się w jedną wielką porażkę i ciąg upokorzeń. Najpierw komendant policji w Jeleniej Górze stwierdził, że nie będzie mógł z nim spotkać, i odesłał go do swojego zastępcy – młodszego inspektora Michała Dąbrowskiego. Który owszem, mógł w swoim napiętym kalendarzu znaleźć chwilę dla krotowickiego kolegi, ale tylko tuż po przebieżce. Wcześniej i później miał umówione spotkania i nie, nie było najmniejszych szans, żeby któreś z nich przełożyć. I musieli koniecznie spotkać się w terenie, nie na komendzie. A zatem Zajda stał teraz na leśnym parkingu, odganiając dłonią wiosenne robactwo i czekając na to, aż Dąbrowski w swojej łaskawości skończy wreszcie ostatnie okrążenie. Było to o tyle irytujące, że do tej pory miał dobre stosunki ze swoimi przełożonymi. Ostatnie dni zmieniły sytuację. Wszyscy wiedzieli o zbliżających się cięciach. Pytanie brzmiało tylko, w którym miejscu zacząć pracować nożyczki.

Inspektor Dąbrowski pojawił się wreszcie na leśnej ścieżce. Na uszach miał słuchawki. Poruszał rymicznie głową w takt muzyki. Był ubrany w zwykły szary dres, na którym pojawiły się podłużne plamy potu. Machnięciem dłonią dał znak, że dostrzegł Zajdę, i podbiegł do swojego samochodu. Truchtając w miejscu, zaczął grzebać w kieszeniach, żeby wreszcie wyciągnąć kluczyki. Otworzył drzwi, wycią-

gnął butelkę naleczowianki i wziął kilka głębokich łyków. Na koniec parsknął, wypluwając z siebie fontannę wody i śliny. I wtedy zaczął się rozciągać.

Zajda obserwował Dąbrowskiego i powtarzał sobie w duchu, że nie może się dać sprowokować. Chcieli go wytrącić z równowagi, zmusić do zrobienia błędu, a on nie zamierzał dać swoim jeleniogórskim kolegom tej przyjemności. Będzie cierpliwie znosił kolejne upokorzenia. Niech dupki teraz się cieszą, ale koniec końców to on będzie się śmiał. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Dąbrowski odgiął się po raz ostatni i kręcąc biodrami, podszedł do Zajdy. Wyciągnął w jego stronę dłoń, żeby w ostatniej chwili ją cofnąć z nieszczerym uśmiechem.

– Sorry, kolego, zapomniałem, że jest cała spocona.

Zajda zastygł ze swoją dłonią zawieszoną w powietrzu. Opuścił ją powoli, kiedy Dąbrowski przypartywał się niedopałkom u jego stóp.

– To wszystko twoje?

– Mamy teraz nerwowy okres.

– Ale to niczego nie tłumaczy. Policjant powinien być odporny na stres.

Kolejna szpila.

– Zresztą spójrz na siebie – kontynuował Dąbrowski i niespodziewanie pchnął Zajdę wyciągniętym palcem w brzuch. – Kiedyś byłeś twardy, a teraz... roztyłeś się, kolego. Mięśnie ci sflaczały zupełnie. Wychodzisz ty czasami z tego swojego biureczka?

– Tak.

– Ale gdzieś indziej niż do domku po obiadek? Na siłownię? Pobiegać? Poćwiczyć sporty walki? Wiesz, że policjant powinien regularnie ćwiczyć. Dbać o formę. Rozwijać się.

– O co ci chodzi?

– A tak się tylko zastanawiam, czy twoi podwładni wyglądają tak samo jak ty. Może by trzeba jakąś inspekcję urządzić, sprawdzić, jak tam wasza kondycja.

– Czego chcesz? – warknął Zajda. Dąbrowski odgiął się lekko do tyłu i zrobił zdziwioną minę.

– Ja? To ty się chciałeś ze mną spotkać. Słucham.

Zajda poczuł, że ręce zaczynają mu drżeć ze zdenerwowania. Stłumił chęć, żeby sięgnąć po kolejnego papierosa.

– Potrzebuję waszych ludzi.

– O! A wydawało mi się, że sami sobie świetnie radzicie. Przynajmniej tak wmówiłeś wszystkim w prokuraturze, prawda?

– Bo to prawda. Śledztwo idzie do przodu.

– Chcesz mi powiedzieć, że wkrótce zatrzymacie sprawcę?

– To akurat temat na rozmowę pomiędzy mną a prokuratorem.

Dąbrowski uniósł brwi w wyrazie pobłażliwości i lekceważenia.

– No dobra. Czego w takim razie od nas chcesz?

– Patrolu. Albo dwóch.

– Po co?

– Słyszałeś o tym Cyganie?

– O tym od Wajtoły?

– Tak.

– Przykro mi. Naprawdę. Zrobimy wszystko, żeby dorwać gnojka.

– Dziękuję.

– Jak się trzyma jego rodzina? Miał żonę, prawda? I chłopaka?

– Tak. Nie najlepiej, ale mamy na nich oko. Robimy zrzutkę.

– Dorzucimy się.

– Na pewno będą wam wdzięczni. My też.

Na kilkanaście sekund zakopali topór wojenny.

– Ludzie w Krotowicach zaczynają gadać nieprzyjemne rzeczy. I z powodu Wajtoły, i z powodu tych kobiet. Między nami a Cyganami nigdy nie było dobrze. Boję się, że komuś wpadnie do głowy jakiś głupi pomysł. A ja nie mam dość ludzi, żeby non stop trzymać kogoś w Harlemie – powiedział po chwili milczenia Zajda.

Inspektor mrużył oczy, jakby raziło go wiosenne słońce.

– W co ty właściwie grasz, Zajda?

– Nie rozumiem pytania.

– Wiesz, że nie dacie sobie z tym rady sami. Nie macie, kurwa, najmniejszych szans.

– To chyba moje zmartwienie.

– Chuja twoje. Skąd mam wiedzieć, że ten świr, kimkolwiek jest, nie bierze sobie dziewczyn z Jeleniej Góry, co? Ustaliliście już chociaż tożsamość ofiar?

– Nie.

– No właśnie. Nie ogarniacie tego. Nie macie ludzi, środków, doświadczenia.

– A wy może macie? – zapytał z prychnięciem Zajda. – W Jeleniej też zajmujecie się pijaczkami, którzy się po wódce pocięli z kolegami, mężami, którzy za mocno pobili swoje żony, i kuchennymi zabójstwami.

Dąbrowski nie odpowiedział. Odwrócił głowę. Chrząknął, a później splunął na ziemię zielonkawą flegmą.

– Złóż pisemny wniosek – stwierdził wreszcie.

– Już to zrobiłem. I nawet mam na to papier.

Zajda wyciągnął z tylnej kieszeni spodni kartkę i pomachał nią Dąbrowskiemu przed nosem.

– Tutaj jest poświadczenie, że prośba do was dotarła. Twoja sekretarka mi wypisała. Kopia leży u ciebie na biurku. I teraz jeśli ludziom w Krotowicach naprawdę odbije – mówić cicho komendant – jeśli naprawdę coś się stanie, to nie będę się wahał ani sekundy, żeby jak najwięcej tego gówna spadło na was. Na ciebie konkretnie... kolego.

Tym razem to on pchnął palcem Dąbrowskiego i bez słowa wszedł do samochodu.

Mortka wrócił na komisariat i przygotował notatkę z rozmowy z ojcem Bratkowskiego. Zrobił sobie kopię, a oryginał zostawił Lupie na biurku. Kiedy skończył, pojechał do domu, żeby zjeść obiad.

W kuchni włączył małe przenośne radio. To był jedyny większy zakup, jakiego dokonał w Krotowicach. Po kilku pierwszych dniach pobytu miał dość ciszy panującej w mieszkaniu, przerywanej tylko odgłosami kroków na klatce schodowej i okazjonalnymi kłótniami sąsiadów z góry. Nastawił na Zetkę. Prezenter opowiadał o atrakcjach, jakie czekają na turystów w Peru, i ogłosił konkurs, w którym można było wygrać książkę podróżniczą.

Mortka wyciągnął z szafki kuchennej słoik z fasolką po bretońsku. Przełał zawartość do garnka i postawił go na gazie. Czekając, aż obiad się podgrzeje, nastawił wodę na herbatę i zabrał się do rozpakowywania paczki z upranymi ubraniami od Alicji. Były schludnie złożone, miękkie i pachniały cytryną.

Mortka należał do tych mężczyzn, którzy nigdy nie opanowali do końca sztuki prania i prasowania. Oczywiście wiedział, jak działają pralka oraz żelazko, potrafił ich używać, ale przez cały czas odnosił wrażenie, że robi coś źle. Jego ubrania zawsze były potem chropowate i sztywne. Dlatego ilekroć mógł i było go stać, korzystał z usług pralni. Tam przynajmniej robiono to dobrze.

Będzie musiał podziękować Alicji. Coś jej kupić za wszystkie te śniadania i pranie. Może buteleczkę tych perfum, które widział u niej w łazience? Przerwał na moment układanie ubrań w szafie, żeby zapi-

sać ten pomysł w notatniku.

Ściągnął garnek z kuchenki, ratując fasolkę przed przypaleniem, i postawił go na stole w pokoju. To był stary mebel o krzywych nogach i nierówno położonym lakierze, który pamiętał jeszcze lata osiemdziesiąte. Taki sam mieli kiedyś rodzice Mortki.

Już się zabierał do jedzenia, kiedy zadzwonił telefon. Zirytowany odłożył łyżkę i sięgnął po aparat. Odebrał.

– Tak?

– Rosecki. Sorry, że przeszkadzam, ale pomyślałem, że będziesz chciał o tym wiedzieć.

– O czym?

– Udało się zidentyfikować jedną z ofiar. Po paluchu. Wiesz, tym obciętym i wysłanym do Wrocławia.

– Już się tym zajęli?

– Priorytet.

– I co?

– Świetłana Uznajowicz. Wiek: dwadzieścia trzy lata. Obywatelka Ukrainy, zamieszkała w Jaworowie, okręg lwowski.

– Ukrainka? Jezu... Co ona tutaj robiła?

– Nie wiemy.

– Dlaczego mieliśmy jej odciski palców?

– Cztery lata temu wpadła podczas obławy na gang przemytników papierosów w Przemyślu. Została aresztowana razem z czterema mężczyznami, dwoma Ukraincami i dwoma Polakami. Ostatecznie okazało się, że była tylko dziewczyną jednego z nich i nie brała udziału w przemyśle. A przynajmniej tak uznał sąd. Wypuszczono ją.

– Ktoś się skontaktował z Ukraincami w tej sprawie?

– Pracujemy nad tym.

Mortka usiadł na kanapie i wziął do ust łyżkę fasoli. Przeżuwał dokładnie, z telefonem przy uchu. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Co tutaj robiła ta Ukrainka? Dlaczego wyjechała z kraju i przejechała całą Polskę tylko po to, żeby dać się zabić, i to w tak okrutny sposób? A jej związki z przemytnikami papierosów? Jak były poważne i czy miały coś wspólnego ze sprawą? Kojarzył, że Rosjanie, także przestępcy, chętnie przyjeżdżają spędzać święta i wakacje w Zakopanem. Dokąd jeżdżą Ukraińcy? Do Karpacza, Szklarskiej Poręby? Trzeba to sprawdzić. W głowie krążyło mu już tysiąc myśli, a krew szybciej płynęła w żyłach. Coś już mieli, w końcu coś konkretnego. Nazwisko, trop. Musiał przeczytać dotychczasowe akta sprawy, notatki. Spisać pomysły, stworzyć scenariusze, zaplanować działania. Wiedział, że nie ma jeszcze wszystkich elementów układanki, a te, które już odkrył, nawet do siebie nie pasowały, ale do cholery, po raz pierwszy, odkąd rozpoczęła się ta sprawa, poczuł, że rzeczywiście jest to jakaś łamigłówka, a nie tylko stos porozrzucanych chaotycznie, powyrywanych z różnych gazet i książek kartecek.

Przełknął.

– Zaraz będę na komisariacie – oznajmił i się rozłączył.

Porwał garnek i wylał jego zawartość do kosza na śmieci. Nie był już głodny. Najwyżej później kupi sobie pączka lub dwa i zapije kawą.

Na klatce schodowej spotkał Alicję z Marcinem. Wracala do domu, niosąc dwie pełne torby zakupów. Niemal ją potrafił, wybiegając. Zatrzymał się w ostatniej chwili.

– Przepraszam – stęknął. – I dzięki za pranie.

– Nie ma za co – odpowiedziała.

Mortka chciał już ruszyć dalej, kiedy nagle jego wzrok spoczął na Marcinie.

– Masz dwanaście lat, prawda?
– Tak – odpowiedział chłopak.
– Znałeś może Adelę Siwak?
– Czarnulkę.
– Marcin!
– Cygankę – poprawił się chłopak. – Tak. Chodziliśmy do jednej klasy. Zanim przestała przychodzić do szkoły.

– Wiesz, co się z nią stało?
Pokręcił przecząco głową.
– Nie dziwi cię to, że zniknęła.
– Nie.
– A dlaczego?

Marcin podniósł głowę i spojrział na matkę. Ta zachęciła go gestem do odpowiedzi.

– Ona nie lubiła chodzić do szkoły.
– Chyba żadne dziecko nie lubi – wtrąciła Alicja.
– No tak, ale ona opowiadała takie rzeczy...
– Jakie? – zainteresował się Mortka.
– To głupie.
– Powiedz.

Chłopak westchnął.

– Że niedługo ktoś po nią przyjedzie i ją porwie.
– Porwie?
– Tak. Strasznie się cieszyła na to porwanie.
– Mówiła, kto miałby to zrobić?
– Nie. Sama jeszcze nie wiedziała. Ale już się cieszyła. To wszystko.
– Tak.

Mortka podziękował.

– Dziwnie wyglądasz, Kuba – zainteresowała się Alicja. – Coś się stało?

Przytaknął.

– Zidentyfikowaliśmy jedno ciało.
– Kto to był?
– Nie mogę ci powiedzieć. Przepraszam, ale pędzę.
– Tak, oczywiście – wyszeptła, ale już jej nie słyszał. Dopadł do samochodu. Alicja stała w drzwiach od klatki i przypatrywała się, jak uruchamia silnik i odjeżdża.

W końcu coś się ruszyło, powtarzał sobie Mortka, jadąc na komisariat. Z radości miał ochotę walić pięściami w dach i kierownicę. W końcu coś się ruszyło. Tylko że wciąż nie potrafił przestać myśleć o Adeli.

Spała do dwunastej, a później długo wylegiwała się w łóżku. Nie robiła nic, tylko przeciągała się raz w jedną, raz w drugą stronę w ciepłej pościeli. Dla niej było to coś przyjemniejszego od kąpeli z pianą. Pomyślała, że to najlepsza środa od wielu, wielu tygodni.

Wstała po pierwszej i wzięła prysznic. Nie używała mydła ani żadnego płynu. Woda w Krotowicach była tak miękka, że resztki mydlin usuwało się potem ze skóry z trudem. Pozostawiały na ciele podłużne, białe smugi. Usiadła na podłodze kabiny prysznicowej i patrzyła, jak wartkie strumyczki spływają wzdłuż jej nóg prosto do odpływu. W domu nigdy nie mogła tak robić. Ciepłej wody zawsze było za mało. Musiało jej wystarczyć do kuchni i dla wracających z pracy mężczyzn – ojca i starszego brata, którzy wieczorami zmywali z siebie smród całodziennej harówki, a rankami golili się starymi maszynkami na żyłki, wpatrzeni we własne odbicia w lustrze, które co chwila ginęły w kłębach pary. Tym, co zostawało, dzielili się z matką. A nie było tego wiele. Dlatego nawet w zimie zwykle kąpała się w lodowatej wodzie. Wskakiwała szybko pod prysznic, oblewała się pospiesznie i wyskakiwała, szcękając zębami.

„To ci dobrze dla zdrowia zrobi, córuś” – pocieszała ją matka. I chyba miała rację. Olga nie pamiętała, żeby wtedy kiedykolwiek chorowała.

Teraz było inaczej. Raz po raz łapała jakieś przeziębienia i wiedziała, że wkrótce będzie jeszcze gorzej.

Wyszła spod prysznicza i owinęła się ręcznikiem. Usiadła na łóżku. Kołdrę zwinęła w niezgrabną kulę, którą później wyrzuciła pod okno, w pobliże butelek z winem. Szybko łyknęła codzienną porcję lekarstw, próbując nie myśleć o tym, że wkrótce się skończą i znowu będzie musiała zostawić w aptece kilkaset złotych.

Rozłożyła mapę okolicy i zaczęła ją studiować. Na myśl o następnej wyprawie nogi same zaczynały ją boleć. Podczas pobytu w Krotowicach wytypowała kilkanaście miejsc, które się nadawały. Tylko co teraz? Przecież nie mogła ich sama obserwować dniem i nocą!

Do tej pory wyobrażała sobie, że to wszystko odbędzie się trochę jak w kryminałach. W pewnym momencie, może przypadkiem, trafi na trop, chwyci go i nie puści aż do szczęśliwego zakończenia. Pierwsza część się spełniła. A co do drugiej, zaczynała już tracić nadzieję. Potrzebowała pomocy. Wiedziała o tym, przynajmniej w pewnym sensie, bo choć do tej pory odpychała tę myśl od siebie, to jednak ta ciągle wracała do niej jak natrętna mucha. Tak, potrzebowała pomocy. Tylko do kogo się zwrócić? Komu zaufać? Może ten Kuba Mortka? Zdziwiła się, że pamięta nawet jego imię. Zwykle szybko zapomniała nazwiska mężczyzn, z którymi spała. Nie. Jeszcze za wcześnie. Poza tym to był jednak policjant. Może nadawał się na narzędzie, może uda się go wykorzystać w przyszłości, ale nie można mu ufać.

Zanim zdążyła dobrze się zastanowić, już miała telefon przy uchu. Wybrała numer fundacji. Wstrzymała oddech, kiedy usłyszała dźwięk odbieranego połączenia, głosy dziewczyn w wiecznie hałaśliwym biurze, a wreszcie Anetę.

– Tak, słucham?

Aneta nigdy się nie przedstawiała. Ciągle w biegu, nie lubiła tracić czasu na takie ceregiele.

– Tu Olga.

– Olga?! Mój Boże. Gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje?

Dziewczyna przełknęła ślinę. To dziwne, że Aneta była jedyną osobą, której się bała. Święta, pierdolona... Opowiedziała o wszystkim, co robiła przez ostatnie dni, co odkryła, czego się dowiedziała, a co przypuszczała. Aneta słuchała uważnie, ale Olga wiedziała, że jej koleżanka posyła teraz pełne zmęczenia i rezygnacji spojrzenie w przestrzeń. Mimo to odważyła się poprosić.

- Przyjedź tutaj do mnie...
- Olga. Wiesz, jak mam dużo pracy.
- Ale to właśnie to, Aneta. Tutaj. Teraz.
- Nie masz żadnych dowodów.
- A ciała?
- Zastanowię się. Zadzwoń do ciebie później.
- Dziękuję.

Aneta rozłączyła się. Wyczerpana Olga padła twarzą na mapę. Mogłaby przespać resztę dnia. Ale nie. Nie było na to czasu. Do zrobienia pozostawała jeszcze jedna rzecz.

Wstała z łóżka. Podeszła do szafy. Podeszła do niej krzesło i stanęła na nim. Z górnej półki ściągnęła walizkę, a później sięgnęła ramionami głębiej. Wyciągnęła białą kosmetyczkę ozdobioną błękitnymi, falistymi liniami. Otworzyła ją i wysypała zawartość na stolik. Wypadło kilka banknotów i kilkanaście monet. Przeliczyła je szybko.

Zbyt mało.

A czego się spodziewałaś, głupia?! Chciała wrzasnąć na siebie. Przecież wiedziałaś, ile tu jest! Co, że niby ktoś dołożył tutaj w tajemnicy kilka stów?!

Nie. Nie mogła się denerwować z takiego głupiego powodu. To prawda. Wiedziała, ile tu jest. Wiedziała też, co powinna teraz zrobić. Pora po prostu wziąć się do pracy.

Chciałaby mieć to już za sobą.

Mortka zebrał wszystkie notatki, sprawozdania i raporty, które dotyczyły sprawy odnalezionych w kopalni ciał. Ułożył je w stosik i położył na swoim zbyt małym biurku. Potem przygotował sobie kawę, wyciągnął z torebki foliowej kupionego wcześniej pączka i zabrał się do pracy.

Na pierwszy ogień poszły raporty z sekcji zwłok. Sam nie wiedział, czego właściwie szuka. Ale tak to już było w tej pracy. Czasami dostawało się sprawy proste, w których od razu wiadomo, kto zabił, czasami należało trochę pogłównkować i kogoś postraszyć, a czasami siedziało się do późnej nocy, wertując akta, i pisało pisma do prokuratury o konieczności przygotowania kolejnej ekspertyzy. Aż nagle okazywało się, że gdzieś tam pomiędzy kartkami znajdowała się ta informacja, ten element, który został przeoczony w pierwszej chwili, który wydawał się mało istotny, a który jednak pchał sprawę do przodu. Czasami to wystarczało. A czasami po pierwszej euforii znowu przychodziły długie godziny poszukiwań, żeby odnaleźć kolejny trop.

Tym razem jednak nic nie znalazł. Nie zniechęciło go to specjalnie. Wiedział, że do sekcji zwłok jeszcze wróci. Może wtedy dostrzeże to, co teraz mogło mu umknąć. Chwycił za komórkę i otworzył książkę telefoniczną. Na czystą kartkę przepisał kilka numerów i zaczął dzwonić z telefonu stacjonarnego.

– Podkomisarz Dariusz Kochan, słucham.

– Cześć, Darek. Mortka z tej strony.

– Kuba! Widziałem was w telewizji. Kurwa, ale w tam macie pożar w burdelu. Pewnie mi zazdrościsz teraz tych pedałów, co?

– Trochę – przyznał. – Zresztą ja w tej sprawie.

– Pedałów? – zdziwił się Kochan.

– Nie. Pożaru.

– W czym ci mogę pomóc, Kuba?

Mortka opowiedział szybko koledze o zidentyfikowanej Ukraince i jej związkach z przemytnikami papierosów na granicy polsko-ukraińskiej.

– No dobrze. Tylko co ta dziewczyna miała by robić na Dolnym Śląsku?

– Jeszcze nie wiem. Ale ukraińskie fajki wędrują przez Polskę na zachód. Do Niemiec i Wielkiej Brytanii. Może wędrowała razem z nimi?

– Ma to sens.

– Chciałem cię poprosić, żebyś popytał wśród naszych chłopaków, czy czegoś nie słyszeli o konfliktach między grupami, czegoś, co pasowałoby do tej sprawy.

– Wojna gangów?

– Tak.

– I ofiarami są same dziewczyny?

– To może być jakaś zemsta. Ale to tłumaczyłoby, dlaczego nikt nie zgłosił ich zaginięcia. Po co zgłaszać to policji, skoro oni załatwiają takie rzeczy na własną rękę?

– Naciągane.

Mortka zazwyczaj cenił Kochana za to, że ten bez owijania w bawełnę mówi, co myśli, i nie boi się mieć własnego zdania. Teraz jednak musiał hamować złość. Łatwo było krytykować, kiedy się siedziało po drugiej stronie słuchawki kilkaset kilometrów dalej, a największym zmartwieniem stawała się zbliżająca się Parada Równości.

– I tak popytaj – powiedział stanowczo komisarz. – Może ktoś coś słyszał i będzie miał coś ciekawego na temat tego, co tu się dzieje.

– Żaden problem. Ale wiesz, z kim powinieneś porozmawiać?

– Dzwoniłem już do znajomych z CBS i celników. Obiecali, że się rozejrzą.

– Miałem na myśli raczej Borzestowskiego.

Zamarł. Borzestowski – jeden z najgroźniejszych warszawskich gangsterów, który podobno maczał palce we wszystkim: od haraczy do handlu narkotykami. Podpalacz, którego Mortka ścigał i ostatecznie zabił, był odpowiedzialny za śmierć bratanków „Wielkiego B.”, jak nazywano Borzestowskiego na mieście. W związku z tą sprawą spotkali się kilka razy. W niezbyt przyjemnych okolicznościach.

– Dlaczego miałbym z nim gadać?

– Wiesz, facet jest w końcu w samym centrum tego całego syfu. Jeśli coś się dzieje, to on o tym wie.

– Ale skąd ci się wzięła w ogóle pomysł, że taka rozmowa byłaby możliwa?!

– No cóż, podobno Borzestowski wypowiada się o tobie w samych superlatywach.

– Kutas.

– Oj tam, Kuba. W telewizji jest taki program. Nazywa się *Warto rozmawiać*. Na twoim miejscu zadzwoniłbym do Borzestowskiego. W końcu zabiłeś tego podpalacza, który odpowiadał za śmierć jego bratanków. Ma więc wobec ciebie dług wdzięczności.

Tego Mortka nie był taki pewien. Miał swoje powody, żeby trzymać się od gangstera z daleka. Te same, dla których rozważał odejście z policji.

– Dla takich jak on to nic nie znaczy.

– Nie wiesz, póki się nie przekonasz. Jest jeszcze jedna sprawa.

– Tak?

– Szef by się ucieszył, gdyby się okazało, że masz z „Wielkim B.” dobre kontakty... – Kochan znacząco zawiesił głos.

– Borzestowski miałby być naszym informatorem?! Chyba żartujesz?!

– Bo? Nie on pierwszy, nie ostatni, Kuba. Wiesz, jak to działa. W tym syfie zawsze są jakieś porachunki, które mogą załatwiać naszymi rękami. Borzestowski pozbywa się konkurencji, my dostajemy premię. Wszyscy zwyciężają. Kwestia tylko, jak do takiego kolesia podejść. A ty, kolego, masz przed sobą wydeptaną ścieżkę. Pomyśl o tym.

– Coś ci za bardzo na tym zależy.

– Bo, kurwa, dużo ze sobą pracujemy. Jak ty będziesz dostawał premię, to ja też!

Mortka uśmiechnął się pod nosem.

– Kuba...

– Co?

– Masz jakiś inny głos. Taki... lepszy.

– Bo lepiej się czuję.

– Przyznaj się, zaruchałeś, co?

– Tak – odpowiedział Mortka, zanim się zorientował, że powinien trzymać głębę na kłódkę.

Kochan zarechotał.

– Wiedziałem! Od dawna ci powtarzałem, że powinieneś to zrobić. I co?! Doktor Kochan nigdy się nie myli. Kto to był? Jakaś żwawa góraleczka?

– Ta... Skoncentruj się lepiej na tych swoich pedałach.

– Dobra, dobra, Kuba. Nie rób się znowu taki nerwowo. Przepytam chłopaków w temacie tej Ukrainki. Jak się czegoś dowiem, to dam znać. Trzymaj się.

– Cześć.

Odłożył słuchawkę. Uświadomił sobie, że rzeczywiście dobrze się czuje. Po raz pierwszy od nie pamiętał kiedy. Rozpierała go energia, a do tego był skoncentrowany i spokojny. Czy Kochan naprawdę miał rację? Czy wystarczyła mu jedna noc dobrego seksu, żeby życie znowu nabrało kolorów? Tak, po części rzeczywiście tak. Ale równie ważne było to, że posunęli się do przodu w dochodzeniu. Wreszcie miał coś przed sobą, jakiś kształt, ciągle jeszcze mętny i niejasny, ale z każdym krokiem we właściwym kierunku będzie nabierał konkretów. W takich chwilach nie można odpuszczać. Trzeba przyspieszyć, zanim cień rozplynie się z powrotem we mgle.

Westchnął. Nagle zupełnie nieoczekiwanie przyszła mu do głowy pewna myśl. Bawił się nią przez chwilę, obracał w głowie, aż w końcu uznał za interesującą. Dotyczyła Renaty. Mortka wątpił, żeby sprawa popełnionego na niej gwałtu kiedykolwiek do nich wróciła, ale i tak nic nie szkodziło sprawdzić jednej rzeczy. Zszedł na dół do dyspozytorni i poprosił o kilka informacji na temat służby policjantów. Dyspozytor pomarudził chwilę, raczej dla tradycji niż z rzeczywistych powodów, ale wreszcie przyniósł odpowiednie papiery. Mortka przepisał potrzebne mu informacje. Nowe elementy układanki. Pasowały do obrazu, który zdążył już sobie ułożyć. Nie odważył się jednak jeszcze na wyciągnięcie ostatecznych wniosków.

Wrócił na górę z ciężką głową. Spisał notatkę z dotychczasowych rozmów i ponownie zabrał się do przeglądania akt sprawy.

Był mniej więcej w połowie, gdy usłyszał głośny tupot, a potem przekleństwo, kiedy ktoś się potknął i uderzył kolanem o schodek. Wreszcie przez drzwi wpadł zdyszany Rosecki.

– Masz broń? – zapytał Mortkę.

Komisarz skinął głową. Podniósł się i pokazał kaburę z P99 przy pasie. Kiedyś rzadko nosił przy sobie pistolet. Nie lubił broni palnej. To się zresztą nie zmieniło, chociaż pod tym względem był wśród policjantów wyjątkiem. Ale istniały ku temu powody. Zbyt łatwo o wypadek i zbyt mocno kusiła, żeby po nią sięgać. Nawet wtedy, kiedy nie było to potrzebne. Ale od czasu sprawy podpalacza odczuwał potrzebę, żeby mieć przy sobie coś, co zapewni mu bezpieczeństwo. Być może w ten sposób sam sobie przeczył, ale nie obchodziło go to. Wciąż pamiętał świst wznoszonej do góry siekiery, która miała mu przynieść śmierć, i huk wystzału, który okazał się wybawieniem. Tyle wystarczyło.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Cyganie się ruszyli.

– To znaczy?

– Żona Lucasa i jego dzieci. Zapakowali ich wszystkich do samochodu i wywożą za miasto. Zbieramy ludzi i jedziemy za nimi. Jesteś gotowy?

– Jadą się spotkać z Lucasem?

- Tak podejrzewamy.
- Z kim jadę?
- Ze mną.

Mortka porwał kurtkę z wieszaka i dał znak, że jest gotowy.

Kiedy samochód hamował, spod opon wystrzeliły kamyczki żwiru i trafiły ją pod kolana. Zapiekło. Duppek, pomyślała. Czekala, aż kierowca się cofnie, żeby nie musiała do niego iść, ale auto stało w miejscu z włączonym silnikiem. Tacy byli najgorsi. Pewni siebie, aroganccy, niechętnie sięgali do portfela. Wsadziła dłoń do kieszeni skórzanej kurteczki, gdzie znajdowała się puszka z gazem pieprzowym. Tak na wszelki wypadek.

Po raz ostatni zaciągnęła się papierosem. Wyrzuciła niedopałek na ziemię i przygłotowała. Podeszła do samochodu. Idąc, zauważyła, że w środku są co najmniej cztery osoby. Niedobrze. Młody chłopak opuścił szybę od strony pasażera i wyszczerzył żółte zęby. Nachyliła się do niego, wypinając tak, że pośladki znalazły się niemalże wyżej niż jej głowa. Oceniała sytuację. Inni pasażerowie oraz kierowca byli w podobnym wieku do tego, który otworzył okno. Żaden z nich nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Nic, z czym by sobie nie potrafiła poradzić.

– Nic z tego, panowie, tylko solówki – powiedziała.

– Ale jak to? No kurwa! – zaprotestował kierowca. Po lekko bełkotliwym głosie i mętym wzroku zorientowała się, że trochę już wypił.

– Tylko solówki – powtórzyła.

– Ale my mamy kupon z Groupona! – rzucił z tyłu jakiś dowcipniś i cały samochód zarechotał.

– Nic z tego, panowie. Ale zapraszam pojedynczo.

– Paniusiu, ale masz dwie rączki, buzię i otwory, gdzie trzeba, co?

– Przekonasz się, jak przyjedziesz tutaj sam, misiaczku. Nie pożałujesz. – Ostatnie słowa powiedziała z wywiczoną chrypką.

Jeden z chłopaków gwizdnął przeciągle, inny się zaśmiał.

– Jedźcie, chłopaki, bo się spóźnicie.

Odsunęła się od samochodu i odeszła, kręcąc biodrami. Wiedziała, że się za nią oglądają. Potem opel ruszył z chrzęstem żwiru. Odetchnęła z ulgą i wypuściła puszkę z gazem pieprzowym. Wnętrze dłoni miała mokre od potu. Starzeję się, pomyślała z rozbawieniem i miała ochotę się rozeźmiać.

Sięgnęła po papierosa, cienkiego mentolowego vouge'a. Smakował tak, że natychmiast chciało się po nim rzygać. Od pewnego czasu próbowała ograniczyć palenie, żeby zaoszczędzić, i wydawało jej się, że kupowanie niedobrych papierosów to najlepszy na to sposób.

Zapaliła i zaciągnęła się obrzydliwym miętowym dymem. Nic jeszcze dzisiaj nie zarobiła. Zastanowiła się, czy to dlatego, że wybrała złe miejsce, czy dlatego, że straciła to coś. Ale inne miejsca, te lepsze, były już na pewno obstawione. I to obstawione przez panienki mające opiekunów – barczystych miśków, którzy szybciej bili, niż myśleli. Takim mogłaby się nie spodobać tańsza konkurencja, a Olga nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Planowała tylko szybko zarobić kilka groszy na parę dni życia. Potem może pożyczyć pieniądze od Anety. Jeśli ta rzeczywiście przyjedzie. A jeśli nie, to wymyśli coś innego.

Kolejny samochód zatrzymał się tuż obok niej. Dobry znak. Kolejny opel. Tym razem astra. Zerknęła szybko do środka. Kilka koców na tylnym siedzeniu, ale było w miarę czysto. Kierowca był łysym mężczyzną o małych, głęboko osadzonych, ale miłych oczach. Uśmiechał się niepewnie i mrugał nerwowo, jakby po raz pierwszy korzystał z usług prostytutki. Przechylił się, nie rozpinając pasa, i otworzył drzwi.

– Cześć, kochanie. – Przywitała go z promiennym uśmiechem. Pochyliła się, żeby mógł się dobrze przypatrzeć jej dekolтови. – Na co masz ochotę?

– Jeszcze nie wiem.

– Ooo... Mogę ci wiele zaferować, misiaku. Prawdziwe cuda. Pytanie tylko, na co cię stać?

Sięgnął po leżący przy nim portfel i otworzył go na tyle, że mogła zobaczyć znajdujące się w środku dwa banknoty stużłotowe.

– A więc cena nie gra roli, co?

– Chcę, żeby było dobrze.

– Będzie dobrze – zapewniła, przejeżdżając językiem po pomalowanych czerwoną szminką wargach.

– To proszę, wejdz.

Wsiadła do samochodu i zamknęła za sobą drzwi. Poprawiła fryzurę.

– Chcesz, żebym wzięła do buzi? Cipki? Może anal? Z prezerwatywą czy bez? Ja wolę bez, ale to kosztuje więcej.

Od tej wyliczniki zrobiło jej się niedobrze. Ale dalej grała swoją rolę.

– Pojedźmy najpierw gdzieś w spokojniejsze miejsce.

– Znasz jakieś?

– Tak.

– To w drogę, kochanie.

Nacisnął kierunkowskaz i płynnie włączył się do ruchu. Przyspieszył gwałtownie, żeby wyprzedzić jadącego przed nim golfa z rowerem górskim przyczepionym do bagażnika na dachu. Mężczyzna stukał palcami w kierownicę. Zauważyła, że nie ma obrączki.

– Dokąd mnie zabierasz, kotku?

– Jest taki zagajnik niedaleko.

– Uhm... – mruknęła, udając, że pomysł się jej podoba. – Lubię lasy i lubię na łonie natury. W samochodzie zresztą też.

– Tak.

– Czym się zajmujesz, malutki?

– Nieważne.

– Dobrze, kotku. Chcesz być tajemniczy. Szanuję to. Podoba mi się. To jest seksowne.

– Tak. A ty? Czym ty się zajmujesz?

Zachichotała. Nie drwiąco, tylko tak, żeby czuł się, jakby opowiedział właśnie dobry dowcip. Choć w rzeczywistości miała ochotę go spoliczkować. Wyobrażała sobie, że wbija paznokcie w miękkie policzki mężczyzny i rozrywa je jednym, płynnym ruchem.

– To znaczy... – powiedział zmieszany. – Chodziło mi o to, czym zajmujesz się poza tym, Olgo.

– Poza tym... – Zamarła. Nie mówiła mu, jak się nazywa. Jej dłoń powędrowała do kieszeni z gazem.

– Skąd wiesz, jak mam na imię?

Obrócił się ku niej, zaskoczony, błądy i przestraszony. Jego wargi poruszyły się, ale nic nie powiedział. Nagle usłyszała głos dobiegający z zupełnie innej strony. Z tyłu. Tuż za nią.

– Bo my już mieliśmy się okazję spotkać, małańka.

Koce, pomyślała. Nie sprawdziła, co jest pod kocami!

Nie zdążyła wyciągnąć gazu z kieszeni. Nie zdążyła nawet się obrócić.

Mortka kątem oka obserwował, jak mijają tablicę z nazwą „Krotowice”, i przyspieszył, doganiając jadący przed nimi radiowóz. Rosecki siedział obok, obracając swój telefon komórkowy w dłoni. Ponieważ w samochodzie komisarza nie było CB-radia, tylko w ten sposób mogli się porozumiewać z resztą grupy. Aspirant co chwila odbierał lub wysyłał esemesy.

– I co teraz? – zapytał Mortka.

– Skręcili przed Mysłakowicami i kierują się na Szklarską Porębę.

- Chcą ominąć Jelenią?
- Może.
- Co mam robić?
- Jedź dalej za naszymi.

Wjechali w niewielki zagajnik, gdzie droga zakręcała ostro w lewo. Za zakrętem rozpostarła się przed nimi panorama Karkonoszy. Lasy na zboczach gór cieszyły oczy soczystą zielenią, ale szczyt Śnieżki ciągle pokrywała śnieżna czapa.

- Ładnie tutaj – powiedział Mortka.
- Powinieneś w takim razie przyjechać zimą.
- Lepsze widoki?

Rosecki uśmiechnął się krzywo.

– Najpierw robi się tak zimno, że wydaje ci się, że cię przewieje na drugą stronę, a w nosie zamarzają gile. Potem spada śnieg, który zupełnie zasypuje drogi, podwórka i samochody. Zanim odśnieżysz swoje auto na tyle, żeby ruszyć, mija co najmniej pół godziny, a kiedy już to zrobisz, okazuje się, że wysiadł ci akumulator. Ludzie palą w piecach i kominkach wszystkim, co im wpadnie w ręce, więc są dni, że w całym mieście śmierdzi tak, jakbyśmy dostali jakąś bombą chemiczną. I tak to trwa przez cztery miesiące czy pięć, a potem przychodzi odwilż i robi się jeszcze gorzej – mówił szyderczym, ale pełnym satysfakcji głosem, jakby niszczenie mitu o małowicznej zimie w górach sprawiało mu przyjemność.

- I nagle Warszawa przestała być taka straszna.
- Żebyś wiedział. Dobrze ci radzę, nie daj się nabrać. Śnieg w Karkonoszach wygląda dobrze tylko na pocztówkach.

Mortka wskazał palcem na jadący przed nimi radiowóz.

- Mam nadzieję, że rodziny Lucasa nie śledzicie czymś takim? Łatwo by się zorientowali.
- Nie. Mamy na stanie jeden cywilny samochód do przeprowadzania obserwacji.

Komisarz zmarszczył brwi.

- Jeden? – zapytał.
- Tak. Srebrną skodę.
- Od dawna?
- Dość.
- To pewnie już każdy wie, jak wygląda?

Rosecki zmarszczył czoło, kiedy zdał sobie sprawę, do czego zmierza Mortka.

- Myślisz, że nas odciągają? Są aż tacy cwani?
- Nie wiem. To na pewno rodzina Lucasa wsiadła do tego auta?
- Nie było mnie tam.
- Dzwon.

Rosecki chwycił telefon. Połączył się i szybko zadał kilka pytań. Wysłuchał odpowiedzi i zakrył aparat dłonią.

- Widzieli z daleka, ale kobieta, która wsiadła, była podobna do Esmeraldy. Liczba dzieciaków też się zgadzała. I Cyganie strasznie się kryli z tym wyjazdem.
- Tak strasznie, że bez trudu zauważył to policyjny wywiadowca?

Rosecki zaklął bezgłośnie.

- Co robimy? Zawracamy?

Mortka kiwnął głową po kilku sekundach.

- Tak. Jakby co, to poradzą sobie bez nas. Powiedz, co robimy, i zasugeruj, żeby wysłali nam jakieś wsparcie. Na wszelki wypadek. Ale niech nie podjeżdżają pod dom Lucasa. Wystarczy, że będą w oko-

licy.

Rosecki wrócił do rozmowy telefonicznej. Mortka zjechał na bok i zawrócił. Spojrzał na zegarek. Z komisariatu w Krotowicach wyruszyli mniej więcej dziesięć minut temu. Zakładając, że wyjazd romskiej rodziny miał ich tylko odciągnąć spod domu Lucasa, to czemu służyła ta dywersja? I ile mieli czasu, zanim wydarzył się to, co zaplanowali Romowie? Mocniej przycisnął pedał gazu.

Wjechał do Harlemu i zaparkował tak, żeby częściowo schować się za stojącymi na chodniku kublami na śmieci.

– I co? – zapytał, widząc, że Rosecki odkłada telefon.

– Tamci dalej jadą na Szklarską Porębę. Zajda powiedział, że chyba trochę nam odbiło, ale jak chcemy, to możemy tu siedzieć. Według niego to nie ma sensu. Cyganie w żaden sposób nie dali znać, że orientowali się, że ich śledzimy.

– No właśnie.

Rosecki rozpiął pas i wyciągnął się na fotelu. Stęknął i założył sobie dłonie za głowę.

– Sam nie wiem – zaczął, przeciągając wyrazy. – Jak wyjeżdżaliśmy z Krotowic, to brzmiało to w miarę sensownie, ale teraz... Tutaj się nic nie dzieje. Poza tym naprawdę uważasz, że czarnuchy są takie cwane?

Mortka zmrzął powieki i przybliżył się do przedniej szyby.

– Są – powiedział i skierował palec w stronę wyjeżdżającego z podwórka granatowego volkswagena kombi. Bagażnik miał całkowicie załadowany, a na tylnym siedzeniu chowała się nieokreślona liczba osób.

Kierowca zatrzymał się przy ulicy, długo spoglądając to w jedną, to w drugą stronę. Nie sprawdzał, czy droga jest wolna, ale szukał policji. Mortka schował się za kierownicą. Dał znak Roseckiemu, żeby również się pochylił. Miał nadzieję, że nie zwrócili na siebie uwagi.

Wreszcie volkswagen ruszył. Komisarz przekręcił kluczyk w stacyjce. Corolla zakaszła, ale silnik zaskoczył.

– Dzwonię do Zajdy – szepnął aspirant.

Mortka wyjechał na drogę. Pilnował, żeby trzymać właściwą odległość od volkswagena, a równocześnie nie tracić go z oczu. Bał się, że kierowca ich zauważy. Niepotrzebnie. Kimkolwiek tamten był, prowadził agresywnie i szybko, jakby chciał dotrzeć do celu jak najprędzej. Przy takiej jeździe nie ma się za dużo czasu na to, żeby patrzeć w lusterka, pomyślał Mortka. Komisarz starał się, by między nim a volkswagenem był zawsze przynajmniej jeszcze jeden samochód.

Wyjechali z Krotowic, ale tym razem kierowali się w stronę Kamiennej, a nie Jeleniej Góry. Droga, początkowo prosta i łagodna, szybko zaczęła się piąć zakrętami w górę, zmieniając się w ciąg stromych serpentyn. Volkswagen przyspieszył. Kierowca dobrze znał trasę, bo zwalniał tylko tam, gdzie to było niezbędne, i tylko do takiej prędkości, powyżej której groziło mu wypadnięcie za barierki i runięcie w dół stoku. Mortka próbował trzymać się w miarę blisko. Dłonie na kierownicy miał już zupełnie mokre od potu, a serce waliło mu mocno w piersiach. Hamulce piszczały, ilekroć gwałtownie naciskał pedał przed wejściem w zakręt. Komisarz próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wymieniał klocki. Rosecki nic nie mówił, ale siedział z zaciśniętymi ciasno wargami, trzymając się mocno fotela, jakby bał się, że zaraz wypadnie.

– Gdzie mogą jechać? – zapytał Mortka.

– Kamienna Góra?

Wyjechali zza kolejnego zakrętu. Nie dostrzegli volkswagena. Mortka zamrugał. Przed nimi ciągnął się długi odcinek prostej drogi, potem kolejna serpentyna. Niemożliwe, żeby odskoczył im aż tak bardzo. Gdzie był? Komisarz zauważył go w ostatniej chwili, kiedy już przejeżdżali obok. Granatowe kombi stało na niewielkim leśnym parkingu, schowane za większym krzewem, który wyrósł tuż przy drewnianym płocie.

Mortka pojechał dalej. Nie mógł teraz zawrócić. Zatrzymał się dopiero za pierwszym zakrętem. Przetarł szybko twarz wierzchem dłoni.

– Zadzwoń do Zajdy!

– Już to robię! – warknął Rosecki, który miał telefon przy uchu.

– Niech sprowadzi nam wsparcie.

– Przecież wiem!

Mortka zagryzł wargę i uderzył pięścią w kierownicę. Co teraz? Czy na parkingu był jeszcze inny samochód? Próbował sobie przypomnieć, ale nie pamiętał. To wszystko wydarzyło się za szybko, nie miał czasu się przyjrzeć. Co się tam działo? Czy w kombi był Lucas, jego rodzina?

Rosecki skończył rozmawiać.

– Ktoś już do nas jedzie.

– Kto?

– Tego nie powiedział. Pewnie dopiero to ustalają.

– Szlag...

Mortka wyciągnął kluczyki ze stacyjki i rzucił je Roseckiemu. Aspirant próbował je złapać, ale nie zdążył. Upadły mu na spodnie.

– Spróbuję się tam podkraść i zobaczyć, co się dzieje. Komórkę wyciszam, ale wibracje mam włączone. Jakbyś widział, że kombi odjeżdża, to ruszaj za nim. Poradzę sobie – powiedział.

– Dobra. Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– Tak – skłamał.

Mortka wysiadł z samochodu. Rosecki zajął jego miejsce za kierownicą. Komisarz kiwnął mu głową na pożegnanie i ruszył w las. Przez moment musiał się wspinać pod górę, potem teren się lekko wyrównał. Szedł od drzewa do drzewa, wypatrując parkingu, aż wreszcie dostrzegł go w prześwicie. Zwolnił kroku. Wyciągnął pistolet z kabury. Przystanął za najbliższym drzewem, ogromnym bukiem o pniu tak grubym, że mógł się o niego swobodnie oprzeć, nie bojąc się, że jego ramiona będą wystawać. Policzył do dziesięciu. Pocił się jeszcze mocniej niż w samochodzie. Przypomniawszy sobie Wajtołę i nóż w dłoni Lucasa tam, na podwórku.

Przekradł się do kolejnego drzewa, a potem jeszcze kolejnego, tak że od parkingu dzieliło go nie więcej niż dwadzieścia metrów. Nie zamierzał podchodzić bliżej. Kucnął. Oddychał płytko, bojąc się, że jakikolwiek głośniejszy dźwięk zdradzi jego obecność.

Z kombi dochodziły go odgłosy tanecznej muzyki, która wkrótce się skończyła, zastąpiona przez sygnał wiadomości radia RMF. Drzwi samochodu otworzyły się i z wozu wysiadł niski, umięśniony Rom w dżinsach i białym podkoszulku. Mężczyzna najpierw rozprostował kości, potem spojrzał na zegarek i pokręcił głową. Zaczął się przechadzać po parkingu i kopać kamienie, a kiedy znudzila mu się ta zabawa, podszedł do drewnianego płotka. Oparł się o niego, wychylił do przodu i zaczął rozglądać to w lewo, to w prawo, wyraźnie czegoś wypatrując na drodze. We wnętrzu otwartego volkswagena Mortka dostrzegł kobietę i dziecko, ale było tam więcej ludzi.

Wiadomości się skończyły i znowu zaczęła grać muzyka. Mężczyzna tymczasem wrócił do kopania kamyków. Z chwili na chwilę robił się coraz bardziej nerwowy. Na dźwięk każdego przejeżdżającego samochodu przystawał i spoglądał na drogę tak długo, aż wóz nie zniknął mu z oczu. Raz po raz zerkał też na zegarek.

Mortka również poczuł się niespokojny. Mięśnie nóg zaczęły mu drętwieć. Palce trzymał na kieszeni spodni, tej, w której schował komórkę. Wyczekiwał na wiadomość od Roseckiego. Czy ktokolwiek oprócz nich już się pojawił? Ile czasu minęło? Dokąd mógł dojechać Zajda za fałszywą rodziną i czy zdążą wrócić? Wolał na razie nie myśleć o tym, co będzie musiał zrobić, jeśli zostanie z tym wszystkim sam.

Nagle Rom uśmiechnął się szeroko. Na parking wjechała czerwona honda o niskim, sportowym zawieszaniu i z naklejonym na tylnej szybie napisem „Racing”. Zatrzymała się niedaleko volkswagena. Wsiadł z niej Lucas. Miał na sobie dres, a pod pachą niósł skórzaną kurtkę.

Mortka wstrzymał oddech i wyciągnął komórkę z kieszeni. Odszukał numer Roseckiego i wysłał mu esemeska z tylko jednym słowem: „Jest!”.

Mężczyźni na parkingu przywitani się uściskiem i wymienili kluczykami od samochodów. Ten, który do tej pory prowadził volkswagena, wsiadł do hondy i odjechał z rykiem silnika. Lucas pomachał mu na pożegnanie i podszedł do kombi. Wydawał się pewny siebie i wyluzowany. Otworzył drzwi samochodu, powiedział coś do siedzących w środku osób, a potem roześmiał się głośno. Rzucił kurtkę do środka.

Mortka wiedział, że ma tylko sekundy na podjęcie decyzji. Mógł pozwolić Lucasowi odjechać, licząc na to, że Rosecki będzie go śledzić i nie straci go z oczu. Do zatrzymania dojdzie wtedy gdzieś na trasie, kiedy uda się sprowadzić posiłki. Ale co, jeśli Rom się wymknie? Jeśli uda mu się przekroczyć granicę i wjechać do Niemiec? Dalsze poszukiwania będą trwały miesiącami. Nie mógł ryzykować. Wyciągnął pistolet z kabury i odbezpieczył broń. Wziął głęboki oddech i wyskoczył zza drzewa wtedy, kiedy Lucas był odwrócony do niego plecami.

– Stój! Policja! Gleba, kurwa! – wrzasnął z całych sił, wbiegając na parking.

Lucas obejrzał się przez ramię. Widok pędzącego w jego stronę policjanta z wycelowaną bronią sprawił, że cały pobladł i otworzył szeroko oczy. A potem wskoczył do volkswagena. Koła samochodu zabuksowały na piaszczystym podłożu.

– Stój, policja!

Mortka wystrzelił w powietrze. Huk spłoszył pobliskie ptaki, które poderwały się do lotu czarną chmurą.

Samochód ruszył z miejsca. Komisarz wycelowował w tylną szybę, ale nie pociągnął za spust. Widział sylwetki kobiety i dzieci na siedzeniach pasażerów. Nie chciał ryzykować, że ich przypadkowo trafi.

Volkswagen w pełnym pędzie wypadł z parkingu na drogę.

Ale w tym momencie wbiła się w niego czerwona toyota RAV4, tak że kombi niemal uniosło się nad jezdnią i uderzyło w barierkę oddzielającą szosę od stoku.

Potem nastąpiła chwila dźwięczącej ciszy jak po eksplozji bomby.

Mortka pobiegł w kierunku samochodów. Dostrzegł, jak z volkswagena wypada Lucas. Wyglądał na oszołomionego, na jego czole pojawiła się czerwona strużka krwi. Potrząsnął głową. Przez ułamek sekundy przyglądał się toyocie, która w niego uderzyła, i zerwał się do biegu. Przesadził barierkę i zniknął w lesie.

Z terenówki wyskoczyli Lupa z Borkowskim. Popędzili za Romem. Mortka dopadł do volkswagena i zajrzał do środka. Na tylnym siedzeniu przestraszona kobieta przytuliła do siebie małą dziewczynkę. Starsze dziecko, chłopiec, wyło wściekle, wyrzucając z siebie potok słów, których komisarz nie rozumiał, i uderzało piąstkami o tapicerkę. Wyglądało na to, że całej trójce nic nie jest.

Toyota corolla Mortki podjechała do szepionych ze sobą samochodów.

– Co tu się stało? – zapytał Rosecki, wychylając się przez okno.

– Zadzwoń po pogotowie. Przypilnuj tych w środku.

Mortka przeskoczył przez barierkę. W dole, kilkanaście metrów niżej, mignęły mu plecy policjantów. Komisarz zbiegł w dół stoku, po drodze dwa razy o mało co nie tracąc równowagi. Przed upadkiem ratowały go drzewa, na które rzucał się w ostatniej chwili, chwytając się ich rozpaczliwie i uderzając o twarde pnie piersią lub barkiem. Potem zrobiło się odrobinę mniej stromo, bieć było łatwiej. Przyspieszył, chociaż stracił już nadzieję na to, że dogoni Lupę i Borkowskiego. Obaj zniknęli za niewielką górką. Kiedy Mortka ją pokonał, zobaczył, że policjanci skręcają za skałkami i głazami, które wyrastały ze stoku jak gigantyczne, pokrzywione zęby. Biegł dalej.

Strzał.

Cisza. Słyszał w niej tylko własny oddech i tupot swoich stóp uderzających o leśne podłoże.

– Stój! Policja!

Kolejny strzał.

Mortka wybiegł z za skał. Dostrzegł plecy Lupy. Policjant stał bez ruchu. A obok niego Borkowski ze spuszczoną głową i pistoletem w dłoni. Niecałe dwa metry od nich na plecach leżał Lucas. Ramiona miał szeroko rozłożone, jakby próbował wzbić się w powietrze. Jego oczy były zaszkłone, usta lekko otwarte. Prawą dłoń zaciskał na rękojeści noża. Na piersi wykwitła mu szkarłatna plama krwi.

Mortka podszedł do ciała. Nachylił się nad nim. Lucas nie żył. Komisarz nawet nie musiał sprawdzać pulsu. Strzał był czysty. Prosto w serce.

– Chyba go trafiłem – powiedział Borkowski drżącym głosem.

Mortka wstał i spojrzał na Lupe, który przyłożył dwa palce do czoła i pokręcił ledwo dostrzegalnie głową, jakby nie wierzył w to, co widzi.

– Tak. Chyba tak. Chyba go, Borówka, trafiłeś.

Mortka skończył pić trzecią kawę tego wieczora. Odłożył kubek i raz jeszcze przeczytał to, co napisał – sprawozdanie z próby zatrzymania Lucasa Siwaka, które zakończyło się śmiercią poszukiwanego. Potem złożył podpis na karcie i oddał czekającemu obok policjantowi.

Wstał zza biurka i spojrzął na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga. Czuł, że to dobra pora, aby położyć się spać. Może wcześniej wypić piwo albo dwa. Odstresować się. Ciekawe, czy USA było jeszcze otwarte. Była środa wieczór, a w tygodniu zamykali czasami nieprzychylnie wcześniej.

Borkowski był w innym pokoju. Kiedy Mortka przechodził po raz ostatni obok, młody policjant siedział na biurku otoczony przez grono kolegów. Machał nogami i opowiadał gorączkowo o tym, co się wydarzyło. W pewnym momencie zrobił z palców pistolet i udał, że strzela. W tamtej chwili Mortka miał ochotę wejść do środka i go uderzyć, rozsmarować pięścią ten pełen zadowolenia z siebie uśmiech na całej twarzy.

To się nie powinno tak skończyć. Nie w ten sposób.

– Mogę wyjść? – zapytał dyspozytora. Policjant wzruszył ramionami w odpowiedzi i niepewnie rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem kogoś, kto byłby bardziej odpowiedni do udzielenia odpowiedzi na to pytanie.

– Jakby co, powiedz po prostu, że poszedłem się przejść. Wrócę za... dziesięć, piętnaście minut. Coś takiego.

Wyszedł przed komisariat. Minął kogoś, kto klepnął go po plecach i powiedział: „Dobra robota”.

Obrócił się, żeby zobaczyć, kto to, ale policjant już zniknął wewnątrz budynku. Mortka poszedł przed siebie. Bez celu. Po prostu, żeby iść, rozprostować kości, zapewnić trochę ruchu zeszytwniałym od siedzenia przy biurku nogom.

Księżyc świecił wysoko na niebie jasnym blaskiem otoczony przez setki gwiazd. Było ich dużo więcej, niż można by dostrzec w Warszawie nawet w najbardziej pogodną noc. Kilka chmur, niewielkich ciemnych smug, leniwie podążało w stronę Wrocławia.

Lucas nie żył. Był winny śmierci Wajtoły. To pewne. Mortka sam widział, jak Rom wbija nóż w ciało policjanta. Lucas był też głównym podejrzanym o zamordowanie znalezionych w opuszczonej kopalni kobiet. Znaleźli dowody w jego samochodzie. Ale im więcej komisarz o tym myślał, tym bardziej zgadzał się z Brodką. „Skalanie” to jedno. Człowiek, który uważa, że praca lekarza uczyniłaby go nieczystym, raczej nie grzebałby się w ludzkich wnętrznościach. Zbyt silne tabu. Były też inne przesłanki. Tacy ludzie jak Lucas zabijają dziko, gwałtownie, pod wpływem impulsu. Nie bawią się w wycinanie kawałków ciała, zbieranie trofeów, chowanie trupów do kopalni. Pozostawiają je tam, gdzie dokonali zbrodni.

Zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Coś tu nie grało. Wiedział o tym. Ale co powinien zrobić? Zastanawiał się nad tym przez kilka minut, przechadzając się w pobliżu komisariatu, ale nie potrafił wymyślić niczego rozsądnego. A może powinien sobie dać spokój? To nie były jego teren ani jego problemy. Jeszcze kilka tygodni i już go tutaj nie będzie.

Zrobiło mu się nieswojo.

Zabił komara, który usiadł mu na przedramieniu. Przysunął rękę do oczu i przypatrzył się rozmazanemu na niej owadowi.

– Tutaj jesteś! – Lupa podbiegł do niego i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. – Mówiłem ci, że prawie udało mi się rzucić?

– Tak. Wytrzymałeś trzy miesiące. Już ci gratulowałem świetnego wyniku.

– No tak.

Zapalił. Zaciągnął się głęboko i wydmuchał dym nosem. Zapach nikotyny i tytoniu sprawił, że Mortce zakręciło się w głowie.

– Zajda prosił, żebyś z tobą pogadał.

– O czym?

– Przeczytał twój raport.

– Szybko.

– No.

Lupa zrobił przerwę. Pałac, szukał słów.

– Nie podobał mu się.

– Bo?

– Bo stoi w sprzeczności z tym, co my napisaliśmy.

– A co wy napisaliście?

– Że Borówka krzyknął: „Stój, policja!”. Oddał strzał ostrzegawczy w powietrze, a potem strzał w stronę Lucasa, który biegł na niego z nożem. Tak, jak było.

– Wiem, jak było. Wiem, co słyszałem.

– Jezu, Kuba – jęknął Lupa. – To się wszystko działo tak szybko. Kompletne szaleństwo. Cudem udało nam się z Borówką zdążyć do ciebie, zanim Lucas nie odjechał w stronę domu. Wszyscy byliśmy zdenerwowani i w wielkim stresie. Mogło ci się pomylić.

Mortka westchnął. Spodziewał się, że dojdzie do takiej rozmowy. Miał tylko nadzieję, że uda mu się wcześniej przespać.

– Nie. Nie pomyliło mi się. Najpierw był strzał. Potem okrzyk i kolejny strzał.

– Dlaczego to robisz?

– Co?

– Dlaczego chcesz to skomplikować? Dlaczego chcesz naszmrodzić Borówce w życiorysie? Przecież to nie ma sensu. Kłopoty będzie miał Borówka, będę miał ja i będziesz miał też ty, a koniec końców okaże się, że to zwykle nieporozumienie. Pomyłka. Rozwiążmy ten problem od razu i rozejdźmy się do domów. A jutro będziemy świętować, że to wszystko już się skończyło i życie w tej dziurze wróci wreszcie do normy.

– Wiem, co napisałem. Wiem, co słyszałem. Nic nie zmienię.

Lupa zaciągnął się po raz ostatni, rzucił niedopałek na ziemię i przygniótł go tak mocno, jakby chciał go wbić w chodnik.

– Dobra – powiedział ze złością w głosie. – Załóżmy, że ty miałeś rację. Najpierw był strzał ostrzegawczy, potem krzyknął, potem strzelił po raz kolejny.

– Nie wiem, czy pierwszy strzał był ostrzegawczy.

Lupa zeszczywniał.

– Co ty... Ale dobra, Kuba. Niech będzie po twojemu, chociaż to bzdura, bo ja tam byłem. Widziałem to i było tak, jak ja napisałem. Ale załóżmy, załóżmy na chwilę, że twoja wersja jest prawdziwa. Borówka najpierw strzelił do Lucasa, trafił go w pierś, zabijając na miejscu. Dopiero wtedy krzyknął i dał strzał ostrzegawczy. I co, kurwa, z tego?!

– Jak to co? To wszystko zmienia.

– Gówno zmienia. Lucas zabił Wajtołę. Pamiętasz? I szedł na nas z nożem. Borówka mógł spanikować. Miał do tego prawo.

Mortka spojrział w górę, na księżyc. Próbował uporządkować myśli.

– Tamtego poranka, kiedy szliśmy do Lucasa – zaczął – kiedy uciekł przez okno i potem zabił Wajtołę... Szedł prosto na mnie. Miał nóż... W lewej ręce. A kiedy do was podbiegłem, miał go w prawej. On był leworęczny, Lupa. Nie wiedziałaś o tym, prawda?

– Co ty sugerujesz?

– Nic. Ale widziałem to, co widziałem, i słyszałem to, co słyszałem. Nie zamierzam niczego zmieniać. A wszystkie wątpliwości niech rozwiąże ktoś z zewnątrz. Mam nadzieję, że wyjdzie na twoje.

Lupa był wściekły. Wargi drżały mu tak, jak drżą psu, który szykuje się do ataku. Wtedy zadzwonił jego telefon. Odebrał, ale wyciągnął palec w kierunku Mortki, jakby w ten sposób chciał mu powiedzieć: „Jeszcze z tobą nie skończyłem”.

– Co jest?... Jestem niedaleko... Rozmawiam z Mortką... Co?! Powtórz!

Usta Lupy zmieniły się w cienką linię, a twarz przybrała niebezpiecznie czerwony odcień.

– Kurwa mać!!! – ryknął i rzucił z całych sił telefonem o ziemię. Aparat rozpadł się z trzaskiem na kilka części, które potoczyły się po chodniku. Policjant dyszał ciężko, to zaciskając, to rozprostowując palce, jakby chciał kogoś udusić.

– Co się stało? – zapytał Mortka.

– Znaleźli kolejne ciało – odpowiedział po chwili Lupa. Mówił cicho, nie szeptem, ale tak, jakby nie miał po prostu sił. – Z takimi samymi obrażeniami jak te w kopalni. Tylko tym razem świeże.

Powinni ustawić tu więcej świateł. To była pierwsza myśl, która pojawiła się w głowie Mortki, kiedy przyjechał z Lupą do miejskiego parku. Ciało odnaleziono w jego najbardziej oddalonej od zabudowań części, na ustronnej polance otoczonej przez gęste chaszczki i krzewy. Światło parkowych latarni, których zresztą i tak było niewiele, właściwie tutaj nie docierało. Na ziemi wałyły się puste opakowania po papierosach i butelki po piwie oraz tanim winie. Na miejscu był już patrol i technik z komisariatu. Zabezpieczali teren.

– Cześć, Rudziak. – Lupa przywitał się z młodym policjantem. – Drugie ciało w ciągu dwóch dni. Ale masz farta, co?

Funkcjonariusz nie wiedział, czy ma zachować powagę, czy również spróbować zażartować.

– Kto zgłosił zwłoki? – zapytał Mortka, wybawiając go z opresji.

Policjant wskazał na stojącą niedaleko młodą parę. On mógł mieć dwadzieścia pięć lat, ona osiemnaście. Chłopak trzymał w dłoni butelkę wina, dziewczyna miała pod pachą koc.

– Nie za chłodno jeszcze na takie zabawy? – zdziwił się Mortka.

– Młodzi mają zdrowie. I chcicę, która odbiera rozum – mruknął w odpowiedzi Lupa. – Dobra, nie chce mi się z nimi gadać. Rudziak, co się stało?

– Powiedzieli, że przyszli tutaj na spacer. Pooglądać gwiazdy.

– Gwiazdy? Tutaj? – Mortka spojrzał w górę. Przez korony drzew ledwie było widać księżyc. – Mogli się bardziej wysilić.

– Od obojga czuć alkohol, ale raczej nie są pijani.

– Dobra, dobra. Kto to jest?

– Oboje z Krotowic. Nic na nich nie mamy. On pracuje w Jeleniej Górze w warsztacie samochodowym, ona się uczy.

– Powiedzieli coś ciekawego?

– Niewiele. Zaraz po odnalezieniu ciała chcieli uciekać, ale po mniej więcej dziesięciu minutach stwierdzili, że jednak zadzwonią na policję. I koniec.

– Kogoś widzieli? – zapytał Mortka. – Coś słyszeli? Coś zwróciło ich uwagę?

– Nie. Zeznali, że uciekli od razu, kiedy się zorientowali, co znaleźli. Idąc tutaj, nie zauważyli niczego podejrzanego.

Lupa odszedł na chwilę na bok, żeby odebrać telefon.

– Dowiedz się, którędy szli – poprosił Rudziaka Mortka. – Niech powiedzą, czy zostawili jakieś ślady, na które możemy trafić: niedopałki papierosów, gumy do żucia. Rozumiesz?

– Tak jest.

Policjant wrócił do pary. I chłopak, i dziewczyna wyglądali na lekko wychłodzonych i zmęczonych. Wiosenne noce zdecydowanie nie sprzyjały „ogłądaniu gwiazd”, ale do tej dwójki dopiero teraz to dochodziło.

– Olszewski będzie tutaj wkrótce – powiedział Lupa.

– Ten patolog?

– Tak.

– Kurwa... – Mortka pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Co znowu?

– Nie pamiętam, czy w Wawie kiedykolwiek miałem medyka sądowego przy oględzinach.

– Serio?

– Aha.

– Tutaj też zazwyczaj nikt nie przyjeżdża do zwłok. Ale to wyjątkowa sprawa.

– To prawda.

– Chociaż byłem pewien, że gdzie jak gdzie, ale w stolicy...

– Taki sam syf jak wszędzie indziej, Lupa. Przepisy przepisami, koszty kosztami. A prokurator?

– Zawiadomiłem Zagajewskiego. Zobaczymy, czy się pojawi.

– Czyli norma. Oględziny spadają na nas.

– Tak jest.

Mortka ziewnął i potrząsnął głową. Obserwował Rudziaka, który rozmawiał z parą „astronomów”, jak zaczął ich nazywać w myślach. Dziewczyna przytuliła się do chłopaka, który ogrzewał ją teraz własnym ciałem, równocześnie odpowiadając na pytania policjanta.

– Co do Lucasa... – zaczął Lupa.

– Tak?

– Ani ja, ani Borówka nie włożyliśmy mu noża do ręki.

– Jasne.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę. Ale wiem też, co słyszałem i widziałem. Nie oczekuj ode mnie, że zmienię cokolwiek w tym, co napisałem.

Lupa otwierał usta, żeby coś odpowiedzieć, kiedy usłyszeli za sobą ruch. Odwrócili się niemal równocześnie. Olszewski z torbą w ręku przedzierał się właśnie przez pobliskie krzaki.

– Niedaleko jest ścieżka – powiedział Lupa i wskazał kierunek.

Olszewski zatrzymał się w pół kroku z gałęzią w dłoni, która inaczej uderzyłaby go prosto w twarz.

– Nie zauważyłem. Ciemno tu.

Lekarz przez chwilę wahał się, czy zawrócić i iść drogą pokazaną przez Lupę, czy przedzierać się dalej przez krzaki. Zdecydował się na to drugie. Zaciskając zęby, ruszył przed siebie. Kiedy dotarł do policjantów, kurtkę miał całą w liściach, jakby to był militarny kamuflaż.

– Cholerna przyroda – powiedział zamiast przywitania. – Gdzie denatka?

Nie musieli odpowiadać, bo Olszewski sam zobaczył otoczony taśmą kwadrat, po którego obwodzie krążył robiący zdjęcia technik. Lekarz otworzył swoją walizkę i wyjął z niej gumowe rękawiczki. Wręczył po parze policjantom.

– To co, idziemy?

Przeszli pod taśmą. Technik dał znak, żeby poczekali. Flesz błysnął trzy razy i mężczyzna wyszedł z kwadratu. Stanął z boku i przeglądał na ekranie aparatu cyfrowego wykonane zdjęcia. Mortka z satysfakcją stwierdził, że miejscowi jednak się czegoś nauczyli. Ale przecież w ciągu ostatnich dni mieli dużo okazji, żeby przećwiczyć fotografowanie zwłok. Najpierw kopalnia, potem Bratkowski.

– Możecie iść – powiedział technik, kiedy stwierdził, że wyniki jego pracy są satysfakcjonujące.

Mortka po raz pierwszy włączył latarkę i po raz pierwszy ujrzał ciało. Martwa kobieta była goła, tak jak poprzednie ofiary. Wycięto fragmenty mięśni ud, a na miejscu, gdzie znajdowała się pochwa, ziała tylko krwawa dziura. Skierował światło latarki wyżej. Rany cięte w okolicach żeber. Coś, czego poprzednie ofiary nie miały. Wycięte sutki. I ta twarz...

Zmarł.

Krótkie blond włosy, lekko zadarty nos i wielkie zielone oczy. Śliczna.

Olga.

– Plamy opadowe oraz stężenie pośmiertne wskazują, że zgon nastąpił około siedmiu, ośmiu godzin temu. Czyli w okolicach – Olszewski zerknął na zegarek – godziny szesnastej. Mamy ślady wysychania w okolicach szyi, co wskazuje na możliwość duszenia. Jest za wcześnie, żeby ustalić, czy to była przyczyna śmierci.

Przerwał, żeby wyciągnąć z kieszeni kurtki zeszyt i szybko zrobić parę notatek. Mortka wciąż nie potrafił oderwać wzroku od Olgi. Twarz zmarłego powinna wyglądać na spokojną, pomyślał, ale ta taka nie była. W zastygniętych rysach dostrzec można było ból i przerażenie, jakby dziewczyna z kimś walczyła.

– Rany cięte, głębokie, zadane najprawdopodobniej już po śmierci. Brak śladów przeobrażeń pośmiertnych takich jak gnicie, co wskazuje na nieodległy czas zgonu – dodał Olszewski, po czym znów przerwał i sięgnął do torby. Wyciągnął z niej coś, co wyglądało jak bardzo cienki śrubokręt, który w ręczce miał elektroniczny ekran. Coś przycisnął w tamtym miejscu i rozległo się ciche pyknięcie. Olszewski nachylił się do Olgi i wbił jej przyrząd prosto w oko. Po kilku sekundach rozległo się drugie pyknięcie. Lekarz spisał dane z wyświetlacza.

– Jak pewnie wicie, temperatura ciała denata przydaje się do określania czasu zgonu. Najczęściej mierzy się ją domięśniowo lub doodbytniczo. Ale te dwie metody mają poważne wady. Ciało człowieka traci temperaturę w różnym stopniu w zależności od wagi zmarłego. Tego problemu nie ma, jeśli mierzyć temperaturę gałki ocznej – wyjaśnił Olszewski, chowając przyrząd. – A tak przy okazji, niech ktoś się zorientuje, ile stopni mamy teraz, dobra?

– Sprawdźmy i wyślę ci te dane.

Lekarz wrócił do oględzin zwłok. Otworzył usta Olgi i długo przypatrywał się jej zębom.

– Nie ma nic w ustach. Żadnych kawałków skóry, śladów krwi. Może znajdę coś pod paznokciami. Ale to już w mnie na stole. – Wstał i otrząpał spodnie. – Zobaczyłem to, co chciałem. Możecie ją zabierać. Jutro z rana przeprowadzę sekcję zwłok i będę wiedział więcej. Czy jest coś jeszcze?

– Nie – odpowiedział Lupa.

Olszewski pożegnał się z nimi szybko i zniknął w gęstwinie krzewów.

– I co o tym myślisz, Kuba?

– Znałem ją.

– Słucham?

– Nazywała się Olga. Była dziennikarką.

– Dziennikarką? Pierdolisz?! Dla kogo pracowała?! TVN-u?!

– Nie wiem. Chyba była, jak to powiedziała, wolnym strzelcem.

– I tak przejebane.

– Tak.

Śmierć dziennikarza – najgorszy syf, w jaki można było wpaść. Dziennikarze zazwyczaj rzucali się sobie nawzajem do gardeł, ale kiedy tylko jednemu z nich coś się działo, zmieniali się we wścieklą sferę, która miała tylko jeden cel – pomścić kolegę. Przypominali w tym policjantów. Krotowiccy funkcjonariusze mogli się zatem teraz spodziewać ostrych nagłówków i wymierzonych w siebie non stop mikrofonów.

– A cała reszta? – Lupa zakreślił ramieniem łuk.

Mortka zamknęła oczy. Chciał się uspokoić, zmusić do myślenia, ale przychodziło mu to z trudem. Wciąż widział Olę z poprzedniej nocy. Kiedy siedziała na nim i go ujeżdżała, a on mocno trzymał ją za biodra, czując skurcze zbliżającego się orgazmu.

– To zabójstwo jest inne – powiedział wreszcie. – Spieszył się. Chciał, żebyśmy ją znaleźli. Łatwo się tutaj zakraść, prawda?

Lupa przytaknęła.

– Można podjechać polną drogą z drugiej strony. Tam są tylko nieużytki. Mało kto tam chodzi.

– Ale butelki po winie, papierosy, wskazują na to, że miejscowe lumpki chętnie odwiedzają te chaszczę. Skurwiel wiedział, że ktoś znajdzie zwłoki. Może tylko nie spodziewał się, że dojdzie do tego tak szybko.

– Dlaczego miałby to robić?

– Chciał się pochwalić? Ale jeśli tak, to dlaczego poprzednie chował w kopalni?

Wzdrygnął się i westchnął ciężko. Zmusił się, żeby zrobić krok do przodu, bliżej ciała. Kucnął, tak że przed oczami miał łagodną linię jej brzucha i zmasakrowanych piersi.

– To bez sensu – wyszeptał.

Otoczył kolana ramionami i przyłożył czoło do złożonych dłoni. Kołysał się łagodnie na piętach. Była tuż przy nim. Pamiętał jeszcze gładkość jej skóry i zapach potu zbierającego się we wgłębieniu wygiętych w łuk pleców.

– Kuba?

Podniósł głowę. Zasnął? Może na sekundę.

– Tak?

– Kiepsko wyglądasz. Idź może się prześpij, co? Przypilnuję tutaj wszystkiego.

Wstał i przetarł powieki. Trzy kawy nie pomogły, pomyślał. Sprawili tylko, że trzęsły mu się lekko dłonie, a w ustach czuł słodkawą, nieprzyjemny posmak.

– Chyba masz rację. Pojadę do siebie. Widzimy się rano na komisariacie?

– Tak.

Odszukał wzrokiem ścieżkę pomiędzy krzakami.

– Potrzebujesz latarki? – spytał Lupa.

– Nie. Dam sobie radę bez.

– Uważaj tylko, żeby nie wpaść w żadną dziurę.

– Lupa?

– Co?

– Jeśli Olszewski ma rację i potwierdzi się to, że Olga zginęła w okolicach godziny szesnastej... Wiesz, co to oznacza?

Lupa kiwnął głową. Wiedział. I nie był z tego powodu zadowolony.

– Że Lucas nie mógł jej zabić.

Komisarz zostawił Lupę, który przyglądał się leżącemu przed nim ciału zatopiony we własnych myślach. Kolejna ofiara. Martwa kobieta numer pięć. Zabójca wyszedł z kopalni na powierzchnię. A oni dalej nie mieli pojęcia, kim on może być.

Buty zdjął już na korytarzu, a potem cichutko, najciszej, jak potrafił, otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Odłożył buty na półkę, a potem ostrożnie, wstrzymując oddech, zawiesił kurtkę na wieszaku. Wtedy usłyszał ruch w pokoju mamy. Chwilę później zapaliło się u niej światło. Wreszcie ona sama weszła do przedpokoju, zarzucając na ramiona szlafrok.

– Wróciłeś wreszcie. Martwiłam się.

– Mamo...

Podeszła do niego i uściśnęła mocno, a potem wspięła się na palce, żeby pocałować go w policzek. Mimowolnie chciał się odsunąć. Nie lubił, kiedy tak robiła. Wciąż traktowała go jak małe dziecko.

– Coś się stało? – zapytała zmartwiona.

Przez chwilę Borkowski odczuwał pokusę, żeby wszystko opowiedzieć, ale ugryzł się w język. Nie, będzie milczał. Niech się sama jutro dowie, jaki z jej syna jest bohater.

– Nic, mamo.

Spojrzała mu badawczo w oczy, równocześnie mrużąc powieki. Tak samo patrzyła na niego wtedy, kiedy wracał ze szkoły ze złym stopniem, ale kłamał, że nauczyciele jeszcze nie oddali klasówek. Pamiętał, że wtedy ten wzrok przyprawiał go o dreszcze. Zawsze potrafiła się wszystkiego domyślić, jakby została wyposażona przez naturę w jakiś myślowy rentgen. No, ale teraz już nie był w szkole.

– Zrobić ci kanapki, synuś? Mam świeże mięsko w lodówce.

– Nie.

– Paróweczki?

– Nie jestem głodny.

W jej twarzy wyczytał niepokój pomieszany z ciekawością. Przytuliła go po raz drugi.

– To śpij dobrze, synuś – szepnęła mu do ucha. – Jakbyś zgłodniał, to sam sobie zrobisz, dobrze?

– Tak, mamo.

Wróciła do swojej sypialni i wkrótce usłyszał, jak sprężyny wysłuchzonego tapczanu uginają się pod jej ciężarem. Poszedł do siebie. Zapalił lampkę nocną. Zdjął zegarek i położył go na komodzie. Koszulkę rzucił na podłogę, a zaraz obok niej wylądowały spodnie. Ściągnął skarpetki i przyłożył je do nosa. Pachniały brzydtko, jutro założył świeże.

Padł na łóżko i podłożył ręce pod głowę. Kiedy jechał do domu, wydawało mu się, że jest śmiertelnie zmęczony. Ale teraz czuł się zbyt podniecony, żeby zasnąć. Przed oczami przelatywały mu obrazy z dzisiejszego dnia: szalona jazda samochodem z Lupą, to, jak wjechali w samochód pełen czarnuchów, a potem bieg przez las za Lucasem. Lupa został wtedy trochę w tyle. Ale on, kiedy tylko zobaczył plecy Roma, wiedział już, że nie odpuści. A potem wrócili na komisariat, gdzie wszyscy dyskretnie mu gratulowali, pokazywali wyciągnięte w górę kciuki lub klepali serdecznie po plecach. Nawet Zajda, kiedy wydawało mu się, że akurat nikt go nie widzi, uśmiechnął się szeroko i uderzył dłonią w dłoń, naśladując klaskanie. Tylko ten Mortka coś kombinował. Nic nie mówił, nie było po nim widać, że się cieszy. Od razu siadł do papierów i pisał jak szalony. Zajda po przeczytaniu raportu tego warszawiaka nie wyglądała na zadowolonego, palił wściekle papierosa przy otwartym oknie. Co Mortka mógł napisać? Przecież nie było go tam! Został daleko w tyle, jeszcze za Lupą. Dobięł do nich, kiedy już było po wszystkim. Nie mógł nic zobaczyć. A jednak się czepia.

Borkowski przewrócił się na bok i uderzył pięścią w poduszkę. To go uspokoiło. Wiedział, że zrobił to, co należało. I miał pewność, że Lupa, Zajda i reszta kolegów z komisariatu będą go wspierać. Z Mortką sobie poradzą. Spacyfikują go, jeśli będzie potrzeba. A on będzie bohaterem. Już się nie mógł doczekać, kiedy opowie o tym wszystkim kumplom. Dziewczyny też zaraz zaczną inaczej na niego patrzeć.

Zaczął się zastanawiać nad tym, czy dostanie za dzisiejszą akcję nagrodę. Wydawało mu się, że powinien. Ciekawe, kiedy i ile to będzie. Tysiąc? Dwa? Chyba nie więcej. Ale to i tak dużo. Kupi sobie za to nowe radio i głośniki do samochodu. Stare nadawały się już tylko na śmietnik.

Sam nie pamiętał, kiedy zasnął.
Śnił mu się listopad.

Zajda rzucił długopisem, który odbił się od blatu biurka i upadł na podłogę. Policjant zastygł w bezruchu, wpatrzony w leżący na ziemi przedmiot, jakby ten z niego drwił. Sapnął wściekle, podniósł go i odłożył do kubka.

– I co teraz z tym zrobimy? – zapytał rozgniewany.

Mortka spojrział pytająco na Lupe, który siedział tuż obok. Komisarz był blady, miał podkrążone oczy i wyglądał, jakby potrzebował kilku wolnych dni. Ponieważ Zajda nie doczekał się odpowiedzi, kontynuował:

– Prokurator Zagajewski będzie tutaj za pół godziny. Wczoraj do niego dzwoniłem, mówiłem, że załatwiliśmy sprawcę, i odbierałem gratulacje. Można było otwierać szampana. Teraz mamy czwartek rano i co mam mu powiedzieć? Że zabilimy nie tego czarnucha, co trzeba?!

– Jezu, Zajda – jęknął Lupa. – Nie wiem, co trzeba mu powiedzieć. Może prawdę?

– A jaka jest prawda, co? Kurwa, czy ty sobie w ogóle zdajesz sprawę z powagi sytuacji? Wiesz, za ile sznurków musiałem pociągnąć, ile obietnic złożyć, co naopowiadać, żeby to śledztwo zostało u nas? Wszystko po to, żebyśmy się mogli wykazać. I co? I okazuje się, że robiłem z gęby cholewę, a to dochodzenie to pierdolona katastrofa!

Zajda patrzył to na Lupe, to na Mortkę. Znowu żaden z nich się nie odezwał. Komendant machnął ręką i wrócił za biurko. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, którą przetarł sobie szybko usta. Przez chwilę przypominał gracza na wyścigach, który właśnie się zorientował, że postawił na nie tego konia, co trzeba.

– Dobrze – powiedział już trochę spokojniejszy. – Jakie hipotezy możemy przedstawić Zagajewskiemu? Czy Siwak był, czy nie był naszym sprawcą? Lupa?

– Na tym etapie sam nie wiem.

– Mortka? Jakaś dobra rada od naszego warszawskiego konsultanta?

Nie sposób było nie usłyszeć gorzkiej drwiny w jego głosie.

– Widzę kilka możliwości – odpowiedział po namyśle komisarz. – Pierwsza, najgorsza, jest taka, że Lucas nie był naszym człowiekiem. I że nie miał nic wspólnego z zabójstwami z kopalni.

– Skąd w takim razie skalpele w jego bagażniku?

– Ktoś mu podrzucił, żeby zrzucić na niego podejrzenia. A przez kogoś mam na myśli, oczywiście, zabójcę.

– Nie podoba mi się to – mruknął Zajda. – Inne możliwości?

– Dwóch wspólnie pracujących sprawców. Jeden z nich to Lucas, tożsamość drugiej osoby jeszcze nie znamy.

– To możliwe?

– Ten snajper z Waszyngtonu, pamiętacie? – wtrącił Lupa. – Okazało się, że to dwie osoby. Starszy facet i jego młody podopieczny.

Zajda zmarszczył brwi, myśląc nad tym, co usłyszał. Wreszcie kiwnął głową.

– To mi się bardziej podoba. Zdecydowanie. A co myślicie o tym naśladowcy? Takie rzeczy też się zdarzają, prawda?

– To możliwe, ale mało prawdopodobne – stwierdził Mortka. – Ciała z kopalni i to z wczoraj miały niemal identyczne obrażenia. Nie podaliśmy tyłu szczegółów prasie, żeby naśladowca mógł dokonać zbrodni aż tak bardzo podobnej do poprzednich.

Komendant skrzywił się, wyraźnie rozczarowany.

– Szkoda. To by wyglądało z całego tego bajzlu najlepiej... – Zawiesił głos. – A co z możliwością, że za wszystko odpowiedzialny jest jednak Siwak?

– Nie miałby szans zdążyć – odparł stanowczo Lupa.

– Cholera. No dobra, to spróbujemy z dwoma sprawcami. Wtedy przynajmniej będziemy mogli się pochwalić, że rozwiązaliśmy połowę problemu.

Mortce wydawało się, że Zajda oczekuje od nich, iż się roześmieją lub przynajmniej kurtuazyjnie uśmiechną. Nic takiego nie nastąpiło, więc komendant zakaszłał głośno.

– Co z tą wczorajszą ofiarą? Lupa wspominał, że ją znałeś, Kuba. Podobno była dziennikarką.

– Tak mówiła.

– Jak się nazywała?

– Olga.

– Nazwisko?

– Nie wiem.

– W jakiej redakcji pracowała?

– Nie wiem. Wspominała, że jest wolnym strzelcem.

Komendant podrapał się po czole.

– Nie znałeś jej w takim razie za dobrze, co?

– Nie. Po prostu rozmawialiśmy raz. Nic specjalnego.

– Wiemy cokolwiek o niej? Chciałbym się chociaż zorientować, jak bardzo skomplikuje mi to życie. Czy powinienem się spodziewać telefonu z Jeleniej, Wrocławia, a może samej Warszawy?

Mortka poczuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie. A więc chodziło tylko o to, jak mocno kolejna ofiara uderzy w Zajdę i jego ukochany komisariat. To, kim była dziewczyna, dlaczego zginęła, kto ją zabił, było kwestią drugorzędną i niezbyt istotną w porównaniu z tą śmieszną małą stabilizacją, jaką sobie tutaj stworzył. W swoim policyjnym księstwie.

– Stawiałbym na Brukselę – rzucił kwaśno, a Zajda poczerwieniał ze złości.

– To nie jest śmieszne.

– Przecież się nie śmieję.

– Wiesz, że po zakończeniu programu będę musiał ci napisać ewaluację, która później wyląduje w twoich aktach osobowych? – zapytał niespodziewanie komendant. – Zastanów się, co byś chciał, żeby się tam znalazło, zanim rzucisz kolejny żarcik.

Mortka udał zaskoczonego, jakby nie wiedział, dlaczego Zajda właściwie się go czepia. Pogrożka nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia. I tak chciał przecież odejść z policji. Chyba...

– Wiemy przynajmniej, gdzie mieszkała?

– Tak. Pod Klonami.

– W tym rządowym ośrodku? Szlag. Mam nadzieję, że nie miała nic wspólnego z politykami. Wiecie jakimś fartem, który pokój?

– Dowiem się w recepcji – skłamał Mortka. Nie chciał, by wiedzieli, że spędził z Olgą noc. Postanowił to ukrywać tak długo, jak to będzie tylko możliwe.

– Chcesz tam jechać?

– Tak.

– Dobrze – zdecydował Zajda. – Zrób przeszukanie na blachę, a ja wyciągnę od Zagajewskiego zgodę.

Lupa otworzył usta, żeby zaprotestować, ale komendant nie dał mu dojść do słowa.

– My i tak mamy zaraz spotkanie z Zagajewskim, które zajmie nie wiadomo ile. Szkoda, żeby reszta chłopaków nic wtedy nie robiła.

– Skoro tak uważasz.

Mortka wstał z krzesła. Zatrzymał się w pół kroku, kiedy zobaczył, że ani Lupa, ani Zajda się nie poruszyli.

– Coś jeszcze? – zapytał. Niepotrzebnie, bo znał odpowiedź.

– Chodzi o śmierć Lucasa Siwaka – rozpoczął ostrożnie Zajda.

– Nic nie zmienię w raporcie.

– Posłuchaj, Kuba. Niedawno sam miałeś dyscyplinarkę. Wiesz, jaka to nieprzyjemna procedura, nawet w wypadku, kiedy ktoś jest zupełnie niewinny, tak jak ty. Dlaczego chcesz... – Komendant przerwał, bo zadzwonił jego telefon. Wyciągnął aparat z kieszeni i odebrał. – My też już idziemy – rzucił do słuchawki i ją odłożył. – Zagajewski przyjechał – oznajmił, wstając od biurka i zgarniając leżące na nim dokumenty do papierowej teczki. Sprawdził, czy jest w niej wszystko, co powinno być, zamknął, zawiązując szybki węzeł, i wsadził ją sobie pod pachę. – Jeszcze wrócimy do tej rozmowy, Kuba – rzucił chłodno, gdy wychodził. Lupa poszedł za nim. Wyglądał jak pies, który wie, że zaraz zostanie ukarany.

Najpierw pojechał do Renaty. Pewnie nie będzie chciała z nim rozmawiać, ale musiał jej zadać jedno pytanie. Im dłużej nad nim myślał, tym ważniejsze mu się wydawało. Zwłaszcza po wczorajszym dniu.

Zaparkował tam, gdzie poprzednio. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że pies, który podczas ostatniej jego wizyty wylegiwał się na asfalcie, ciągle leży w tym samym miejscu.

Otworzyła mu matka dziewczyny. Miała na sobie szlafrok, który zarzuciła na spraną, flanelową koszulę nocną. Dobry strój na poranek, ale kobieta wyglądała na taką, która chodzi tak ubrana cały dzień.

– To pan – powiedziała zadowolona, kiedy jego twarz pojawiła się w szparze uchylonych drzwi. Mortka zastanawiał się, czy spodziewała się wizyty kogoś innego. Trudno było w to uwierzyć, biorąc pod uwagę jej niechlujny wygląd.

– Tak. Chciałem porozmawiać z Renatą.

– Wyjechała. Do Leeds.

Wróciła do Anglii. Spóźnił się. Musiał wyglądać na zmartwionego, bo w twarzy kobiety zobaczył współczucie.

– Cieszę się, że jest w tym Leeds. Wie pan, przez tego mordercę. Właściwie to ja też się zastanawiałam, czy gdzieś nie wyjechać, dopóki go nie złapiecie, ale nie mam gdzie – powiedziała. – Chce pan numer Renaty?

– Nie, dziękuję.

Odpowiedzi, które chciał uzyskać od dziewczyny, mógł wydobyc, tylko stojąc tuż przed nią i patrząc jej prosto w oczy. Rozmowa telefoniczna skończyłaby się na tym, że rzuciłaby słuchawką po pięciu sekundach.

– To dobra dziewczyna jest – powiedziała kobieta. Uśmiechnęła się lekko.

– Wiem.

– To widać, prawda?

– Oczywiście.

Spojrzał prosto w oczy matki Renaty.

– Mogłaby mi pani dać numer do jakiejś jej bliskiej koleżanki?

Dostał to, o co prosił. Wychodząc, już rozmawiał z niejaką Zosią. Przedstawił się i zadał dwa krótkie pytania. Niedokładnie te same, które chciał zadać Renacie, ale odpowiedzi i tak zbliżyły go do celu.

Piętnaście minut później był Pod Klonami. Stał przy recepcji i pukał przez kilkadziesiąt długich sekund w biał, zanim wreszcie z kanciapy wyłonił się portier.

– Jestem już, jestem – mówił mężczyzna, wchodząc za ladę. – Słucham, w czym mogę pomóc szanownemu panu?

Mortka wyjął portfel i pokazał legitymację policyjną. Portier zbłądł i otworzył szeroko przestraszone oczy.

– Coś się stało?

– Tak. Ale na razie nie mogę zdradzać szczegółów. Szukam niejakiej Olgi. Zna ją pan?

– Tak. A o co chodzi?

– Który pokój zajmowała?

– Sto dwadzieścia dziewięć.

– W takim razie przyszedłem, żeby dokonać przeszukania pokoju numer sto dwadzieścia dziewięć. Zgodnie z artykułem 220, ustęp 3 Kodeksu postępowania karnego ma pan obowiązek umożliwić mi dokonanie tej czynności. Ma pan prawo zgłosić żądanie potwierdzenia przeszukania przez prokuraturę lub sąd i takie potwierdzenie zostanie panu dostarczone w ciągu siedmiu dni od daty dokonania czynności – wyrecytował Mortka.

– To zgłaszam w takim razie.

– Dobrze. Przyjąłem. Teraz proszę o klucz.

Portier rozejrział się niepewnie, szukając wzrokiem kogoś, kto mógłby go wspomóc w podjęciu decyzji.

– Wie pan co, panie...

– Komisarz Jakub Mortka.

– Panie komisarzu. Ja tak sam nie mogę, chociaż jakby to ode mnie zależało, tobym pana wpuścił. Ale jak to zrobię, to dostanę straszny ochrzan. Pójdę po kierownika, dobrze?

– Tak. Proszę go przyprowadzić pod pokój. Będę tam czekał.

– Olga... – powiedział cicho mężczyzna na odchodnym. – To ją znaleźliście wczoraj w parku, prawda?

– Tak. – Mortka nie widział sensu, żeby ukrywać przed nim tę informację. Portier skrzywił się, jakby dostał cios prosto w spłot słoneczny.

– Szkoda jej. Była bardzo sympatyczna. Zawsze się zatrzymała, porozmawiała. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Miałem przecucie, że będą z nią kłopoty – mruknął. – Pan poczeka, idę po kierownika.

Wyszedł zza lady i skierował się w stronę części administracyjnej ośrodka. Mortka ruszył na schody.

– Aha! – Zatrzymał go głos portiera. – Jakaś pani pytała już dzisiaj o Olgę. Poszła nawet na górę. Nie wiem, czy wyszła.

– Jaka pani?

– Nie znam.

– Była sama?

– Sama, sama.

Mortka dał dłonią znak, że zrozumiał, i wszedł na piętro. Odnalazł drzwi do pokoju sto dwadzieścia dziewięć. Sprzątaczką musiała niedawno odkurzać zielony, stary chodnik na korytarzu, bo w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach, jaki pozostawia po sobie rozgrzany, pracujący odkurzacz. Zastanawiał się, czy sprzątała również w pokoju. Mogła w ten sposób zniszczyć wiele śladów. Ale starłaby zapewne też jego odciski palców. I dobrze.

Komisarz założył gumowe rękawiczki i nacisnął klamkę. Chciał tylko sprawdzić, czy drzwi są zamknięte. Nie były. Otworzyły się z cichym skrzypieniem. Wszedł do pokoju. Wnętrze wyglądało tak, jakby przeszło przez nie tornado. Na podłodze walały się butelki po winie i ubrania wyrzucone z szafy, a pościel była rozpruta, tak że wychodziło z niej poliestrowe wypełnienie kołdry.

Na łóżku siedziała kobieta. Poderwała się na widok Mortki. Była niska, mierzyła najwyżej metr pięćdziesiąt. Krótko ostrzyżone miedziane włosy lśniły rozjaśnione fałszywym blaskiem farby fryzjerskiej. Miała na sobie skórzaną kurtkę, a obok jej stóp leżała duża torebka. Wsadziła dłoń do kieszeni i zacisnęła ją na czymś. Kastet? Paralizator? Gaz pieprzowy? Mortka nie potrafił rozpoznać po kształcie.

– Nie wiem, kim jesteście, ale wiedz, że potrafię się obronić – powiedziała z wojowniczą miną – a na pewno bardzo, ale to bardzo głośno krzyczęć.

Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, komisarz wyciągnął przed siebie dłonie, pokazując, że nie ma złych zamiarów.

– Nazywam się Jakub Mortka. Jestem komisarzem policji.

Kobieta jakby lekko się rozluźniła, ale mimo wszystko pozostała podejrzliwa.

– A legitymacja?

Powoli sięgnął do kieszeni i wyciągnął odznakę. Kobieta podeszła, żeby się jej przyjrzeć. Napięcie widoczne w jej ruchach wskazywało, że jest gotowa walczyć lub uciekać, jeśli będzie taka konieczność.

– Komenda Stołeczna? – zapytała z niedowierzaniem. – Daleko pana zawiąło z Warszawy, panie komisarzu.

Już miał po raz dziesiąty lub setny wypowiedzieć wyuczoną na pamięć regułkę o programie „Most”, ale poczuł, że nie ma siły.

– Takie rozkazy – stwierdził po prostu. Na szczęście kobiecie to wystarczyło. Wyjęła dłoń z kieszeni i odetchnęła głęboko. Potem uśmiechnęła się do policjanta.

– Przestraszył mnie pan, komisarzu – powiedziała.

Wyglądała na mniej więcej pięćdziesiąt lat, ale to dlatego, że była niemal nieumalowana. Postarzała ją też chłopięca fryzura, która nie pasowała do okrągłej twarzy i ostrych, świadczących o zdeterminowaniu i energicznym charakterze rysów. Z ozdób nosiła tylko złoty łańcuszek na szyi. Medalik schowała pod bluzkę i Mortka nie wiedział, czy był to zwykły krzyżyk, czy portret Matki Boskiej.

– Pan już w środku! – odezwał się ktoś za nim. W drzwiach pokoju stał portier z jeszcze jednym mężczyzną.

Portier wskazał na kobietę.

– To ta pani, o której panu wspominałem, panie komisarzu.

– Niech pani tutaj zostanie – rozkazał Mortka i podszedł do kierownika. Szybko przekazał mu informację o śmierci Olgi, jego gościa, powiadomił o przeszukaniu, powołując się na odpowiednie paragrafy, i poprosił o udzielenie wszelkiej pomocy. Kierownik, wysoki, tęgi mężczyzna w niebieskiej koszuli z krótkimi rękawami, oczywiście na wszystko się zgodził. Obiecał, że udzieli odpowiedzi na każde pytanie. Mortka na początek polecił mu przygotowanie wypisu z książki gości i wrócił do kobiety.

– A więc nie żyje... – powiedziała Aneta, kiedy znalazł się znowu w pokoju.

Nic nie powiedział.

– Olga nie żyje – powtórzyła kobieta.

– A kim pani właściwie jest? Nie pamiętam, żeby się pani przedstawiała.

– Aneta Bielik. Mam pokazać dokumenty?

– Oczywiście.

Podawała mu dowód osobisty. Dane się zgadzały. Mieszkała w Warszawie, miała czterdzieści cztery lata.

– Cześć! Mam do ciebie pytanie...

Mortka poderwał głowę. W czasie, kiedy spisywał dane Anety Bielik, kobieta wyciągnęła komórkę i do kogoś zadzwoniła.

– Nie powinna pani...

Uciszyła go ruchem ręki i wsadziła sobie palec do ucha, zupełnie ignorując jego protesty.

– Znasz Jakuba Mortkę? Tak, komisarza... Nie, nie mam z nim problemu... I nie, nie musisz z nim porozmawiać, chodzi mi raczej o... tak... dziękuję... – Rozłączyła się i wrzuciła telefon do torby. – Gruda mówi, że jest pan w porządku. Upierdliwy, ale w porządku.

Komisarz Gruda był kolegą Mortki z Komendy Stołecznej. Nie przepadali za sobą. Ostatnio doszło między nimi do poważnego konfliktu w związku ze sprawą ursynowskiego podpalacza. Mortkę zaskoczyła trochę dobra ocena, którą wystawił mu teraz kolega.

– Zna pani Grudę?

– Od lat – powiedziała takim tonem, jakby to było coś oczywistego. – Z panem za to nie miałam okazji współpracować, więc chciałam się dowiedzieć, co z pana za człowiek.

– Kim pani jest, do diabła?

– Aneta Bielik, wiceprezes fundacji Biały Płatek.

– Jak się pani tu dostała?

– Przez drzwi. Tak jak pan. Były otwarte.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem i irytacją. Była bezczelna. Tak wobec policjantów zachowywali się zazwyczaj tylko przestępcy albo ludzie, którzy z organami ścigania mieli bardzo dużo do czynienia.

– Przyszedł pan tutaj przeprowadzić przeszukanie, ale widzę, że ma pan ochotę zadać mi dużo pytań. Przeszukanie może poczekać, a tymczasem zejdźmy na dół coś zjeść. Jestem okropnie głodna.

Popatrzyła na niego wyczekująco. Zgodził się.

Hotelowa stołówka mieściła się w przybudowie o szklanych ścianach. Panoramę Karkonoszy przysłaśniały tylko rozłożyste palmy w potężnych donicach i położone jedne na drugich stoły, które ustawiono tak, żeby się niepotrzebnie nie kurzyły. Byli jedynymi gośćmi. Specjalnie dla nich kucharka rozłożyła świeży biały obrus i talerze.

Aneta zdjęła kurtkę i powiesiła ją na jednym z krzeseł.

– Paralizator czy gaz? – zapytał Mortka.

Kobieta uśmiechnęła się słabo, ale jej spojrzenie pozostało smutne i zmęczone.

– Gaz. Ale nie wiem, czy działa. Mam go od kilku lat. Nigdy nie musiałam używać. Na szczęście.

Usiadła naprzeciwko komisarza. Kucharka przyniosła im po kubku z kawą i dwie kanapki z szynką oraz jajecznicę dla Anety. Kobieta natychmiast chwyciła za widelec. Jadła szybko, łapczywie, nie tyle z głodu, ile z przyzwyczajenia, jak człowiek, który na wszystko ma za mało czasu.

– Nie zrobiło to na pani wrażenia – stwierdził Mortka, kiedy skończyła jeść.

– Co takiego?

– Śmierć Olgi. Wiadomość o tym, że została zamordowana.

Obserwował wahanie malujące się na jej twarzy, kiedy zastanawiała się, czy ma po prostu wstać i wyjść, czy wykrzyzczyć swój gniew. Ku jego zaskoczeniu zdecydowała się na coś zupełnie innego.

– Ma pan rację – przyznała z lekką skrucną w głosie. – Chyba dlatego, że od dawna się spodziewałam, że coś się jej w końcu stanie.

– Dlaczego?

– Wie pan, jak byłam mała, znalazłam na ulicy kotka. Przyplątał mi się pod nogi, kiedy się bawiłam na podwórku. Przygarnełam go i wyrósł z niego piękny, dorodny, silny kocur. Nie wykastrowaliśmy go i to był błąd, bo kiedy tylko chciał, uciekał z domu. Wszyscy pilnowali, żeby drzwi i okna były zawsze zamknięte, ale ten spryciarz zawsze potrafił się wymknąć. Nie wiadomo nawet kiedy. Koniec końców zawsze wracał. Podrapany, poobijany, zakrwawiony, jakby przez te wszystkie dni nie robił nic innego, tylko walczył. A zachowywał się, skubany, jak gdyby nigdy nic. Kurował się u nas, a potem po tygodniu lub dwóch, hyc, i znowu go nie było. A pewnego dnia wyszedł i już nigdy do nas nie wrócił. Nie wiem, co się z nim stało. Lubię myśleć, że znalazł sobie jakąś dziką kotkę i razem z nią dorobił się stadka kotciąt, ale pewnie potracił go samochód. – Przerwała na moment, żeby wziąć łyk kawy, i zastygła z kub-

kiem w dłoni. – Olga przypominała mi tego kota – podjęła opowieść. – Pojawiała się u nas w fundacji tylko po to, żeby nabrać sił, porozmawiać, pośmiać się, a potem znikala, nikomu nic nie mówiąc. To się musiało źle skończyć.

– Pracowała u was? – zapytał zdziwiony.

– Nie. Pomagała. Jako wolontariuszka. Nie wiem, z czego żyła.

– Była dziennikarką.

– Dziennikarką? – Tym razem to Aneta Bielik wyglądała na zaskoczoną. – Nie. Na pewno nie.

– Więc jak zarabiała?

– Tak jak panu powiedziałam, nie wiem.

Popatrzyli sobie prosto w oczy. Wydawała się mówić prawdę.

– Czym się właściwie zajmuje pani fundacja?

– Pomagamy kobietom, które padły ofiarą handlu ludźmi. Głównie kobietom, choć czasem zdarzają się też mężczyźni. Prowadzimy również akcje edukacyjne i centrum informacyjne na ten temat.

Handel ludźmi. Tajemnicza Ukrainka. Serce zaczęło mu bić szybciej. Zaczął rozumieć.

– Co Olga tutaj robiła?

– Olga – zaczęła ostrożnie – miała w życiu pewną obsesję. Wierzyła, że gdzieś w Polsce istnieje pewne miejsce, które sama nazywała „farmą”. W tym miejscu przetrzymuje się kobiety. Są bite, głodzone, gwałcone, czasami podaje się im narkotyki. Robi się wszystko, żeby je złamać, zanim pojadą w dalszą drogę: do niemieckich i innych zachodnich burdeli. Chciała odnaleźć to miejsce.

– Zwróciła się do was o pomoc?

– Tak.

– Pomogliście jej?

– Nie. Właściwie nie. Ale wysłuchaliśmy jej i wysłuchiwalismy za każdym razem, kiedy wracała z jednej ze swoich wypraw.

– Dlaczego?

– Proszę sobie wyobrazić, panie komisarzu, że ktoś do pana przychodzi i mówi, że popełniono morderstwo, a sprawca ukrył ciało. A gdzie? Gdzieś w Polsce. Kto zabił? Nie wiadomo. Kogo zabił? Człowieka. Co by pan zrobił w takiej sytuacji?

Wzruszył ramionami. Kucharka znowu pojawiła się przy ich stoliku i zabrała pusty talerz Anety. Przed odejściem zajrzała do wnętrza kubków, ale ciągle była w nich kawa.

– Dolać? – zaproponowała.

Podziękowali.

– Kim była Olga?

– Ukrainką polskiego pochodzenia. Z jednej ze wsi w okolicach Lwowa.

– Skąd wiedziała o tej... farmie? – Ostatnie słowo z trudem przeszło mu przez gardło.

– Znał ją pan? – zapytała, zamiast odpowiedzieć.

– Tak. Ale to nie była bliska znajomość.

Zmarszczyła brwi, jakby się zastanawiała, co wobec tego może mu właściwie powiedzieć.

– Skąd wiedziała? – powtórzył pytanie.

– Z tego, co mi opowiedziała, jej matka zachorowała. Na raka. Żeby zdobyć pieniądze na leczenie, Olga postanowiła wyjechać do pracy za granicę. Jeden z chłopaków z jej okolicy już wcześniej wyemigrował do Niemiec. Wracał co pewien czas, w dobrym samochodzie, świetnie ubrany. Fura, skóra i komórka, sam pan rozumie. Rozповідаł, że może pomóc znaleźć pracę dziewczynom: jako sprzątaczkę, opiekunki do osób starszych, dzieci. Olga mówiła, że gdyby to był obcy, to nigdy to wszystko by się nie wydarzyło. Ale to był jej kolega. Znała go niemal od małego. Zaufała mu. Po przejechaniu granicy

z Polską zabrał jej paszport i oddał ją grupie mężczyzn. Obezwładnili ją, wsadzili worek na głowę, wpakowali do wana i wywieźli. Zobaczyła jeszcze, jak jej znajomy przelicza pieniądze, a potem wsiada do swojego nowego samochodu. I tak trafiła na farmę.

Mortka siedział jak skamieniały. Poczuł się, jakby jakaś straszna, zimna dłoń ścisnęła mu wnętrzności.

– Uwolniono ją po akcji niemieckiej policji. Nie wiem, jakie były jej dokładne losy, ale pojawiła się u nas trochę ponad pół roku temu. Opowiedziała mi to, co ja teraz opowiedziałam panu.

Wzięła łyk kawy i odłożyła pusty już niemalże kubek na bok. Nie spuszczała oczu z Mortki, który wciąż nie potrafił wykrztusić z siebie słowa.

– Nie powiedziała panu, że była prostytutką, prawda?

– Nie.

– Tego, że chorowała na AIDS, również nie?

Wyraz jego twarzy powiedział jej wszystko.

– Powinien się pan przebadać, panie komisarzy.

Wyszedł, chwytając się i zataczając, jakby był pijany. Przeszedł przez parking prosto do parku i oparł się ramieniem o najbliższe drzewo. Chciało mu się wymiotować i wyc z wściekłości równocześnie. Jej skóra, piersi, zapach, włosy, wilgoć jej pochwy, kiedy w nią wchodził. Wspomnienia tamtej nocy powracały do niego falami. Tym razem jednak nie były przyjemne. Przypominały ciosy, które trafiały prosto w jego brzuch, nerki, kręgosłup, miażdżyły mózg i wnętrzności.

„Nie mam prezerwatywy” – powiedział.

„Nie potrzebujesz” – odparła.

Dlaczego to zrobiła? Co on jej zrobił? Przecież wiedziała. Do cholery jasnej! Przecież wiedziała!

Próbował nie dać się panice. Z każdym oddechem miał przed oczami obrazy płynącej w jego żyłach i tętnicach krwi, w której zagnieździł się jak pasożyt śmiercionośny wirus.

Dzwonek telefonu. Wyciągnął go z kieszeni, nawet nie patrząc na wyświetlacz.

– Tak...

– Kuba, tutaj Kaśka. – Rozpoznał głos romskiej nauczycielki. – Jest u mnie ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać. O wczoraj.

Poczuł, że twarz wykrzywia mu okropny, groteskowy uśmiech.

– Ta sama osoba co ostatnio?

– Tak.

– To powiedz jej, że my, psy, też mamy swój honor. Swój romanipen. I według niego rozmowa z Cyganem sprawia, że jesteśmy nieczyści, że śmierdzimy. Rozumiesz?

– Kuba?

– Powiedz mu, żeby się pierdolił!

Rozłączył się.

Aneta Bielik pojawiła się obok niego mniej więcej po kwadransie. Siedział na trawie, a wiosenne słońce grzało go leniwie. Podniósł zwieszoną do tej pory głowę. Usiadła obok na rozłożonej kurtce.

– Zapłaciłam za pańską kawę.

– Dziękuję.

– Pali pan?

– Nie.

– Ja też nie. A szkoda. Papieros by panu pomógł.

Nie był tego taki pewien. Teraz każdy ruch i każdy oddech przyprawiały go o dreszcze.

– Jak się pan czuje?

– A jak pani myśli?

– Nie najlepiej.

Prychnął.

– Dobrze powiedziane. Nie najlepiej.

– Nie wiem... Nie wiem, co się między wami wydarzyło, ale musi pan wiedzieć, że ryzyko zakażenia wirusem HIV jest zawsze większe u kobiety niż u mężczyzny.

– A ile wynosi?

– To zależy. Od wielu rzeczy. Ale dla mężczyzny to może być nawet dużo mniej niż jeden procent.

– Ale ryzyko pozostaje.

– Tak.

Pociągnął nosem. Mniej niż jeden procent. Brzmiałoby dobrze, gdyby to nie chodziło o HIV. Gdyby nie chodziło o niego.

– Dlaczego to zrobiła? Dlaczego nic mi nie powiedziała? Czy to był jakiś rodzaj zemsty? Przecież jej nie skrzywdziłem. Nie ja ją trzymałem na tej farmie, nie ja ją więziłem w niemieckim burdelu!

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie wiem, dlaczego to zrobiła.

Mortka wstał z ziemi i otrzepał tył spodni. Wziął głęboki oddech. Mniej niż jeden procent, pomyślał, tego się musiał trzymać. Mniej niż jeden. Chociaż teraz to tak naprawdę nie miało żadnego znaczenia. Ważne było tylko jedno – czy tak, czy nie.

– Poradzi pan sobie?

– Tak. Chyba tak.

Aneta wciąż siedziała na trawie. Spoglądała na niego opiekuńczo, jakby naprawdę się bała, że coś sobie zrobi.

– Muszę zadzwonić do lekarza, który będzie przeprowadzał sekcję – powiedział. – Ostrzec go. Proszę nie wyjeżdżać jeszcze z miasta, dobrze? Ja albo któryś z moich kolegów będziemy chcieli z panią porozmawiać.

– Dobrze. Chociaż...

– Tak?

– Nie – machnęła ręką. – Potem porozmawiamy.

Pożegnał się i powoli poszedł do samochodu. Wsiadł do środka. Przez długi czas siedział po prostu bez ruchu, wpatrzony w popękaną drogę i kwadratową bryłę Pod Klonami. Potem wyciągnął z kieszeni komórkę. Nadszedł czas, żeby zadzwonić w parę miejsc.

Lupa siedział na ławce w parku, niedaleko miejsca, gdzie poprzedniej nocy znaleziono ciało Olgi. Powoli i zawzięcie żuł gumę, jakby chciał ją, a przy okazji własne zęby, zmiażdżyć. Był blady, głowa co chwila sama mu opadała i podnosił ją z gniewnym mruknięciem. Trzymał się na nogach tylko dzięki absurdalnej sile woli. Mortka nie mógł nie odczuwać podziwu i sympatii dla kolegi. Prowadził już trudne śledztwa, wiedział, z jakim obciążeniem psychicznym i fizycznym się to wiąże. On sam na miejscu Lupy pewnie by już padł nieprzytomny, zwinął się w kłębek na tylnym siedzeniu samochodu lub w jakimkolwiek innym miejscu, które nadawałoby się do spania.

Mortka podszedł do komisarza i podał mu puszkę z napojem energetyzującym. Lupa podniósł ją do oczu i zmrugał powieki.

– Level – odczytał powoli. – Nie znam.

– Żabkowy.

– Aha. Dzięki.

Otworzył puszkę i upił łyk.

– I jak po spotkaniu z Zagajewskim? – zapytał Mortka.

– Kurwa... Jak by ci to wszystko opowiedzieć, najlepiej obrazowo. Wyobraź sobie dwa wściekłe tygrysy zamknięte razem w ciasnej klatce. Tylko że oba te tygrysy to pieprzeni karierowicze, którzy zamiast kłów i pazurów mają pisma, paragrafy i znajomości.

– Nie brzmi to za dobrze.

– Czy ja wiem? Jak dla mnie to kupa śmiechu. Zagajewski jest wściekły na Zajdę, bo widzi, że sobie nie radzimy, i nawet jak osiągamy jakiś sukces, to się okazuje, że to wszystko jest pisane palcem po dzie.

– Nie uwierzył w teorię dwóch sprawców?

– Nie. Ale najwyraźniej nie może odebrać nam jeszcze dochodzenia. Przynajmniej dopóki nie dostanie pozwolenia z góry, od kumpli Zajdy. Komendant też jest wkurwiony, bo naopowiadał kolegom głupot i teraz traci twarz. A Zagajewski, zamiast łykać każde kłamstwo i bzdurę, które Zajda mu serwuje, ma czelność się sprzeciwiać, zadawać pytania, mieć swoje zdanie. Słowem, odwalać robotę, którą ma odwalać.

W głosie Lupy można było usłyszeć sympatię dla Zagajewskiego. Na Mortce zresztą prokurator też zrobił całkiem niezłe wrażenie. A sytuacja, w której się znalazł, nie należała do godnych pozazdrosczenia.

– Zagajewski ma dodatkowo przejebane – kontynuował Lupa. – Z tego, co się zorientowałem, sprawa zrobiła się dość prestiżowa także dla prokuratury. Paru pacanów ostrzy sobie pazurki, żeby ją przejąć. Ale nie zrobią tego, dopóki będziemy w takiej dupie, w jakiej właśnie jesteśmy. Ale kiedy tylko pojawi się światełko w tunelu...

– Wysadzą go z siodła?

– Tak jest. I zamiast sukcesu przyłgnie do niego łatka faceta, który zawałił jedno z najważniejszych śledztw w regionie. Bo gdyby nie pan X czy Y, który przejął sprawę... Resztę znasz.

– Tak.

– Czyli dalej ciągniemy ten wóz, ale i nad nami, i nad Zagajewskim zbierają się czarne chmury. Czuję, że to się źle skończy.

Lupa skończył pić i zgniótł puszkę. Poszukał wzrokiem śmietnika, ale najbliższy znajdował się dwie ławeczki od nich. Wyrzucił śmieć za siebie, prosto na trawnik.

Przeszli przez cały park. W pewnym momencie ściana zieleni skończyła się, a oni znaleźli się na zwirowej, pełnej dziur i wertepów drodze. Po jej drugiej stronie ciągnęły się pola nieużytków, na których pasły się dwie brązowe krowy. Uwiązano je do wbitego w ziemię kołka. Mortka słyszał brzęczenie łańcuchów, kiedy stapały, szukając lepszej trawy. Do najbliższych domów było blisko dwieście metrów.

– Droga jest sucha, raczej twarda – powiedział Lupa. – Nie znaleźliśmy żadnych śladów opon.

– Dokąd prowadzi? – zapytał Mortka.

– Donikąd. Okrąża park. Kiedyś korzystali z niej rolnicy, ale sam teraz widzisz, jak to wygląda. Zamiast stad bydła, jak dawniej, dwie smutne krowy.

– Przesłuchaliście okolicznych mieszkańców? Może któryś z nich widział wjeżdżający tu samochód?

– Rudziak się tym zajmuje. Ale nie spodziewałbym się rewelacji.

Lupa zapewne miał rację. Droga była nieoświetlona, na odludziu. Jeśli zabójca jechał nią z wyłączonymi światłami, nie było szans, żeby go zobaczyć. Ale nie mogli niczego zaniedbać. Sprawa zrobiła się głośna i Mortka wiedział, że będą rozliczani z każdego najdrobniejszego błędu i niedociągnięcia.

– A jak było w Pod Klonami?

Komisarz zagryzł wargę. A potem opowiedział wszystko, czego się dowiedział, pomijając tylko fakt, że spał z Olgą. Lupa wysłuchał go uważnie, a jego twarz z chwili na chwilę coraz bardziej tężała i szarzała równocześnie. Przypominał dzieciaka, który spodziewał się, że na święta dostanie kolejny sweter, i właśnie wyciągnął go spod choinki. Żadnego zdziwienia, tylko smutna rezygnacja, bo najgorszy scenariusz po raz kolejny stał się faktem.

– A więc o to chodziło – wyszeptał Lupa.

– Co takiego?

– Jakiś czas temu zaproszono mnie na rozmowę we wrocławskim CBS. Dzwonił kumpel, z którym pracowałem, kiedy byłem przykrywkowcem. Facet już wtedy dowodził operacjami. Po moim odejściu poszedł jeszcze wyżej.

– I...

– Rozmawialiśmy o pracy. Mojej pracy. Dużo. O sytuacji w regionie. Jak to postrzegam. W sumie to była taka bardzo okrągła rozmowa. Wiesz, taka, w której nic się nie mówi wprost. Ale jednak przekaz był jasny. Coś się u nas dzieje i CBS się tym zainteresowało.

Mortka kiwnął głową. Słuchał Lupy, a równocześnie próbował odtworzyć działania zabójcy. Poszli w stronę kępy krzaków, gdzie ukryto ciało Olgi. Dziewczyna ważyła około pięćdziesięciu kilogramów. Nie dostrzegł żadnych śladów ciągnięcia włók po ziemi, co oznaczało, że albo sprawca był bardzo silny, albo było ich dwóch.

– Najgorsze okazało się jednak to, o co nie zapytali.

– To znaczy?

– Sam wiesz... Kiedy się siedzi trochę w tej robocie, rozumiesz, że równie ważne jak słowa, które padły, są te, które nie zostały wypowiedziane. Szczególnie, jeśli krążysz wokół jakiegoś tematu, ale go nie poruszasz. Chodzi o sposób prowadzenia rozmowy, sugestie, rzucane tu i tam haczyki. I to wszystko, co z tego wynika.

– Do czego zmierzasz?

– Wydaje mi się, że chcieli mi zaproponować pracę pod przykrywką.

Mortka zamrugnął dwa razy i potrząsnął głową.

– To bez sensu – powiedział. – Przecież wszyscy tutaj wiedzą, że jesteś policjantem. Jakąkolwiek historię stworzą, nikt się nie nabierze.

– Właśnie.

Mortka przystanął. Zrozumiał.

- Skoro tak, to wcale nie miałeś inwigilować półświatka. Celem była policja. Podejrzewają, że ktoś od nas w tym siedzi, prawda?
- Tak – przyznał po chwili wahania Lupa. – Niekoniecznie ktoś z Krotowic. Może z Karpacza, Szklarskiej, Jeleniej. Chodziło im chyba o to, żeby rozejrzeć się w środowisku, popytać tu i tam. Zorientować się, kto może siedzieć w kieszeni drugiej strony.
- Kto to może być?
- Nie wiem. Ale raczej nie zwykły krawężnik. Ktoś wyżej.
- Co im odpowiedziałeś?
- Dałem do zrozumienia, że się nie nadaję. I, kurwa, to prawda, Kuba. Po prostu się nie nadaję. Ostatnia operacja o mało co mnie nie wykończyła i niemal kosztowała małżeństwo. Nie, nigdy więcej.
- Mortka widział już ścieżkę, którą wykorzystał zabójca, niosąc ciało. Kroczył nią powoli, stopa za stopą, wypatrując śladów i myśląc.
- Dlaczego nic nie powiedziałaś?
- Proszono mnie o poufność. Normalka. A kiedy znaleźliśmy ciała, nawet przez głowę mi nie przeszło, że te dwie sprawy może coś łączyć. Stawiałem, że CBS ma na celowniku złodziei samochodów albo gości, którzy sprowadzają trawę z Czech.
- W prześwicie pomiędzy bujnymi krzewami Mortka dostrzegał polankę, gdzie jeszcze niedawno leżało ciało Olgi. Teraz jedynym śladem po niej był kwadrat z policyjnej taśmy. Komisarz myślał o tym, co właśnie usłyszał. CBS podejrzewało o zdradę jednego z tutejszych policjantów. To musiał być ktoś, kto miał dostęp do informacji na temat prowadzonych w terenie działań. A może nawet dość władzy, żeby ochraniać grupę w razie wpadki.
- Zajda – szepnął.
- Co takiego powiedziałeś?
- Lupa nachylił się w stronę Mortki, a na jego twarzy malowała się nerwowa konsternacja.
- Zajda – powtórzył komisarz głośno i wyraźnie.
- Jezu... „Księżcuniu”? – jęknął Lupa i pokręcił głowę z niedowierzaniem. – Ale teraz to ma sens, prawda?
- A z jakiego innego powodu miałoby mu zależeć na tym, żeby zatrzymać tutaj śledztwo? Przecież wiedział, że nie damy sobie rady sami. Za mało ludzi, doświadczenia, nawet ze mną i tobą w zespole. Od początku trzeba było prosić o pomoc Jelenią lub Wrocław. Nie zrobił tego.
- Lupa wypuścił z sykiem powietrze z płuc i ze złością kopnął leżący niedaleko kamień, który poleciał łagodnym łukiem i upadł w gęstą trawę.
- I co teraz? – zapytał.
- Zawiadomisz swoich kumpli z CBS?
- Tak, ale wątpię, żeby to cokolwiek dało.
- Dlaczego?
- Bo oni już wiedzą o tych morderstwach. Trąbi o nas prasa i telewizja. Jeśli do tej pory nie interweniowali, to muszą mieć powód. Prowadzą jakąś grę operacyjną, coś planują.
- To co powinniśmy zrobić? Odpuścić sobie? Udawać, że nic się nie dzieje, i czekać z założonymi rękami, aż Biuro ruszy wreszcie swoje szacowne tyłki?!
- A skąd ja mam wiedzieć?! Już tam, kurwa, nie siedzę!
- Mortka prychnął. Ścieżką pomiędzy krzakami przedostał się na polanę. Wypatrywał na drobnych, ale silnych i kłujących gałązkach śladów krwi po zadrapaniach, strzępków materiału lub nici. Nic nie znalazł.
- Jeden czy dwóch? – zapytał przez ramię.

– Dwóch – odpowiedział po chwili zastanowienia Lupa. – A jeśli jeden, to jest z niego prawdziwy bydlak. Pieprzony Pudzian.

– Macie tu kogoś takiego?

– Paru by się znalazło. Można spróbować wziąć ich na celownik.

– Jak? To będzie musiało przejść przez Zajdę, a on, jeśli w tym siedzi, ostrzeże, kogo trzeba.

– Racja. Poza tym i tak brakuje nam już ludzi. Ten cały burdel... Brakuje mi słów.

– To co robimy?

– To, co do nas należy. Zadzwoń do kumpla z Biura. Może coś zdziałam. A potem... – Lupa zawałał się, próbując zebrać myśli. – Nie możemy nikomu o tym powiedzieć.

– Ani jechać z tym do Jeleniej. Zajda ma wszędzie znajomości. Kto wie, kogo w to wciągnął.

– Tak.

Mortka założył ręce za głowę i odchylił się w tył, wystawiając twarz do tych nielicznych promieni słońca, które przebijały się przez zielone korony drzew. Znalazł się w sytuacji, z której nie było dobrego wyjścia. Sami nie mogli wiele zdziałać. Siedzieć beczynn timer i czekać na Biuro nie potrafił. Już teraz słyszał, jak w jego wnętrzu ujada wielki, wściekły pies. Złapał trop. Nie może go zostawić, odejść po prostu na bok, liczyć na to, że zajmie się tym za niego ktoś inny.

– Poszukam tej farmy – powiedział. – Kiedy już ją znajdę, ściągnę chłopaków z Jeleniej czy Wrocławia. Wszystko jedno. Jeśli będę miał w ręku dowody, to Zajda nie da rady tego uwalić.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Wsiądziesz w samochód, będziesz jeździł po okolicznych wsiach i co dalej?

– Nie wiem. Ale nie mam lepszego pomysłu. A ty?

Lupa rozłożył ramiona.

– Pustka. Ale masz rację. Trzeba szukać. Pomyślę nad tym, dobra? Znam te tereny dużo lepiej niż ty. Siądziemy nad mapą, spróbujemy wytypować odpowiednie obiekty.

Mortka kiwnął głową. Propozycja Lupy brzmiała rozsądnie.

– Ale najpierw muszę się położyć. Złapać parę godzin snu, bo padam z nóg.

– Widzę. Dobra, tak zrób. Widzimy się o...

Lupa spojrział na zegarek. Dochodziła trzynasta.

– Może być siedemnasta?

– Tak.

Komisarz machnął dłonią Mortce na pożegnanie i ruszył, szurając nogami w stronę swojego samochodu.

– Lupa, jeszcze jedno!

– Co takiego?

– Dotykałeś wczoraj ciała? Miałeś styczność z jej krwią lub innymi płynami?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Bo chorowała na AIDS – odpowiedział powoli, z trudem wymawiając ostatnie słowo. Coś go znów chwyciło za żołądek. Miał nadzieję, że nie dał tego po sobie poznać.

– Dziennikarka? Serio? Naprawdę miała ten syf?

– Podobno tak.

– Kurwa... Piła piwo w USA z kufli. Czy w ten sposób można się zarazić? – zapytał Lupa.

– Nie wiem.

– Ja też nie. Szlag by to. Mam nadzieję, że porządnie tam myją naczynia. Zawiadomiłeś patologa?

– Tak.

– To dobrze. Oby miał na stanie wystarczającą liczbę gumowych rękawiczek – powiedział Lupa i nagle uśmiechnął się szeroko. – Kurczę, Olszewski będzie teraz jak prawdziwy saper. Jeden zły ruch i bęc... Powiem ci szczerze, Kuba, na jego miejscu srałbym w gacie ze strachu.

– Ja też – odparł przez ściśnięte gardło Mortka. – Ja też.

Spacerował po parku. Co pewien czas mijali go ludzie, którzy przychodzili tutaj, żeby popatrzeć na krzaki, w których odnaleziono Olgę. Co odważniejsi wchodzili w gestwinę, znikali w niej na chwilę, a potem wychodzili z głupimi uśmiechami na twarzy, machając do stojących dalej znajomych. Jakiś starszy pan zapalił znicz. Miejsce zbrodni zmieniło się w miasteczkową atrakcję. Mortka miał tylko nadzieję, że technicy zabezpieczyli wcześniej wszystkie ślady.

Myślał o Oldze i o wirusie HIV, który być może właśnie zaczynał swoją wędrówkę po jego organizmie, odwiedzając kolejne żyły i tętnice. Co jeśli zachoruje na AIDS? Wiedział, że AIDS nie zabija już tak szybko jak kiedyś. Były odpowiednie lekarstwa, które pozwalały żyć. Tylko co to było za życie? Raczej gnicie. Powolne, męczące, ponure, wypełnione przestraszonymi spojrzeniami znajomych i ludźmi, którzy dyskretnie by się od niego odsuwali, byle uniknąć najmniejszego dotyku.

A co z dziećmi, z Andrzejem i Michałem? Przecież Ola nie pozwoliłaby mu ich więcej pogłaskać, pocałować, a nawet zbliżyć się na tyle, żeby mógł poczuć ich oddech na swojej skórze. Jeśli już, to zezwolił tylko na to, żeby patrzył na nich z bezpiecznego dystansu. Najlepiej z innego kraju, przez internet.

Wyobrażał już sobie siebie samego, jak stoi za płotem szkolnego podwórka i obserwuje, jak na boisku jego synowie grają w piłkę. Są za daleko, więc nie widzi wyraźnie ich twarzy. Tylko sylwetki i powiewające na wietrze włosy.

Poczuł nagle przemożną ochotę, żeby do nich zadzwonić, usłyszeć ich głos. Ale nie wiedział, jaki właściwie numer miałby wybrać. Byli w szkole? W domu? A może ciągle u dziadków?

Spierdolił to – uświadomił sobie nagle i wyraźnie. Spierdolił. Przypomniał sobie swoje wszystkie spotkania z synami, to, że przyjechali tutaj do niego, na drugi kraniec Polski, a on poświęcił im najmnij czasu, jak to tylko było możliwe. Zrozumiał, że nie tylko nie potrafi dawać. Nie. Jego problem był dużo głębszy, dużo poważniejszy. On nawet nie potrafił brać tego, co ofiarowują mu inni.

Tak wyglądało jego życie. Jego małżeństwo. Jego ojcostwo.

Był zwykłym elementem krajobrazu, do którego można się przywiązać, ale którego nie można pokochać.

Wyszedł z parku i wszedł do samochodu. Musiał zacząć myśleć o czymś innym, zając się czymkolwiek, zanim zwariuje od tych myśli. Ale nawet kiedy rozmawiał z Lupą, wciąż miał w głowie tylko to słowo: AIDS.

Samotne umieranie.

Nie, należało się skupić na pracy. Przestać się zamartwiać tym, na co i tak nie miał wpływu. Powinien zrobić test i czekać na wyniki. I tyle.

Aż tyle.

Wrócić do śledztwa. Do czterech zamordowanych bestialsko kobiet, pięciu, licząc z przeklętą Olgą, do poszukiwań farmy, jeśli ona naprawdę istnieje. Do Cygana... Cygan... Marta mówiła, że widziała w kopalni Cygana. Czy to był Lucas? A jeśli nie on, to kto? I co tam robił, do kurwy nędzy?!

Uruchomił silnik i ruszył. Chciał jeszcze raz porozmawiać z dziewczynką.

Joanna Gawryś otworzyła drzwi i zmierzyła go ponuro wzrokiem od stóp do głów. Oceniała, czy powinna wpuścić policjanta, czy nie. Miała na sobie zielone obcisłe spodnie i szary luźny podkoszulek, pod który nie założyła stanika. Przez lewe ramię przewiesiła sobie kuchenną ścierekę o nadpalonych brzegach.

– Pan komisarz – powiedziała, jakby dopiero teraz go rozpoznała. – Z Warszawy.

- Mogę wejść?
- Jeśli pan musi.

Zrobiła mu miejsce w progu. Spodziewał się odrobinę cieplejszego przyjęcia. Podziękowań lub jakichkolwiek wyrazów wdzięczności. W końcu to on odnalazł córkę Gawrysiów. Trafił zaś nie tyle na wrogość, ile na wymęczoną obojętność.

- Janek! – krzyknęła kobieta w kierunku dużego pokoju. – Idź do siebie!

Mortka usłyszał, jak chłopak wyłącza telewizor i wstaje z kanapy. Chwilę później pojawił się w przedpokoju. Komisarz uświadomił sobie, że widzi go po raz pierwszy. Był wysoki jak na swój wiek. Długą grzywkę słomianych włosów zaczesywał na bok, ale nawet w ten sposób nie mógł ukryć fioletowej opuchlizny, która wykwiła pod jego okiem. Przemknął przez korytarz, chowając się za drzwiami swojego pokoju.

- Pan wejdzie.

Poprowadziła go do salonu i posadziła na skórzanej kanapie. Z kredensu wyciągnęła szklanek w kwiatowe wzory i postawiła przed policjantem. Zostawiła go samego, znikając najpierw w sypialni, a potem w kuchni. Wróciła z butelką wody mineralnej i założonym stanikiem.

– Ludzie mówią, że jestem złą matką – odezwała się. – Bo mój syn o mało co nie zabił swojej siostry. Co pan na to?

- To nie była pani wina.

Wcale tak nie uważał.

Podeszła do okna balkonowego, odsunęła firankę i oparła się o szybę. Wyglądała na rozzarowaną, jakby spodziewała się usłyszeć od niego jakieś głębokie, mądre słowa, które zmienią jej życie i rozwiążą wyrzuty sumienia. Mortka potrafił to zrozumieć i postawić się w jej sytuacji. W pewien sposób nawet jej współczuł. Ale miał zbyt wiele na głowie, żeby bawić się jeszcze w psychologa. Poza tym nie najlepiej radził sobie w takich rozmowach. Był typowym śledczym, wiedział, jakie pytania zadać, żeby dostać odpowiedzi, jak i gdzie dźżyć, żeby znaleźć winnego. Pocieszaniem zajmowali się inni.

- Czy Marta jest w domu?

– Nie. W szkole.

– A Janek?

– Dzisiaj nie poszedł.

Nie pozwolili mu iść, żeby nauczyciele nie zauważyli opuchlizny, pomyślał i zastanawiał się przez moment, czy powinien coś z tym zrobić. Pewnie tak. I robi. Jeśli będzie miał dość czasu.

– Kiedy Marta wróci?

– Dlaczego pan pyta?

– Chciałem z nią porozmawiać.

– Nie – powiedziała stanowczo, odklejając się od szyby.

– Nie?

– Nie zgadzam się. Dość już. Mała powinna o tym jak najszybciej zapomnieć. Tak powiedział psycholog w szkole.

– Dobro śledztwa...

– Teraz liczy się tylko dobro mojej córeczki! Przesłuchaliście ją już dwa razy. Wystarczy!

Mortka nie miał już przed sobą zmęczonej kobiety, tylko groźną lwicę broniącą swoich małych. Maszynę wojenną napędzaną wyrzutami sumienia. Sam niczego nie wskóra. Żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym Romie, będzie musiał się zwrócić o pomoc do Zajdy, a tego nie chciał robić. Na wszelki wypadek lepiej było komendanta odciąć od tyłu informacji, ile tylko możliwe.

Zamrugał i spojrział prosto w oczy Joanny Gawryś.

– Jak to dwa razy? – zapytał.

- Co takiego? – odpowiedziała pytaniem, nie rozumiejąc, co ma na myśli.
 - Powiedziała pani, że przesłuchaliśmy ją dwa razy. Było tylko jedno przesłuchanie. Na komendzie.
 - To było drugie. Pierwsze odbyło się jeszcze w szpitalu.
 - Jak to? Kto z nią rozmawiał?!
- Na czole kobiety pojawiła się zmarszczka.
- To był... komisarz, prawda? Taki ma stopień?
 - Ale kto?
 - Pan Lupa – powiedziała i zaraz się poprawiła. – Komisarz Lupa.

Lupa nie odbierał telefonu. Mortka przez chwilę pojeździł po mieście, próbując ułożyć sobie w głowie to, co usłyszał. Ale kiedy po raz trzeci przejechał obok tej samej Biedronki, a w głowie miał ciągle pustkę, zdał sobie sprawę, że traci czas.

Na komisariat nie chciał wracać. Nie wiedział, jak by się zachował, gdyby stanął w oko w oko z Zajdą. A do takiego spotkania niewątpliwie by doszło, bo komendantowi zależało przecież na rozmowie w związku z Borkowskim. Nie, najpierw musiał sobie wyrobić zdanie na temat Zajdy, tego, jakie jest jego miejsce w całej tej sprawie, oraz opracować taktykę, dzięki której wyciągnie z komendanta tyle informacji, ile to tylko możliwe, samemu nie zdradzając wiele.

Wrócił do siebie.

Przed blokiem na ławce wymalowanej przez dzieciaki markerami siedział chłopak – szczupły Rom o długich palcach, którymi poruszał bezgłośnie w powietrzu, jakby próbował złapać chwyt na niewidzialnej gitarze. Na widok Mortki uśmiechnął się szeroko, a potem wsadził palce w usta i zagwizdał przeraźliwie, aż komisarz miał ochotę zatkać sobie uszy. Kiedy dźwięk ucichł, chłopak poderwał się z ławki i pobiegł najszybciej, jak potrafił, nie oglądając się za siebie.

Drzwi od klatki schodowej otworzyły się same, odsłaniając ciemne, chłodne wnętrza. Ktoś tam był. Mortka widział niewyraźną sylwetkę kryjącą się w cieniu. Sięgnął do kabury przy pasku.

Kto to? Ktoś podobny do Lucasa? Kolejny młody Rom z nożem? Czy to miała być zemsta?

Rozejrzał się. W zasięgu wzroku dostrzegł tylko młodą kobietę z wózkiem, w którym leżało malutkie dziecko. Czy powinien wrócić do samochodu? Tak by było najlepiej. Ale nie chciał uciekać. Przeszedł kilka metrów na stronę bloku i przystanął. Wahał się, czy to już dobry moment, żeby wyciągnąć pistolet. W podobnych sytuacjach zbyt często zdarzały się przypadkowe postrzelenia. Nie, jeszcze za wcześnie. Nikt go nie atakował. Nikt mu nie groził.

Zrobił następne kilka kroków w kierunku klatki, z której wyszedł niespiesznie, rozglądając się na boki, Staszek Trybuk. Miał na sobie kraciatą flanelową koszulę, której rękawy zawinął aż po łokcie. Im bardziej zbliżał się do policjanta, tym szedł wolniej, a na jego twarzy pojawiało się obrzydzenie.

Mortka odprężył się. Staszek Trybuk na pewno przyszedł sam i zadał o to, żeby żaden inny Rom nie zobaczył, jak rozmawia z komisarzem.

– Myślałem, że wasz kodeks zabrania wam spotykać się z policją.

Rom spojrział na niego groźnie z ukosa, zastanawiając się zapewne, czy Mortka z niego drwi. Wyglądał jak typowy zbir, który spędza połowę życia, rozważając, czy ktoś go obraził, czy nie.

– Zabrania – przyznał.

– Co w takim razie tutaj robimy?

– Ratujemy życia.

Rom poczekał, aż Mortka przetrawi jego słowa, i ciągnął suchym, zirytowanym głosem człowieka, który został zmuszony do tego, żeby wyprzeć się własnych zasad.

– Wczoraj pobili naszego chłopaka. Jasona, siedemnastolatka. Duży, ale spokojny.

– Kto go pobił?

– A ja wiem?! Krzyczeli na niego „morderca policjantów” i dopadli we trzech. Kopali nawet, jak leżał. Kiedy zobaczyli, że kilku od nas biegnie na pomoc, to uciekli. Takie z nich chojraki!

– Złożyliście zawiadomienie?

Za odpowiedź musiało wystarczyć mu prychnięcie.

– My potrafimy o siebie zadbać. Teraz trzymamy naszych młodych blisko, po domach, aż się uspokoi. Ale pan zna młodych, ile oni usiedzą? Prędzej czy później się gdzieś wymkną, a wtedy spotkają kolejnych odważnych od was. I wie pan, co się wtedy stanie? W ruch pójda noże.

– Kto je wyciągnie?

– A co to ma za znaczenie? My wyciągniemy noże, wy przyjdziecie z pałkami. Krew się poleje, to jest ważne. Musicie coś z tym zrobić, bo to wasza wina.

– Nasza?

– Zabiliście Lucasa.

– Bo on zabił policjanta, do diabła.

– To był wypadek!

– Ładny mi wypadek! Nawet się nie zawahał!

– A nawet jeśli?! Kto to widział nachodzić mężczyznę w domu, o świcie, wśród dzieci. Przyszlibyście jak ludzie w dobrej porze, to inaczej by się wszystko skończyło. Sam by z wami poszedł. Honorowo!

– Bzdura!

Rom zacisnął mocno usta. Mortka widział, jak napięły się też jego żyłaste mięśnie, zapewne szykował się do skoku. Komisarz ostrożnie zmienił ułożenie ciała, tak żeby łatwiej się bronić w razie ataku. Ale mężczyzna, zamiast zacząć się bić, splunął na bok gęstą, żółtawą flegmą.

– Pójdź pan i się spytaj, ile razy zatrzymywaliście już Lucasa. Nigdy nie sprawiał żadnych problemów. Dał się wam prowadzić grzecznie jak owieczka.

– Nigdy wcześniej nie był ścigany za zabójstwo – odparował Mortka. – Poza tym, czemu, do diabła, tak go chronicie? Przecież ten człowiek nie zrobił nic, żeby odnaleźć zaginioną córkę.

– Nie wiesz, co Lucas zrobił, a czego nie.

– Za to wiem, że bił Adelę. Opowiadano mi o jej sińcach.

– Lucas był, jaki był – powiedział szorstko Staszek Trybuk – ale nigdy nie zrobił Adeli krzywdy. Nie tknął jej nawet palcem. Ani jej, ani innych dzieciaków.

Mortka prawie się roześmiał. Słyszał ten sam tekst różniący się kilkoma zaledwie szczegółami setki razy. Matki broniły w ten sposób synów, a żony mężów, mając nadzieję, że potokiem słów zmyją krew z rąk swoich ukochanych aniołków.

– To pozwalała ją bić swojej żonie. Tak, dobrze wiem, do czego jest zdolna Esmeralda. Słyszałem o tym chłopaku, którego w dzieciństwie prawie zatłukła na śmierć ceglówką.

Stary Rom wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Wy, policjanci... Nie odróżniamie jednego Cygana od drugiego, co? Dobrze pamiętam tamtego chłopaka. Ale to nie Esmeralda się na niego rzuciła, tylko jej siostra. Lucilla. Czy też, jak wy ją nazywacie, Kaśka.

Wyciągnął przed siebie przedramię, zacisnął zęby i odwrócił głowę, żeby nie widzieć, jak Alicja wbija igłę w żyłę.

Uklúcie. Nabral z sykiem powietrza i zaczął powoli liczyć w myślach.

– Już – powiedziała Alicja, kiedy doszedł do dwudziestu trzech.

Kobieta uśmiechała się i patrzyła na niego z lekkim niedowierzaniem.

– Jak małe dziecko. Z podstawówki – rzuciła żartobliwie.

– Przepraszam – powiedział Mortka, przyciskając gazę do przedramienia. – Mam nieciekawe wspomnienia związane ze służbą zdrowia.

– Jakie?

– Mój ojciec jest lekarzem. Jak byłem mały, to zabierał mnie ze sobą do szpitala. Żeby zaszczyć mnie ducha medycyny.

– Chciał, żebyś poszedł w jego ślady? – domyśliła się.

– Tak. Ale osiągnął skutek wręcz przeciwny.

– Napatrzyłeś się jako dziecko?

– Na paskudne rzeczy – potwierdził.

Obserwował, jak opisuje próbkę, umieszcza ją na stojaku, a potem zdejmuje rękawiczki i wyrzuca je do kosza na odpady.

Po rozmowie z Trybukiem Mortka natychmiast poszedł do Alicji. Drzwi otworzył jej syn. Chłopak niechętnie wyjawiał, że mama jest już w pracy. Komisarz zadzwonił do niej i spytał, czy mogłaby mu wyświadczyć małą przysługę. Chciał szybko zrobić badanie krwi. Zgodziła się pomóc. Nie wyjawiał jej, o co dokładnie chodziło.

– Szkoda, że nie przyszedłeś do mnie wcześniej.

– Dlaczego?

– Pojechałbyś ze mną do pracy. Przynajmniej bym się nie wyróżniała.

Spojrzał na nią pytająco.

– Od kilku dni wszystkie moje koleżanki są odprowadzane do pracy przez mężów albo dorosłych synów. Wiesz, boją się tego mordercy, którego ścigacie. Tylko takie sieroty jak ja przyjeżdżają same.

– Nie jesteś sierotą.

– To miłe. – Uśmiechnęła się. – Jakie dokładnie badanie mam zrobić?

– Ogólne.

Zaznaczyła odpowiedni kwadrat w medycznym formularzu.

– I na obecność wirusa HIV – dodał po chwili.

Słowa z trudem przeszły mu przez gardło. Dłoń Alicji zamarała nad kartką papieru.

– HIV?

– Tak – potwierdził.

Postawiła krzyżyk. W jej oczach odbijały się wahanie i strach.

– Czy...

– To bardzo świeża sprawa.

– To ma związek z tą ostatnią ofiarą? – zapytała. – Podobno ona była chora. Przynajmniej tak opowiadają dziewczyny, które rozmawiały z Olszewskim.

Patolog nie potrafił zachować dyskrecji. Bardzo zła cecha w tym zawodzie. Mortka przytaknęła.

– Jeśli się boisz, że to dlatego, że dotykałeś zwłok lub...

– Spędziliśmy razem noc – przerwał jej szybko. – Nie zabezpieczyłem się.

Próbowała zachować profesjonalny chłód i dystans, ale zdradzało ją ledwie widoczne drżenie ramion. Mortka nie rozumiał, dlaczego czuł się tak, jakby właśnie wbił jej nóż prosto w serce. Przecież nigdy sobie niczego nie obiecywali, nigdy niczego nie zrobili ani nie powiedzieli nic, co by w jakikolwiek sposób wiązało jedno z drugim. A jednak narastał w nim ten wstręt do samego siebie, który czuje tylko człowiek zdający sobie sprawę z popełnionego straszliwego błędu.

– Kiedy do tego doszło?

– Przedwczoraj w nocy.

– W takim razie to nie ma teraz sensu – powiedziała. – Przeciwciała pojawiają się najwcześniej trzy tygodnie po ekspozycji. Ale tak naprawdę najlepiej czekać dziewięć, dwanaście tygodni, zanim się przeprowadzi badanie.

Dziewięć, dwanaście tygodni, prawie trzy miesiące. Mortka pomyślał, że nie wytrzyma. Oszaleje.

– Rozumiem. W takim razie przepraszam, że... Po prostu przepraszam.

– Nie ma za co.

Wstał z krzesła i przeciągnął dłonią po swojej twarzy. Dziewięć tygodni. Za długo.

– Kuba... – szepnęła Alicja.

– Tak?

– Jest coś jeszcze. To chyba dotyczy tej dziewczyny.

Mortka milczał cierpliwie. Alicja coś chciała mu powiedzieć, ale nie wiedziała, jak i czy powinna to zrobić. Łamała się.

– Znasz doktora Nowaka?

– Tak.

– On też dzisiaj przyniósł próbkę krwi. Poprosił o przeprowadzenie testu na HIV.

– To była jego krew?

– Powiedział, że nie. Że to pacjenta. Ale ja wiem, że to jego.

– Dlaczego?

– Każdy lekarz i pielęgniarka robią badania okresowe. Znam krew Nowaka. Zawsze miał podwyższoną bilirubinę. Zwykle to objaw żółtaczki, ale nie u niego. Ma zespół Gilberta. To takie zaburzenie metabolizmu. Ta próbka, którą przyniósł... Pobrał ją od siebie.

Nowak? Mortka przypomniał sobie te wszystkie wieczory, które spędzili nad piwem w USA. Czy lekarz naprawdę byłby zdolny do okaleczenia tych wszystkich ciał? Do zabicia Olgi?

– Powiedziałaś, że przeciwciała pojawiają się najwcześniej po trzech tygodniach. Wcześniej nie ma sensu robić testu. Nowak o tym nie wie?

– Wie. Ale u personelu medycznego to wygląda trochę inaczej. Z racji wykonywanego zawodu jesteśmy potencjalnie narażeni na kontakt z wirusem. Zalecenia są takie, że jeśli dojdzie do ekspozycji, to należy jak najszybciej wykonać test w celu potwierdzenia, że wcześniej, przed wypadkiem, było się seronegatywnym – wytłumaczyła.

To brzmi sensownie, pomyślał Mortka. Spojrzał na Alicję. Uśmiechała się łagodnie, z ulgą, jakby kamień spadł jej z serca.

– Będę miał do ciebie jeszcze prośbę – powiedział. – Sprawdź dla mnie jedną rzecz.

Zgodziła się.

Nowak otworzył drzwi i zaskoczony widokiem Mortki zrobił krok w tył. Komisarz minął go, bez pytania wchodząc do mieszkania. Jadąc tutaj, nie wiedział, czy powinien podejrzewać lekarza, czy nie. Był

więc przygotowany na dłuższą rozmowę, ostrożne badanie terenu, ale kiedy tylko go zobaczył – zmęczonego człowieka o zmęczonej twarzy, wiedział, jak powinien postąpić.

– Żona jest w domu?

– Nie.

– Dzieci?

– Wszyscy wyjechali.

Przeszedł do kuchni, gdzie w zlewie piętrzył się stos nieumytych talerzy i kubków, z kosza na śmieci wystawały pudełka po pizzy, a stół świecił tłustymi plamami.

– Wyjechali?

– Jakiś czas temu.

Zajrzał do pokoju dziecięcego. Meble pokrywał kurz, na półkach stało zaledwie kilka zabawek. Nie otworzył szafy, ale był pewien, że jest pusta.

– Kilka miesięcy temu – uściślił Nowak.

– Ale wciąż nosisz obrączkę?

Lekarz uniósł prawą dłoń i przyjrzał się jej tak, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Nie wzięliśmy rozwodu.

– Dla dobra dzieci? – rzucił Mortka, nie starając się nawet ukryć ironii.

– Po prostu nie.

Komisarz zauważył, że Nowak zrobił się zbyt spięty. Odpuścił mu trochę.

– Przepraszam za najście, ale chciałem z tobą porozmawiać. Poradzić się w pewnej sprawie. Mogę?

– Tak. Oczywiście. Napijiesz się czegoś? Chyba nie mam już piwa, ale gdzieś są whisky i koniak. Dużo koniaku. Może chciałbyś butelkę lub dwie?

– Nie, dziękuję.

Mortka przeszedł do salonu i zajął najbardziej wysłużony fotel. Jego stan wskazywał na to, że to właśnie w nim najczęściej siada Nowak. Komisarz zrobił to specjalnie. Chciał w ten sposób wyprowadzić trochę lekarza z równowagi, sprawić, żeby czuł się niekomfortowo.

– Gdzie byłeś wczorajszej nocy?

– Miałem dyżur. W szpitalu.

– Nie miałeś. Sprawdziłem.

Mortka obserwował wyraz twarzy Nowaka. Początkowy strach doktor próbował zamaskować fałszywym uśmiechem.

– W takim razie się pomyliłem. Byłem w domu.

– Jest ktoś, kto mógłby to potwierdzić?

– Nie.

– No właśnie.

Komisarz zawiesił znacząco głos. Przez moment zastanawiał się, co powinien zrobić. Postanowił zażyćkować. Nowak się bał, należało to wykorzystać, zanim znowu poczuje grunt pod nogami.

– Ta dziewczyna, którą wczoraj znaleźliśmy martwą. Nazywała się Olga. Znałem ją. Rozmawialiśmy. Można powiedzieć, że się zaprzyjaźniliśmy – mówił powoli i wyraźnie, tak żeby każde słowo dotarło do lekarza. Zrobił pauzę przed ostatnim uderzeniem. – Rozpoznała cię.

– Co takiego?

– Pamiętała cię. Z farmy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Nie potrafił kłamać. Był błądy, czoło zrosiły mu kropelki potu. Strzelał oczami na boki, jakby szukał tam ratunku. Mortka wiedział już, że ten człowiek nie jest zabójcą, czego obawiał się trochę na począt-

ku. To nie on zabił Olgę. Nie dałby rady. Ale coś wiedział i policjant musiał to z niego wydobyć.

– To ty ją pociąłeś – powiedział. – To ty pociąłeś je wszystkie. Były już martwe, kiedy do ciebie trafiły?

– Nie wiem...

Mortka nie pozwolił mu dokończyć. Chwycił za stół i wyrzucił go jednym ruchem. Miał nadzieję, że wypadło to autentycznie.

– Nie kłam, kurwa! Mów, jak było!

– Ja... Ja... Ja...

– Ja, ja, ja – przedrzeźniał go komisarz. – Mów!

– Muszę iść do ubikacji.

– Pójdiesz potem.

– Zesram się, Kuba – oznajmił płacząwie lekarz. – Proszę...

Zawahał się, a potem kiwnął głową. Zaprowadził Nowaka do łazienki. Najpierw sam zajrzał do środka. Nie było żadnego okna, którym można uciec. Tylko sedes i umywalka.

– Oddaj komórkę.

Lekarz pokazał, że telefon leży obok kluczy na szafce w przedpokoju. Komisarz obszukał mu kieszenie, ale znalazł tylko paczkę chusteczek.

– Idź srać.

Nowak wbiegł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Mortka oparł się o ścianę i przeczesał palcami włosy. Były mokre. Dopiero teraz dotarło do niego, jak bardzo się boi. I tego, że Nowak jest zamieszany w tę sprawę i będzie próbował się bronić, i tego, że jest niewinny. Szedł teraz po krawędzi. Jeden fałszywy krok mógł go kosztować kolejną dyscyplinarkę. I może utratę pracy.

Tylko czy powinien się tym przejmować? Chciał odejść, prawda?

Odetchnął głęboko, mając nadzieję, że lekarz go nie usłyszał. Co powinien teraz zrobić? Zatrzymać Nowaka? Zabrać go na przesłuchanie na komisariat, do Zajdy? To nie wchodziło w grę. Nie miał żadnych dowodów, tylko podejrzenia. Jeśli Nowak poczuje, że ktoś za nim stoi, zaraz się wszystkiego wyprze.

Raz jeszcze zajrzał do kuchni. Pełny zlewozmywak sprawiał przygnębiające wrażenie. W ogóle rozważeni mężczyźni, w tym sam Mortka, byli smutni.

Nie. To złe słowo. Bardziej pasowało – żałośni. Żałośni mężczyźni w brudnych ciuchach. Mężczyźni, u których stan zarostu zdradzał, kiedy po raz ostatni zmienili białiznę.

Wrócił pod ubikację i zapukał do drzwi.

– Wysrałeś się już?

Żadnej odpowiedzi. Zastukał jeszcze raz.

– Czas wychodzić.

Znowu cisza. Skurcz strachu chwycił komisarza za żołądek. Nowak musiał być w środku. Nie mógł uciec. Nie miał szans, żeby się wymknąć niezauważony! Mortka przecież prawie cały czas był przy drzwiach.

Chwycił za klamkę i szarpnął. Zamknięte od środka. Uderzył pięścią w szybę.

– Otwieraj!

Znowu żadnej reakcji. Wyjął pistolet z kabury i chwycił go za lufę. Kolbą zbił szybkę, a potem otłukł krawędzie, żeby się nie pokaleczyć.

Ciągle cisza. Nowak nie krzyknął, nie protestował.

Mortka pobiegł do kuchni, przyniósł taboret. Stał na nim i wsadził ramię przez wybitą dziurę. Odzukał palcami zamek tuż poniżej klamki i otworzył go, a potem drzwi.

Lekarz siedział na ubikacji. Kłapa od spłuczki była odsunięta na bok. Twarz Nowaka była jak kartka papieru. Oddychał płytko, nierówno, a z kącika sinych ust spływała długa kroplą ślina. Prawe przedramię trzymał wyciągnięte przed sobą, oparte na udzie. Nad łokciem zawiązał sobie ciasno gumową rurkę. Przysta już strzykawka leżała na ziemi.

– Kurwa mać! – wrzasnął Mortka i dopadł do lekarza. Ściągnął go z ubikacji i spoliczkował, ale nie przyniosło to żadnego efektu. – Skurwysyn – szepnęła komisarz.

Próbował sobie gorączkowo przypomnieć, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Przede wszystkim nie mógł pozwolić, żeby doktor zadławił się własnymi wymiocinami. Ułożył Nowaka w pozycji bocznej, tak żeby rzygowiny wyleciały na podłogę. Potem pobiegł do ubikacji. Zajrzał do spłuczki i wyciągnął z niej dwie niewielkie paczuszki z proszkiem o lekko beżowym kolorze. Podniósł je do góry, żeby przyjrzeć się pod światło. Substancja wewnątrz wyglądała jak heroina. W dodatku całkiem dobrej jakości.

– W co ty się wpakowałeś? – zapytał i spojrzał znacząco na Nowaka.

Lekarz nie oddychał.

Mortka odrzucił woreczki i podbiegł do Nowaka. Obrócił go na plecy. Podwinął mu koszulkę i wzniosł zaciśniętą pięść. Zamknął oczy. A potem z całych sił uderzył w mostek.

Nic.

Przypominając sobie ruchy z kursu pierwszej pomocy, niezgrabnie odgiął głowę Nowaka lekko w tył i otworzył mu usta. Mogę być nosicielem HIV, pomyślał, ale to był tylko przebłysk. Ciało działało samo. Zbliżył wargi do warg lekarza i zaczął wdmuchiwać powietrze prosto w jego płuca. Potem nacisk na mostek. Trzydzieści uciśnień. Dwa oddechy. Trzydzieści uciśnień. Dwa oddechy. I tak w kółko, aż był cały mokry od potu. Kręciło mu się w głowie, a ramiona mdlały z wysiłku. Dwa oddechy. Trzydzieści uciśnień.

Nowak nagle charknął przeciągle i samodzielnie wziął oddech. Potem kolejny. Wciąż był nieprzytomny, wciąż był błądy. Ale oddychał, a jego klatka piersiowa unosiła się i opadała w rytm nierównych uderzeń obolałego serca.

Mortka położył się obok niego. Przymknął powieki. Wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał numer alarmowy.

Lekarz miał na imię Mariusz, nazwisko Kozłowski. Był dość wysoki, dobrze zbudowany. Gęste czarne włosy obciął na krótko, przez co ledwie było widać siwe pasemka po bokach. Poruszał się i mówił z nad wyraz dużą pewnością siebie.

Mortka miał ochotę uderzyć go prosto w twarz. Złożyć pięściami swój autograf i zostawić na pamięć kilka blizn. Wykrzyczeć w ten sposób frustrację ostatnich dni.

– To była heroina – potwierdził Kozłowski. – Bardzo duża dawka.

– Jak duża? – zapytał.

– Tak duża, że mnie albo pana zabiłaby na miejscu. Ani byśmy się obejrzeni, a rozkoszowalibyśmy się ostatnimi chwilami złotego strzału.

– Ale Nowak żyje.

– Tak.

Kozłowski otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknął je po kilku sekundach. Zawodowa solidarność zwyciężyła. Ale Mortka i tak wiedział, o co mu chodziło. Jeśli Nowak przeżył, to tylko dlatego, że musiał wykształcić w sobie dużą odporność na narkotyki. A to oznaczało, że brał od dawna.

– Podaliśmy mu nalokson. Utrzymujemy go w stanie śpiączki.

– Jakie są rokowania? – zapytał stojący obok Lupa.

– Rokowania? – Lekarz podrapał się pod nosem i znacząco spojrzał w górę. – Wiecie, panowie, to nie ode mnie zależy, ale od tego tam.

– Rokowania – powiedział twardo Mortka, czując, że traci cierpliwość i że, jeśli tak dalej pójdzie, jego fantazja o pobiciu przystojniaka zaraz zmieni się w rzeczywistość.

– Nie jest dobrze – stwierdził wreszcie Kozłowski. – Według mnie szanse na to, że pozostanie w stanie śpiączki, są większe niż na to, że dojdzie do siebie.

Spojrzał najpierw na Mortkę, a później na Lupę i zakończył zwyczajową formułką:

– Przykro mi.

To był właśnie jeden z głównych powodów, dla których Mortka nienawidził szpitali. Wszecchobecny, przerażający fałsz. Tyle razy obserwował to u własnego ojca, który najpierw przekazywał rodzinie pacjenta złe wieści, a sekundę potem w kanciapie pękał ze śmiechu, opowiadając sobie z kolegami dowcipy o Polaku, Rusku i Niemcu. Mortka niby rozumiał, że tak to musi wyglądać. Że lekarz nie może sobie pozwolić na to, aby przywiązywać się do pacjenta, że musi całe to cierpienie chorych przykrywać kłamstwami, alkoholem, papierosami lub kiepskimi żartami. A wiecza, czy nawet świadomość tego, że jako policjant robi dokładnie to samo, w niczym nie pomagała.

Kozłowski odszedł do innych pacjentów, a Mortka z Lupą skierowali się pod pokój, w którym leżał Nowak. Po drodze kupili kawę z automatu w papierowych kubkach. Gorący napój parzył ich w palce.

– Wypałeś się? – zapytał Mortka.

– O tyle o ile. Jak wróciłem do domu, to jeszcze się pobawiłem z dziewczynkami, bo żona akurat musiała bardzo pilnie coś załatwić. Padałem z nóg, ale sam wiesz. Mam wrażenie, że przez ostatnie dni w ogóle ich nie widziałem. Spałem wszystkiego ze cztery godziny.

Lupa wziął łyk kawy i skrzywił się, kiedy oparzył sobie lekko język.

– Boję się, że ta sprawa mnie wykończy – powiedział policjant. – Nie do końca to wszystko ogarniam. Wiesz, o czym marzę?

– O czym?

– O swojej działce. Mam tam w przysłowiowy chuj roboty, ale i tak chciałbym tam pojechać. Móc wreszcie zająć się spokojnie tą całą zieleniną, która się tam rozpleniła. Przyciąć żywopłot, trawnik, wypieścić chwasty. Zrobiłem sobie nawet ogródek warzywny. Mam sałatę, pomidory, groszek, jakieś zioła. Mówię ci, Kuba, pomidory z własnej hodowli to jest to. Nie da się porównać z czymkolwiek, co znajdziesz w sklepie.

Lupa skończył mówić i zatopił się w myślach o ogródku.

– A ty? – zapytał nagle. – O czym marzysz?

– Nie wiem. O niczym chyba.

– Żartujesz. Przecież każdy musi coś mieć. Inaczej można oszaleć.

Mortka zastanowił się, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wziął łyk kawy. Miał wrażenie, że miała smak środka do dezynfekcji.

– Ja nic nie mam. Chciałbym tylko... – Nie dokończył zdania. Nie wiedział jak.

– Jak właściwie trafiłeś do Nowaka? – zapytał Lupa.

Mortka zadzwonił do komisarza zaraz po tym, jak zawiadomił pogotowie. Policjant odebrał zaspany dopiero za drugim razem. Kiedy dowiedział się, co się stało, powiedział, że przyjdzie do szpitala najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Jak trafiłem... – powtórzył Mortka. Nie chciał mówić Lupie ani komukolwiek innemu o rozmowie z Alicją, o teście na obecność wirusa HIV. – Przeszedłem do niego, żeby porozmawiać o okaleczeniach ofiar morderstw – skłamał. – Zależało mi na tym, żeby poznać jego specjalistyczną opinię.

– I co?

– W trakcie rozmowy zaczął się dziwnie zachowywać. Zrobił się niespokojny. Podejrzliwy. Zanim zdążyłem go porządnie przycisnąć, przeprosił, powiedział, że musi iść do ubikacji, i... resztę już znasz.

Próbował ocenić, czy Lupa mu uwierzył. Wydawało mu się, że tak.

– Czyli jest w to zamieszany?

– Prawdopodobnie.

– Najpierw Zajda, teraz on. Jezu... – jęknął Lupa i chwycił się za głowę. Zamarł w tej pozycji jak rzeźba. Mortka pomyślał, że można by go teraz wsadzić do galerii i podpisać, że to symbol niewdzięcznej policyjnej roboty. Sam odchylił się i oparł głowę o ścianę. Przymknął powieki. Kawa nie pomagała, poczuł, że dopada go zmęczenie.

Było dwadzieścia minut po dwudziestej trzeciej w czwartkowy wieczór.

– Zajda o ciebie pytał – odezwał się Lupa, nie zmieniając pozycji. – Chciał porozmawiać o Lucasie i raporcie. Dałem mu twój numer. Spodziewaj się telefonów.

– Dzięki za ostrzeżenie.

Zastanawiał się, czy powinien zapytać teraz o to, co tak naprawdę zaszło podczas zatrzymania Roma. Ale nie spodziewał się, że usłyszy cokolwiek innego niż dotychczas. Lupa dalej będzie twierdził, że Borówka najpierw oddał strzał ostrzegawczy i dopiero potem strzelił do pędzącego w jego stronę Lucasa. Mortka zaprzeczy. Nie, nie miał siły ani ochoty prowadzić tej rozmowy. Była jednak inna rzecz, którą chciał wiedzieć.

– Pojechałem jeszcze do Gawrysiów.

– Po co?

– To nieważne. Dowiedziałem się czegoś ciekawego.

– Czego?

– Tego, że rozmawiałeś z Martą jeszcze w szpitalu, przed przesłuchaniem jej na komisariacie.

Lupa wyprostował się i spojrzał na Mortkę otępiąłym, zmęczonym wzrokiem.

– I co z tego?

– Jak to co z tego? Rozmawiałeś z naszym najważniejszym wtedy świadkiem zupełnie sam. W żaden sposób nie utrwaliłeś tego spotkania. Nie napisałeś nawet pierdolonej notatki.

– Powiedziała dokładnie to samo co później na komisariacie.

– I nie ma nikogo, kto mógłby to potwierdzić!

Lupa zmarszczył brwi, jakby naprawdę nie rozumiał, dlaczego Mortka się go czepia, a potem prychnął lekceważąco.

– Wiesz, jak działa mózg świadka. Szczególnie dziecka – powiedział Mortka, siląc się na zachowanie spokoju. – Zbyt łatwo mu coś zasugerować.

– Twierdzisz, że...?

– Twierdzę, że zrobiłeś coś wbrew zasadom, nikomu się do tego nie przyznałeś i teraz zeznania Marty Gawryś są tak naprawdę bezwartościowe. Nie wiemy, czy cokolwiek z tego, co nam opowiadała, było prawdą. Nie wiemy, czy naprawdę widziała w kopalni tego Cygana.

– Widziała.

– Nie wiemy tego, bo nie wiemy, co jej naopowiadałeś w szpitalu. Każdy świadek chce zadowolić swoimi zeznaniami śledczych, a każde dziecko chce spełnić oczekiwania dorosłych. Jeśli coś powiedziałeś, podsunąłeś, nawet mimochodem, a ona to wyłapała, zorientowała się, że ten Cygan to jest właśnie to, co sprawi, że będziesz z niej zadowolony...

– Nic jej nie podsuwałem.

– Nie wiemy tego! To jest właśnie najważniejsze! Nie wiemy tego!

Blondwłosa pielęgniarka wychyliła się z dyżurki i syknęła groźnie na Mortkę.

– Proszę nie krzyczeć! Jest pan w szpitalu. Pacjenci potrzebują spokoju.

Mortka już chciał odkrzyknąć coś złośliwego, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Pokiwał tylko przepraszająco głową, mając nadzieję, że to wystarczy, by zamknąć usta pielęgniarce.

– Po co pojechałeś do Gawrysiów? – zapytał chłodno Lupa.

- Co takiego?
- Po co do nich pojechałeś?

– Chciałem porozmawiać z Martą.

Lupa przechylił głowę w bok i przypatrywał się Mortce. Przypominał teraz ciekawską wronę obserwującą gnat, który zaraz oskubie z resztek mięsa. Nagle roześmiał się radośnie.

– Szlag by to! – krzyknął i zaczął się klepać po kolanie.

Pielegniarka wychyliła się po raz kolejny z dyżurki.

– Proszę ciszej, bo zaraz stąd panów wyrzucę.

– Przepraszam – powiedział wciąż rozbawiony Lupa i nachylił się do Mortki. – Kuba, pojechałeś do nich, żeby porozmawiać z Martą?

– Tak.

– Czyli chciałeś zrobić dokładnie to samo co ja. Porozmawiać z małoletnim świadkiem bez osoby towarzyszącej i bez urzędzenia utrwalającego. Chyba że miałeś kamerę albo dyktafon?

– Nie.

– A jak pojechałeś do Nowaka zaledwie kilka godzin temu? Cholera wie, co mu naopowiadałeś. Miałeś coś ze sobą?

– Nie.

Lupa wznosił triumfalnie ramiona.

– Kuba, tobie nie przeszkadza to, że ktoś złamał zasady. Tobie przeszkadza tylko to, że ty tego nie zrobiłeś!

Mortka nie potrafił znaleźć na to odpowiedzi. Odwrócił wzrok, zaciskając mocno szczęki. Lupa, ciągle się uśmiechając, wyciągnął się na krześle z rękami założonymi na brzuchu.

W milczeniu czekali, aż Nowak się obudzi.

Mortka otworzył oczy. Próbował się poruszyć, zmienić pozycję, ale lewa noga odmówiła posłuszeństwa. Jęknął, a w oczach pojawiły mu się łzy. W ustach czuł stęchły smak kawy.

– Jezu... – mruknął, rozklejając przy tym suche, spieczone usta.

Zmusił swoje ciało do wyprostowania się. Przetarł zaspane powieki i zaczął rozmasowywać zdrętwiałą nogę. Kiedy krew zaczęła krążyć w niej na powrót, a dziwne, niepokojące mrowienie ustąpiło, spróbował wstać. Zachwiał się, zrobił parę kroków, lekko kulejąc, i zamachał ramionami w parodii porannej gimnastyki.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta trzydzieści. Lupa, który leżał lub siedział, trudno było to określić, patrząc na pozycję, jaką przyjął, właśnie się budził.

– Chcesz kawy? – zapytał Mortka.

Lupa zamrugał dwa razy, jakby nie rozumiał.

– Nie, dzięki.

– Ja w sumie też nie chcę – stwierdził komisarz. Na samą myśl o sprzedawanej w szpitalu lurze zbiegało mu się na mdłości.

– Właściwie nie pozwalamy spać w szpitalu gościom – odezwał się Kozłowski, który zatrzymał się przy nich podczas obchodu. – Ale że panowie są z policji, to pomyśleliśmy, że zrobimy dla was wyjątek. No i tak słodko wyglądaliście. Jak dwa wtulone w siebie szczeniaczki.

Ani Mortka, ani Lupa nawet się nie uśmiechnęli, ale lekarz był tak zadowolony ze swojego dowcipu, że nie zwrócił na to uwagi.

– Co z Nowakiem? – zapytał Lupa.

– Niedługo będziemy próbować go wybudzać.

– Kiedy?

– Za dziesięć, piętnaście minut.

– Poczekamy.

– Panowie zdają sobie sprawę, że nawet jeśli nam się uda, to niekoniecznie będzie się nadawał do rozmowy. Dawka heroiny, którą sobie zaaplikował, powaliłaby słonia.

– Poczekamy – powtórzył Lupa.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Wasza sprawa. Powiadomię was o wynikach.

Wrócił do swoich obowiązków.

Mortka zaczął się przechadzać korytarzem, z nudów czytając tabliczki z przepisami BHP oraz plany ewakuacji w razie wybuchu pożaru. Starał się nie myśleć o bolących plecach i karku.

Lupa klepnął komisarza w ramię, powiedział, że idzie do kibla, i zniknął w ubikacji. Mortka przejechał palcami po policzku i stwierdził, że mógłby się ogolić. Lubił nosić kilkuniedniowy zarost, ale potem robił się on twardszy, dłuższy i zaczynał nieprzyjemnie kłuć, a na szyi pojawiały się czerwone krosty. Przez chwilę zastanawiał się, czy kiosk na dole jest otwarty i czy mają tam jednorazowe maszynki do golenia.

– Przypomnij mi, dlaczego zostaliśmy tutaj na noc? Jaki sprytny plan mieliśmy? – zapytał Lupa, wracając. Machał mokrymi rękami, rozrzucając dookoła kropelki wody.

– Nie mieliśmy żadnego. Samo wyszło – odpowiedział Mortka.

– Tak właśnie myślałem, bo za cholere nie potrafiłem sobie przypomnieć momentu, kiedy zasnąłem.

– Ja też nie.

Usiedli na krzesłach, na których jeszcze przed chwilą spali, i czekali cierpliwie. Kozłowski pojawił się po mniej więcej godzinie. Miał kwaśną, niewyraźną minę.

– Niestety, ale nic z tego. Wyprowadziliśmy go ze śpiączki farmakologicznej, ale się nie wybudził. Nie wiem, czy w ogóle z tego wyjdzie.

Lekarz stał chwilę przy policjantach, oczekując jakiejś reakcji. Nie doczekał się. Kiwnął im wreszcie głową i zostawił ich samych. Lupa chrząknął i podrapał się po tyle głowy. Skrzywił się przy tym z bólu, kiedy coś trzasnęło mu miętko w okolicach kręgosłupa.

– Chodź, Kuba – powiedział. – Zapraszam cię na śniadanie.

Lupa mieszkał na obrzeżach Krotowic, w jednorodzinny domu, który wyglądał trochę jak wyjęty w książeczki dla dzieci. Miał białe ściany, zielone okiennice i soczyście czerwony dach. Brakowało tylko, żeby z komina unosiły się w niebo przypominające bitą śmietaną kłęby dymu.

Mortka zaparkował przy płocie tuż obok czerwonego fiata punto, a Lupa wjechał do garażu, który miał elektronicznie otwierane drzwi.

– Macie psa? – zapytał komisarz i postukał palcem w tabliczkę na furtce. Były na niej zdjęcie śliniącego się i groźnie zjeżonego rottweilera oraz napis: „Dobiegam do furtki w 5 sekund. A ty?”.

– Nie. To dla picu. Odstrasza włóczęgów i świadków Jehowy. Chociaż dziewczynki oczywiście by chciały. Tyle że yorka. Wiesz, takiego małego futrzaka.

– Wiem. Widziałem też takie tabliczki z yorkami.

Lupa spojrział na niego, nie rozumiejąc.

– Bez sensu. Jak ktokolwiek miałby się tego przestraszyć?

Weszli na posesję. W niewielkim przydomowym ogródku bujnie rozrastały się krzewy róż, a pnącza bluszczu rozpoczynały swoją wspinaczkę po ścianie. Lupa wyciągnął klucze z kieszeni, ale nim zdążył włożyć je do zamka, drzwi się otworzyły, a w progu stała kobieta, którą Mortka opisałby jednym słowem – wysportowana.

Agnieszka Lupa była w wieku męża. Sięgające jej do ramion blond włosy spięła w koński ogon. Miała ładne oczy, duże i zielone, wokół których pojawiła się delikatna pajęczyna zmarszczek. Nie próbowała jej jednak w żaden sposób ukryć, czym od razu zdobyła sympatię Mortki. Jednak teraz w jej spojrzeniu widać było chłód i irytację.

– Słyszałam, jak przyjechałeś – powiedziała do męża. – Nie wróciłeś na noc do domu.

– Nie.

– Praca?

– Tak.

Zrobiła miejsce Lupie, żeby mógł przejść. Dostrzegłszy Mortkę, uśmiechnęła się nieszczerze i wyciągnęła rękę na powitanie.

– Ty jesteś pewnie Kuba, prawda?

– Tak.

Miała stanowczy, silny uścisk.

– Boguś o tobie wspominał kilka razy. Szkoda, że nie mieliśmy okazji się poznać wcześniej.

– To prawda. Nie złożyło się.

– Chcieliśmy u nas zrobić grilla, kiedy zrobi się tak naprawdę wiosennie, ale rozumiem, że teraz żadnemu z was nie w głowie kucharzenie na świeżym powietrzu.

– Nie. Raczej nie.

Lupa w tym czasie rozmawiał z dziewczynkami, które zbiegły z piętra z tornistrami w dłoniach. Starsza wyglądała na mniej więcej dziesięć lat, druga mogła mieć dwa, trzy lata mniej.

– Zawożę Małgosię i Klaudię do szkoły.

– Dobrze.

Agnieszka Lupa zagoniła córki do czerwonego punto. Kiedy odjeżdżały, dziewczynki machały przez szybę do ojca.

– Chodźmy napić się porządnej kawy – mruknął Lupa.

Przeszli do salonu połączonego z kuchnią. To było wielkie pomieszczenie, które zajmowało prawie cały parter. Wyjątkowo eleganckie. Mortka z zazdrością patrzył na drewnianą podłogę w części wypoczynkowej i grube, kremowe kafelki w części kuchennej, skórzaną sofę z fotelami, szklany stół zawalony gazetami i ponad czterdziestocalowy telewizor zawieszony na ścianie. Najbardziej jednak podobały mu się szklane drzwi, które prowadziły na taras, a potem do ogrodu. Stały tam trampolina dla dzieci i malutka szopa na narzędzia.

– To jest ta twoja działka, o której tak gadasz?

Lupa pokręcił przecząco głową.

– Nie. Działka jest gdzie indziej. Tutaj Aga nie pozwoliła mi nic zasadzić. Zdecydowała, że to będzie plac zabaw dla dzieci. Ma być tylko trawa, żeby mogły sobie biegać na świeżym powietrzu. Za to działkę dostałem na własność. Wiesz, to był nasz azyl, kiedy mieszkaliśmy jeszcze w bloku. Ale od czasu przeprowadzki właściwie tylko ja tam jeżdżę. I dobrze. Wydaje mi się, że każdy mężczyzna powinien mieć takie miejsce, gdzie może robić to, co chce. Majsterkować, pracować fizycznie, naprawiać rzeczy, a od czasu do czasu coś zepsuć – opowiadał Lupa, kręcąc się przy ekspresie. Włączył maszynę, która pracowała z głośnym brzęczeniem, właściwie uniemożliwiającym rozmowę.

Policjant rozlał kawę do filiżanek i postawił je na blacie oddzielającym część kuchenną pomieszczenia od jadalni. Stały przy nim wysokie barowe stolki. Mortka usiadł na jednym, a Lupa podał mu pełną cukiernicę i łyżeczkę.

– Wiem, że dużo słodzisz. Jakby zabrakło cukru, to się nie krępuj. Mamy w domu jeszcze ze dwa kilogramy.

– Bardzo śmieszne.

Lupa wyszczerzył zęby w odpowiedzi i zabrał się do robienia jajecznicy. Rozbełtał jajka nożem i wlewał zawartość na patelnię, na której skwierczało już masło. Skorupki lądowały w zlewie.

– Kanapki?

– Wystarczy chleb z masłem – odpowiedział Mortka, wysypując do filiżanki trzecią łyżeczkę cukru.

Lupa ukroił im po dwie kromki, posmarował i położył na talerzu. Obok wylądowała jajecznica. Podał Mortce jego porcję i zaczął jeść.

– Twoja żona nie wyglądała na zadowoloną – powiedział Mortka.

– Aha... Agnieszka to dobra kobieta, ale nie do końca rozumie moją pracę. Kręci ją to, że ma męża policjanta, który łapie przestępców. A jak zacząłem pracować w CBS, to aż piszcziała z radości. Tylko że równocześnie chciałyby, żebym był w domu o szesnastej, a potem przykładnie zajmował się dziećmi, gotował obiady i inne takie.

Przerwał mówienie, żeby zjeść pół kromki chleba. Mortka pomyślał, że z nim i Olą było podobnie. Najpierw ekscytacja, a potem rosnące z każdym miesiącem wspólnego życia pretensje o to, że nie ma go w domu, że nie poświęca czasu chłopcom, że jej nie wspiera. A wreszcie długie dni gniewnej ciszy i ciągłe pretensje o wszystko.

– No i ma skrzywienie po pracy przykrywkwca – ciągnął Lupa. – Od razu się denerwuje i dręczy, czy znowu się w coś nie wpakowałem.

– Jeśli się denerwuje, to czemu nie zadzwoniła?

– Mówię ci przecież, skrzywienie po pracy przykrywkwca. Nauczyła się wtedy, że nie może do mnie dzwonić.

Mortka pokiwał głową.

– To naprawdę tak mocno tkwi w człowieku? – zapytał.

– Nawet sobie nie wyobrażasz – odpowiedział Lupa.

Skończyli jeść. Policjant zebrał naczynia i schował je do zmywarki.

– Pójdę wziąć prysznic – powiedział. – Też będziesz chciał?

– Nie. Nie mam ciuchów na zmianę.

- Coś ci pożyczę.
- Jesteś ode mnie niższy.
- Niedużo.
- Nie, dzięki. W ciągu dnia podskoczę do siebie.
- Dobra, nie nalegam. Zajmie mi to parę minut. Potem zastanowimy się, co dalej.

Mortka dał mu dłonią znak, żeby już sobie poszedł, i sam stanął przy przeszkłonych drzwiach do ogrodu. Słyszał, jak Lupa wchodzi na piętro i zamyka drzwi łazienki. Chwilę potem doszedł go dźwięk odkręcanej wody.

Przyglądał się intensywnie zielonej trawie, na której ostatnie krople rosy błyszcząły w majowym słońcu, i pomyślał, że zazdrości Lupie. Nie tylko tego domu, ale przede wszystkim ułożonego, w miarę spokojnego życia z żoną, dziećmi, działką i niedzielnymi obiadami. Z rosółem i schabowym zamiast różnych wynalazków wyciąganych z zamrażarek w supermarketach.

Może on też powinien tak zrobić? Nie odchodzić z policji, ale poprosić o przeniesienie do jakiegoś mazowieckiego miasteczka, gdzie największymi problemami są dzieciaki handlujące pokątnie marihuaną, rzadkie kradzieże samochodów i pijackie bójki w piątkowe wieczory. Idealne miejsce, żeby zacząć wszystko od nowa. Spokojnie i powoli. Może naprawdę powinien tak postąpić? A może gdyby tak zrobił kilka lat wcześniej, uratowałby swoje małżeństwo i teraz miałby to samo co Lupa – domek jednorodzinny w cichej okolicy, ogródek z trampoliną, na której szaleliby Andrzej i Michał, oraz Olę przy swoim boku. A w nocy, kiedy nie byłoby nic słychać, nawet przejeżdżających samochodów, kochaliby się i zasypiali wtuleni w swoje zapachy.

– Jeszcze jesteście?

Drgnął zaskoczony i lekko zawstydzony tym, że ktoś go podszedł podczas takich rozmyślań.

Agnieszka Lupa weszła do kuchni i wyjęła torebkę z fusami z ekspresu.

– Tak. Jesteśmy – powiedział i kaszlnął, kiedy zdał sobie sprawę, że zaczął piszczeć jak nastolatek złapany na masturbacji. – Lupa bierze prysznic.

– Słyszę – powiedziała, wyrzucając torebkę z fusami do śmieci. – Gdzie byliście?

– Dzisiaj w nocy?

– Tak.

– W szpitalu.

Podniosła głowę znad zlewu i spojrzała w kierunku Mortki.

– Coś się stało?

– Tak. Ale nie mogę powiedzieć co.

– Tajemnica śledztwa? – zapytała agresywnie kpiącym tonem.

– Tak.

Wzruszyła ramionami, dając znak, że nie zamierza o nic więcej pytać, bo zupełnie jej to nie obchodzi.

– Zrobić ci kawę?

Podniósł i pokazał jej trzymaną w dłoni filiżankę. Kiwnęła głową i zajęła się wyjmowaniem skorupek ze zlewu i wrzucaniem ich do śmietnika.

– Znajdziecie tego mordercę?

– Tak. Oczywiście, że znajdziemy.

Westchnęła.

– Nie mów tak do mnie.

– Jak?

– Tak jak mówisz do byle przestraszonej kobiety. Pytam na serio.

– Są na to szanse – odpowiedział po namyśle.

- Jak duże?
- Średnie.
- Dziękuję.

Nalala na gąbeczkę trochę płynu do mycia i zabrała się do czyszczenia zlewu. Kilka kosmyków włosów opadało jej co kilka sekund na czoło i musiała odgarniać je przedramieniem.

– Pytam dlatego – zaczęła – że przy odrobinie szczęścia, jeśli udałoby się wam go szybko dorwać, Boguś być może mógłby wrócić do CBŚ.

Mortka zmarszczył brwi.

– Do CBŚ?

– Oczywiście. Przecież przysłali go tutaj za karę. Tak samo jak ciebie. Tylko ciebie na kilka miesięcy, a my tutaj najwyraźniej utkwiliśmy do końca życia. Teraz próbuje mi to wynagrodzić tym domem, ale... – Machnęła dłonią i kilka kropel piany z gąbki pofrunęło na kuchenne blaty. – Szkoda gadać.

– Myślałem, że prosił o przeniesienie tutaj.

Przerwała sprzątanie i spojrzała na niego zdziwiona.

– Prosił? Boguś? Nie! Kto ci naopowiadał takich bredni? On?

– Nie – skłamał. – Jakiś kolega z pracy.

– No tak.

– Za co go ukarano?

– Coś poszło nie tak podczas ostatniej operacji, w której brał udział w biurze. Ale nie powiedział mi co, bo – zgięła w powietrzu palce, robiąc znak oznaczający cudzysłów – tajemnica śledztwa. I tak trafiłszy tutaj – dokończyła, wzdychając. – A ty kiedy wracasz do prawdziwego świata?

– Niedługo.

– Szczęściarz.

– Chyba że mnie tutaj przytrzymają w związku z tymi morderstwami.

– Oby nie. A to w ogóle możliwe?

– Nie wiem. Chyba tak.

Lupa zszedł na dół. Głowę miał mokrą. Ubrał się w czyste rzeczy i szczyrzył się, jakby woda zmyła z niego całe zmęczenie i ból.

– O! Aga. Wróciłaś?

– Tak, kochanie – powiedziała kwaśno, uśmiechając się przy tym szeroko. Był to jeden z tych uśmiechów, od których zaczynają się małżeńskie kłótnie.

Lupa stanął przy kuchennym blacie. Przypatrywał się żonie, która dalej sprzątała, udając, że nie widzi męża. Oparł się rękami o stołek barowy. Prawdopodobnie zastanawiał się nad tym, co ma jej teraz powiedzieć, jak się zachować, ale nagle jakby zrezygnował. Kiwnął palcem na Mortkę i wskazał drzwi.

– Muszę iść do pracy – powiedział.

– Oczywiście, że musisz.

– Być może wrócę dopiero na kolację.

– Oczywiście, że tak.

Lupa zacisnął pięść i natychmiast ją rozluźnił. Podeszedł do żony, położył swoje dłonie na jej ramionach i delikatnym, ale pewnym ruchem obrócił ją do siebie.

– Kocie...

Najpierw patrzyła na niego zirytowana, potem zmarszczyła brwi, aż wreszcie kąciki jej ust lekko się uniosły.

– To lubię – powiedział Lupa i pocałował ją mocno, a potem przytulił.

Mortka nie chciał im przeszkadzać ani dalej przypatrywać się jak podglądacz tej chwili bliskości dwojga dorosłych ludzi. Cicho, niemal bezszelestnie wyszedł na zewnątrz. Oparł się łokciami o płot i wyciągnął twarz w stronę wiosennego słońca.

Lupa wyszedł z domu po mniej więcej pięciu minutach. W żaden sposób nie skomentował swojego małego starcia z żoną, więc Mortka również się nie odzywał.

– Co teraz? – zapytał policjant.

– Nowak – odpowiedział Mortka. – Sprawdźmy jego mieszkanie.

Zanim otworzył drzwi, bardzo długo przypatrywał się obu zamkom. Chciał się upewnić, że nikt się nie włamał do środka w ciągu nocy, tak jak włamano się do pokoju Olgi. Nie dostrzegł jednak żadnych śladów użycia wytrychu. Otworzył kluczem, który poprzedniego dnia zabrał Nowakowi, i weszli.

W środku nic się nie zmieniło od czasu, kiedy opuścił lokal w towarzystwie sanitariuszy i leżącego na noszach lekarza. Drzwi od ubikacji wciąż były otwarte, w środku ciągle paliło się światło. Kłapa od spłuczki była odsunięta, a na podłodze leżały woreczki z heroiną.

Mortka położył na komodzie w przedpokoju pudełko z kupionymi wcześniej w drogerii gumowymi rękawiczkami. Wyjął parę, podał Lupie, a sam założył drugą. Lupa z kolei wyciągnął z kieszeni zabraną z domu aparat cyfrowy.

– Wiesz, że to, co robimy, jest nielegalne? – zapytał.

– Jeśli mamy rację, to Zagajewski nam potem wszystko podpisze.

– A jak nie?

– A jak nie, to dostaniemy papier chociażby ze względu na prochy.

Lupa skończył zakładając rękawiczki i poruszył palcami we wszystkie strony, żeby lepiej się ułożyły. Potem podniósł torebkę z narkotykiem i położył ją na swojej otwartej dłoni.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Mortka.

– A ty?

– Nie jestem ekspertem, ale przechodziłem parę szkoleń.

– Jak wszyscy.

– Właśnie. Według mnie to heroina. Bardzo czysta.

– Tak.

– Ktoś to sprzedaje w Krotowicach?

Lupa potrząsnął głową.

– Tylko czeska maryśka i nasza amfa. Nie pamiętam przypadku, żebyśmy złapali kogoś z czymś twardszym. Może w Jeleniej...

– Tak myślałem. Aneta opowiadała, że na tej farmie więzionym dziewczynom podaje się narkotyki. Mogą je uzależniać od hery. To przecież lepsze niż jakiegokolwiek kajdany.

– I to od tych facetów Nowak miałby dostać towar?

– Dostać lub podprowadzić.

Lupa odłożył torebkę i zrobił jej dwa zdjęcia. Mortka w tym czasie szybko zajrzał do wszystkich pokoi.

– Od czego zaczynamy?

– Duży pokój.

– Dobra.

Przeszli do salonu jakby wyjętego prosto z katalogu Black Red White. Wszystkie meble wyglądały na względnie nowe, mało zniszczone i w miarę eleganckie. Zaczęli przeszukiwać szafki i szuflady. Większość była pusta. Opróżniono je co najmniej kilka miesięcy temu, na co wskazywała gruba warstwa kurzu, którego nikt nie ścierał.

- Co się stało z żoną Nowaka?
- Odeszła i zabrała dzieciaki.
- Dlaczego?
- Nie mówił.

– Ciągłe nosił obrączkę.

– Bo się nie rozwiedli. Wiesz, ona jest głęboko wierzącą katoliczką.

To tłumaczyło wiszące w każdym pokoju krzyże – małe i dyskretnie umieszczone tuż nad drzwiami. Krucyfiksu nie było w ubikacji.

– Znalazłeś coś? – zapytał Mortka.

– Nie. Tylko jego ubrania.

Komisarz zabrał się do otwierania kolejnej szuflady i przerzucanie znajdujących się tam koszulek.

– Rozmawiałem z Agnieszką – zaczął ostrożnie Mortka – powiedziała, że nie przeniesiście się tutaj dobrowolnie, ale przysłano cię tu za karę.

Lupa przestał wyrzucać T-shirty i odwrócił się do Mortki. Nie wyglądał na zdziwionego.

– Bo ona myśli, że tak to się właśnie odbyło – stwierdził spokojnie, a w jego głosie można było usłyszeć wesoły ton.

– Dlaczego?

– Bo tak jej to sprzedawałem. – Lupa westchnął. – Ty jej nie znasz, Kuba. Ale to miejska dziewczucha. W życiu by się tutaj dobrowolnie nie przeniosła. A musieliśmy zamieszkać w jakimś spokojniejszym miejscu. Inaczej moja rodzina by nie przetrwała. Niestety... Zrobiłem więc to, co trzeba było zrobić. Okłamałem własną żonę.

Mortka poczuł się niezręcznie z powodu tego nagłego i szczerzego wyznania. Pożałował, że w ogóle poruszył ten temat.

– Mam nadzieję, że nic jej nie wygadałeś?

– Mogłem coś chlapanąć – wyznał z ociąganiem komisarz. – Ale zwałem to na plotki w pracy.

– Kurwa... – mruknął Lupa. – Dobra. Potem się będę tym przejmował. Jeśli w ogóle będzie czym.

Lupa otworzył barek, zrobił wielkie oczy i pokiwał z uznaniem głową. Machnął do komisarza i pokazał mu stojące ciasno obok siebie rzędy butelek wina, whisky i koniaku. Dowody wdzięczności, których Nowak nie zdążył wypić. Ojciec Mortki miał podobną kolekcję. Nazywał ją „armią Napoleonów” i śmiał się głośno, ilekroć powtarzał ten dowcip.

Mortka przeszukał ostatnią szufladę w swojej części pokoju i przeszedł do łazienki. To było niewielkie pomieszczenie, którego niemal połowę zajmowała duża narożna wanna, a resztę pralka i umywalka. Z trudem dało się tam poruszać. Znalazł szczoteczkę do zębów, pastę, kilka męskich kosmetyków, gołarkę, mydło w płynie i płyn do dezynfekcji. Nic, co by zwracało jakąkolwiek uwagę. Kucnął i przysunął się do wanny. Zaczął dokładnie oglądać ceramiczne kafelki, którymi ją obudowano, równocześnie je ostukując, aż znalazł jeden, który się poruszył. Próbował go zdjąć, ale nie dał rady. Wstał, poszedł do kuchni i wrócił z nożem stołowym. Wsadził ostrze w niewielką szczelinę i zaczął nim ruszać. Wreszcie udało mu się podważyć kafelek. Był zaczepiony na magnesy. To częste rozwiązanie, ma zapewnić hydrauliczom dostęp do instalacji bez konieczności niszczenia glazury.

Zajrzał do środka, przyświecając sobie komórką. Dostrzegł błysk folii. Wsadził ramię do dziury i wyciągnął spod wanny reklamówkę. Wewnątrz znajdowały się opakowane w woreczki zwitki banknotów. Wyrzucił je na podłogę i podniósł jeden. Euro. Widział na nominałach cyfry 10 i 20. Nie potrafił ocenić, ile łącznie było tutaj pieniędzy.

Zadzwoił jego telefon. Odebrał szybko, nie patrząc na wyświetlacz.

– Mortka.

– Kuba. Tutaj komendant Zajda. Gdzie jesteś?

Zawahał się na ułamek sekundy.

– W domu.

– Przyjedź na komisariat. Musimy porozmawiać.

– O czym?

– O twoim raporcie z zatrzymania Lucasa.

– Nie mam tam nic do dodania ani zmienienia.

– Przyjedź na komisariat – powiedział ostro Zajda.

– Nie mogę. Źle się czuję. To chyba grypa.

Rozłączył się i wsadził telefon do kieszeni. Kolejny dzwonek. Wyjął aparat. Numer Zajdy. Odrzucił połączenie, wszedł w menu telefonu i wyłączył dźwięk.

– Kto to był? – zapytał Lupa, który skończył już pracować w salonie.

– Zajda.

– Aha. Znalazłeś coś?

Mortka odsunął się, żeby policjant mógł zobaczyć pieniądze. Lupa gwizdnął przeciągle.

– Ile tego jest?

– Nie liczyłem jeszcze.

Lupa zagryzł dolną wargę.

– Co z tym robimy?

– A co masz na myśli?

– Że trzeba by to komuś pokazać. Zawieźć na komisariat.

– I powiadomić Zajdę o tym, co się dzieje? – zapytał Mortka. – Boję się, że mamy za mało, by pchnąć sprawę we właściwym kierunku.

– Mamy heroinę i kasę.

– Heroina to nie jest twardy dowód. Zawsze można twierdzić, że Nowak był zwykłym ćpunem. Nawet wśród lekarzy może się coś takiego zdarzyć. A pieniądze? To już nie te czasy, kiedy zakazywało się trzymania dewiz osobom prywatnym.

– A jeśli się mylimy? – rzucił Lupa. – Jeśli Zajda nie ma z tym nic wspólnego?

Mortka wstał i otrzepał spodnie.

– Mam nadzieję, że tak jest. Ale chciałbym mieć w ręku coś solidniejszego – powiedział, wychodząc z łazienki.

Zauważył leżący w koszyku przy drzwiach telefon Nowaka. Podniósł aparat. To był Samsung. Chwilę zajęło mu, zanim się zorientował, jak wyłączyć blokadę klawiatury.

– Telefon. Sprytne. Moglibyśmy wystąpić o dane ze stacji bazowych sieci komórkowej i w ten sposób odtworzyć ruchy Nowaka – zaproponował Lupa.

– To zajmie wieki – odpowiedział Mortka.

Wszedł w rejestr rozmów. Odebrane telefony. Tylko jedno połączenie z dnia, kiedy zamordowano Olgę. Wyciągnął swój aparat i wpisał numer. Zadzwoił. Połączenie odebrano po pięciu sygnałach.

– Hurtownia odzieży używanej Ciuchhurt.

Jego mózg pracował błyskawicznie.

– Dzień dobry. Jestem właścicielem lumpeksu. Chciałem się zaopatrzyć. Sprowadzacie towar z zacho-

– Eee... Tak. Z Niemiec i Anglii.

– No i znakomicie. Kiedy można do was podskoczyć po towar?

Dwie sekundy ciszy.

– Wie pan, my dawno nie mieliśmy dostawy.

– To nieważne. Na pewno coś znajdę – powiedział, wyciągając notatnik i długopis. – Jaki jest wasz adres?

– Ale my naprawdę...

– Tak na przyszłość. Jak będzie dostawa.

– Fabryczna 31, ale nie ma teraz po co przyjeżdżać.

Przerwał połączenie. Podał Lupie kartkę pod nos.

– Znasz tę ulicę?

– Tak – odpowiedział komisarz po chwili zastanowienia – to na peryferiach miasta. Właściwie nie wiem, czy to dalej Krotowice. Co to za miejsce?

Mortka ściągnął gumowe rękawiczki i wsadził je do tylnej kieszeni spodni.

– To, do którego właśnie jedziemy – powiedział.

Ulica Fabryczna nie zasługiwała na swoją nazwę. Już od dawna nie było tutaj żadnego przemysłu. Budynek niedziałającej fabryki dywanów jeszcze jakoś się trzymał, ale wszystko inne szło w ruinę. Stare, rozsypujące się budynki groziły w każdej chwili zawaleniem, o czym zresztą ostrzegały odpowiednie tabliczki. Stanowiły one jedyne zabezpieczenie, jakie stosowano. Każdy pijak czy dzieciak mógł do nich wejść i dostać w łeb spadającą z sufitu cegłówką. Kiedyś były chyba otoczone płotem, ale ten został ukradziony przez złomiarzy. Pozostały po nim tylko porzewiałe słupy, których najwyraźniej nie udało się nikomu wykopać z ziemi.

Pod numerem 31 znajdował się jedyny budynek, który wyglądał jako tako – parterowy magazyn z czerwonej cegły, otoczony betonowym płotem.

– Co tutaj się mieściło? – zapytał Mortka, ocierając pot z czoła. Zrobiło się duszno, a w oddali widać już było zbierające się ciemne, groźne chmury.

– Infrastruktura pomocnicza dla fabryki dywanów. Garaże, magazyny, warsztaty – odpowiedział Lupa, stukając palcem w kierownicę. – Myślisz, że to tutaj?

– Pasowałoby. Magazyn oddalony od budynków mieszkalnych, nie zwraca na siebie uwagi. Teoretycznie sprowadzają odzież używaną z Niemiec, więc ciężarówki i samochody na tamtejszych blachach nie będą budzić niczych podejrzeń. Ot, kolejny transport.

Lupa chrząknął.

– Kiedy mówiłeś o farmie, to wyobrażałem sobie stare gospodarstwo rolne. Ale tak, ta hurtownia też pasuje. To co, chcesz się tam rozejrzeć?

– Byłoby dobrze.

– Sprowadzamy pomoc?

– Ciągłe mamy tylko podejrzania. Nic więcej.

– Czyli pójdziemy tam tylko we dwóch?

– Tak, ale ostrożnie. Tylko żeby się rozejrzeć. Bez szaleństw.

Lupa przez chwilę bił się z myślami. Wreszcie kiwnął głową.

– Masz broń? – zapytał.

– Tak. A ty?

– Oczywiście.

Wyszli z samochodu i ruszyli w stronę bramy.

– Kurwa. Gdybym wiedział, że tak to będzie wyglądać w tych Krotowicach, to zostałem w CBS – mruknął Lupa pod nosem.

– Tam była spokojniejsza robota?

– No ba!

Z budki przy bramie wychylił się mężczyzna w dresowej bluzie z kapturem. Był łysy, miał lekki zarost na twarzy i niewielkie zaczerwienione oczka, jakby całą noc siedział przed komputerem czy telewizorem.

– Dzień dobry. Komisarz Bogdan Lupa, policja – powiedział policjant, pokazując odznakę. – To mój kolega, komisarz Mortka. Jest właściciel?

Łysy przypatrywał się to Mortce, to Lupie, intensywnie przy tym myśląc.

– Kierownik?

– Może być.

– Jest – powiedział łyśy. – A o co chodzi?

– O to chodzi, że chcemy z nim pogadać. I tyle, kurwa – powiedział Lupa, przysuwając się do łysego i patrząc na niego groźnie. Mężczyzna odwrócił głowę w bok. Na karku miał wytatuowaną pajęczynę.

– Dobra, dobra – mruknął. – Zaraz go przyprowadzę. Panowie poczekają.

Łyśy poszedł szukać szefa. Mortka przeszedł przez bramę i stanął przy budce. Na zbudowanym z nierówno położonych betonowych płyt parkingu stały dwa auta osobowe i jedna ciężarówka z niebieską naczepą, na której namalowano pelikana niosącego rybę w dziobie. Napis poniżej był tak stary i zniszczony, że komisarz nie potrafił go odczytać.

Strażnik wrócił w towarzystwie korpulentnego, niskiego mężczyzny o spoconej twarzy.

– To panowie są z policji? – zapytał, przyspieszając kroku. Dyszał przy tym, jakby zaraz miał dostać zawału.

– Tak. Komisarz Bogusław Lupa, to mój kolega Jakub Mortka.

– Mieczysław Bielski – przedstawił się grubasek i otarł czoło wyciągniętą z kieszeni chusteczką. – Chwila... Lupa, tak?

– Tak.

– Żona Agnieszka?

– Tak.

– Znam. Znam. Nasze dzieci chodzą do jednej klasy.

– Naprawdę?

– No. Mój to Adaś. Wie pan, ten straszny łobuz.

– Żona chyba rzeczywiście coś wspominała. Ale mówiła też, że choć Adaś to łobuz, to również fajny chłopak.

– No fajny, fajny, ale mógłby się lepiej uczyć. Dobrze, panowie, w czym mogę pomóc?

Lupa spojrzał na Mortkę, który prawie niedostrzegalnie kiwnął głową.

– Mamy prośbę – odpowiedział komisarz. – Chcielibyśmy się u pana tutaj trochę rozejrzeć.

– Ale po co? – zapytał podejrzliwie Bielski.

– Głupia sprawa, ale nie mam pojęcia. Dostaliśmy rozkaz z góry i lokacje do sprawdzenia. Cholera wie, co oni kombinują w tej Jeleniej – skłamał Lupa. – To co, można? Pięć minut i już nas nie będzie.

– Sam nie wiem.

Lupa zmienił wyraz twarzy, postawę, ton głosu. Przestał być miłym policjantem z sąsiedztwa, a stał się groźnym, śmiertelnie poważnym gliniarzem.

– Proszę mi nie kazać wracać tutaj z prokuratorskim nakazem – powiedział twardo. – To nam obu bardzo, ale to bardzo utrudni życie. Panu bardziej niż mnie. Bo wie pan, jak będziemy mieli nakaz, to wywrócimy tutaj wszystko na drugą stronę.

Bielski walczył sam ze sobą przez kilka długich sekund, aż machnął ręką.

– Dobra. Idźcie. Tylko nie zróbcie mi bałaganu.

– Ktoś tu jest jeszcze oprócz pana?

– Kamil w biurze. Je drugie śniadanie.

– Rozumiem.

Minęli Bielskiego i poszli do magazynu. Po przejściu kilkunastu kroków Lupa zwolnił, żeby zrównać się z Mortką.

– Co robią? – zapytał.

Komisarz rzucił okiem za siebie.

– Gadają przy budce.

– Patrzyli na nas?

– Tak.

– Dobra. Wchodzimy tam. Ja zabezpieczam wejście, ty badasz magazyn i spadamy stąd najszybciej, jak się da – powiedział Lupa.

– Jest tam jeszcze jeden facet.

– Albo i więcej. Nie wiem, czy ten Bielski mówił prawdę.

Stanęli przy drzwiach.

– Naprawdę chcesz się w to bawić? – zapytał Lupa.

Mortka spojrział w stronę bramy. Bielski ciągle rozmawiał z łysym. Gorączkowo przy tym gestykulował. Nie wyglądało to dobrze. Komisarz pomyślał, że gdyby teraz stąd po prostu odeszli, powiedzieli, że coś im się pomyliło, to najprawdopodobniej nic złego się już nie wydarzy. A jeśli wejdą do tego magazynu, zdarzyć się może wszystko.

Ale to mogło być to. Farma.

Minął Lupę i wszedł do środka. Znalazł się w niewielkim pomieszczeniu oddzielnym od reszty budynku gipsowymi ścianami. W środku były jeden komputer, kasa fiskalna i półka z niechlujnie ułożonymi segregatorami. Jakiś facet zastygł na krześle, z kanapką w pół drogi do ust.

– Kim jesteście?

– Policja. Proszę sobie nie przeszkadzać – powiedział Mortka i przeszedł dalej, do magazynu.

Lupa wszedł za nim. Uspokoił faceta od kanapki kilkoma słowami, których komisarz już nie usłyszał.

Był w hali, której środkiem biegł rząd podtrzymujących dach żeliwnych słupów. Pod ceglany, pokrytymi ciemnym nalotem ścianami leżały po dwie wielkie sterty starych ubrań: bluz, dzinsów, koszulek, bielizny. Ale żadnych więzionych kobiet. Nikogo, kto potrzebowałby ich pomocy. Tylko zapach środków przeciw molom.

Lupa zamknął drzwi od części biurowej. Stał przy nich, z dłonią położoną na kaburze pistoletu.

– Idź sprawdzić resztę – powiedział.

Mortka ruszył między sterty ubrań. Jego kroki odbijały się miękkim echem od ceglanych ścian i betonowej podłogi. Wreszcie pomiędzy jedną stertą a drugą dostrzegł stalową, brudną klapę, częściowo przysłoniętą ubraniami. Podbiegł tam z bijącym sercem. Odrzucił ubrania. Kłapa była zamknięta na solidny, mocny skobel. Odciągnął go i otworzył wejście.

Buchnęła w niego ciepła, piwniczna wilgoć o zapachu grzybów. Mortka rozejrzał się szybko. Lupa ciągle stał przy drzwiach od biura, trzymając warte. Nic podejrzanego się nie działo.

Komisarz zszedł po stalowej drabinie do piwnicy. Odnalazł przełącznik na ścianie i włączył światło. Nieprzyjemny, mdły, lekko błękitny blask zawieszonych pod sufitem świetlówek rozjaśnił korytarz.

Piwnicę podzielono na kilka mniejszych pomieszczeń. Mortka sprawdził szybko wszystkie. Każde było puste. Znajdowały się tam tylko stare skrzynie, ustawione pod ścianą kartony i jeszcze jedna sterta ubrań. Te jednak już zawiłgotniały i nadawały się tylko do wyrzucenia.

Zgasił światło i wrócił na górę. Zamknął klapę od piwnicy i zasunął skobel. Wypełniały go gniew i rozczarowanie. Pomyłki były nieodłączną częścią tej pracy. Pamiętał o tym. Ale ta wiedza w żaden sposób mu teraz nie pomagała.

Podszedł do Lupy.

– Czysto – powiedział, siląc się na to, żeby zachować spokój.

Razem opuścili magazyn. Lupa podziękował Bielskiemu za pomoc i zamienił z nim jeszcze kilka słów, kiedy zawiedziony Mortka wsiadał do samochodu. Po chwili dołączył do niego komisarz.

– Czyli to nie tutaj.

– Nie tutaj – powiedział ponuro Mortka i uderzył pięścią w dach toyoty. – Kurwa mać!

– Ej, spokojnie.

– Byłem prawie pewien! Na cholere Nowak tutaj dzwonił?! Co, chciał kupić używane ciuchy w hurcie? Widziałeś przecież te eurosy, stać go było na parę nowych koszul!

– Nie wiem, Kuba, po co tutaj dzwonił. Jak się obudzi, to będziesz mógł o to zapytać – odpowiedział zirytowany Lupa i uruchomił silnik.

Ruszył powoli. Przejechał obok magazynu, zawrócił i skierował się z powrotem do miasta. Mortka bezgłośnie wypowiadał kolejne przekleństwa.

– Co teraz? – zapytał po chwili ciszy Lupa.

– Nie wiem.

– Jedziemy do USA?

– Nie mam ochoty teraz odwiedzać baru. Żadnego.

– A ja bym się napił piwa. Posiedział i pomyślał nad tym, jak powinniśmy teraz postąpić. I czy w ogóle to, co teraz robimy, ma jakikolwiek sens.

Mortka dał znak dłonią, że się zgadza. Innym wyjściem były odwiedziny na komisariacie albo samotne siedzenie w mieszkaniu i wpatrywanie się tępo w ścianę. Ani na jedno, ani na drugie nie miał najmniejszej ochoty.

– Ale nie do USA, proszę.

– U mnie nie można. Wkrótce wracają dziewczynki, a Aga ma świra na punkcie picia przy dzieciach. Totalny zakaz. Nawet jednego piwka.

– Można u mnie.

– Dobra. Może być u ciebie – powiedział Lupa, kiedy mijali pierwsze budynki mieszkalne w Krotowicach.

Zajda spojrział na zegarek. Dochodziła godzina piętnasta, a ani Mortka, ani Lupa nie pokazali się jeszcze na komisariacie. Co więcej, żaden z nich nie odbierał telefonu. Komendant w normalnej sytuacji zapewne byłby wściekły i rzucał mięsem na widok każdego, kto mu się napatoczy, ale teraz jego położenie stało się tak tragicznie złe, że aż zaczynało to być zabawne.

Przypomniał sobie Andrzejewskiego i ich pierwsze spotkanie na początku lat dziewięćdziesiątych w Szczytnie. Zaprzyjaźnili się, jak tylko mogą się zaprzyjaźnić dwaj mocno różniący się od siebie mężczyźni o różnych celach i ambicjach, którzy wiedzą, że ich losy potoczą się tak odmiennymi torami, że w przyszłości będą mogli sobie tylko pomóc. Nigdy zaszkodzić. Andrzejewski sięgał wysoko. Nigdy nie powiedział tego głośno ani nikomu się do tego nie przyznał, ale według powszechnej opinii widział siebie w przyszłości w fotelu komendanta głównego policji. Był łatwo emocjonującym się chłopakiem, który większość czasu spędzał z nosem w książkach. Interesował się nową nauką, czyli informatyką, oraz jej zastosowaniami w pracy śledczego. Potrafił godzinami tłumaczyć każdemu, kto tylko chciał go słuchać, że właśnie teraz rodzą się w Polsce zupełnie nowe rodzaje przestępczości, a policja nie tylko nie dostała narzędzi do ich zwalczania, lecz co gorsza, mentalnie tkwi w poprzednim ustroju.

Przyszłość pokazała, że miał rację.

Zajda z kolei był zupełnie inny. Nie interesowały go olśniewająca kariera i kolejne znaczki na pagonach. Chciał tylko nieźle zarabiać i mieć swój świat, który mógłby w pełni zrozumieć i nad nim panować. Pochodził ze wsi, zresztą nigdy się tego nie wstydził, i w głębi duszy pozostał prostym, zaradnym, wiejskim chłopakiem. Po szkole w Szczytnie trafił do Krotowic. Andrzejewski nie wytrzymałby tutaj więcej niż pół roku. Uduśliłby się. Ale Zajdzie się od razu spodobało to miasteczko skryte w Kotlinie Jeleniogórskiej.

Z czasem, jak się okazało, wraz z kolejnymi przegranyymi starciami z policyjną machiną ambicje Andrzejewskiego malały, a Zajdy tymczasem rosły.

Zaczęło się od pierwszego wezwania, na które Zajda pojechał sam. Grupa pijaków, świeżo zwolnionych z pracy w fabryce dywanów, awanturowała się na miejskim deptaku. Zaczepiali ludzi, krzyczeli,

przeklinali, a każdemu, kto im zwracał uwagę, grozili pięściami. Pamiętał, że długo wtedy siedział w samochodzie, skryty w cieniu, tak że pijacy nie widzieli radiowozu, i pomyślał, że Andrzejewski miał rację. Rodziła się nowa przestępczość. Tyle że Andrzejewski miał na myśli mafię, zorganizowane bandy, przekręty gospodarcze. Zajda stanął w oko w oko z zupełnie innym zagrożeniem – tabunem pozbawionych nadziei młodych bezrobotnych, którym bezpieczny, wydawałoby się, świat zawałił się właśnie na głowy. Był przerażony, bo widział w ich oczach, gestach, ruchach, że mundur nie stanowi dla nich świętości. Oplują go, przeklną, a na koniec pobiją. Mogli to zrobić, czuli, że potrafią, że ujdzie im to na sucho. Czasy, kiedy milicjant był bogiem, minęły, PRL się skończyła, co boleśnie odczuli na własnej skórze, a policjant stał się zwykłym psem. Psy zaś trzyma się na łańcuchu i leje kijem, jeśli za głośno szczekają. A potem Zajda pomyślał, że jeśli Krotowice naprawdę mają być jego, jeśli naprawdę ma nad tym miastem zapanować, to nie może dać się pokonać na samym początku drogi. W jego sercu pojawiła się iskra złości, która wkrótce zamieniła się w płonące wściekle ognisko. Wysiadł z radiowozu i trzasnął mocno drzwiami, tak głośno, żeby na pewno go usłyszeli i zauważyli. Poszedł do nich, wyprostowany, dumny i groźny. A oni, sam w to nie wierzyli, przestraszyli się go. Pięciu dorosłych, agresywnych facetów w jednej chwili zmieniło się w garstkę uczniaków, których rodzice przyłapali na paleniu. Wlepił każdemu po mandacie i kazał wracać do domów. Posłuchali go.

Szybko się rozniosło, że w mieście pojawił się nowy glina. Taki, z którym nie było żartów. Był sprawny i skuteczny. Zwrócił na siebie uwagę przełożonych i zaczął szybko awansować. Tym szybciej, im bardziej zauważano, że jego ambicje ograniczają się tylko do Krotowic. Komendanci i oficerowie z Jeleniej Góry, a potem Komendy Wojewódzkiej zorientowali się, że nie jest dla nich żadnym zagrożeniem. Zajda zaś zrozumiał, że jego mały świat graniczy i częściowo wchodzi w interakcje z innymi małymi i większymi światami. Zaczął więc zbierać kontakty, wyświadczać przysługi, zawiązywać przyjaźnie, które przydawały mu się na kolejnych etapach policyjnej kariery.

Wiedział, że podwładni za jego plecami zaczęli nazywać go „księciem”. Pozwolił im myśleć, że o tym nie wie. Podobało mu się to przezwisko. Wydawało mu się, że oddaje prawdę. Tak, Krotowice stawały się powoli jego księstwem, jego małym skrawkiem świata, który ogarniał i nad którym pannał. A potem przyszedł upragniony rozkaz z mianowaniem go na komendanta miejscowego komisariatu i Zajda z dumą uświadomił sobie, że właśnie zdobył szczyt. I nikomu już nie da się z niego zrzucić. Stał się prawdziwym księciem.

Dlatego tak bolesne były dla niego ostatnie tygodnie. Najpierw pogłoski o reorganizacji, potem groźba przeniesienia etatów, nieudane pertraktacje. Wreszcie znalezienie ciał w kopalni, słabe światelko nadziei, że dzięki tej sprawie uda mu się uratować swój komisariat i swoją pozycję w miejscowej elicie. Ale z dnia na dzień okazywało się, że to dochodzenie zmienia się w coraz większą katastrofę. Śmierć Wajtoły, śmierć Lucasa, głównego podejrzanego, kolejne morderstwo i żadnych wskazówek na temat tego, kim mógłby być zabójca. Telefony od przełożonych robiły się coraz bardziej natarczywe, a jemu zaczynało brakować sznurków, za które mógłby pociągnąć, i kłamstw, którymi mógłby ich uspokoić. Do tego raport Mortki, w którym *de facto* oskarżał Lupe i Borkowskiego o, w najlepszym wypadku, niezgodne z przepisami użycie broni. Nie chciał myśleć, co jeszcze mogło tam zająć. Ale akurat tę sprawę da się szybko i elegancko załagodzić i zamknąć. Trzeba tylko wpłynąć na komisarza, żeby zmienił w swoim raporcie jeden szczegół czy dwa. Nic wielkiego. Właściwie trudno było to nazwać kłamstwem. Mortka musiałby tylko przyznać, że pewne rzeczy mogły mu się troszkę pomieszać.

Zajda wstał od biurka i podszedł do okna. Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do Andrzejewskiego i poprosić go, żeby porozmawiał z Mortką. Postanowił jeszcze trochę poczekać. To był jego as w rękawie. Nie chciał tej karty ujawniać za wcześnie.

Westchnął ciężko i zaczął szukać paczki papierosów wśród porozrzucanych na blacie papierów. Nagle zdał sobie sprawę, że od wielu lat tak właśnie wygląda jego świat. Ograniczał się do gabinetu, tysiąca dokumentów, które trzeba było napisać, uzupełnić, poprawić, posłać dalej, tabelki, formularzy, statystyk. On sam zaś postarzał się, stracił mięśnie i sprawność fizyczną, nabrał brzuszka. Przestał być poli-

cjantem, zmienił się w zwykłego urzędnika, a jego księstwo zamykało się teraz w czterech ścianach tego pokoju.

Dość tego, pomyślał. Musiał się zmienić, wrócić do tego, co było. Zacznie od Mortki. Odnajdzie go, wciśnie mu ten jego raport głęboko do gardła i każe napisać wszystko od nowa. Tak żeby tym razem było dobrze.

Mortka zdjął kaburę z bronią, położył ją na szafce i usiadł w fotelu. Oparł czoło o rozprostowaną dłoń, podczas gdy Lupa pakował piwo do lodówki, a pizzę wsadzał do zamrażarki. Mieli ją zjeść później. Po tem policjant wyciągnął krzesło z kuchni, ustawił je w pokoju i usiadł naprzeciwko Mortki.

– Chcesz piwo?

– Później.

Lupa wstał i zaczął przechadzać się po kawalerce.

– Ładnie tutaj – zauważył. – Nie wiedziałem, że mamy takie mieszkanie na stanie. Szkoda trochę, że to parter, no i przydałoby się je trochę odświeżyć.

– Przydałoby się – powtórzył Mortka.

Myślami ciągle był w magazynie. Przypominał sobie całą wizytę, twarze pracujących tam mężczyzn. Ciągle się zastanawiał, czy coś pominęli. Czy o czymś zapomnieli? A może po prostu to nie było to miejsce?

Lupa skończył obchód po mieszkaniu i wrócił na krzesło. Poprawił kraciastą koszulę, która wysunęła mu się ze spodni, i usiadł.

– Co teraz?

– Nie wiem. Powinniśmy chyba wyciągnąć mapę, jakąś książkę adresową i wytypować miejsca do sprawdzenia. Odludne gospodarstwa, opuszczone budynki.

– Tego będzie od cholery i trochę. Stare fabryki, nawet opuszczone domy.

– Tak.

– We dwóch to nam zajmie tygodnie. Może nawet miesiące. I to nawet zakładając, że nie będziemy mieć żadnych innych obowiązków.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Więc co?

– Dalej nic nie mamy. Nie możemy z tym do nikogo pójść! Do cholery jasnej! Nasza jedyna przewaga polega teraz na tym, że ci ludzie nie wiedzą, że dotarliśmy do Nowaka. Ale to się wkrótce zmieni.

– Jeśli w ogóle istnieją jacyś ludzie.

Mortka nie odpowiedział. Zwiesił głowę i podrapał się po ciągle bolącym karku. Noc spędzoną na szpitalnym krześle będzie czuł w kościach i mięśniach jeszcze przez kilka najbliższych dni.

– A jak z twoimi kumplami z CBS? – zapytał Lupe.

– Nie miałem czasu do nich zadzwonić.

– Zrobisz to?

– Tak. Oczywiście. Ale mówiłem ci. Nie wiem, czy to w jakikolwiek sposób nam pomoże.

– Spróbuj.

W oddali zagrzmiało i na szybę spadły pierwsze, drobne jeszcze krople deszczu. Mortka próbował się skupić. Ten magazyn. Po pierwsze, pasował, po drugie, Nowak naprawdę nie miał powodu, żeby tam dzwonić. A jednak to zrobił. Dlaczego?

– A ta Aneta z Białego Płatka? Ile ona wie? – spytał Lupa.

– Niewiele.

– Pójdzie z tym do kogoś?

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą Mortka. Zupełnie zapomniał o tej kobiecie.

- Masz do niej jakiś kontakt?
- Tak. Podać ci jej numer?
- Dobrze by było.

Komisarz sięgnął do portfela i zaczął przeglądać wizytówki. Wreszcie odnalazł właściwą i podał Lupa, który natychmiast zaczął przepisywać numer do pamięci swojego telefonu.

Magazyn, znów pomyślał Mortka. Pracownicy. To jedna rzecz. Trzech mężczyzn, chociaż zawsze mu się wydawało, że w hurtowni ciuchów pracują raczej kobiety. Nie widzieli jednak żadnej. A może nie miał racji. To jednak hurtownia. Trzeba rozładowywać kontenery, przenosić paczki. Porzucił tę myśl, żeby skupić się na kolejnej – same ubrania. Rzucone byle jak, tworzące cztery wielkie stosy. Nie były posortowane, a powinny być. Koszule w jednym miejscu, bielizna damska w drugim, męska w trzecim, a jeszcze gdzieś indziej odzież dla dzieci. Tak żeby kupujący widział, co bierze. Tam zaś panował chaos. To nie była hurtownia, ale raczej... scenografia.

To słowo samo pojawiło się w jego głowie. Serce zaczęło mocniej bić, ale Mortka zacisnął wargi i próbował się uspokoić. Musiał myśleć powoli, chłodno, precyzyjnie. Hurtownia wyglądała, jak wyglądała, sprawdzili wnętrze, sprawdzili piwnice. Innych pomieszczeń nie znaleźli. Na parkingu stały tylko dwa samochody i...

– Ciężarówka – wyszeptał.

Lupa drgnął i spojrzał na niego pytająco.

– Ciężarówka – powtórzył Mortka. – Kiedy dzwoniłem do tej hurtowni, powiedzieli, że nie ma po co przyjeżdżać, bo od dawna nie mieli dostawy. Ale na parkingu stała ciężarówka. Nie sprawdziliśmy jej.

– I...

– Musimy tam wrócić.

– Chyba żartujesz.

– Musimy tam wrócić.

Mortka wstał, ale Lupa był sekundę szybszy. Poderwał się i pchnął komisarza delikatnie, niezbyt mocno, ale na tyle stanowczo, że Mortka wyładował z powrotem na fotelu.

– Poczekaj chwilę – powiedział Lupa.

– Na co?

Lupa wyciągnął broń z kabury przy pasku, odbezpieczył i wycelował. A kilka sekund później, sekund, które ciągnęły się jak wieczność, Mortka usłyszał jego zmęczony, gniewny głos.

– Nie mogłeś sobie po prostu odpuścić, prawda?

– I co teraz? Przecież mnie nie zabijesz.

Lupa, który nerwowo krążył po pokoju, przystanął i odwrócił się do Mortki.

– A dlaczego nie? – zapytał zdziwiony.

Komisarz poruszył się niespokojnie. Mniej więcej dwie minuty wcześniej Lupa, wciąż celując w niego, rzucił mu jego własne kajdanki i kazał przypiąć się do kaloryfera. Mortka przez ułamek sekundy zastanawiał się wtedy, czy nie zaryzykować i nie rzucić się na przeciwnika. Ale odległość, która ich dzieliła, była zbyt duża, a Lupa trzymał już palec na spuście. Niechętnie wykonał polecenie.

– Bo jestem policjantem, kurwa. Wiesz, jaka robi się z tego afera?

– Większa niż teraz? – zapytał Lupa. – Nie sądzę. Kuba, szambo już się wylało. Gówna może być trochę mniej albo trochę więcej, ale i tak będzie śmierdzieć na całe województwo.

– Nie uda ci się.

– Do tej pory jakoś szło. A teraz zastanówmy się – przyłożył lufę do czoła i podrapał się nią. – Samotny policjant, w obcym mieście, z problemami osobistymi i zawodowymi popełnia samobójstwo. Brzmi całkiem prawdopodobnie, prawda? Do tego dorzucę kilka opowieści o twoich czarnych myślach i może namówię Borówkę, żeby coś dodał od siebie. On niespecjalnie cię lubi, więc może się uda.

Mortka poczuł, że robi mu się sucho w gardle. Nie mógł teraz spanikować. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby się uwolnić, uciec lub obezwładnić Lupę. Ale jak to zrobić, będąc przypiętym własnymi kajdankami do kaloryfera?

– Borówka pracuje dla ciebie?

– Nie. Ale to teraz nie ma znaczenia. Powinieneś się raczej zastanawiać nad tym, co z tobą zrobię.

Mortka przełknął ślinę.

– Wiesz... – zaczął ostrożnie. – Przydałby mi się nowy samochód. I kilka innych rzeczy.

Lupa zmarszczył brwi, myśląc o tym, co właśnie usłyszał, a potem uśmiechnął się paskudnie. Na zewnętrz zrobiło się szaro, a w mieszkaniu ciemno. W tym świetle twarz Lupy przypominała groźną maskę.

– To by rozwiązywało parę problemów, prawda? – zapytał. – Zgodziłbym się, Kuba. Naprawdę bym się zgodził. Gdybym tylko cię nie znał. A tak nie jest. I wiem, że jak tylko cię uwolnię, polecisz do Zajdy, do Jeleniej czy samego Wrocławia. Nie. Nic z tego.

– Mylisz się. Nie jestem taki.

– Jesteś.

Lupa przymknął powieki, krzywiąc się równocześnie, jakby miał nagły atak migreny.

– Przykro mi, Kuba – powiedział. – Gdybym dostrzegał najmniejszą szansę na to, żeby to się dobrze skończyło...

– Jest taka szansa.

– Ja jej nie widzę.

– Ale jest...

Pukanie. Ostre i agresywne. Lupa zamarł, a potem przyłożył palec do ust. Znowu pukanie. Jeszcze głośniejsze.

– Mortka! Otwieraj! Słyszałem cię. – To Zajda stał za drzwiami.

Komisarz wiedział, że jeśli będzie milczał tak, jak nakazuje Lupa, komendant prędzej czy później sobie pójdzie. A wtedy Lupa go zabije. Jeśli krzyknie, komisarz i tak naciśnie spust. Potem najprawdopo-

dobniej ucieknie przez okno. A nawet jeśli nie, to dla Mortki nie będzie to miało najmniejszego znaczenia. Nie miał dużo czasu na zastanowienie.

– Lupa! – wrzasnął najgłośniejszym głosem, jak potrafił. – Lupa! Lupa! Lupa!

Lupa zrobił wielkie oczy. Zrozumiał. Nawet jeśli teraz zabije Mortkę, to Zajda i tak będzie wiedział, kto był sprawcą. Podobnie jak połowa bloku.

– Kurwa mać!

Stopa Lupy wylądowała na przypiętej kajdankami do kaloryfera ręce policjanta. Przedramię wykrzywiło się pod nienaturalnym kątem. Mortka jęknął dziko. Przez sekundę czuł się, jakby ktoś przejechał mu rozgrzaną do czerwoności piłą po kości. Drugą dłonią chwycił za złamaną rękę i skulił się, oczekując kolejnego ciosu.

Ten jednak nie spadł.

– Co tam się dzieje?!

Lupa otworzył okno i wdrapał się na parapet. Na krótką chwilę spojrzenia Mortki i komisarza się potkały, a potem Lupa wyskoczył.

– Otwieraj, bo pozałujesz!

Drzwi od mieszkania wygięły się. Zajda uderzył w nie jeszcze raz. Zamki puściły z trzaskiem łamanego drewna, a komendant wpadł do środka, trzymając się za bark. Zatrzymał się po kilku krokach. Zobaczył Mortkę. Wyprostował się i pobałdł.

– Co jest, do diabła?

– Kluczyki – wyszeptał komisarz. – Na szafce.

Zajda podał mu je do zdrowej dłoni. Mortka zdjął kajdanki i opadł na ziemię. Leżał skulony na podłodze, czując, jak złamana ręka pulsuje bólem i zaczyna puchnąć.

– Co tu się stało?

Mortka pokazał, że potrzebuje pomocy. Zajda podszedł do niego, a komisarz, opierając się na jego ramieniu, wstał powoli.

– Masz samochód? – zapytał.

– Tak, oczywiście.

– Dobrze.

Mortka podniósł kajdanki, schował je do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z kabury pistolet. Wyrzwał przez okno. Nie widział Lupy. Chyba nie było sensu go już gonić.

– Zbieramy się – powiedział do Zajdy. – Wytłumaczę ci wszystko po drodze.

Ciężkie krople wiosennego deszczu rozbijały się na przedniej szybie forda mondeo Zajdy. Komendant siedział bez ruchu, wpatrzony w szary, betonowy mur, który otaczał magazyn.

– To tutaj? – zapytał. – Tak blisko?

– Prawdopodobnie.

Mortka w skrócie opowiedział komendantowi o Oldze, rozmowie z Anetą, farmie, wizycie w magazynie i zdradzie Lupy. Zajda słuchał, nie przerywając ani razu, ale z chwili na chwilę zagryzał coraz mocniej wargi, a jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona.

– Wzywam chłopaków.

– Dobrze. Sprawdzę, czy ciężarówka wciąż tam jest.

Wysiadł z samochodu. Podbiegł do płotu i skulił się przy nim, kiedy już go dopadł. Zaczął się skradać do bramy. Nie słyszał nic poza deszczem. Jego złamana ręka pulsowała tępym bólem.

Kiedy dotarł do celu, ostrożnie się wychylił i stłumił przekleństwo, które cisnęło mu się na usta. Ciężarówka nie było. Zamknął oczy i powoli policzył do pięciu. Potem zerknął do budki strażniczej. Łysol

siedział zgarbiony przy komputerze i grał w jakąś grę. Mortka dostrzegł na ekranie niewielką figurę bohatera, który przemierza podziemia, a w jego stronę pędzi horda przeciwników.

Komisarz wyciągnął pistolet. Prawie kucając, podkrał się do wejścia do budki strażniczej. Drzwi były otwarte. Na parkingu nie dostrzegł żadnego innego człowieka, stał też tylko jeden samochód. Policjant zapukał we framugę. Łysy wzdygnął się i odwrócił błyskawicznie na obrotowym krześle. Na widok Mortki uśmiechnął się szeroko.

– O, pan policjant! W czym mogę teraz pomóc? – zapytał, przesadnie przytyłym, pełnym samozadowolenia głosem.

– Gdzie jest ciężarówka?

– Jaka ciężarówka?

– Ta, która tutaj stała.

– Nie pamiętam.

Komisarz podniósł pistolet tak, żeby strażnik mógł się mu przyjrzeć. Reakcja łysola była natychmiastowa. Skoczył na Mortkę, chcąc go złapać i powalić. Policjant odsunął się w bok i zamachnął dłońią z pistoletem. Kolbą trafił łysogo prosto w głowę i mężczyzna runął jak długi na ziemię. Na rozbitym czole pojawił się strumień jasnoczerwonej krwi. Mortka cofnął się na bezpieczną odległość i wycelował.

– Nie ruszaj się – powiedział na wszelki wypadek, chociaż widać było, że łysy nie zamierza wzięć stawiąc oporu.

Policjant dostrzegł kątem oka, jak podbiega do niego Zajda. Komendant na widok łysogo zatrzymał się zaskoczony.

– W tylnej kieszeni mam kajdanki – powiedział Mortka. – Wyciągnij je i przypnij go gdzieś.

Zajda chwycił łysogo za kark, wykręcając mu równocześnie rękę, a potem go podniósł. Podprowadził pod bramę i przypiął do metalowego słupka. Dopiero wtedy Mortka opuścił broń. Podeszedł do mężczyzny i kucnął przy nim.

– Jest tu jeszcze ktoś?

Łysy nie odpowiedział. Otarł tylko krew, która zalewała mu oczy. Teraz czerwony pas ciągnął się przez całe jego czoło. Wkrótce zaczął zmywać go deszcz, przez co mężczyzna wyglądał tak, jakby rozmazał mu się makabryczny makijaż.

– Gdzie jest ciężarówka?

Dalej cisza. Mortka przetarł mokre włosy i stęknął, kiedy ból w ręce się nasilił.

– Musisz coś wiedzieć – powiedział, eksponując przy tym pistolet. – Lupa nie żyje.

Łysy podniósł wzrok.

– Zabiłem go – kontynuował Mortka. Mówił cicho, spokojnie, ale wyraźnie wymawiając każde słowo. – Trzy strzały. Żaden czysty. Jeden w wątrobę, drugi w okolice nerek, trzeci w żołądek. Wykrwawił się. – Zrobił pauzę, aby upewnić się, że mężczyzna go zrozumiał. – A teraz zapytam cię jeszcze raz. Jest tu jeszcze ktoś?

– Nie.

– A gdzie są?

– Wypuściliśmy transport, więc wrócili do domów. Ja zostałem pilnować terenu.

– Ciężarówka. Gdzie pojechała?

– Do Niemiec.

– Którędy?

– Nie wiem.

– Jak dawno temu?

Łysy wzruszył ramionami i pokazał, że nie ma zegarka.

– Niedawno.
– Jest obstawa?
– Nie. Chyba nie. My się tym nie zajmujemy. Pakujemy, co trzeba, odbieramy zapłatę, a reszta to już sprawa Niemca.
– Numer rejestracyjny?
– Człowieku! Przecież nie patrzyłem nawet!
– Marka.
– Volvo albo MAN, ale sam nie wiem.
Mortka wstał i wrócił do stojącego nieopodal Zajdy. Komendant nachylił się do niego.
– Groziłeś mu – powiedział szeptem, w którym można było usłyszeć nutę pretensji.
– Nie. Tylko go okłamałem. Resztę sobie sam dośpiewałem.
Zajda przemyślał to i pokiwał głową z aprobatą.
– Nasi już tu jadą. Zaraz będą.
– I tak za późno. Musimy gonić tę ciężarówkę.
– Przecież nie wiemy, którądy jedzie.
– Ale wiemy dokąd.
– Dobra. Zadzwoń w kilka miejsc, niech ustawią blokady. Jaka to była ciężarówka?
– Nie wiem.
– Nie znasz modelu, marki?
– Nie.
– To co wiesz?
Mortka wznosił oczy do nieba.
– Była niebieska.
– Tylko tyle?
– Miała jakiegoś ptaka namalowanego na boku.
– I to wszystko?
– Tak.
– Jezu! Przecież nie mogę kazać naszym zatrzymywać każdej niebieskiej ciężarówki. Nikt się na to nie zgodzi!

Koniec.

Już po wszystkim. Wreszcie.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że jednak nie, że to tylko przerwa. To się stało wtedy, kiedy stał w kolejce na stacji benzynowej. Nie był zły ani wściekły. Nie pozwolił, żeby opanowało go jakiekolwiek silniejsze uczucie, bo gdyby to zrobił, mógłby tylko paść na kolana i walić pięściami w ziemię.

Praca w CBS nauczyła go wielu rzeczy, ale jedną Lupa cenił sobie najbardziej – było to opanowanie. Tylko dzięki niemu przetrwał ostatnie dni i nie oszalał. Lawirował, kłamał, planował, żeby później w mgnieniu oka, pod wpływem okoliczności te plany zmienić, dostosować do nowej sytuacji.

I prawie mu się udało.

Teraz już było po wszystkim. Mógł zdjąć maskę, wszystkie maski, które nosił przez tak długi czas, i wreszcie dla odmiany pobyc po prostu sobą. Przegrał. Ale nie zamierzał z tego powodu rozpaczac. Przegrana była nie klęską, tylko jedynie zmianą okoliczności, do których należało się dostosować. Należało poczynić niezbędne kroki, żeby wykorzystać zyski tam, gdzie to było jeszcze możliwe, i zminimalizować straty.

Od kilkunastu tygodni przygotowywał się na taką chwilę. Najbliższe dni będą trudne, nerwowe, ale potem czeka go zasłużona emerytura gdzieś na słonecznym wybrzeżu Hiszpanii albo Portugalii. Miał odłożone trochę grosza na tę okazję. Poradzi sobie. I przede wszystkim wreszcie odpocznie. Dość masek. Będzie wreszcie sobą.

Podszedł do kasy, żeby zapłacić za benzynę. Kasjer przyjął banknoty i zaczął wydawać resztę. Wtedy Lupa podniósł głowę i zobaczył siebie w zawieszonym pod sufitem telewizorze, na którym puszczone podgląd z kamery przemysłowej. Pomyślał, że policja dotrze do tych nagrań i będą wiedzieli, że robił tutaj zakupy. Przesłuchają wszystkich, poczynając od sprzedawcy, a kończąc na ludziach w kolejce.

A potem nagle uświadomił sobie, że tak to już będzie wyglądało. Wszędzie są jakieś kamery, które będą go śledzić. A on, zawsze je widząc, będzie się zastanawiał, co robi z nimi policja: polska czy hiszpańska. Czy go zidentyfikują, czy nie?

Nic się nie skończyło, pomyślał Lupa. To była tylko przerwa. Znowu musiał włożyć maskę. Stać się kimś innym.

I dopiero wtedy poczuł, że ma ochotę paść na ziemię i walić pięściami w asfalt tak długo, aż zmienią się w krwawą, bezkształtną miazgę.

Mortka oparł głowę o chłodną szybę i wsłuchiwał się, jak strugi deszczu walą w dach samochodu. Podniósł lewą, złamaną rękę i porównał ją z prawą. Opuchlizna była tak duża, jakby ktoś wszczepił mu piłkę tenisową pod skórę. Ból to nasilał się, to robił lżejszy, i to pulsowanie doprowadzało go do takiego szału, że miał ochotę wrzeszczeć. Już wołał, żeby bolało mocno, ale cały czas tak samo. Co gorsza, chyba zaczynał mieć gorączkę. Wydawało mu się, że czoło spływało mu potem, i lekko kręciło mu się w głowie. Jechali od prawie godziny. W tym czasie kręte górskie drogi ustąpiły łagodnym łukom krajowej drogi numer 3. Minęli kilka ciężarówkek, ale żadna nie przypominała tej, którą gonili.

Nie szukałem chaty, pomyślał, przypominając sobie swoje rozmowy z Brodką. Trzeba było się od początku na tym skupić – na miejscu, gdzie można przetrzymywać i torturować porwane kobiety. Tak jak tłumaczyła mu psycholożka. „To nie może być piwnica” – mówiła. Zbyt duże ryzyko wpadki. Poza tym rozkładające się zwłoki śmierdzą.

Adela.

Imię małej, zaginionej Romni samo pojawiło się w jego głowie. Musiał być jakiś powód. Próbował się skupić. Powiązać luźne nitki.

Zapach zwłok. Piwnica.

Gdyby nie ból w złamanej ręce... Skupić się. Musiał się skupić.

Był blisko.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – zapytał Zajda.

Tok myśli Mortki urwał się nagle, jakby cięty nożem. Potrząsnął głową.

– Słucham?

– Dlaczego nic nie powiedziałaś o tym, co odkryłeś? O tej pieprzonej farmie.

Komendant co chwila spoglądał na niego wyczekująco.

– Byłeś w kręgu podejrzanych – odpowiedział szczerze komisarz. Nie chciało mu się wymyślać żadnych kłamstw, okrągłych słówek. – Wydawało mi się, że zatrzymałeś śledztwo w Krotowicach po to, żeby je kontrolować i utrudnić dotarcie do farmy. Albo dowodziłeś ludźmi, którzy zorganizowali ten proceder, albo byłeś w ich kieszeni.

Zajda milczał. Zacisnął dłonie na kierownicy, aż pobiegały mu kłykcie, i nacisnął mocniej pedał gazu. Silnik głośno zamruczał, a wskazówka na liczniku zbliżała się do stu dwudziestu kilometrów. Mortka pomyślał, że to może nie jest zbyt dobry pomysł, żeby jechać tak szybko podczas deszczu, ale wtedy ból w ręce znowu zaczął się wzmacniać, więc skoncentrował się na tym, żeby nie jęczeć.

– Mogli pojechać przez Czechy – powiedział Zajda.

– Tak.

– Zmienisz swój raport w sprawie Lucasa?

– Nie.

– Dlaczego? Dlaczego się nie odczepisz od Borówki?

Zajda przeniósł na kilka sekund spojrzenie z drogi na Mortkę. Domagał się odpowiedzi.

– Pamiętasz taką dziewczynę, Renatę? W listopadzie przyszła do was. Chciała zgłosić gwałt.

– Tak. Nie zrobiła tego w końcu.

– A ponieważ gwałt nie jest ścigany z urzędu, mieliście związane ręce. Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego zmieniła zdanie?

– Nie.

– Ja tak. Bo coś się musiało stać. Coś u was. W twoim komisariacie. Kiedy wrócimy, sprawdzę trzy rzeczy. Kto wtedy miał służbę, z kim kilka lat wcześniej chodziła Renata i jak często były chłopak jest sprawcą gwałtu. A kiedy już to zrobisz, będziesz wiedział, dlaczego nie odpuszczę Borówce.

Zajda zastygł. Poruszał tylko szczęką, jakby chciał zmiażdżyć własne zęby. Mortka postanowił się nie odzywać.

Milczeli przez kilka, może kilkanaście kolejnych minut. Komisarz miał trudności ze zorientowaniem się w upływie czasu. Czuł się coraz słabiej. W pewnym momencie zaczął się obawiać, że zacznie wymiotować, ale nudności wkrótce minęły.

Zdrową ręką otworzył schowek. Wyjął atlas drogowy, rzucił go na tylne siedzenie i zaczął grzebać wśród płyt, map i szmatek.

– Czego szukasz? – zapytał Zajda.

– Sprawdzam, czy masz coś przeciwbólowego.

– Może w apteczce.

– A gdzie jest?

– W bagażniku. Mam się zatrzymać?

Pokręcił przecząco głową.

– Dojeżdżamy do autostrady.

– Jedźmy dalej.

– To ma sens jeszcze?

– A masz benzynę?

– Tak.

– W takim razie jest sens.

Zajda spojrział na Mortkę spod zmarszczonych brwi, ale skręcił na autostradę A4, na pas prowadzący do Niemiec. Deszcz powoli ustawał, a zza chmur zaczynało wyglądać słońce. Zajda przyspieszył do stu czterdziestu. Ruch był umiarkowany, ale i tak co chwila mijali kolejne samochody albo zjeżdżali na prawy pas, żeby zrobić miejsce komuś, kto chciał ich wyprzedzić. Pędzili tak około dziesięciu minut, mijając Legnicę, aż wjechali na odcinek pozbawiony pasa awaryjnego.

– Możesz wyciągnąć moje okulary przeciwsłoneczne? – poprosił Zajda.

– A gdzie są?

– W schowku.

Mortka odkleił się od bocznej szyby i nachylił w stronę schowka. Wyjął trzy płyty i wymacał futerał na okulary. Już miał go chwycić, kiedy ją dostrzegł. Ciężarówka z niebieską naczepą.

– To może być ta – powiedział i wskazał ruchem głowy, o którego TIR-a mu chodzi.

– Jesteś pewien?

– Jeszcze nie. Wyprzedź go.

Lupa zmienił pas na lewy. Po kilkunastu sekundach Mortka zobaczył namalowanego na boku naczepy pelikana.

– To ta – powiedział, kiedy mijali ciężarówkę.

Mimo bólu uśmiechnął się szeroko i uderzył otwartą dłonią zdrowej ręki w kolano. Wyprzedzili kilka innych samochodów osobowych. Zajda wygiął się w fotelu i zaczął grzebać sobie w kieszeni, kręcąc przy tym tyłkiem, aż wreszcie udało mu się wyciągnąć telefon komórkowy.

– Zadzwoń do Wrocławia – powiedział. – Niech zorganizują blokadę.

– Przecież nie zdążą! – zaprotestował Mortka. – Ile zostało do granicy? Mniej niż siedemdziesiąt kilometrów!

– Dadzą radę.

– A jeśli zjedzie z autostrady? Mamy pieprzone Schengen, może przekroczyć granicę tam, gdzie mu się tylko podoba!

– To co mam zrobić?

– Zmusz go, żeby się zatrzymał.

– Niby jak?

– Zatarasuj mu drogę!

– Na autostradzie?! Zwariowałeś?!

Mortka podjął decyzję w ułamku sekundy, właściwie nawet o tym nie wiedząc. Uderzył Zajdę łokciem w twarz, a potem zawył z bólu, kiedy zmusił palce złamanej ręki do ruchu – chwycenia za kierownicę i pociągnięcia jej w dół. Prawą dłonią zaciągnął hamulec ręczny.

Świat zawirował. Mortka słyszał tylko swój wrzask i pełen przerażenia okrzyk Zajdy. Uderzyli w coś i pas wbił mu się w pierś tak mocno, jakby miał zmiażdżyć wszystkie kości, kręgosłup i płuca. Miał wrażenie, że unieśli się w górę, żeby potem opaść z hukiem. Poduszki powietrzne wybuchły im prosto w twarz.

Cisza. Komisarz oddychał płytko, spokojnie. W gardle miał zupełnie sucho. Głowa kiwała mu się w przód i tył, jakby próbowała odpaść od reszty ciała.

Odpiął pas. Odsunął od siebie poduszkę powietrzną. Otworzył drzwi i wypelzył na zewnątrz. Klęczał na betonie, wciąż mokrym od niedawnego deszczu. Oddychał głęboko, czekając, aż ustaną zawroty głowy. Zanim wstał, spojrział do wnętrza samochodu. Zajda, jęcząc, walczył z zapięciem pasa. Żył. To dobre.

Podniósł się, opierając o drzwi samochodowe. Zobaczył, że uderzyli w barierkę oddzielającą autostradę od pola, a potem samochód odbił się jeszcze tak, że tarasował teraz oba pasy jezdni. Jeden z boków fordą był potężnie wgnieciony. Zmasakrowany zderzak zwiślał smętnie wśród szkła z rozbitych reflektorów.

Samochody, które jechały w ich kierunku, zwalniały i wreszcie stawały. Wśród nich ciężarówka z niebieską naczepą. Mortka wyciągnął broń i ruszył w jej kierunku.

Jeden z kierowców wyszedł z samochodu. Krzyknął coś, czego Mortka nie zrozumiał z powodu dzwaczego piszczenia w uszach. Chyba chciał pomóc, ale nagle zobaczył pistolet w dłoni komisarza i natychmiast pobladł. Schował się do auta i zamknął zamki. Mijając jego wóz, policjant zauważył jeszcze, jak mężczyzna własnym ciałem osłania towarzyszącą mu kobietę.

W kabinie ciężarówki siedział brodaty grubasek w czarnej koszulce i dżinsowej kamizelce. Mortka wycelował w niego i brodacze natychmiast podniósł ręce.

– Wsiadaj! – wrzasnął. – Natychmiast!

Bał się, czy kierowca go rozumie. Mógł być Niemcem. Ale grubasek wyskoczył z kabiny. Wciąż trzymał ramiona wysoko nad głową i poruszał niemo wargami, nie potrafiąc wydobyć z siebie głosu.

– Otwieraj ładunek – rozkazał mu Mortka.

Grubasek poszedł przodem na drżących nogach, oglądając się co chwila za siebie. Stał przy tyle naczepe, zwolnił zatrzaski, a potem pociągnął za jakąś wajchę i kłapa powędrowała w górę.

Mortka zamrugał dwa razy. Opuścił broń i opadł na betonową jezdnię.

– Mortka! Mortka! – krzyczał idący w jego stronę Zajda. Powłóczył lekko prawą nogą.

– Co takiego? – wyszeptał. Zbyt cicho, żeby komendant go usłyszał.

Zajda stanął przy naczepie i zajrzał do środka.

– Mortka...

Już nie krzyczał.

– Tak?

– Kierowca ucieka.

Mortka spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył, jak grubasek przeskakuje przez barierkę i wbiega w pole rzepaku. Był szybki jak na swoją tuszę.

– Niech ucieka. Złapiemy go później.

Naczepe wyciszono grubymi, ciężkimi materacami, co sprawiało, że w środku szybko zrobiło się koszmarnie gorąco. Ciepłe powietrze falowało, niosąc ze sobą zapach starego moczu, potu i stęchlizny. Kobiety siedziały na podłodze i zasłaniały ramionami twarze przed słońcem. Niektóre z przerażeniem, inne z tępą, wyuczoną biciem obojętnością wypisaną na twarzach. Jedna z nich łkała, przeciągając krzyk tak mocno, że zmieniał się w dziwaczne bulgotanie, w którym tonęły z trudem wypowiedane słowa. Były wycieńczone, brudne, śmierdzące, posiniaczone. Zbyt słabe, żeby próbować ucieczki, i zbyt zrozpaczone, żeby nawet o tym pomyśleć. Przypominały bezdomne psy ze schroniska. Ile ich było? Dziesięć, dwanaście?

– Tuzin – powiedział sam do siebie Mortka. – Sprzedawali je na tuziny.

W legnickiej komendzie oddano im do dyspozycji dużą salę konferencyjną. Wyniesiono z niej większość krzeseł, a wstawiono duży stół. Mortka z Zajdą siedzieli na jednym jego końcu, drugi zajmowali komendant z Legnicy, sympatyczny siwy policjant występujący w roli gospodarza, ale niewiele się odzywający, oraz przedstawiciel komendy wojewódzkiej i wrocławskiego CBŚ. Ten pierwszy, Szymon Gorzelski, był mniej więcej w wieku Mortki. Nosił okulary i robił notatki drobnym dziewczęcym piśmem. Wydawał się przesadnie nadęty i Mortka spodziewał się z jego strony wszystkiego, co najgorsze. Drugi był nadkomisarzem. Przedstawił się jako Michał Wolski. W przeciwieństwie do Gorzelskiego nosił cywilne ubranie. Miał krótkie, rzadzące czarne włosy i wyraz twarzy, jakby nigdy w życiu się nie uśmiechał. Długimi kościstymi palcami co pewien czas stukał w okładkę brązowej, skórzanej teczki, którą położył przed sobą.

Dochodziła północ i Mortka pomyślał, że dłużej nie utrzyma się na nogach. Wcześniej zabrano ich oraz kobiety z ciężarówki do szpitala. Komisarzowi zrobiono prześwietlenie, założono gips, podano środki przeciwbólowe. Gorączka minęła w ciągu niecałej godziny. Ból znacznie zelżał. Były takie chwile, że Mortka zupełnie o nim zapominał. Potem zawieziono ich na komendę, gdzie najpierw każdy z osobna, a potem wspólnie zdawali relację z wydarzeń dzisiejszego dnia. Skończyli dziesięć minut wcześniej i wreszcie mogli przejść do tego, co było najważniejszą częścią każdego takiego spotkania – wzajemnego obwiniania się i próby zrzucenia odpowiedzialności na kogoś innego.

– Dobrze – zaczął Gorzelski. – Zacznijmy od tego: dlaczego nie poprosiliście o nasze wsparcie i samodzielnie kontynuowaliście pościg? Do granicy było jeszcze siedemdziesiąt jeden kilometrów. To daje nam mniej więcej pół godziny na przygotowanie blokady i zabezpieczenie akcji. Panie komendancie?

Zajda zamiast odpowiedzieć, tylko spojrział znacząco na Mortkę. Policjant postanowił nie kręcić, tylko od razu wziąć winę na siebie. Tak będzie najszybciej i najprościej, postanowił.

– To była błędna decyzja – powiedział. – Spowodowana... chyba przede wszystkim moim stanem zdrowia. Miałem gorączkę. Prawie czterdzieści stopni, kiedy mierzono mi ją w szpitalu. Nie myślałem jasno. Wtedy wydawało mi się, że tak trzeba zrobić.

Gorzelski zapisał odpowiedź Mortki i odłożył pióro. Milczał.

– Jakież inne wątpliwości? – zapytał legnicki komendant. – Panie nadkomisarzu?

– Nie mam uwag.

– Panie komisarzu Gorzelski?

– Wszystko jasne.

– No to w takim razie chyba możemy uznać dzisiejsze spotkanie za zakończone.

Mortka drgnął zaskoczony. Wydawało mu się, że się przesłyszał.

– Już? – zapytał.

Gorzelski uśmiechnął się lekko i wyciągnął przed siebie dłoń.

– Po pierwsze – zaczął, odginając jeden palec, a później kolejne – prowadziliście pościg poza naszym terenem, prywatnym samochodem, bez powiadomienia zwierzchników. Po drugie, ryzykowaliście życie własne i przypadkowych osób. Po trzecie, spowodowaliście poważne utrudnienia w ruchu na autostradzie A4. Po czwarte w końcu, i to jest najważniejsze, przy okazji najwyraźniej rozbiliście bardzo groźną i brutalną grupę handlarzy ludźmi i uwolniliście dwanaście przetrzymywanych przez nią kobiet. W tym świetle pierwsze trzy punkty są mało istotne. To, co musimy teraz zrobić, to przedstawić ten sukces w taki sposób, żeby jak najmniej informacji o naszych własnych problemach i nieprawidłowościach przeniknęło do opinii publicznej.

Na wzmiankę o nieprawidłowościach Zajda podniósł pytająco brew.

– Tak, panie komendancie – odpowiedział na niewypowiedziane pytanie Wolski. – Chodzi o pańskiego podwładnego, komisarza Lupe. Możemy zakładać, że szajka działała przez co najmniej kilka miesięcy i pan, jego przełożony, przez te kilka miesięcy nic nie zauważył. Co więcej, powierzył pan temu człowiekowi prowadzenie dochodzenia w sprawie kobiet, które tenże Lupa najprawdopodobniej sam lub z pomocą swoich współpracowników zabił.

– Chwila – zaprotestował Mortka, który nagle poczuł się w obowiązku bronić Zajdy. – Wy też nie jesteście bez winy. Poinformowaliście chociażby Lupe o tym, że interesujecie się sytuacją w rejonie Krotowic i podejrzewacie udział policjanta w zorganizowanej grupie przestępczej. Prosiłiście nawet, żeby dla was pracował przy tej sprawie.

Tym razem to Wolski był zaskoczony. Poprosił gestem o chwilę czasu. Otworzył teczkę i zaczął przetrzucać znajdujące się tam dokumenty. Zajda uśmiechnął się z satysfakcją i kiwnął głową Mortce, jakby chciał w ten sposób powiedzieć: „dobra robota”.

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedział Wolski, kiedy skończył.

– CBS zaprosiło Lupe na spotkanie we Wrocławiu. Tam przekazaliście mu informacje, o których wspominałem przed chwilą.

– Nie doszło do takiej rozmowy – oznajmił Wolski.

– Jak to nie doszło, skoro... – Mortka przerwał w pół słowa. Nagle do niego dotarło. – Okłamał mnie.

– Słucham?

– Kiedy dowiedziałem się o farmie – tłumaczył powoli Mortka, równocześnie zbierając w głowie elementy układanki w całość – wiedział, że jest zagrożony. Gdybym poszedł z tym do Zajdy, rozpoczęlibyśmy poszukiwania tego miejsca. Musiał mi w tym przeszkodzić. Dlatego wymyślił bajeczkę o spotkaniu w CBS i poprowadził rozmowę tak, że sam zacząłem podejrzewać Zajdę. Dał mi wszystkie tropy i tylko cierpliwie czekał, aż dojdę do właściwych wniosków. – Sam teraz nie wiedział, czy czuł złość, czy podziw. – Jezu... Ciekawe, czy cokolwiek z tego, co opowiadał, było prawdą. Panie nadkomisarzu – Mortka zwrócił się do Wolskiego – jak to w końcu było? Wywaliliście go z CBS czy odszedł na własną prośbę?

– Co takiego? – zapytał z niedowierzaniem Zajda, którego dobry nastrój prysł jak bańka mydlana. – Wywaliliście go? Przecież w papierach miałem, że odszedł na własną prośbę! Sami przedstawialiście go jako cenny nabytek. Co jest, kurwa, grane?

Wolski zmrugał oczy, które zmieniły się w dwie szare szparki, a jego twarz wydawała się teraz wykuta w kamieniu. Kościste palce zacisnął na teczce.

– Nie wywaliliśmy go – powiedział, wążąc każde słowo. – Raczej możecie to panowie nazwać rozstaniem za porozumieniem stron.

Zajda uderzył pięścią w stół i poderwał się z miejsca. Wyciągnął oskarżycielsko palec w stronę Wolskiego.

– Wsadziliście zgniłe jajo do mojego komisariatu!

– Nie uważam, żeby to było dobre określenie.

Mortka przeprosił wszystkich i powiedział, że musi sobie zrobić przerwę. Pozwolono mu wyjść. Ta rozmowa go nie dotyczyła. Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, usłyszał, że wrócili do kłótni. Byli tak rozłoszczeni, że gdyby tylko mieli możliwość, to pewnie zaczęliby rzucać w siebie talerzami.

Niedaleko sali konferencyjnej odnalazł automat z kawą. Nie miał przy sobie portfela, więc dwoma złotymi poratował go dyżurny. Przy okazji pogratulował akcji na autostradzie. Mortka podziękował i uśmiechnął się kwaśno w odpowiedzi. Zastanawiał się, ile ta „akcja” będzie go kosztować.

Wrócił pod automat. Stała przy nim kobieta w skórzanej kurtce, która właśnie wybierała napój dla siebie.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – powiedziała, kiedy stanął tuż przy niej.

O dziwo, skojarzył jej głos, nie twarz. Aneta z fundacji Biały Płatek. Przyjaciółka Olgi.

– Dobry wieczór. Co pani tutaj robi?

– Pan akurat powinien wiedzieć. Spektakularne zatrzymanie na autostradzie! Ho, ho! Jutro będzie trąbić o tym cała Polska. Proszę się przygotować na sławę. Fotografie, wywiady. Będzie pan pierwszym policyjnym celebrytą. Oczywiście, jeśli panu pozwolą. Detektyw Rutkowski polskiej policji – żartowała z niego, ale widział, że nie robi tego złośliwie.

– A tak na poważnie?

– Przyjechałam do dziewczyn, które pan uwolnił. Będę koordynować pomoc, załatwiać psychologów oraz tłumaczy.

– W jakim są stanie?

– Ujmę to tak. Jeden z lekarzy, który się nimi opiekował, schodząc z dyżuru, powiedział, że czuje się, jakby zajmował się wyzwolonymi więźniami z Oświęcimia. Nawet jeśli przesadził, to nie aż tak bardzo.

– Wiem. Widziałem je.

Przeprosił Anetę i poszedł do automatu. Dwa złote starczyły na gorzką kawę bez cukru. Nie pijał takiej od lat, ale w tej sytuacji nie miał zamiaru wybrzydzać.

– Dlaczego nie jest pani w szpitalu?

– Och... Powiedzmy, że to standardowa procedura. Zawsze w takich przypadkach jest tak, że policji zależy na jak najszybszym przesłuchaniu uwolnionych dziewczyn, a i ja, i lekarze wiemy, że teraz najbardziej potrzebne są im spokój i odpoczynek. Spróbujemy więc wynegocjować taki sposób postępowania, żebyście wy skorzystali jak najwięcej, a równocześnie dziewczyny ucierpiały możliwie jak najmniej.

Spróbował kawy. Nie smakowała mu. Zmusił się do wzięcia kolejnego łyku. Ciepły napój wpadł do żołądka, który zaraz spróbował zwinąć się w kulkę. Znowu zrobiło mu się słabo.

– Myślę, że teraz będzie mogła odpocząć w pokoju. Dzięki panu.

– Kto taki?

– Olga.

– Ach tak...

– Niech pan jej nie ocenia za surowo. Widział pan, przez co przeszła.

– Nie zamierzam – odpowiedział ostro. Może nawet zbyt ostro, ale narastała w nim złość. Bo co ta Aneta mogła wiedzieć? Być może komisarz zachoruje niedługo na AIDS, śmiertelną chorobę, bo Olga zaraziła go z premedytacją wirusem HIV. Miał więc prawo oceniać ją tak, jak tylko chciał. Ale to nie był jedyny powód, dla którego się złościł. Było coś jeszcze. Uświadomił to sobie w szpitalu, czekając, aż wyschnie gips, który mu założono.

– To przeze mnie zginęła – powiedział.

Spojrzała na niego badawczo, a on uświadomił sobie, że popełnił błąd. Nie powinien nic mówić. Teraz miał ochotę odwrócić się i odejść bez słowa, ale wiedział, że Aneta mu na to nie pozwoli.

– Spotkałem Olgę w barze – kontynuował. – Był ze mną Lupa, człowiek, który chyba tym wszystkim kierował. A przynajmniej był kimś ważnym. Pokazałem mu ją i zapytałem, czy wie, kim jest. Skłamał, że nie. Ale właśnie wtedy ją rozpoznał. To ja zwróciłem na nią jego uwagę. I gdyby nie ja, to pewnie dalej by żyła.

– Nie mógł pan tego wiedzieć – powiedziała.

– To prawda – odparł z wdzięcznością. – Nie mogłem.

Drzwi od sali konferencyjnej otworzyły się i wyszedł z niej Zajda w towarzystwie Wolskiego.

– Przepraszam, ale muszę iść – powiedziała Aneta. – Niebawem zaczynamy negocjacje.

– Trzymam za panią kciuki.

– Naprawdę? Myślałam, że będzie pan za policją.

– Ja też.

Podeszła do Wolskiego i wkrótce oboje zniknęli w innym pomieszczeniu. Zajda tymczasem zajął miejsce obok Mortki i zaczął studiować listę napojów z automatu.

– I jak poszło? – zapytał komisarz.

– Nieźle. Doszliśmy do wniosku, że obie strony dały plamę. Co oznacza, że uda mi się zrzucić część winy na CBS...

Wyraz twarzy Zajdy mówił, że nie był przesadnie zadowolony z konkluzji rozmowy, ale i Wolski nie wyglądał na szczęśliwego. Kompromitacja, nawet dzielona na dwóch, dalej była kompromitacją.

– Nie wierzę, że Lupie udało się nas wszystkich tak oszukać – mruknął Zajda.

– Przez lata pracowałem jako przykrywkowiec. To w każdym razie na pewno było prawdą. Sami nauczyliśmy go, jak kłamać, oszukiwać i zawsze zachowywać zimną krew. A on tylko użył tych umiejętności przeciwko nam.

– Ale mimo to... Trudno uwierzyć.

– A jak noga? – zmienił temat Mortka.

– Lepiej niż twoja ręka. Do wesela się zagoi. Powinieneś raczej martwić się o moją szczękę. Masz cholernie twardy łokieć.

– Przepraszam – powiedział i naprawdę tak myślał. – Za wszystko, co się wydarzyło na autostradzie. Miałeś rację. Trzeba było dzwonić do Wrocławia, żeby założyli blokadę. Albo chociaż przysłali jakieś wsparcie.

– Rozwaliłeś mi auto.

– Tak.

Zajda prychnął, jakby się zakrztusił. Napięcie, które mu towarzyszyło podczas rozmowy z przedstawicielami komendy wojewódzkiej i CBS, nagle wyparowało. Teraz wyglądał trochę jak człowiek, który wypił dwie setki wódki.

– Nie przejmuj się – powiedział i poklepał Mortkę po plecach. – Nie słyszałeś? Jesteśmy bohaterami.

Komisarz uśmiechnął się. Poszukał kosza na śmieci i wyrzucił niedopitą kawę.

– Wkrótce podstawią dla nas samochód z kierowcą – powiedział Zajda. – Wracamy do Krotowic. Dużo się tam teraz dzieje.

– Co konkretnie?

– Mamy łysego z tej fabryki i Bielskiego, który formalnie był właścicielem tego biznesu. Trzeba ich przesłuchać. Jesteśmy do tego niezbędni. A przynajmniej ty jesteś. No i trzeba wyjaśnić wszystko pomiędzy naszymi chłopakami, Jelenią a CBS. Wiesz, Zagajewski teraz nie potrafi się zdecydować, komu co zlecić. A ponieważ sprawa jest już rozwiązana, to każdy chciałby ją przejąć.

Zajda mówił spokojnie, niemal radośnie, jakby w ogóle się tym nie przejmował. Mortka zaczął się martwić, czy wszystko jest z nim w porządku.

– Nie będziesz próbował zatrzymać dochodzenia w Krotowicach?

– Teraz? – odpowiedział z niedowierzaniem Zajda i pokręcił głową, znowu przyjmując poważną minę. – Teraz mogę się tylko starać o to, żeby ciosy, które na nas spadną, a spadną, wierz mi, rozłożyć mniej więcej po równo na nas, CBS i prokuraturę.

– A co z Lupą?

– Ciągłe go szukamy.

Mortka przejechał dłonią po swojej twarzy.

– Dobra. Jeszcze tylko jedno. Masz jakiś kontakt do Olszewskiego? Tego patologa ze szpitala.

– Oczywiście. Po co ci on?

– Kiedyś wspominał, że ma domek tuż obok działki Lupy. Chciałbym się dowiedzieć gdzie.

Odgięła palcami okienną żaluzję i przez powstałą w ten sposób dziurę obserwowała, jak Zajda z Mortką wsiadają do podstawionego specjalnie dla nich radiowozu. Jeden ze złamaną ręką, drugi kulejący. Dwaj, mimo wszystko, zadowoleni z siebie funkcjonariusze. Dla nich ta sprawa niemal już się skończyła. Dla niej się zaczynała.

Radiowóz ruszył i czerwona smuga tylnych świateł powoli roztopiła się w ciemnościach. Aneta myślała o Oldze, balansującej na cienkiej linii pomiędzy śmiercią a szaleństwem, i o Mortce, na którego twarzy zmęczenie i zniechęcenie było widać tak wyraźnie jak u starych ludzi zmarszczki. Odniosła wrażenie, że oboje parli przed siebie z ponurą zawziętością, jakby chcieli w ten sposób pokazać całemu światu środkowy palec.

Chrząknięcie tuż za jej plecami wyrwało ją z zadumy. Potrząsnęła głową i odwróciła się. Wolski posłał jej zmęczony uśmiech.

– Odplynęła pani – powiedział.

– Tak.

– Zmęczona?

– Oczywiście. Do tego chyba zaraz odpadnie mi ucho. Pół dzisiejszego dnia spędziłam, wisząc na telefonie.

– Znam to. Dobrze, że mam służbowy, bo pensji by nie starczyło na rachunki.

Policjant położył na stole skórzaną teczkę, wyjął czystą kartkę papieru i czerwony długopis.

– Ze szpitala nikt nie przyjechał? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała. – Są trochę zajęci.

Była pełna podziwu dla lekarzy i pielęgniarek z nocnego dyżuru, którzy bez zadawania zbędnych pytań pomagali uratowanym dziewczynom. Za to dyrekcja już wydzwaniała gorączkowo do prawnika i NFZ-etu w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, kto za to wszystko zapłaci. Aneta nie dziwiła się temu specjalnie ani nie miała żalu. Dobrze, że w ogóle je przyjęli, a nie przerzucali z jednej placówki do drugiej jak gorący kartofel.

– Ile ich jest?

– Dwanaście. Sześć Rosjanek, cztery Ukrainki i dwie dziewczyny chyba z Mołdawii. Być może Rumunii.

– Kiedy będziemy mogli z nimi porozmawiać?

– Najpierw musimy ściągnąć tłumaczy. Ale dziewczyny potrzebują przede wszystkim odpoczynku, spokoju, rozmowy z psychologiem. To potrwa. Minie wiele czasu, zanim będą gotowe na rozmowę z policją.

– Dokładnie proszę. Ile to potrwa?

Wzruszyła ramionami. W jego głosie słyszała pierwsze nuty irytacji.

– Kilka dni. Może tygodni. Powinien się pan uzbroić w cierpliwość.

– Nie możemy tak długo czekać. Sprowadzimy własnych tłumaczy i przesłuchamy je jutro.

– Zdaje pan sobie sprawę, że te dziewczyny przeszły przez piekło? Że rozmowa z policją o tym, co przeżyły, będzie dla nich w tym momencie torturą?

– Wiem o tym – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Ale będzie tak, jak powiedziałem. Najpierw przesłuchanie, potem odpoczynek.

– Pan Witalij Aleksandrowicz Dubakow ma na ten temat inne zdanie.

Policjant zamrugał zaskoczony.

– Kto to jest?

– Konsul generalny Federacji Rosyjskiej w Poznaniu. Już do nas jedzie. Jesteśmy też w kontakcie ze służbami Ukrainy oraz Republiki Mołdawii. Wszyscy są bardzo ciekawi, co się stało z obywatelkami ich krajów i jak się nimi opiekujemy.

Wolski poczerwieniał gwałtownie i zacisnął pięści, jakby chciał nimi uderzyć w stół. Jego dłoń zawi-
sła jednak w połowie drogi i wycelował palec w Anetę. Potrząsał nim, jakby jej groził.

– Pani nie zależy, żebyśmy złapali tych, którzy są za to odpowiedzialni!

– Zależy – odpowiedziała spokojnie. Była przyzwyczajona do podobnych wybuchów. – Nawet bar-
dzo. Ale w statucie fundacji wśród naszych zadań mamy zapisaną pomoc ofiarom, a nie organom ściga-
nia.

Policjant opuścił palec i chrząknął. Z kieszeni wyciągnął chusteczkę i wytarł usta.

– Twarda z pani sztuka – stwierdził, kiedy się uspokoił.

– Taka praca.

– Jestem pani sojusznikiem.

– A ja pańskim.

Uśmiechnął się ponuro. Nie wierzył jej, a ona jemu. Będą się teraz próbowali nawzajem przechy-
trzyć. Pierwszą rundę wygrała. A kolejne? Miała tylko nadzieję, że uda się jej uchronić dziewczyny naj-
dłużej, jak to możliwe.

– W takim razie oboje starajmy się o tym pamiętać i wracajmy do naszej pracy – stwierdził policjant,
zbierając swoje rzeczy. – Proszę pozdrowić ode mnie pana Dubakowa – powiedział na pożegnanie.

Było tam pięknie, pomyślał. Przez chwilę miał ochotę położyć się w trawie, wsadzić sobie długie żdźbło między zęby i spędzić cały dzień, leżąc wpatrzony w panoramę Karkonoszy i przewalające się przez górskie grzbiety białe kłęby chmur.

Otworzył drewnianą furtkę i wszedł na posesję. Działka Lupa miała kształt prostokąta, na którego środku postawiono drewniany domek letniskowy. Prowadziła do niego wysypana żwirem droga. Tuż obok znajdowały się huštawka i zjeżdżalnia, a dalej kilkuletnie drzewa owocowe: jabłonie, grusze i śliwy. Z drugiej strony domu były warzywniak i kilka zaniedbanych rabatki z kwiatami, a także szopka na narzędzia.

Czerwona toyota RAV4 stała zaparkowana niedaleko bramy. Mortka zajrzał do środka. Na miejscu kierowcy leżała kurtka, a na tylnym siedzeniu spakowana torba. Samochód wyglądał na gotowy do drogi.

Lupa wyszedł z domku. Flanelową koszulę zarzucił na gołe ciało. Stał bez ruchu, rozglądając się uważnie dookoła, ale równocześnie jakby nie zauważał stojącego naprzeciw niego Mortki. Wzrok miał przygaszony, włosy zmierzwił. Był bez broni, z ulgą zauważył Mortka. Idąc tutaj, bał się, że Lupa zamiast rozmawiać, zacznie do niego od razu strzelać.

Komisarz zrobił kilka kroków w stronę Lupa i podniósł w górę trzymaną w dłoni siatkę. Potrząsnął nią.

– Nie wypiliśmy wczoraj piwa – powiedział głośno, powoli i wyraźnie.

Lupa zmarszczył brwi, jakby w pierwszej chwili nie zrozumiał, a potem lekko uniół kąciki ust.

– Odważny jesteś.

Mortka podszedł do werandy. Wyciągnął piwo i podał Lupa, który wziął je po kilku sekundach wahania. Dla siebie komisarz wyciągnął drugie. Usiadł na podeście i otworzył puszkę. Zaczęło się intensywnie pienić i komisarz zaklął głośno. Trzymał puszkę nad trawnikiem i czekał, aż piana przestanie się burzyć.

– Jak ręka? – zapytał Lupa, siadając obok.

– Złamana. Ale jest nieźle. Lekarz mówił, że jakbyś kopnął wyżej, to zmiażdżyłbyś mi nadgarstek, a wtedy zostałbym inwalidą.

Wzięli po łyku piwa. Było przyjemnie chłodne. Mortce niemal natychmiast zasumiało pod czaszką. Głównie ze zmęczenia i niewyspania.

– Nie spodziewałem się, że cię tu zastanę – powiedział do Lupa.

– Bo nie powinno mnie tu być. Ukryłem tutaj zestaw ucieczkowy, przygotowany na takie sytuacje jak ta, która stała się naszym udziałem. Trochę pieniędzy, ciuchów, fałszywe dokumenty. Znajdziesz wszystko w samochodzie.

– To dlaczego nie uciekłeś?

– Uwierzyć lub nie, ale ostatnie dni mnie też dały w kość. Czuję się jak kartka papieru, którą ktoś zmiażdżył i wyrzucił na śmietnik. Wiedziałem, że nawet jeśli uda mi się wyjechać z Polski, to schwytanie mnie będzie priorytetem. Nie uśmiechało mi się życie z europejskim nakazem na karku, ciągle oglądanie się za siebie i zastanawianie, czy facet, który za mną idzie, to policyjny tajniak. Dlatego postanowiłem uciec w inny sposób. Ale nie potrafiłem się zdecydować w jaki.

Mortka kiwnął głową. Przyjrzał się człowiekowi, którego jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu był gotowy nazwać swoim przyjacielem. Zastanawiał się, ile jest prawdy w tym, co usłyszał, a w jakim stopniu Lupa kłamie, gra w jakąś swoją grę, której celu i sensu policjant jeszcze nie dostrzegął.

– Skoro nie spodziewałeś się mnie tu zastać, to po co przyjechałeś?

– To miejsce trzeba było i tak sprawdzić – odpowiedział Mortka. – A ja chciałem zobaczyć tę działkę, o której tak dużo mówiłeś. Może odpocząć tu chwilę. A jeśli przypadkiem cię zastanę, poznać odpowiedzi na kilka pytań.

– No to jestem. Ale nie spodziewaj się, że powiem ci coś ponad to, co już sam wiesz albo czego możesz się sam domyślić.

– Brzmi fair.

– Pytaj.

– Kiedy zająłeś się handlem ludźmi?

– Nigdy nie zajmowałem się handlem ludźmi – odpowiedział twardo Lupa.

Mortka już miał otworzyć usta, żeby zaprotestować, opowiedzieć o ciężarówce, uwolnionych dziewczynach, zeznaniach zatrzymanych w hurtowni mężczyzn, którzy opowiedzieli o całym procederze, o kobietach, które zmarły w czasie pobytu na farmie, a których ciała ukryli potem w kopalni, o tym, że wszyscy wskazywali na Lupę jako na dowódcę. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Lupa chciał mu zdradzić coś ważnego, swoją wersję, a obowiązkiem Mortki było jej wysłuchać. Czy tego chciał, czy nie. Milczał więc, chociaż w środku wszystko się w nim gotowało.

– Świadczyłem pewne usługi – powiedział wreszcie Lupa. – W tym interesie najbardziej krytyczny moment następuje wtedy, kiedy dostarczasz towar bezpośrednio do klienta. Lalki są wtedy twarde, zeterminowane, próbują się bronić na różne sposoby. Mogą spowodować duże problemy, zamieszanie. A zbędny rozgłos jest niepotrzebny w tej działalności. Dlatego towar trzeba wcześniej złamać, odebrać mu wolę walki. Właśnie taką usługę oferowałem. Brałem na siebie ryzyko, które w innych okolicznościach spadłoby na klienta. Robiłem to, co musiałby zrobić on. Tylko że szybciej, bezpieczniej i taniej. To się nazywa outsourcing, Kuba. Nigdy jednak nie handlowałem ludźmi. Żadna z tych lalek nawet przez chwilę nie należała do mnie.

Lalki. Tak je nazywał. Byle tylko nie przyznać, że też były ludźmi, że należały do tego samego gatunku co jego córki, żona.

– Biliście je, gwałciliście i szprycowaliście narkotykami.

– Tak – odpowiedział beznamiętnie.

– Cztery dziewczyny z kopalni.

– Nie wytrzymały obróbki. Wypadki przy pracy. Zdarza się.

– Jest ich więcej? W innych sztolniach?

– Nie odpowiem na to pytanie.

– Kazałeś je okaleczyć Nowakowi.

– Tak.

– Dlaczego?

– Żeby wyglądało to na robotę jakiegoś psychologa, jak ktoś je znajdzie. Jak sam wiesz, udało się. Zmyłka konieczna do odwrócenia uwagi, zyskania czasu.

Mortka ukrył się za puszką z piwem. Zrobiło mu się niedobrze. Ta rozmowa była gorsza niż przesłuchanie Bratkowskiego. Lupa nie okazywał żadnych emocji. Mówił spokojnie, powoli, ostrożnie dobierając każde słowo. Jakby to, czym się zajmował, było czymś zupełnie normalnym, zwyczajnym, codziennym. Wręcz nudnym.

– Próboweś zrobić w te morderstwa Lucasa.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo pasował. Cygan, wyrok za pobicie, długa kartoteka. Każdy łatwo uwierzył, że jest zdolny do brutalnego mordu. Ale nie będę udawał, że miałem jakiś starannie przemyślany plan. Ostatnie dni to

była jedna wielka improwizacja. Trzymałem w dłoni kilkanaście różnych sznurków, za każdy musiałem pociągnąć w odpowiednim momencie i równocześnie uważać, żeby się nie poplątały. Pewne rzeczy się udały, inne nie. Na przykład ta Olga. Musiała zginąć, bo wiedziała o farmie. Ale zabiliśmy ją za późno. Dzień wcześniej, może nawet kilka godzin, a udałoby się i to zwalić na Lucasa. Kiedy teraz o tym myślę, to kilka rzeczy zrobiłbym inaczej.

– Na przykład?

– Zabilił ciebie – oznajmił Lupa i spojrzął na Mortkę. Uśmiechał się przy tym niemal przyjacielsko. – Nie wiem jeszcze jak, ale musiałbym to zrobić. Strasznie wszystko skomplikowałeś.

– Cieszę się.

– Na pewno.

– Bratkowski – zmienił temat Mortka. – Powiadomiłeś Lucasa, że przyznał się do zgwałcenia i zamordowania Adeli.

– Akurat Nowak to zrobił. I powiedział nie Lucasowi, tylko jego siostrze Sarze, kiedy przyszła odebrać recepty. Ale to szczegóły bez większego znaczenia. Ważne, że informacja dotarła do właściwych uszu. Wiedziałem, że Lucas jest czuły na punkcie swojego honoru i kiedy tylko się o tym dowie, wpadnie w szal...

– ...i zabije Bratkowskiego.

– Tak. Ale hej, za to akurat powinienem dostać medal! Facet był pierdolonym pedofilem. Prędkiej czy później kogoś by zgwałcił. Nazwij to prewencją.

– I przy okazji udało ci się zwrócić naszą uwagę na Lucasa.

– Tak.

– Co się stało przy próbie zatrzymania, tam w lesie?

– To, co ci powiedziałem. Borówka oddał strzał ostrzegawczy, a wtedy Lucas rzucił się na nas z nożem. Borówka do niego strzelił i go zabił.

– Bardzo to dla ciebie wygodne.

– Nie chciałem tego. Miałem nadzieję, że Lucas ucieknie. Ukryje się w jakimś cygańskim skupisku w Berlinie, Anglii czy gdziekolwiek. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że wróci po rodzinę. Ale nie żałuję skurwiela. I ty też nie powinieneś.

– Dlaczego?

– Bo to nie był aniołek, tylko pierdolony szajbus. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że zabił własną córkę.

Mortka poczuł, że czas znowu zmienić temat.

– Nowak.

– Co z nim? – zainteresował się Lupa. – Wybudził się?

– Jeszcze nie. Kiedy go wciągnąłeś?

– Sprytne. Gdybym ci odpowiedział, dowiedziałbyś się, jak długo działa farma. Nic z tego.

– Wiedziałeś, że brał heroinę?

– Tak. Zaczął mniej więcej wtedy, kiedy opuściła go żona. Ale nie wiedział, że ja wiem.

– Co to znaczy?

– Podkradał towar przeznaczony dla dziewczyn i wydawało mu się, że się nie zorientuje. Pozwalałem mu na to, bo był to dodatkowy sposób, żeby zapewnić sobie jego lojalność.

Lupa wziął potężny łyk piwa, a potem potrząsnął puszką. W środku pozostała mniej niż połowa.

– Masz jeszcze jedno?

– Tak. Po dwa na głowę. Ale mogę ci odstąpić swoje.

– Nie, dzięki.

Dopił resztę piwa, zgniół puszkę i wyrzucił ją przed siebie, prosto na żwirową drogę. Sięgnął do leżącej pomiędzy nimi siatki i wyciągnął kolejne.

- Chciałeś o coś jeszcze zapytać?
- CBS. Naprawdę cię z niego wywalili?
- Mniej więcej.
- Dlaczego? Pracowałeś dla drugiej strony?

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie.
- To co się stało?
- Ty, Kuba, pracujesz w terenie. Wiesz, jak jest. Żeby coś dostać, trzeba wcześniej coś dać. Tak to działa. Ale ci biurokraci siedzący za biurkiem nie potrafili tego zrozumieć. Dlatego się mnie pozbyli.

- A ty w ramach zemsty...
- To nie tak – przerwał mu zirytowany, zanim Mortka zdążył dokończyć.
- W takim razie dlaczego?

Lupa westchnął, zbierając myśli.

- Nie obraź się za to, co teraz powiem – zaczął. – Nie wszyscy są tacy jak ty.
- To znaczy?
- Pozbawieni ambicji, planów życiowych.
- Nie jestem taki.

– Jesteś. Może i chodzisz skwaszony i narzekasz na swoje życie, ale tak naprawdę to tylko maska. Żyjesz z dnia na dzień i gównu cię obchodzi, co będzie za rok, za dwa, czy cokolwiek osiągniesz, czy nie. W pewnym sensie ci zazdroścę. Ja tak nie potrafię. Praca w CBS była kolejnym stopniem drabiny, po której piąłem się w górę. Ale ten stopień nie tylko się złamał. Skurwiele zabrali mi drabinę. Musiałem więc sobie znaleźć drugą. Wybór, biorąc pod uwagę moje doświadczenie, był dość oczywisty.

- A więc pieniądze.
- Jeśli taka odpowiedź cię satysfakcjonuje, to tak, pieniądze.
- Twoi... – szukał przez chwilę odpowiedniego słowa – partnerzy wiedzieli o policyjnej przeszłości?
- Tak.
- Nie bali się?

– Najwyraźniej nie, skoro interes się kręcił. Podjęli pewne środki ostrożności, ale traktowali moje zaangażowanie jako zaletę. Taki ośrodek z policyjną ochroną. To było coś. Wartość dodana, której nie oferował nikt inny.

- Czy ktoś jeszcze z policji był w to zaangażowany?
- Nie spodziewaj się... Sam zresztą wiesz czego. Masz jeszcze jakieś pytania?

Mortka pokręcił przecząco głową.

- Co w takim razie wydarzy się teraz?
- Aresztuję cię.

Lupa spojrzął na gips na ręce policjanta, a potem na puszkę piwa w jego zdrowej dłoni.

- Naprawdę?
- Tak.
- A gdybym teraz wstał i po prostu poszedł do samochodu?
- Nie radzę.
- Zatrzymasz mnie?
- Nie. Nie zamierzam się stąd ruszać – powiedział i wskazał na werandę.

Lupa zmarszczył podejrzliwie brwi i podniósł puszkę piwa. Oglądał ją uważnie, obracając w palcach.

– Dosypałeś tutaj czegoś? – zapytał.

– Nie.

– W takim razie jak planujesz mnie powstrzymać?

– Snajperzy – odpowiedział Mortka. – Mają cię na celowniku, odkąd wyszedłeś z domku.

Lupa uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Snajperzy? Naprawdę?

– Dziwisz się? Oficer policji. Zdeterminowany. Prawdopodobnie uzbrojony i... – komisarz postukał puszką w gips – ...niebezpieczny. Oczywiście, że są snajperzy.

– Mógłbym spróbować...

– Ale nie spróbujesz – przerwał mu Mortka. – Jeśli do tej pory się nie zabiłeś, to już tego nie zrobisz.

Lupa zmrużył oczy, rozważając to, co usłyszał. Potem prychnął i zaczął wściekle pić piwo. Mortka podniósł dłoń i zakręcił nią kilka razy.

– Chyba wiesz, co powinieneś teraz zrobić – powiedział i wskazał na dwóch umundurowanych policjantów, którzy właśnie weszli na teren posesji. Mieli na sobie kamizelki kuloodporne i wyjętą broń.

Lupa odłożył puszkę, wstał i wyszedł na drogę z rozłożonymi szeroko ramionami. Położył się i założył ręce na kark. Jeden z policjantów przygniół go kolaniem, a potem założył kajdanki. Drugi go ubezpieczał, gotów w każdej chwili wkroczyć do akcji. Kiedy skończyli, wspólnie pomogli Lupie wstać z ziemi.

Mortka w tym czasie podciągnął koszulkę, przytrzymał ją sobie gipsem, a drugą dłonią odczepił mikrofon, który przez cały czas miał przyklejony do ciała. Odłożył go wraz z przekąsnikiem na werandę.

– Jeszcze jedno – rzucił komisarz.

Lupa obrócił głowę. Na więcej nie pozwalali mu trzymający go policjanci.

– Tak? – zapytał.

– Lucas nie zabił swojej córki.

– Skąd ta pewność?

– Bo ja wiem, kto to zrobił – powiedział Mortka. Domyślił się w samochodzie, kiedy jechał z Zajdą w kierunku autostrady A4. Brakowało mu tylko imienia sprawcy, ostatniego elementu układanki. Teraz już je miał.

Otworzyła drzwi, kiedy pukanie zrobiło się tak natarczywe, że nie mogła go już dłużej ignorować. Nie oczekiwała żadnych gości i nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Chciała po prostu poleżeć w spokoju i ciszy. Nie pozwolono jej.

– Kuba? – zdziwiła się, kiedy zobaczyła stojącego w progu policjanta. – Czego chcesz?

Minął ją bez słowa, wchodząc do mieszkania. Po drodze zajrzał do łazienki, potem stanął przy oknie. Wyjrzał na zewnątrz. Kaśka zamknęła drzwi i śledziła go wzrokiem.

– O co chodzi? – odważyła się zapytać.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Przepraszam. Jestem strasznie zmęczony. Dosłownie lecę z nóg.

– Słyszałam, że...

– Pewnie dobrze słyszałaś – przerwał jej w pół słowa. – Ale przychodzę w innej sprawie.

– Jakiej?

Podszedł do niej tak blisko, że czuła jego nieświeży oddech na swojej twarzy.

– Możesz podwinąć rękawy swetra? – poprosił.

Zawahała się, ale zrobiła to, czego chciał. Chwycił ją za dłonie i długo przypatrywał się podłużnym, cienkim strupom na jej przedramionach.

– Ja... – powiedziała cicho. – Tnę się – wyznała, spuszczać wstydliwie wzrok.

– Nie. To ślady po kocich pazurach.

Puścił ją i wrócił pod okno.

– Adela wcale się dobrze nie uczyła, prawda? – odezwał się po kilku sekundach milczenia. – Nie tylko ze względu na opóźnienia w stosunku do innych dzieci. Po prostu nie lubiła szkoły. Miała jedenaście lat i marzyła o tym, żeby ktoś ją porwał. Kiedy o tym usłyszałem, w pierwszej chwili nie rozumiałem. Dopiero później sobie przypomniałem, że to cygański zwyczaj. Chłopcy porywają dziewczyny, które chcą wziąć za żony. I ona właśnie tego chciała. Zostać czyjąś żoną. Pewnie nie mogła się doczekać, aż skończy trzynaście lat i będzie mogła wyjść za mąż. Może nawet była już w kimś zakochana.

– O czym ty właściwie mówisz? – zapytała zdziwiona, ale serce waliło jej jak młot.

– O tym, że mimo to chodziła do szkoły. Dlaczego? Miała siniaki. Wszyscy je widzieli, ale z tego, co wiem, Lucas jej nie bił.

– Nie rozumiem.

Początkowo nie odpowiadał, tylko przypatrywał się jej z nieodgadnionym, pełnym smutku i zmęczenia wyrazem twarzy. Bała się go, a równocześnie narastała w niej złość. Nie miał prawa tak do niej przychodzić, wchodzić do domu bez zaproszenia, mówić zagadkami. Udawać, że wie więcej, niż wie naprawdę o strachu, upokorzeniu, tradycji i zasadach, które były gorsze od tortur i więziły skuteczniej niż najcięższe kajdany. A nawet jeśli, to nic nie rozumiał. Tak samo jak Adela, którą tak mocno kochała i którą tak mocno starała się uratować. Rozniecić w niej ten sam płomień, który płonął w jej sercu, odkąd pamiętała.

– Kiedy tutaj przyszedłem po raz pierwszy z Lupą, powiedziałaś nam, co się stało. – Mortka przymknął powieki, przypominając sobie tamten dzień. – Obawiałaś się, że Lucas coś jej zrobił. Nie specjalnie, tylko przez przypadek. Uderzył kilka razy za dużo, kiedy dawał jej lanie, bo zawsze był zbyt porywczy. Ale to nie był on, tylko ty. Adela chodziła do szkoły, bo bała się siebie. Biłaś ją. I to ty uderzyłaś ją kilka razy za dużo.

Śluchała z kamienną twarzą. I nagle ryknęła dziko, przeciągle, żałośnie i rzuciła się na niego, celując rozcapierzonymi palcami prosto w twarz. Zasłonił się gipsem, a zdrową ręką chwycił ją w pasie i rzucił na stojącą nieopodal kanapę. Próbowała odepchnąć go kolanem, ale uderzyła go tylko w żebra. Chciał ją przytrzymać, ale wyla się pod nim i machała ramionami, ciągle próbując trafić w głowę. Krzyczała przy tym głośno i piskliwie. A potem ugryzła go w dłoń. Wrzasnął. Nagle chwyciła ją jakaś trzecia ręka. Ktoś jeszcze złapał ją i pomógł obezwładnić. Nawet nie zauważyła, kiedy założono jej kajdanki i wyprowadzono z mieszkania.

Mortka oddychał ciężko, a potem otarł rękawem ślinę Kaśki ze swojej twarzy.

– Silna była – powiedział Rosecki. To on pomógł zatrzymać kobietę.

Mortka przytaknęła bezgłośnie. Przyglądał się swojej dłoni i wyraźnie na niej odbitym śladom zębów Romni.

– Znaleźliśmy dziewczynkę – dodał. – Kiedy rozmawiałeś z Kaśką. Była w jej piwnicy, zapakowana w duże worki na śmieci, przykryta jakąś płachtą i starymi gazetami. Tak jak mówiłeś. Gratulacje.

Komisarz podniósł głowę.

– To nie jest powód, żeby komukolwiek gratulować.

– Tak, ale... – Rosecki przerwał. Brakowało mu słów. – Niedaleko leżał zdechły kot.

– Aha. Ona go podrzuciła. Je wszystkie.

– Po co?

– Rozkładające się zwłoki śmierdzą. Mniej, jeśli są w folii, ale nawet wtedy... Kocie trupy miały tłumaczyć fetor.

Rosecki spojrział na niego tak, jakby nie wierzył, że Mortka mówi poważnie. Dopiero po chwili do niego dotarło. Wzdrygnął się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Jezu... – jęknął.

Mortka wstał z kanapy.

– Podejrzewam, że Adela zginęła w tym mieszkaniu. Może uderzyła głową o parapet albo kant stołu. Powinni tutaj wejść technicy. Sprawdzić wszystko centymetr po centymetrze. Może coś znajdują.

– Po tylu miesiącach?

– Zdarza się.

Komisarz przetarł powieki i ruszył do wyjścia.

– Kto powiadomi rodzinę? – zapytał go Rosecki.

Mortka pomyślał o Esmeraldzie Siwak, kobiecie, która niedawno straciła męża, a teraz miała się dowiedzieć, że jej zaginiona córka nie żyje. Ktokolwiek ją odwiedzi, zobaczy w jej oczach rozpacz, która będzie śnić mu się w najgorszych koszmarach.

– Nie wiem – odpowiedział. – Nie obchodzi mnie to. To już wasza sprawa.

Wyszedł, zanim Rosecki zdążył go zatrzymać.

Piętnaście minut później był już w swoim mieszkaniu. Zanim wszedł do środka, popatrzył na drzwi od mieszkania Alicji. Przez chwilę miał ochotę do nich podejść, zapukać, a potem, jeśli mu otworzy, opowiedzieć jej wszystko od początku do końca. A ona słuchałaby go, milcząc spokojnie i cierpliwie, tak jak już dawno nikt go nie słuchał.

Nie zrobił tego, chociaż potrzeba porozmawiania z kimś była tak ogromna, że niemal wył. Nie potrafił spojrzeć Alicji prosto w oczy, nie po teście na obecność wirusa HIV, nie po rozczarowaniu, które jej sprawił. Nic sobie nigdy nie obiecywali, nic między nimi się nie wydarzyło, ale coś zaczęło się rodzić. Obietnica, którą zniszczył.

Nie było nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Kochan odbierze, ale zamiast słuchać, rzuci kilka swoich niewybrednych żartów, a potem zacznie sam z nich rechotać do słuchawki. Do Oli nie chciał dzwonić, bo nie chciał wysłuchiwać kolejnych pretensji. Miał jeszcze siostrę, ale jego relacje z nią były jeszcze gorsze niż z rodzicami. Przynajmniej od czasu, kiedy Agnieszka powiedziała mu, że jest niedostępny emocjonalnie i samolubny. Potem uciekła do Gdańska, najpierw na studia, potem do pracy w szpitalu, próbując zaspokoić ojcowskie ambicje, które zawiódł Mortka. Jego synowie byli natomiast zbyt młodzi, żeby opowiadać im o młodych dziewczynach zmienianych heroiną i gwałtami w prostytutki oraz o małych dziewczynkach zamkniętych w foliowych workach. Zresztą pewnie nawet nie pamiętali, jak brzmi jego głos.

Wyrzut sumienia uderzył go prosto w serce. Oparł czoło o framugę i tkwił tak, nawet sam nie wiedział ile. Bolało. Nie do końca wiedział co, ale był to najgorszy rodzaj bólu, jaki czuł kiedykolwiek w życiu.

Obietnica, którą zniszczył. Złożył ją przecież nie tylko Alicji.

Ocknął się z letargu, kiedy mijała go schodząca z góry starsza pani. Obrzuciła go pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Myślała, że jest pijany. Mortka pchnął drzwi i wszedł do mieszkania. Na kuchennej szafce położył reklamówkę z chlebem, dwoma piwami, pasztetem i fasolką po bretońsku w słoiku. Burczało mu w brzuchu i był głodny, ale nie chciało mu się ani gotować, ani jeść. Zrzucił buty, zdjął koszulkę i spodnie, które wylądowały na podłodze. Wyjął jeszcze telefon komórkowy z kieszeni, wyłączył go i położył na stole. Wreszcie padł jak długi na łóżko i zamknął oczy.

Zasnął szybciej, niż się spodziewał.

– Nie przeszkadzam ci?

– Nie.

– Gdzie jesteś?

Odsunął odrobinnę telefon od ucha i zadarł głowę, spoglądając na wbijającą się wysoko w niebo kościelną wieżę o kolorze żółtego piaskowca.

– Na pogrzebie – odpowiedział Mortka.

– Ojej. Przepraszam. Zadzwoń później.

– Nie, nie trzeba. W kościele są tłumy, nawet nie wszedłem do środka. I dobrze, bo i tak zamierzałem trzymać się z tyłu. Nie mam tutaj ani garnituru, ani munduru.

– A gdzie są? – zapytała Ola.

– W piwnicy u Kochana. Zgodził się przechować moje rzeczy.

– A co potem?

Przez chwilę miał ochotę po prostu się rozłączyć. Potem? Potem dowie się, czy ma HIV, czy nie. Wszystko inne nie miało żadnego znaczenia.

– Przepraszam – usłyszał w słuchawce głos byłej żony. – Nie moja sprawa.

– Tak. To znaczy... Jak chłopcy?

– Widzieli cię wczoraj w telewizji. Ja też.

Poprzedniego dnia w Jeleniej Górze odbyła się konferencja prasowa, na której obecni byli przedstawiciele CBS, prokuratury, komendy powiatowej i wojewódzkiej. Wszyscy próbowali udawać, że właściwie nic się nie stało. Oczywiście to prawda, że mieli kreta w swoich szeregach, ale nie wyrządził on wielkich szkód, sytuacja jest pod kontrolą, a dzięki inicjatywie własnej funkcjonariuszy udało się rozbić jego siatkę i przejąć transport uwięzionych kobiet, zanim przekroczył granicę z Niemcami. Ani słowa, że takich transportów wcześniej były dziesiątki lub setki, żadnej wzmianki o czterech zamordowanych kobietach i obawie, że w innych sztolniach może być ich jeszcze więcej. Mortka słuchał tego i zbierało mu się na wymioty. Na szczęście później włączyli się dziennikarze i komisarz z pewną satysfakcją obserwowował, jak dolnośląska policja, CBS i prokuratura zrzucają winy na siebie nawzajem. W sumie udało się uratować wersję „mieliśmy kłopoty, ale sami sobie z nimi poradziliśmy”. Mortka na konferencji wystąpił w roli „dzielnego policjanta z własną inicjatywą”, który miał kluczowy udział w rozwiązaniu sprawy. Opowiedział krótko o śledztwie, pościgu, nie szczędząc pochwał miejscowej policji, tak jak go o to poproszono. Odpowiedział jeszcze na dwa, trzy pytania, a po wszystkim wymknął się tylnym wyjściem.

– Wygląda na to, że naprawdę byłeś zajęty – powiedziała.

Roześmiał się głośno, czym zwrócił uwagę trójki stojących nieopodal żalobników. Schował się szybko do pobliskim murkiem.

– Tak. Trochę byłem – przyznał rozbawiony.

– A jak twoja ręka? Była w gipsie. Co się stało?

– Długa historia.

– Brzmi nieźle. Jest w niej przestępca, niebezpieczeństwo?

– Tak.

– Będziesz ją mógł w takim razie opowiedzieć chłopcom. Lubią takie rzeczy.

– Nie. Raczej nie.

Zrozumiała.

– To może opowiesz mnie.

– Może.

– Wiesz, ostatnio myślałam dużo o czasach, kiedy byliśmy razem.

– Naprawdę?

– Lubię wracać do tamtych chwil. Mimo wszystko mieliśmy dobre momenty.

– To prawda.

– Przypomniałam sobie, że zawsze się złościłam, że przynosisz pracę do domu. Ale to nie był prawdziwy problem, wiesz?

– Nie? – zdziwił się.

– Nie. Prawdziwym problemem było to, że przy każdej sprawie zostawała częśćka ciebie. Było cię coraz mniej. Rozumiesz?

– Nie wiem, co mam powiedzieć – szepnął przez ściśnięte gardło.

– Nic nie mów. Nie trzeba. Trzymaj się, Kuba. Zadzwoń do nas kiedyś.

– Dobrze.

Rozłączyła się. Stał przez kilka sekund z telefonem w dłoni. To była ich pierwsza rozmowa od nie pamiętał kiedy, która nie skończyła się kłótnią ani pretensjami. Dorosli? Być może. Wreszcie.

Za późno.

Msza żałobna właśnie się skończyła. Drzwi od kościoła otworzono szeroko.

– Kompania, baczość! – krzyknął dowódca kompanii honorowej. – Na ramię broń! Prezentuj broń! Na prawo patrz!

Trumnę z Wajtołą, udekorowaną flagą państwową, niosło sześciu policjantów z krotowickiej komendy. Na czele znalazł się Zajda. Mortce proponowano, żeby był jednym z nich. Ktoś nawet oferował się pożyczyc mu mundur, ale odmówił, wymawiając się złamaną ręką. Czułby się niezręcznie, gdyby wziął w tym udział.

Policjanci położyli trumnę w karawanie, który chwilę później ruszył powoli w stronę miejskiego cmentarza. Przed nim maszerowała kompania honorowa, za nim szedł tłum żałobników na czele z rodziną i księdzem. Mortka szedł jako jeden z ostatnich.

Po dotarciu na miejsce ogłoszono mowy pożegnalne. Zajda przeczytał rozkaz pośmiertnego mianowania Wajtoły na stopień starszego sierżanta, który potem wręczył rodzinie. Z trumny zdjęto flagę, złożono ją i przekazano szlochającej cicho żonie policjanta.

– Kompania, baczość! Drugi szereg, krok w tył, marsz! Na pas broń! Spoczniej! Do salwy honorowej trzema ładuj! Salwą pał! Ładuj! Salwą pał! Ładuj! Salwą pał! – Dowódca kompanii poczekał, aż na cmentarzu wybrzmi echo wystrzałów. – Zabezpiecz broń! Przez pierś broń! Drugi szereg, krok na wprost, marsz! Na prawo patrz!

Po złożeniu wieńców przyszedł czas na kondolencje. Mortka nie podszedł do rodziny. W końcu właściwie go nie znali. Stał z boku, poważny i milczący. Kilkoro dzieciaków rzuciło się szukać łusek.

Zajda odłączył się od żałobników i podszedł do policjanta. Przywitani się uściskiem dłoni.

– Dobrze, że przyszedłeś – powiedział komendant.

– Myślałeś, że się nie pojawię?

– Sam nie wiem – odpowiedział Zajda po chwili zastanowienia. – Nie widziałem cię w kościele.

– Trochę się spóźniłem. Trudno było się potem dostać do środka.

– No tak. Prawdziwy tłum, co?

Zajda ściągnął mundurową czapkę i obrócił ją w dłoniach daszkiem do siebie, tak że mógł spoglądać na srebrnego orła.

– Rozmawiałem z Andrzejewskim. Jeśli chcesz, to możesz wracać do Warszawy.

– Dlaczego?

– Najwyraźniej przestał być na ciebie obrażony. A ja nie mam zamiaru trzymać cię tutaj na siłę. Zrobisz, jak chcesz. Oczywiście możesz zostać do końca programu.

Mortka kiwnął głową. Zastanawiał się, dlaczego Andrzejewski zmienił zdanie. Pewnie dowie się, jak wróci. Śledztwo w sprawie Lupy przejęło CBS, więc nic go w Krotowicach nie trzymało. Oczywiście będzie musiał się jeszcze pojawić na kilku lub kilkunastu przesłuchaniach, ale to już była inna historia.

– Sam nie wiem – powiedział. – Tutaj przynajmniej mam gdzie mieszkać.

– Andrzejewski wspominał coś o mieszkaniu służbowym.

– Poważnie?

– Tak. Ale musisz z nim na ten temat porozmawiać. Podobno nie może go trzymać długo wolnego, bo coś tam, więc masz się szybko decydować.

– Macha mi przed nosem marchewką. Ciekawe, jaki ma kij.

– O kiju nie wspominał.

Tłum żałobników przerzedził się. Ci, którzy złożyli już kondolencje, opuszczali grupkami cmentarz.

– Dostałem raport z sekcji zwłok Lucasa Siwaka – odezwał się Zajda.

– I co?

– Miał ciężko skręcone kolano. To była bardzo poważna kontuzja, do leczenia operacyjnego. Była świeża, więc musiał sobie to zrobić podczas ucieczki. Żle stanął, przewrócił się czy coś podobnego.

– Brzmi groźnie.

– Olszewski konsultował się w tej sprawie z ortopedą. Mało prawdopodobne, żeby Lucas mógł uciekać z takim urazem. Zbyt duży ból, nawet biorąc pod uwagę adrenalinę. Tym bardziej wykluczona jest próba ataku na Lupę i Borówkę. Sam by się przewrócił, zanim zrobiły im krzywdę – mówił spokojnie Zajda, wpatrzony w złożone przy grobie wieńce i pilnującą grobu wartę honorową.

Mortka kiwnął głową.

– Co to według ciebie znaczy? – spytał Zajdę.

– Kiedy tam dobiegłeś, leżał na plecach, prawda?

– Tak.

– I miał szeroko rozłożone ramiona.

– Zgadza się.

Komendant przetaił kciukiem orzelka na czapce i założył ją na głowę.

– Moim zdaniem – powiedział – skurwiel właśnie próbował się poddać.

Po pogrzebie wrócił prosto do domu. Nie miał tego dnia żadnych obowiązków. Przed konferencją prasową spędził kilka godzin w prokuraturze, cierpliwie opowiadając o tym, co się wydarzyło. Następnego dnia czekała go powtórka. Ale teraz mógł odpocząć.

Staszek Trybuk siedział na ławce przed blokiem i skubał słonecznik. Pod jego stopami zebrało się już sporo łupinek. Mortka wahał się przez moment, a potem usiadł obok niego.

– Możemy się tak razem pokazać? – zapytał.

– A co? – odezwał się Trybuk po rozgryzieniu kolejnej pestki i wypluciu łupinek. – Wstydzisz się siedzieć obok Cygana?

– Nie.

– To chyba możemy.

Rom zrobił gest, jakby chciał mu zaoferować słonecznik, ale cofnął torebkę, zanim Mortka zdążył po nią sięgnąć.

- Dobrze, że Esmeralda się dowiedziała, co się stało z Adelą. Matka powinna wiedzieć takie rzeczy.
- Jak to przyjęła?
- Jak każda matka.
- Przykro mi, że to tak się skończyło.
- Mnie też.

Rom zwinął torebkę ze słonecznikiem i położył ją obok siebie.

– Szkoda, że jesteś policjantem – odezwał się Trybuk. – Gdybyś nie był, chętnie zaprosiłbym cię do stołu.

– Jesteśmy, kim jesteśmy – odpowiedział Mortka, bo nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

– Tak – mruknął po głębokim namyśle Rom. – To prawda. Żałuję, że Lucilla o tym zapomniała.

Staszek wstał z ławki i otrzepał koszulę oraz spodnie z lupinek, które spadły na ziemię. Kiwnął głową Mortce na pożegnanie i poszedł w stronę centrum miasteczka, nie oglądając się za siebie.

Zostawił słonecznik. Komisarz podniósł paczkę, obrócił ją dwa razy w dłoni, a potem nasypał sobie garść. Lupał ziarenko za ziarenkiem, wygrzewając się w majowym słońcu.

Kiedy szedł do domu, minął spieszącą się do pracy Alicję. Powiedzieli sobie „dzień dobry” i to było wszystko.

Po rozmowie z Andrzejewskim Mortka postanowił wracać do Warszawy. Czekало na niego mieszkanie służbowe, kawalerka na Ursynowie. Podinspektor załatwił przydział dzięki znajomościom i przysługom, które byli mu winni różni ludzie.

Pomysł, żeby odejść z policji, jakoś zszedł na drugi plan w natłoku innych spraw. Wciąż gdzieś tam był, ale Mortka przestał się nim zajmować. W końcu ciągle nie wiedział, co miałby robić po odejściu ze służby. No i dostał mieszkanie służbowe. Odchodzenie w tej sytuacji byłoby nierozsądne.

Do Warszawy wracał za dwa tygodnie.

Wciąż bał się o wyniki testów, które musiał sobie zrobić za kilka tygodni, ale dużo mniej niż na początku. Co prawda ciągle zdarzały się chwile, kiedy opadały go czarne myśli, a on sam był niemal sparaliżowany ze strachu, ale dochodziło do tego rzadko, najczęściej w nocy tuż przed zaśnięciem i tuż po przebudzeniu. Za dnia odczuwał przyjemne podekscytowanie. W końcu być może znajdzie wreszcie własny kąt.

Pewnego wieczora wyciągnął z szafy dres, włożył buty sportowe i poszedł biegać. Przebiegł około trzech kilometrów, zanim złapała go taka kolka, że wrócił do domu, powłócząc nogą za nogą. Potem wziął prysznic i zasnął jak dziecko.

Dwa dni później znów poszedł biegać. Tym razem kolka go nie złapała.

Po męczącej sesji w prokuraturze, kiedy po raz kolejny odpowiadała na te same pytania, zamiast wracać prosto do Krotowic, poszedł na spacer po Jeleniej Górze. Termin wyjazdu zbliżał się dużymi krokami i Mortka pomyślał, że powinien kupić prezent pożegnalny dla Alicji. Coś jej zawdzięczał. Gdyby nie ona, nie dotarłby do Nowaka, a potem do Lupy.

W okolicach jeleniogórskiego rynku znalazł drogerię, która wyglądała na ekskluzywną. Wszedł do środka. Przez kilka minut krążył zagubiony wśród półeczek z kremami, pachnidłami i kosmetykami, zastanawiając się, co powinien wybrać, aż nagle przypomniał sobie flakonik perfum, który kiedyś oglądał w łazience u Alicji. Podeszedł do ekspedientki, ładnej, młodej blondynki, pachnącej owocami i o dziewczęcej twarzy schowanej za warstwą szminek, pudrów i tuszów.

– Dzień dobry. Szukam prezentu.

– Dla żony?

– Nie. Koleżanki.

– Rozumiem. W jakiej kwocie powinien się zmieścić prezent?

– Nie, to nie tak.
– Ma pan w głowie coś konkretnego? – domyśliła się.
– Zgadza się.
– Co takiego?
– Perfumy.
– Proszę powiedzieć jakie. Sprawdzę, czy mamy.
– No właśnie, to jest problem – powiedział z uśmiechem. – Nie pamiętam, jak się nazywały.
– Proszę się nie przejmować. To nam się często zdarza. Panowie już tak mają – powiedziała blondynka z nutką wyższości w głosie. – Wie pan cokolwiek na temat tych perfum? Firma, zapach?
– Ani to, ani to. Ale miały chyba taką dziwną nazwę.
– To niestety niewiele pomaga.
– Taką chemiczną.
– Uhm. Coś jeszcze?
Podrapał się po czole, próbując sobie przypomnieć więcej szczegółów.
– Butelka? – podpowiedziała sprzedawczyni.
– Tak. Była taka dziwna. Z paskami. Jakby kod kreskowy.
Blondynka postukała się palcem w brodę, ukazując pomalowane na czerwono długie paznokcie.
– Proszę chwilę poczekać – poprosiła.
Odeszła na bok i wróciła po mniej więcej pół minucie z pudełeczkiem. Podała je Mortce.
– Czy to to? – zapytała.
– Chyba tak – odrzekł po namyśle.
– Escentric Molecules 01 – powiedziała z uznaniem. – Pana koleżanka ma naprawdę dobry gust.
– Tak. Też tak myślę. Poproszę...
– Oczywiście. Czteryście sześćdziesiąt złotych.
Zastygł z kartą płatniczą w dłoni.
– Przepraszam, ile?
– Czteryście sześćdziesiąt – powtórzyła.
– Jest pani pewna?
– Tak – potwierdziła. – Może zechce pan wybrać coś tańszego? Mamy bardzo ciekawe mydełko z trawy cytrynowej za czterdzieści złotych.
– Nie. Wezmę to – powiedział, wręczając jej kartę, a potem szybko wbijając PIN na podanym terminalu. – Proszę jakoś ładnie zapakować.
– Oczywiście, proszę pana.
Kiedy wracał do samochodu, nie mógł przestać myśleć o tym, że właśnie wydał prawie pięćset złotych na flakonik perfum wielkości setki wódki.

Marcin zebrał talerze ze stołu i obrażony zaniósł je do swojego pokoju. Judyta podniosła kubki z herbatą i zastygła z nimi, niepewnie patrząc na mamę.

– Nie chcę jeść kolacji u Marcina – powiedziała piskliwym, skrzywdzonym głosem.
– Tylko dzisiaj, kochanie – poprosiła Alicja, próbując nie pokazać po sobie zmęczenia. – Włączysz jakąś bajkę na komputerze, dobrze?

Dziewczynka pokiwała energicznie główką i pobiegła do pokoju brata.

– Mama powiedziała, że masz włączyć bajkę! – krzyknęła.

– Ale mamo! – zaprotestował Marcin. – Nie chcę oglądać żadnej bajki. Ściągnąłem film z chomika.

– Włącz bajkę!

– Nie chcę!

Alicja przeprosiła wzrokiem Mortkę i wstała od stołu. Przeszła do pokoju syna. Zamieniła z dziećmi kilka słów i najwyraźniej postawiła na swoim, bo protesty Marcina wkrótce ucichły, zastąpione przez wydobywającą się z komputerowych głośników wesołą melodyjkę. Alicja zamknęła drzwi i wróciła do komisarza.

– Przepraszam – powiedziała, siadając. – Ale to jedyne miejsce, gdzie możemy porozmawiać. W kuchni mam straszny bałagan. Wstyd kogokolwiek tam wpuszczać.

– Nic nie szkodzi.

Trzymała go na dystans. Nie pozwoliła zbliżyć się ani do siebie, ani do dzieci. Nie zaoferowała także nic do picia ani do jedzenia.

– Przyniosłem ci coś – powiedział. – W podziękowaniu za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Podał Alicji przez stół różową paczuszkę z zieloną kokardą.

– Nie trzeba było.

– Proszę – nalegał.

Wzięła od niego prezent. Popatrzyła na niego nieśmiało i uśmiechnęła się, po raz pierwszy, od kiedy zapukał do jej drzwi. Odwiązała kokardkę, a potem delikatnymi, starannymi ruchami zdjęła ozdobny papier z pacuszki.

– Escentric Molecules – szepnęła. – Moje ulubione. Skąd wiedziałeś?

– Widziałem je u ciebie w łazience.

– Są niezwykle, wiesz? Mówią, że pachną tak, że potem oglądają się za tobą wszyscy faceci w odległości trzydziestu metrów.

– Naprawdę?

Uśmiechnęła się zalotnie i odgarnęła za ucho kilka niesfornych kosmyków.

– Dziękuję – powiedziała.

– To ja dziękuję.

Milczeli przez blisko pół minuty. Mortka wpatrzony w Alicję, ona we flakonik perfum.

– Mogłaś mi powiedzieć wcześniej – odezwał się.

– Co takiego? – zapytała, podnosząc raptownie głowę.

– O Nowaku. Że jest w to zamieszany. Mogłaś mi powiedzieć wcześniej.

– Nie rozumiem.

Westchnął.

– Nowak był uzależniony od heroiny, co wyszłoby podczas badania krwi. Nie mógł sobie pozwolić na takie ryzyko. A jednak dał ci próbkę. Co może oznaczać dwie rzeczy. Albo z jakiegoś powodu ufał ci na tyle, że wiedział, że go nie wydasz, albo mnie okłamałaś, a informacje o jego uwikłaniu miałaś z innego źródła. Tak czy siak, mogłaś mi powiedzieć wcześniej. Przecież od samego początku wiedziałeś o farmie.

Zerknęła w stronę drzwi od pokoju dziecięcego. Ciągłe były zamknięte. Słyszeli dochodzące zza nich odgłosy filmu animowanego.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Wiedzieć dlaczego...

– Potrzebowali pielęgniarki. Do opieki nad dziewczynami. Podawania leków, opatrywania lekkich ran. Dbania o towar, jak mówili. Nowak nie zawsze był dostępny.

– Jak cię w to wciągnęli?

– Przez Nowaka. Po śmierci męża wpadłam w kłopoty finansowe. Ciężko utrzymać rodzinę z jednej pensji. Do tego tak marnej jak moja. Wyciągnęli do mnie pomocną dłoń w zamian za przysługę. A potem nie wiedziałam, jak się z tego wypłatać.

– A próbowałaś w ogóle?

Spojrzała na niego z gniewem i łzami w oczach.

– Myślisz, że nie? Każdego dnia myślałam tylko o tym, jak to zrobić. Ale Lupa by mi nie pozwolił. Zrobiłby mi to, co zrobił tamtym dziewczynom. Albo i gorzej!

– Gorzej?

– Mam dzieci, Kuba. Dzieci, których nie miałby kto przed nim obronić.

– Mogłaś pójść na policję.

– Na policję? – niemal się roześmiała. – Tą samą, w której pracował on?

– Gdzieś wyżej.

Potrząsnęła energicznie głową.

– Bałam się. Że się domyśli, że coś zauważy. Że będzie miał kolegę, który go ostrzeże. Nie wiedziałam, komu mogę ufać, a komu nie. Dopiero kiedy ty się pojawiłeś... Do Warszawy przecież by nie sięgnął, prawda?

– Nie.

– Od kiedy się pojawiłeś, szukałam sposobu, w jaki mogłabym ci pomóc, tak żeby to było bezpieczne dla mnie i dla moich dzieci. A w końcu okazała się sama trafiła. – Opuściła głowę i oddychała głęboko, próbując zapanować nad rodzącym się w niej płaczem. – Potem żałowałam, wiesz? Bałam się...

– Czego?

– Tego – powiedziała, podnosząc głowę. – Że po mnie przyjdiesz. I jesteś. Któryś z nich powiedział ci o mnie, prawda? A może to sam Lupa?

– Nie.

Była zaskoczona.

– To jak się domyśliłeś?

Pokazał palcem flakonik.

– Wiem mniej więcej, ile zarabia laborantka w szpitalu. Nie stać jej na perfumy za pięćset złotych.

Pobladła, a dolna warga zaczęła jej lekko drżeć.

– Nie pomyślałeś, że to mógł być prezent? – szepnęła. – Albo coś wyjątkowego, jedyny luksus w moim życiu, na który odkładam przez cały rok?

– Pomyślałem. I miałem nadzieję, że właśnie coś takiego mi powiesz.

Odwróciła głowę w stronę okna, byleby na niego nie patrzeć i byleby się przed nim ukryć.

– Co się teraz stanie?

– Powinnaś załatwić swoje sprawy. Znaleźć opiekę dla dzieci – powiedział, wstając. – Ktoś może przyjść po ciebie.

– Ale nie ty? – zapytała z nadzieją.

Przymknął powieki, a serce zaczęło mu bić mocniej. Kilka miesięcy temu był w takiej samej sytuacji. Wtedy wydał wyrok krótkim skinieniem głowy. Jednym małym ruchem, który wykonał wbrew samemu sobie. Jak będzie teraz? Wiedział, co powie, ale nie wiedział, co czuje.

– Nie ja.

Wyszedł bez pożegnania.

Maszerował przed siebie, otulony w blask ulicznych latarni i podmuch wiosennej nocy. Gdzieś w oddali zaszczekał pies, a na niebie iskrzyły się gwiazdy.

Zorientował się, że doszedł do parku, w którym odnaleziono ciało Olgi. Wahał się moment, ale potem ruszył w stronę tamtych krzaków. Przedarł się przez gąszcz i dotarł do polanki, gdzie jeszcze nie tak dawno leżało nagie, zmasakrowane ciało dziewczyny. Kucnął i czubkami palców dotknął czarnej ziemi. Była chłodna i wilgotna.

Ola miała rację, pomyślał. Przy każdej sprawie, przy każdym trupie zostawiał cząstkę samego siebie. Każdego dnia wracało go do domu odrobinę mniej i mniej. Poczul przejmujący strach, że kiedyś zniknie całkowicie i zostanie po nim tylko pusta skorupa, mechanicznie wykonująca jedną czynność za drugą, bez żadnych myśli i uczuć.

A może już się nią stał?

Ale przecież rozwiązał tę sprawę. Odnalazł farmę, uratował dziewczyny, aresztował Lupę. Zakończył to i Olga, jeśli istnieje jakieś życie po śmierci, mogła wreszcie odpoczywać w pokoju.

A że stracił część siebie... Jeśli taką cenę musiał zapłacić, pomyślał, to było warto.

KONIEC

Od autora

Zakocharani ludzie robią różne dziwne rzeczy. Ja pewnego nieprzyjemnego zimowego dnia, po przejechaniu nocnym pociągami blisko pięciuset kilometrów, spakowałem do plecaka kanapki, wędkarskie woderki i wyruszyłem liczyć nietoperze w karkonoskich sztolniach i grotach. Zrobiłem to tylko dlatego, że pewna dziewczyna uznała, iż jest to najlepszy sposób na spędzenie romantycznego weekendu. Ponieważ nie znałem się na nietoperzach (wciąż się nie znam), mój udział w tej wyprawie ograniczał się do świecenia latarką i wskazywania znalezionych osobników bardziej kompetentnym osobom. Wśród miejsc, które odwiedziliśmy tamtego dnia, znalazła się także opuszczona kopalnia uranu, w której później urządzono sanatorium radonowe.

Wspomnienia tych chwil wróciły do mnie, kiedy szukałem pomysłu na kolejną książkę o komisarzu Mortce. Wyobraziłem sobie wtedy policjanta, który wędruje po opuszczonej kopalni, brodząc po kolana w wodzie, żeby w jednej z sal wśród starych szpitalnych łóżek odnaleźć przerażone dziecko i zadać pytanie: „Dziewczynko, czyje to zwłoki?”.

Tak jak opuszczona kopalnia z *Farmy lalek*, tak i Krotowice mają swój pierwowzór. Uważny czytelnik, studiując mapę Kotliny Jeleniogórskiej, powinien się domyślić, które miasteczko mnie zainspirowało. Początkowo planowałem użyć jego prawdziwej nazwy. W toku pracy jednak dokonałem tak wielu zmian w stosunku do rzeczywistości, że uznałem, iż byłoby to nieuprawnione. Niemniej pewne miejsca mogą państwo spróbować odnaleźć i odwiedzić. Na przykład kopalnia, w której Mortka dokonał swojego makabrycznego odkrycia, została niedawno osuszona i udostępniona zwiedzającym.

Podczas pisania tej powieści mogłem liczyć na pomoc wielu osób, którym jestem winien podziękowania. Monika Sznajderman uwierzyła w *Farmę...*, jeszcze zanim ją napisałem. Pierwszą wersję książki czytali moja mama, Michał Cholewa (świetny pisarz science fiction) oraz Rafał Grycner. Każdy z nich wniósł do powieści wiele cennych uwag. Andrzej Konarzewski uratował mnie przed jedną poważną wpadką i ku mojemu zaskoczeniu poinformował mnie, że nazwiska „Lupa” oraz „Siwak” są bardzo popularne w okolicach Jeleniej Góry. Oczywiście wszystkie postaci występujące w książce są całkowicie fikcyjne i nie mają nic wspólnego z licznymi Lupami i Siwakami zamieszkującymi tamte tereny. Natalia Macioszek sprawdziła dla mnie scenę w szpitalnym prosektorium i udzieliła kilku informacji na temat rozkładu zwłok w opisanych w książce warunkach. Magdalena Bigaj podsunęła mi pomysł, jakich perfum powinna używać Alicja.

Przed wszystkim jednak muszę podziękować tamtej dziewczynie, która wyciągnęła mnie na liczenie nietoperzy, a która, tak się składa, jest obecnie moją żoną. Dziękuję, kochanie. Bez ciebie ta książka nigdy by nie powstała.

WOJCIECH CHMIELARZ